



UUK

JACK L. CHALKER

POSZUKIWANIE

Tytuł oryginału Quest for the Well of Souls



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Wojny w Świecie Studni, część II	5
Kirbizmith, sześciokąt na południe od Overdark	6
Makiem	9
Strefa Południowa	15
Strefa Północna	23
Glathriel	29
Dasheen	37
Glathriel	42
Strefa Południowa	50
Glathriel	54
Agitar	58
Everod u wybrzeży Ecundo	61
Nocha	69
Ecundo	75
Hookl	81
Wuckl	86
Oolakash	96
Wuckl	100
Niedaleko granicy między Ecundo i Wuckl	105
Hygit, główny port Wuckl	110
Mucrol	116
Strefa Południowa	128
Biuro Ortegi, Strefa Południowa	136
Ambasada Yax, Strefa Południowa	139
Yugash, a potem Masjenada	143
Droga przez Oyakot do granicy Pugeesh	149
Wohafa	158
Bozog, kosmodrom pięć godzin później	165
Kompleks startowy, cztery godziny później	172
Bozog, kosmodrom następnego dnia	181

Na pokładzie wahadłowca Nowa Harmonia	185
Nowe Pompeje	191
Po drugiej stronie mostu	200
Strona Spodnia	206
Wierzchołek	213
Strona Spodnia	220
Wierzchołek	222
Strona Spodnia	226
Na pokładzie wahadłowca	237
Bezimienna gwiazda w M-51	243
DODATEK I: RASY PÓLKULI POŁUDNIOWEJ	249
DODATEK II: RASY PÓLKULI PÓŁNOCNEJ	253

A także ku pamięci tych, którzy umarli. . .
Johna W. Campbella juniora,
 który nauczył mnie pisarskiego rzemiosła,
Augusta W. Derletha,
 który zawsze wykazywał zainteresowanie,
Clarka Ashtona Smitha,
 który miewał przedziwne, zaraźliwe sny,
Seaburya Quinna,
 który otaczał taką samą opieką przyjaciół, jaką
przyjaciele jego,
Edmonda Hamiltona,
 cudownego człowieka, któremu podobała się Studnia,
Rona Ellika,
 który powinien żyć tak długo, by to zobaczyć,
H. Beama Pipera,
 który nigdy nie był nadmiernie zajęty,
i tym dwóm, nie chcącym się podporządkować nikomu,
indywiduom — H. P. Lovecraftowi i Stanleyowi G. Wein-
baumowi, którzy nawiedzali te pola, zanim przyszedłem
na świat.

Wojny w Świecie Studni, część II

Część pierwszą tej niezwykle obszernej powieści można znaleźć w książce pod tytułem Wyjście (Ballantine/A Del Rey Book, 1978). Wprowadzenie, Północ przy Studni Dusz (1977), można przeczytać przed lekturą albo po lekturze niniejszej książki. Wojny w Świecie Studni w zamyśle miały być jednym tomem, jednakże opublikowano je w dwóch częściach, a to z powodu ich obszerności. By jakoś uporać się z tym podziałem, każdą część napisano tak, aby można je było czytać oddzielnie. Jednakże w idealnym świecie — Wyjście powinno się przeczytać najpierw.

Kirbizmith, sześciokąt na południe od Overdark

Na drogach o zmroku niebezpiecznie bywa wszędzie, lecz tutaj, w Świecie Studni, w nietechnologicznym sześciokącie, którego mieszkańców, aktywnych tylko za dnia, ogarniała po zachodzie słońca śpiączka, pozbawiając dosłownie przytomności, było szczególnie groźnie. Warunki atmosferyczne, zbliżone do umiarkowanego klimatu Półkuli Południowej, w przeciwieństwie do tylu innych miejsc, sprzyjały egzystencji każdej niemal rasy. Natura wyposażyła Kirbizmicjan w skuteczne środki obronne; nikt, kto chciał zachować zmysły i dobre zdrowie, nie mógł ich nawet dotknąć. Nic jednak nie chroniło przybysza, nierozsądnego na tyle, by po zachodzie słońca wędrować ciemnymi, choć dobrze oznakowanymi szlakami.

Tindler był takim głupcem. Z wyglądu podobny do gigantycznego pancernika o długich, zakończonych pazurami łapach, służących mu do chwytania i poruszania się, wędrował drogą, pewny, że gruba skorupa zdoła ochronić go przed każdym mieszkańcem tego nietechnologicznego sześciokąta, a przystosowany do ciemności zmysł wzroku w porę ostrzeże go przed każdą pułapką.

— Pomóżcie mi! Och, proszę! Niech ktoś mi pomoże! Na pomoc! — rozległo się błagalne wołanie. Wysoki, dziwny głos przeszył ciemności. Jego brzmienie świadczyło najwyraźniej o tym, że został przetworzony w translatorze. Sam Tindler, będąc wędrującym w odległe strony negocjatorem handlowym, korzystał z podobnego urządzenia. Gdy obaj, zarówno mówiący, jak i słuchający, używali translatora, głos nabierał dodatkowej sztuczności.

— Na pomoc! Błagam! Niech ktoś mi pomoże! — tuż przed nim znów odezwał się tajemniczy głos. Tindler stał się czujny, odruchowo spodziewając się pułapki, zastawionej przez rozbójników, których obecność w tym rejonie zgłaszano w raportach. Co gorsza obawiał się, że ktoś przez nieuwagę potrafił jedno z tych wielkich drzew, które, jak sześciokąt długi i szeroki, rosły wspierając się o siebie nawzajem. To właśnie byli Kirbizmicjanie — we własnej osobie — niezdolni do ruchu, przemieszczający się jedynie drogą wymiany mózgow i wchłaniający umysł każdego, kto by ich dotknął bez przyzwolenia.

Nagle to dostrzegł — niewielki, leżący na drodze kształt. Stworzenie, mające ponad siedemdziesiąt centymetrów długości, było kłębkim jasnoczerwonego, nakrapianego złotem futra. Budową przypominało nieco małą małpkę. Jego puszysty, lisi ogon był prawie tak długi jak korpus. Gdy Tindler ostrożnie przysuwał się coraz bliżej, stworzenie — jakiego do tej pory jeszcze nigdy nie widział — wydało z siebie cichy jęk. Wtedy zauważył, że jedna z jego tylnych łap sterczy pod dziwnym kątem — niemal na pewno złamana.

Rozmiary Tindlera uniemożliwiały mu ukrycie swojej obecności. Leżące na drodze stworzonko odwróciło głowę i wlepiło w niego spojrzenie okrągłych jak paciorki oczu, osadzonych w dziwacznej, zakończonych malutkim dziobem twarzy, zupełnie przypominającej sowę.

Tindler zatrzymał się, rozglądając ostrożnie dookoła. Pomimo to, że doskonale widział w ciemnościach, nie dostrzegł żadnej innej, formy życia prócz zwalistych, wiecznie milczących, drzewiastych stworzeń. Z ich strony nie musiał się niczego obawiać, jeśli nie zboczył z drogi.

Ciężko stąpając, zbliżył się powoli do złożonego boleścią stworzenia. Z pewnością ktoś jego rozmiarów nie musiał się bać czegoś tak niewielkiego i kruchego.

— Co się stało, przyjacielu? — zawołał, starając się, by w głosie zabrzmiało jak najwięcej troski i gotowości niesienia pomocy. Stworzonko zajęczało ponownie.

— Bryganci, panie! Złodzieje i łajdacy zasadzili się na mnie jakieś pół godziny temu. Zabrali sakiewkę, obrabowali ze wszystkiego, zwichnęli nogę w stawie, co sam możesz zobaczyć, i porzucili na pastwę samotnej śmierci w ciemności!

Tindler poczuł się głęboko poruszony tarapatami, w jakie popadło to biedactwo.

— Posłuchaj, być może zdołam umieścić cię na mojej skorupie — zaproponował. — Może i będzie bolało, ale do granicy Bucht i do wysokotechnologicznego szpitala nie jest daleko.

Stworzonko ucieszyło się.

— Och, jakże jestem ci wdzięczny, łaskawy panie! — wykrzyknęło uszczęśliwione. — Ocaliłeś mi życie!

Dwoje oczu na końcu długiego, wąskiego ryja Tindlera zbliżyło się do maleństwa.

— Powiedz mi — rzekł Tindler, sam w niemałym stopniu zaniepokojony — jak wyglądały potwory, które dopuściły się tego czynu.

— Było ich trzech, panie. Dwaj z nich byli olbrzymi i niemal niewidzialni. Nie można ich było dostrzec, dopóki się nie poruszyli!

Tindler uważał, że trochę trudno w to uwierzyć, ale czyż w przypadku Kirbimiczjan nie było podobnie? W Świecie Studni wszystko było możliwe.

— A trzeci? — ponaglił Tindler. — Czy różnił się od pozostałych dwóch? Przypomnij sobie, przed nami długa podróż.

Stworzonko przytaknęło kiwnięciem głowy i spróbowało dźwignąć się odrobinię. Spojrzało Tindlerowi prosto w oczy, zaledwie ułamek centymetra od jego nozdrzy.

— Wyglądał dokładnie tak jak ja!

I zanim wielki, opancerzony stwór zdążył zareagować, w chwytniej, lewej stopie sowo-małpy pojawił się dziwnie wyglądający pistolet. Kudłate zwierzę naciśnęło spust i z pistoletu wytrysnął wielki obłok żółtawego gazu. Odbyło się to wszystko zbyt raptownie i zbyt blisko; klapki nozdrzowe Tindlera nie zdążyły się na czas zacisnąć.

Kiedy Tindler tracił przytomność, od otoczenia, gdzie do tej pory niczego nie można było zauważyć, odróżniły się dwa olbrzymie kształty i zaczęły się do nich zbliżać. Usłyszał jeszcze głos tego małego, krzyczącego w tamtym kierunku.

— Hej, Doc! Bądź gotów! Ten posiada translator!

Makiem

Nazywał się Antor Trelig i wyglądem przypominał gigantyczną żabę. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, w Makiem wszyscy przypominali wyglądem gigantyczne żaby.

Pierś Treliga naznaczono tatuażem Wielkiej Rady Światów. Ze swego biura w pałacu mógł objąć wzrokiem wielkie miasto Druhon — tętniące życiem średniowieczne centrum dla dwustu pięćdziesięciu tysięcy Makiemów — a poniżej niego wielkie jezioro, w którym odbijały się światła miejskich latarni gazowych oraz bajkowa iluminacja zamku. Żyjący na lądzie Makiemowie mogli w razie potrzeby zanurzać się w jego wodzie, długo nurkować dla odprężenia i przez jeden cudowny tydzień, raz do roku — bezpłciowi na co dzień — rozmnażać się.

Po obu stronach jeziora majaczyły, jak cienie nocy, wysokie góry, tworząc poszarpane obramowanie olbrzymiej gwiazdnej mgławicy, odbijającej się w jeziorze. Niebo Świata Studni było niezwykle w stopniu niewyobrażalnym: nad Półkulą Południową górowały rozdęte gromady chmur i kłęby obłoków gazowych, przez które prześwitywała gęsta od gwiazd mgławica. Odzwierciedlało to położenie Studni w pobliżu środka galaktyki. Trelig, rozparty na leżaku, podziwiał nie raz ten widok ze swego balkonu. Żaden inny nie mógł się z tym równać.

Zza pleców dobiegł go szmer, lecz nie oderwał oczu od panoramy. Tylko jedna osoba mogła wejść do jego biura bez przeszkód i bez obawy.

— Nigdy nie dałeś za wygraną, prawda? — Głos za jego plecami był nieco bardziej miękki niż jego własny, lecz przebijała z niego nieugiętość, wskazująca, że jego żona, Burodir, jest nie tylko ślicznotką.

— Wiesz dobrze, że nie — powiedział to niemal z westchnieniem. — I nigdy do tego nie dojdzie. Nie mogę na to pozwolić. Na przykład teraz, kiedy można tę przeklętą rzecz zobaczyć, dręczy mnie, niemal drwi, rzuca mi wyzwanie. — Wskazał w noc błoniastym palcem, zakończonym pazurem.

Usiadła obok niego. W swoim związku nie kierowali się romantyzmem. Wyszła za niego, ponieważ jej ojciec, dysponujący władzą w cieniu tronu, musiał mieć cudzoziemca na oku. Chociaż wieść niosła, że starzec zadławił się na śmierć zepsutym morkczerwiem, ona była głęboko przekonana, że to Antor Trelig w jakiś sposób przyczynił się do jego zgonu, by następnie! samemu zająć jego miejsce.

Była jednakże nieodrodną córką swego ojca, a więc zemsta nie wchodziła w grę. Pozostanie lojalna wobec Treliga, dochowa mu wierności, chyba że zdoła umocnić swą własną władzę, bezpiecznie go obalając. On to rozumiał. Należał do istot tego samego pokroju.

Wpatrzyła się w ciemność, w mgławicę wygiętą w kształcie U, przezierającą przez Górską Bramę.

— Gdzie to jest? — zapytała.

— Niemal dotyka horyzontu — wskazał ruchem ręki. — Wielkością zbliżone do złotej dwudziestki. Widzisz, jak mieni się srebrzyście, odbijając słoneczny blask?

Teraz i ona miała to przed oczami. Było naprawdę olbrzymie, lecz znajdowało się tak nisko nad horyzontem i miało tak dziwaczny kolor, że często umykało uwagi kogoś, kto miał ograniczoną zdolność widzenia.

— Nowe Pompeje — westchnął. — Kiedyś należały do mnie... i będą moje ponownie.

Niegdyś był tym, kogo nazywał człowiekiem — wyglądem zbliżony do ludu Glathriel, daleko na południowym wschodzie. Urodził się niewyobrażalne miliardy lat świetlnych; stąd, by rządzić w Komlandzie Nowej Harmonii, zamieszkałym przez identycznych z wyglądu hermafrodytów, gdzie przywódcy partyjni odróżniali się od reszty mieszkańców większymi rozmiarami i majestatem.

Uwielbiał władzę; urodził się dla niej, wychował się, by ją sprawować. Bogactwo i pozycja nic dla niego nie znaczyły, jeśli nie zaspokajały jego żądzy władzy. To dlatego! czuł się na razie usatysfakcjonowany stanowiskiem Ministra Rolnictwa, anonimową posadą niższego szczebla w gabinecie. Nieliczni znali go nawet w Makiem, wyjąwszy fakt, że był Przybyszem, którego kosmiczny pojazd, uległ tam katastrofie.

— Tam u góry jest cała władza, której można by zapragnąć — wyjaśniał jej, być może po raz dziewięćdziesiąty. Nie protestowała; oboje byli tego samego pokroju.

— Ogromny komputer zajmuje całą południową półkulę tego miniaturowego świata — ciągnął. — To jest Studnia Dusz w pomniejszeniu, zdolna transformować fizyczną i tymczasową rzeczywistość w skali nawet całej planety. Widzisz to iskrzenie poniżej, mniej więcej w połowie globu? To krawędź wielkiego spodka, przycumowanego do Studni Dusz na równiku, tkwiącego w jednym miejscu. Jeśli go uwolnić, mógłby dokonać transformacji świata, nawet tak wielkiego jak ten. Pomyśl o tym! Całego świata! Z ludźmi, stworzonymi według twoich wzorów, z ziemią i zasobami, rozmieszczonymi wedle twojej dyspozycji, a wszystko to całkowicie poddane tobie — tobie, która możesz stać się nieśmiertelna. I ten komputer może tego dokonać z łatwością przez regulację rzeczywistości, tak że nikt nigdy by się nie dowiedział, że coś się zmieniło. Wszyscy po prostu by to zaakceptowali!

Przytaknęła głową ze zrozumieniem.

— Wiesz jednak, że w Świecie Studni nie ma niczego, z czego by można zbudować silnik o dostatecznym ciągu, aby osiągnąć Nowe Pompeje — zauważyła. — Ty i ja, oboje byliśmy świadkami, jak silniki staczały się i eksplodowały, w lodowcowej dolinie w Gedemondas.

Z roztargnieniem pokiwała głową.

— Już jest czternaście tysięcy ofiar wśród Sprzymierzonych, którzy toczyli wojnę o fragmenty statku, może jeszcze ze czterdzieści tysięcy padnie w całej wojnie i prawdopodobnie tyle samo ze strony opozycyjnego przymierza, na którego czele stoją Yaxy i Ben Julin.

Mówił, jakby szczerze ubolewał nad marnotrawstwem i próżnym wysiłkiem, jakim była wojna, lecz ona wiedziała, że pcha go do tego natura zawołanego polityka. Nie dbał o zabitych i okaleczonych, lecz o to, że wojna szła na marne, kosztem przyjaźni Makiemów z sąsiadami i sprzymierzeńcami, których zapatrywania były mniej optymistyczne.

— Co z Julinem? — zapytała. Julin był genialnym inżynierem, który porwał córkę Gil Zindera, Nikki, i zmusił projektanta komputera, by przeniósł i rozszerzył Swoj projekt aż po Nowe Pompeje, prywatny światek Treliga. Julin był jedną z dwóch osób, które znały szyfr, umożliwiający przedostanie się przez obronę komputera Nowych Pompejów, i które zdolne były do obsługi potężnego mózgu. Nawet Gil Zinder, któremu w jakiś sposób udało się zupełnie zagubić w Świecie Studni, tak samo jak i jego córce, nie mógł dostać się do środka bez podania hasła.

Na wzmiankę o Julinie spomiędzy wielkich, gadzich warg Treliga wyrwał się chichot.

— Julin! Jest w Dasheen na wpół emerytowanym farmerem, właścicielem setki minotaurzych krów, umiłającego mu zniewolenie. Wykonuje jakieś inżynierskie prace na rzecz swoich byłych sprzymierzeńców, Yaxy i Lamotiena, lecz, matematyka Studni go przerasta, jego, wielkiego inżyniera, ale miernego naukowca-teoretyka. Bez Zindera może obsługiwać, a nawet budować potężne maszyny, nie umie jednak, ich zaprojektować. Próbowali! A propos, sądzę, że w Dasheen jest raczej szczęśliwy. W każdym razie, to jest miejsce jakby) żywcem wyjęte z fantazji, które snuł. Yaxy siłą wciągnęły go, wierzgającego i wrzeszczącego, do wojny.

Zamyśliła się.

— A jednak, ten Zinder. On może zbudować drugi taki komputer, prawda? Nie jesteś tym zaniepokojony?

Potrząsnął głową.

— Nie. Gdyby potrafił to zrobić, do tej pory już by to zrobił, jestem tego pewny, a tak wielkie przedsięwzięcie byłoby nie do ukrycia. Nie, wziąwszy pod uwagę bezskuteczność wszelkich przeprowadzonych do tej pory poszukiwań, sądzę, że jest martwy lub tkwi w jednym z tych światów zmasowanych umysłów albo w

nietechnologicznym sześciokącie nieruchomych roślin. Nikki, jestem tego pewny, także nie żyje. Wątpię, by mogła gdziekolwiek ocaleć zdana tylko na własne siły. — Kolejno, najpierw jedno, a potem drugie z jego wielkich, niezależnych od siebie oczu zdawało się zachodzić lekką mgiełką. — Nie, to nie Julina czy Zindera się obawiam, to ta dziewczyna nie pozwala mi spać spokojnie.

— Phi! — prychnęła żona. — Mavra Chang, zawsze ta Mavra Chang. To zamieniło się w twoją obsesję! Zrozum, ona została poddana deformacji. Nie zdołałaby poprowadzić statku, nawet gdyby została jego dowódcą; bez rąk, z twarzą na zawsze zwróconą w dół. Nawet nie może sama siebie nakarmić. Pogódź się z tym lepiej, Antor, kochanie. Nie ma sposobu, by kiedykolwiek wrócić do tego twojego błyszczącego bąbla, wiszącego tam na niebie i nikt inny także nie będzie mógł tego zrobić, a zwłaszcza Mavra Chang!

— Chciałbym być tego tak pewny, jak ty — odpowiedział posępnie. — Tak, to prawda, że ona stała się moją obsesją. Jest najniebezpieczniejszym przeciwnikiem, z jakim się zmierzyłem. Drobnutki okruch kobiety, niewiele większy od małpy o sowej twarzy z Parmiter. A jednak zdołała przeszmygłować zadziwiająco skomplikowane urządzenia pomimo czujników, a były one najlepsze na rynku! Potem wśliznęła się do pomieszczenia, gdzie więziono Nikki Zinder. Ominięła wszystkich, z wyjątkiem pary moich strażników. Jednego z nich skłoniła do wspólnej ucieczki, udało jej się porwać statek i uniknąć zestrzelenia przez roboty wartownicze, które wciąż tam jeszcze są, jak wiesz. Wykorzystała hasło, oparte na systemie, który jest prawdopodobnie znany tylko jednej osobie — mnie. Jak? Ponieważ sprzymierzyła się z tym przeklętym komputerem Zindera, ot jak! On ma samoświadomość, wiesz! To jedyna odpowiedź. A to znaczy, że nigdy nie będę miał pewności, czy ona może, czy nie, znów dostać się do tego komputera, jeśliby kiedykolwiek udało jej się powrócić tam, do góry! Nawet Julin natrafiłby na przeszkody, spotkawszy wartowników, ale nie ona! I jej sposób myślenia jest taki dziwny, tak niezbadany, że nikt nie wie, co zrobiłaby, dysponując taką potęgą. Jest mściwa i zła. O tym ja wiem najlepiej. Wiem, co chciałaby uczynić ze mną!

Burodir poruszyła się. Już to wszystko słyszała wcześniej.

— Lecz tego nie zrobi!- — rzuciła cierpko. — Nikt w żaden sposób nie może się tam przedostać!

— Pamiętaj, że na Północy znajduje się doskonale zachowany statek — odparł. — O tym powinienem wiedzieć; Ben i ja rozbiliśmy się w nim.

— Tak, ale stało się to w nietechnologicznym sześciokącie, zamieszkałym przez istoty tak obce, że nawet nie zdają sobie sprawy, co to jest, one nie zezwolą, aby jakakolwiek rasa zabrała go stamtąd — ciągnęła. — Co więcej, niemożliwe, aby mieszkaniiec Południa przedostał się do Strefy Północnej. Wiesz o tym. W Świecie Studni wszystkie Wrota Strefy, czy to na Północy, czy na Południu, po prostu zawrócą ciebie do Makiiem. Północnej Strefy nie można przebyć!

Jej słowa wcale go nie poruszyły.

— Kiedyś twierdziłem, że to, czego dokonała Chang, jest niemożliwe. Twierdziłem, że istnienie Studni Dusz, Świata Studni, Makiem i wszystkiego innego także nie jest możliwe. Jednakże czytałem opowieści. Nieco ponad dwa wieki temu pewnemu mieszkańcowi Północy udało się przedostać na Południe, aż tutaj. Jeśli można było to zrobić w tę stronę, to można i w przeciwnym kierunku.

Przytaknęła kiwnięciem głowy.

— Wiem, Wróżbita i Rei. Cała historia roi się od zniekształceń i nafaszerowana jest legendami, a i tak ledwie garstka daje jej wiarę. Wiesz o tym. Był podobno jeszcze jakiś Markowianin, jednak milion, może więcej, lat po tym, jak wszyscy z jego rasy wymarli i Studnia stała otworem, wkroczone w nią, a potem zapieczętowane po wsze czasy. Jeśli dajesz wiarę takim bajkom, uwierzysz we wszystko!

Rozważył jej słowa.

— No cóż, tam skąd pochodzę, krążą mity o dziwnych, inteligentnych stworzeniach z zamierzchłej przeszłości. O centaurach, syrenach, chochlikach i wróżkach, o latających, skrzydlatych koniach, minotaurach i o wielu, wielu innych. Wszystkie zobaczyłem tutaj. Ten Markowianin, Nathan Brazil — jak go zwą w moim sektorze przestrzeni — był postacią prawdziwą. W miejscach takich jak centrum naukowo-badawcze Czill istnieją zapiski o nim, o tym jak wyglądał. Ci ludzie nie są skłonni ulegać bajkom. I Serge Ortega wierzy w jego istnienie, a nawet twierdzi, że znał go osobiście.

— Ortega! — prychnęła ze złością. — Łajdak. Niewolnik Strefy w wyniku własnej pogoni za nieśmiertelnością, żyje o cały wiek dłużej, niż Ulik ma prawo. Jest sklerotycznym starcem.

— Sędziwy jest — przyznał Trelig — ale sklerozy nie ma. Pamiętaj, on jest jednym z tych, którzy trzymają w ukryciu i chronią Mavrę Chang, aż do czasu znalezienia własnego rozwiązania tego bałaganu na Północy. To on rozkręcił interes z Wróżbitą i Relem. On tam był!

Próbowała zmienić temat.

— Wiesz, za niecałe dwa tygodnie nadejdzie nasz sezon — przypomniła mu. — Czy przygotowałeś wszystko na jego nadejście? Popęd już zaczyna dawać mi znać o sobie.

Trelig kiwnął głową z roztargnieniem.

— Doczekaliśmy się dwadzieściorga urwisów, jak do tej pory. To najgorsze z przekleństw wojny, ta niezwykła płodność, narzucona przez Studnię, by uzupełnić straty. — Nie przestawał wpatrywać się w noc, chociaż Nowe Pompeje były teraz zasłonięte przez zachodnie góry. — Mavra Chang — doszło do niej, jak mruczy pod nosem.

Burodir syknęła z obrzydzeniem:

— Niech to lichy! Jeśli tak cię niepokoi, dlaczego nie uczynisz czegoś w tej sprawie? Podobno jesteś przebiegłym spiskowcem, specjalistą od brudnych interesów. Jak byś postąpił, gdyby taki ogryzek kaleki zagroził twojej władzy tutaj?

Jego wielki, płazi łeb przekrzywił się lekko w bok, gdy zamyślił się nad jej wyzwaniem.

— Jednak zabicie jej, to za mało — odpowiedział. — Nie, muszę się dowiedzieć, co też ten komputer nakładł jej do głowy i ile z tego ujawniła innym. — Teraz jego myśli nabrały rozpędu. — Może porwanie... Jest zbyt bezradna, by stawiać opór, ze względu na sytuację, w jakiej się znajduje, a i Ortega nie jest w stanie wściubić swego; nosa. Porwanie i staranna robota hipnotyka w jakimś wysokotechnologicznym sześciokącie, przepłaconym lub zaszantażowanym. Oczywiście!

— Strawiłeś wszystkie te lata na myśleniu o tym? — zapytała kpiąco żona.

Nie rozpoznał ironii w jej głosie.

— Dziewięć lat, aby dojść do pozycji tutaj, niemal tyle samo, aby uporządkować bałagan w dyplomacji, wszystko naprawić i odbudować — odpowiedział z powagą. — Plus usiłowania rozwiązania problemu północnego. Priorytety. Ale... czemuż by nie?

— Chcesz, abym to zorganizowała? — zapytała Burodir, mając nadzieję, że, być może, ostatecznie pozbędzie się tej jego obsesji. — Oficjalnie Makiem będzie musiało trzymać się jak najdalej od całej prawy, inaczej zerwiemy stosunki dyplomatyczne i prowadzimy sobie Ortegę wraz z całą resztą na głowę. Ale to jest wykonalne.

Trelię leniwie kiwnął głową.

— Mavra Chang! — westchnął.

Strefa Południowa

Na Półkuli Południowej w Świecie Studni żyło 780 ras w 780 sześciokątach. W każdym samowystarczalnym małym światku znajdowały się przynajmniej jedno Wrota Strefy — szeroko rozdziawiona, sześciokątna, czarna czeluść, która przenosiła błyskawicznie każde stworzenie przez nią przechodzące do obszaru na Biegunie Południowym, znanego jako Strefa. Dookoła olbrzymiej, centralnej Studni — etapu wejściowego dla Markowian, którzy wzięli udział w gigantycznym eksperymencie ponownego zaludnienia gwiazd poprzez przemianę, według własnego projektu, w stworzenia niższe, żyjące, rozmnażające się, umierające, tak aby ich dzieci mogły wyruszyć ponownie w opuszczony przez rodziców kosmos — Skupionych było siedemset osiemdziesiąt małych obszarów. Służby powietrzne i atmosferyczne regulatory dostosowywały je do każdej z siedemset osiemdziesięciu form życia Południa; wszystkie obszary łączył długi korytarz.

To tu, tylko tu wszystkie rasy Południa mogły się spotykać. Tutaj działała większość technologii, tak jak i magia, ponieważ niektóre z gatunków posiadały nadaną im przez Studnię moc symulowania pewnych warunków właściwych planetom, dla których zasiedlenia gatunki te zaprojektowano. Jednakże wysokotechnologiczne pistolety tutaj nie odpalały — ot, subtelność dyplomatyczna.

Strefa była podzielona: jedna połowa dla gatunków żyjących w wodzie, druga dla lądowych. Jednak wysokotechnologiczne sześciokąty dawno temu połączyły wszystkich siecią interkomów i to tutaj ambasadorzy wyposażeni w translatory mogli prowadzić interheksagonalne interesy: starać się o utrzymanie pokoju, rozwiązywać kłopoty dnia codziennego, prowadzić negocjacje handlowe oraz zajmować się innymi sprawami tego typu.

Nie we wszystkich ambasadach był obecnie personel, ani nie we wszystkich był on kiedykolwiek. Niektóre z sześciokątów stanowiły zupełną zagadkę; nie wymieniały nic z nikim. Do takich właśnie należał zasypany śniegiem, górzysty sześciokąt Gedemondas — miejsce, gdzie kres wojnie położył spektakularny wybuch staczającego się w dolinę, na oczach zmagających się stron, modułu napędowego statku kosmicznego, który eksplodował, przebijając cienką, pokrytą wulkaniczną magmą warstwę zastygłej lawy. Innych stworzeń — na przykład tych, nazwanych przez Antora Treliga „ludźmi” — także nikt nie reprezentował. Glathriel przegrał

wojnę ze swoimi nietechnologicznymi sąsiadami, Ambrezjanami, którzy zdobywszy na Półkuli Północnej gaz, sprowadzili ludzi do poziomu najbardziej prymitywnej organizacji plemiennej i opanowali ich sześciokąt. Ambrezjanie kontrolowali dwoje Wrót Strefy, chcieli bowiem, jeśliby ludzkość rozwinęła się ponownie, aby odbyło się to w drodze obranej przez nich, a nie przez ludzi.

Ambasadorzy przebywali i urzędowali, w sześciuset siedemdziesięciu dziewięciu biurach. Czas upływał, ludzie starzeli się, znużeni klasztornym trybem życia obowiązującym w ambasadach albo też pięli się po szczeblach kariery wewnątrz własnych, rodzimych sześciokątów.

Wszyscy z wyjątkiem jednego — ambasadora z Ulik, sześciokąta przylegającego do Bariery Równikowej. Ulik był sześciokątem o wysokim rozwoju technologii, lecz o surowym, pustynnym środowisku. Ludzie stąd byli wielkimi, podobnymi do węży płazami. Ich ciała powyżej pasa sięgały pięciu ii więcej metrów. Z humanoidalnych korpusów wyrastały pary masywnych ramion o szerokich dłoniach, z których cztery, licząc od dołu, osadzone były w kulistych, krabich stawach. Mieli łyby kanciaste, masywne i zarówno osobnikom płci męskiej, jak i żeńskiej wyrastały wąsy morsa. Osobniki żeńskie składały jaja i po wykluciu się młodych troskliwie się nimi opiekowały. W oczach obcego płeć żeńska różniła się od męskiej jedynie piersiami pomiędzy każdą parą ramion.

Serge Ortega był płci męskiej i był Przybyszem. Dawno temu był pilotem frachtowca z Kom. Sędziwy i znudzony życiem nieświadomie otworzył prastare Wrota Studni Markowian, które przeniosły go w Świat Studni, a ta z kolei umieściła go w Ulik. Polubił życie Ulika. Studnia, nie zmieniając niczyich wspomnień ani podstawowych cech osobowości, powodowała, że każdy czuł się normalnie i dobrze bez względu na to, w jakie stworzenie go przedzierzgnęła. Ortega zatem pozostał łajdakiem, piratem i krętaczem, takim, jakim był poprzednio.

Zwykle Ulik dożywa około stu lat; żaden nie żył dłużej niż półtora wieku. Serge Ortega jednakże miał już trzysta lat z okładem, a wyglądał na jakieś pięćdziesiąt. Szantażem zmusił rasę uzdolnioną magicznie, by nadała mu nieśmiertelność, lecz nie obyło się bez określonych kosztów. Takie zaklęcia obowiązują tylko wewnątrz sześciokąta tego osobnika, który rzuca zaklęcie, lub też wewnątrz Strefy. Ponieważ jedyna droga ze Strefy prowadziła z powrotem do niemagicznego Ulika, Ortega stał się więźniem ambasady, tyle że niezwykle aktywnym. Strefa zamieniła się w jego jedyny świat, a on wycisnął z niego tyle, ile tylko mógł.

W swoim czasie knuł mnóstwo intryg, pomógł w zakończeniu kilku wojen, łączył sześciokąty w efektywne sojusze i uczciwie lub oszustwem, podsłuchując, szantażując, sam lub przy pomocy własnych agentów zdobywając informacje, wiedział niemal o wszystkim, co działo się na Południu. Dane; napływały do niego w postaci gór papierowych raportów, komputerowych wydruków i fotografii. Mieszkał w kwaterze na tyłach obszernych biur wypełnionych urządzeniami ko-

munikacyjnymi, komputerami i innymi cudami, dostarczającymi mu dane oraz środki do ich korelacji.

Na swój sposób, dzięki własnej pracy i wyjątkowej sytuacji stał się kimś w rodzaju szefa rządu Półkuli Południowej — przewodniczącym lub też koordynatorem. Tutaj za każdą wyświadczoną usługę, prędzej czy później, żądano zadośćuczynienia. Niektórzy lubili go, inni podziwiali, wielu nienawidziło i bało! się go, ale on był zawsze obecny i wszyscy pogodzili się z tym, że to się pewnie już nigdy nie zmieni. De facto był Przewodniczącym Rady Sześciokątów Południa, nieformalnego kolegium ambasadorów, zwoływanego przez interkom, gdy wydarzenia niezwykłej wagi, na przykład! wygasłe niegdyś konflikty wojenne, zaczynały zagrażać im wszystkim.

Właśnie teraz rozsiadł się, zwinąwszy w spiralę swoje węzowe ciało i kołysząc się lekko w przód i w tył, przeglądał papiery.

Zatrzymał się nad jednym z raportów. Był to coroczny raport Ambrezy w sprawie Mavry Chang, którego widok zawsze budził w nim niechęć.

Swego czasu Serge Ortega kłamał, oszukiwał, kradł i popełniał różne przestępstwa. Ponieważ jednak wierzył zawsze, że działa na rzecz dobrych celów — czy to prawdziwych, czy wymaginyowanych — niczego nie żałował, nie czuł litości ani wyrzutów sumienia.

Z wyjątkiem tej jednej sprawy.

Powrócił myślami do chwili, gdy nagle nad Światem Studni zjawił się nowy satelita. Wysłany z niego statek zniżył się nadmiernie nad sześciokątem, w którym jego urządzenia techniczne po prostu nie mogły funkcjonować. Pojazd rozpadł się na dziewięć modułów, z których każdy spadł do innego sześciokąta. W jakiś czas później drugi statek, tym razem zaprojektowany tak, by był niepodzielny, spadłszy w dół jak kamień, zdołał wylądować na Północy. Tubylcy przepchnęli jego pasażerów przez Wrota Strefy na Południe, do miejsca, do którego w oczywisty sposób przynależeli, będąc formą życia opartego na związkach węgla.

Ten północny statek przywiózł Antora Treliga, niedosłego imperatora nowego, międzygwiazdowego Rzymu oraz Bena Julina, inżyniera, współpracownika Treliga i syna człowieka; numer dwa z syndykatu gąbki. Trelig był tam człowiekiem numer jeden. Na pokładzie tego statku znajdował się także Gil Zinder, naukowiec, którego zdumiewający mózg rozwiązał podstawowe problemy funkcjonowania Świata Studni, nie zdając sobie nawet sprawy z jej istnienia. To on skonstruował wielki, obdarzony samoświadomością komputer, Obie. Przybyli w przebraniu swoich własnych ofiar — co umożliwił Obie — i przedostali się przez Studnię, nim ich tożsamość została ujawniona.

Naiwna i pulchna, czternastoletnia córka Gila, Nikki, znalazła się w drugim statku wraz z Renardem, zbuntowanym strażnikiem; oboje uzależnieni od niszczącego mózg, zniekształcającego ciało narkotyku zwanego gąbką. Oprócz nich była tam jeszcze Mavra Chang.

Westchnął. Mavra Chang. Kiedykolwiek mylili o niej, opanowywało go poczucie winy i litości, a więc starał się myśleć o niej tak rzadko, jak to możliwe.

Ponieważ statek na Północy był dla nich niedostępny, niektóre nacje Świata Studni zawarły przymierza, aby zdobyć moduły napędowe na Południu. Zimne, nieludzkie motyle Yaxa oraz pomysłowe, o wysokim rozwoju technologii, metamorficzne Lamotien i Bon Julin, teraz pod postacią minotaura z męskiego raję Dasheen, maszerowali, zabijając i podbijając. Wyglądający jak żaby Makiemowie, niewielkich rozmiarów satyrowie z Agitar, dosiadający wielkich skrzydlatych koni, zdolni magazynować w ciele i dowolnie rozładowywać ładunki tysięcy woltów oraz pterodaktyle z Cebu również przemaszerowali triumfalnie, zabijając, obrali jednak własną drogę, pewni, że Antor Trelig zdolny jest poprowadzić ich z powrotem do Nowych Pompejów i do Obie.

To było tak dawno temu, pomyślał.

Przypomniał sobie Renarda, strażnika, uwolnionego od nałogu przez Studnię, która przemieniła go w jednego z Agitar. Jakże ten człowiek buntował się, gdy pojął, że wciąż pozostaje na usługach swojego starego władcy, Antora Treliga! Wtedy ruszył na poszukiwanie jedynej kobiety, która nigdy nie zaniechała walki o przeżycie we wrogim świecie, która utrzymywała go przy życiu, dopóki nie został ocalony.

To niezwykle, że Mavra Chang wzbudzała w nim takie uczucia, pomyślał Ortega. Nigdy nie spotkał się z nią osobiście i, co całkiem prawdopodobne, nigdy to nie nastąpi. Tyle jej zawdzięczając, mógł odpłacić się jedynie skazaniem na życie w niedoli. To on wysłał niewielką grupę do Gedemondas, wysoko w milczące góry, tam gdzie leżały gondole silnika. Pierwszy, kto by do nich dotarł, zdobyłby rzecz, do wytworzenia której w Świecie Studni brak było zarówno zasobów, jak i umiejętności. Zespół złożony był z dwóch Lata, fruwających chochlików, ponieważ Ortega żył z nimi w przyjaźni, a jednego nawet znał osobiście, Renarda na wielkim pegazie, który nazywał się Doma, i Mavry Chang, bowiem ona, jako wykwalifikowany pilot, była jedyną, która mogła rozpoznać i ocenić! stan silników.

Doprowadziła misję do końca, zadumał się, tak jak to robił co roku, gdy nadchodził raport. Była świadkiem zniszczenia olbrzymich silników. Po drodze została schwytana przez fanatyczne koty z Olborn. Czerpały one nadzwyczajną moc z sześciu kamieni. Ta moc w jakiś sposób pozwalała im przemieniać wrogów w zwierzęta robocze podobne do mułów. Na nieszczęście, w przypadku Mavry zdążyli wykonać swoje dzieło w połowie, zanim inni zdołali przyjść jej z pomocą.

Pomyślał z pewną satysfakcją, że Olborn został niemal całkowicie zniszczony podczas wojny i że jego przywódcy przeistoczeni zostali w małe muły.

Odrobinę zadowolenia dawał mu fakt, że statek leżał nietknięty na Północy, w dalekim, nieosiągalnym Uchjin. Co więcej, Obie istniał i był bardzo aktywny, choć w danym, momencie uwięziony przez nieświadomy niczego komputer Stud-

ni Dusz, który doszedł do wniosku, że Obie jest jego zmiennikiem i że pojawiła się w końcu nowa rasa panów. Wciąż próbował więc przekazać Obie kontrolę nad głównymi równaniami stabilizującymi całą materię i energię w skończonym wszechświecie. Była to jednak jakby próba wtłoczenia ludzkiej wiedzy w mrówkę — i to za jednym zamachem. Obie po prostu nie był w stanie poradzić sobie z tym przekazem.

Tak więc Studnia nie uwolniła Obie, a Obie nie mógł nawet porozumieć się ze Studnią. Ten impas trwał już od wielu lat.

Był pewien sposób na przerwanie kontaktu przez Obie i Obie go znał, znał go również Serge Ortega. Wymagało to sporych modyfikacji głęboko w samym rdzeniu Obie. Dopóki jednak Obie trwał w trybie „defensywnym”, nie był w stanie wykreować własnych techników, którzy by tam zeszli, bo nie mógł otworzyć własnych drzwi. Tylko Trelig i Julin znali formułę odwołującą środki zabezpieczające, gdyż sami ją stworzyli — słowa hasła nie istniały w obwodach świadomości Obie.

Ortega rozważał między innymi możliwość porwania Julina lub Treliga w celu wyciągnięcia z nich szyfru hipnozą.

Obydwaj jednakże poddali się rozległemu hipnotycznemu „wypalaniu”, by uniemożliwić dostęp do magicznych słów komukolwiek, nawet sobie samym, dopóki ponownie nie znajdą się — osobiście — na Nowych Pompejach.

Powrócił myślami do Mavry Chang. Tak jak Julin i Trelig była wykwalifikowanym pilotem. Jako zawodowca była najlepsza z całej trójki, rozumiała zaawansowane precyzyjne systemy straconego statku i mogła prawdopodobnie wzbicie się nim w powietrze. Co ważniejsze, znała także szyfr, którego Trelig używał przy przekraczaniu peryferii wciąż broniących Nowe Pompeje zabójczych satelitów.

Początkowo — z powodu wojny — Ortega trzymał ją pod korcem, z dala od Studni. Potem, kiedy wszystko rozpadło się w Gedemondas, Mavra pojawiła się wskutek czarów Olbornian jako dziwactwo, jedyne w swoim rodzaju stworzenie, w świecie tysiąca pięciuset sześćdziesięciu gatunków. I wciąż musiał ją trzymać z dala od Studni, która uleczyłaby jej fizyczne dolegliwości, ponieważ nie miał wpływu na to, w co by się zamieniła. Mogłaby obudzić się stworzeniem poddanym władzy Treliga albo Julina, albo też jakiejś ambitnej trzeciej strony, która nagle uzmysłowiłaby sobie, jaka gratka jej się trafiła. Może stałaby się istotą żyjącą w wodzie, niezdolną do pilotażu nawet w razie potrzeby albo czymś, co nie mogłoby się poruszać, czymś bez indywidualnej tożsamości.

Zbyt wiele było niewiadomych.

A więc zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić. Istniała obrzydliwa możliwość, że Antor Trelig lub Ben Julin, czy też ktoś na ich usługach znajdzie drogę na Północ — i przedrze się przez gąszcz dyplomatycznej dżungli — aby opanować statek i przenieść go do wysokotechnologicznego sześciokąta, by właściwie przy-

gotować go do odlotu. Na wszelki wypadek musiał mieć nad nią kontrolę, musiał trzymać ją w tym strasznym stanie.

By nieco lżej jej się żyło, umieścił ją w Glathriel, sześciokacie zamieszkałym przez prymitywne ludzkie plemiona. Panował tam klimat tropikalny, a strzegli go przyjaźni lecz nieufni Ambrezjanie, wyglądem przypominający duże, palące cygara bobry. Miała do dyspozycji specjalnie dla niej zaprojektowaną siedzibę, a raz w miesiącu statek przywoził zapasy w postaci, z którą mogła sobie poradzić. On również wypalił ją hipnotycznie, tak że uważała swój aktualny wygląd za rzecz naturalną.

Ortega od dawna miał nadzieję na znalezienie rozwiązania problemu statku na Północy, łudził się, że albo mu się to uda, albo statek ulegnie zniszczeniu. Jednakże na próżno, nic takiego nie zaszło. Skazał Mavrę na egzystencję pod postacią dziwoląga, nie na krótko, jak początkowo zamierzał, ale na bardzo, bardzo długo.

Wydobył grubą teczkę z jej nazwiskiem, by dołączyć do niej nowy formularz. Tak jak zwykle nie mógł się oprzeć i przejrzał zawartość.

Urodziła się w jednym ze światów z pogranicza, który zamienił się w Kom. Jej rodzice walczyli przeciw zmianom, więc ich skazano. Jedynie malutka, pięcioletnia Mavra, tak mała, że można ją było z łatwością przemycić, została uratowana przez przyjaciół rodziny. Chirurgicznie zmienili jej wygląd na bardziej orientalny, aby upodobnić ją do macochy, kapitana frachtowca,; Maki Chang. Po ośmiu latach samotnego dzieciństwa w przestrzeni kosmicznej znalazła się sama w prymitywnym, okrutnym świecie. Miała trzynaście lat, kiedy jej macochę aresztowano. Poradziła sobie, została żebrakiem; gdy skończyła szesnaście lat — królem żebraków, i stała się całkowicie niezależna.

Wychowała się jednak na pokładzie frachtowca i tęskniła do życia w przestrzeni. Próbowwała zdobyć pieniądze, tyle ile było trzeba, aby się wyrwać, dostać do szkoły pilotów i otrzymać licencję. Sprzedawała swe ciało w melinach kosmodromu. Gdy nadeszła pora, spotkała i poślubiła kapitana, który zbił majątek na wymyślnych kradzieżach. Dzięki niemu żyła w przestrzeni, miała statek, licencję, zaczęła karierę włamywacza i zdobyła odrobinę ogłady. Kiedy szefowie syndykatu gąbkowego zabili jej męża, drobna, piękna Mavra Chang wytropiła i zabiła ich wszystkich, jednego po drugim. Potem pracowała samotnie na swoim frachtowcu.

Z powodu swojej przeszłości została wybrana na przedstawiciela umiarkowanego Komlandu podczas prezentacji przez Treliga potęgi Obie. Wynajęta, lub raczej przekupiona — miała wydostać Nikki Zinder i w ten sposób wyrwać starego naukowca spod władzy Treliga.

Trelig przeprowadził zgromadzonych widzów przez Obie, przyprowadzając im wszystkim końskie ogony, aby stali się żywym przykładem jego potęgi. Ale Obie ujawnił przy okazji Mavrze środki i metodę, która umożliwiła Nikki ucieczkę. Niemal jej się to udało. Uprawdziła Nikki i statek, zabierając ze sobą nawet for-

mułę substancji neutralizującej, która mogła pozbawić syndykat gąbkowy władzy nad nałogowcami.

Trelię jednakże zmodyfikował kod, w wyniku czego wszyscy zostali przeniesieni do Świata Studni wraz z Nowymi Pompejami, gdzie ulegli katastrofie.

Głęboki hołd jej przodkom, pomyślał Ortega z szacunkiem. Zawsze radziła sobie z przeciwnościami, nigdy się nie poddała w obliczu niemożliwości, nigdy nie przyznała się do porażki — i zawsze wychodziła obronną ręką z opresji.

Jej życie wystarczyłoby dla dziesięciu — tak okrutne, że nikt inny by nie przetrwał. Nic dziwnego, że jest zgorzkniała, nic dziwnego, że nie mogła zbliżyć się do innych ludzi.

Jakże Ortega pragnął porozmawiać z nią, odsłonić przed nią jej prawdziwą historię i dziedzictwo, które jemu jednemu były znane w całości — lecz nie mógł tego zrobić. Nie mógł przewidzieć efektu, jaki by tym wywołał. Była mu potrzebna taka twarda, przykra i zadufana w sobie, jaką zawsze była. Siła ta mogła się przydać zarówno jej, jak i jemu.

Sprawdził arkusz.

„Obiekt zainteresowań został poddany dorocznemu badaniu przez dra Quozoni 13/12” napisano. „Pomniejsze kłopoty ze skórą i dyzenterią, spowodowane zaniedbaniem własnej osoby, łatwe do skorygowania. Mimo że zalecono stosowanie zrównoważonej diety, obiekt wykazuje skłonności do otyłości, prawdopodobnie z powodu przyjmowania nieautoryzowanych potraw. U badanej stwierdzono skrzywienie kręgosłupa, powstałe w wyniku dostosowania się ciała do deformacji i nadmiernego obciążenia przez piersi oraz fałdy tłuszczu. Jednakże nadwagi nie można jeszcze uważać za zagrażającą życiu. Główne organy są w doskonałym stanie, prawdopodobnie dzięki forsownym, ciężkim ćwiczeniom, jakie badana wykonuje przy chodzeniu. Słuch z wiekiem uległ przytępieniu, co jest normalne i niegroźne, ponieważ na początku był wyjątkowo ostry. Wzrok, który nie jest decydującym czynnikiem, z uwagi na jej stan, o wiele przewyższa normę przewidzianą dla Typu 41 w nocy, jest bardzo słaby za dnia, częściowo w wyniku przystosowania do nocnego trybu życia. Na szczęście wraz z wiekiem pojawiła się krótkowzroczność, nie wymagająca korekcji ze względu na zasięg widzenia, ograniczony ruchami głowy do trzech metrów.

Wydaje się, że pozostaje niezmiennie w tym samym, osobliwym stanie psychicznym. W ciągu ostatnich jedenastu lat nie podejmowała żadnych prób ucieczki, co wywołało nasze zaniepokojenie. Zarazem jednak sprawia wrażenie, jakby zupełnie wyobcowała się z rodzaju ludzkiego. Nie potrafi nawet wyobrazić sobie, by mogła być kimś innym, niż jest. Obserwując ją, można by pomyśleć, że w istocie jest prawdziwym tworem natury. Ostatnimi czasy przejawia anormalne zainteresowanie biologią oraz strukturami genetycznymi i przebąkuje o stworzeniu nowej rasy. Uznaliśmy to za optymistyczne, choć intrygujące z psychologicznego i naukowego punktu widzenia. Naturalnie w młodszym wieku poddała się stery-

lizacji, lecz jej rozkwitające poczucie macierzyństwa i nieprzerwany związek z Joshi wymaga obserwacji. Nieodparcie nasuwa się pomysł zaprojektowania na terenie jakiegoś sześciokąta, czy to Glathriel, czy też Olbornu, który jest to jej winien — ekosystemu, w którym stworzenia takie jak ona mogłyby samodzielnie żyć. Zawdzięczamy jej tyle, że można by to dogłębnie rozważyć.”

Zamyślony Ortega podniósł wzrok znad arkusza papieru. To dziwne, jak ona się zmieniła, a jednak zmiana ta dokonała się jakoś w sposób niesprzeczny z jej osobowością. Ucieczka! — nawet udana — na nic by się nie zdała: dokąd by poszła i jak długo zdołałaby przetrwać, zdana tylko na siebie? Tak więc jej zmagania przybrały inną formę — marzeń o założeniu nowej, własnej rasy, zaprojektowanej, jak miniszescian, pod kątem jej fizycznych wymagań. Jeśli będzie to możliwe, zdecydował Ortega, zostanie to zrobione.

Westchnął, wpiął raport do akt nie czytając reszty i prawą, środkową ręką sięgnął do szuflady po komunikator, osobliwy obwód, niełatwy do podsłuchu dla osób postronnych. Biuro przeszukiwano codziennie, a więc był całkiem pewien, że jest to miejsce bezpieczne. Linia łączyła jego biuro z przeciwną stroną Strefy, z ambasadą Oolagash w głębinach Oceanu Overdark.

Sygnal rozległ się kilkakrotnie i przez moment wydawało mu się, że obrał złą chwilę, lecz w końcu usłyszał trzask i przez translator odpowiedział głuchy, wysoki głos. Woda, połączenie i proces podwójnej translacji nadały mu dziwaczne brzmienie, jakby został sztucznie wytworzony w obwodach elektronicznego instrumentu, mimo to był zrozumiały. Ciekawiło go, jak Oologashe słyszą jego głos.

— Tagada! — powiedział głos.

Ortega uśmiechnął się.

— Tag? Ortega. Mam dla was drobny problem ekologiczny do rozpatrzenia w związku z Obie, a przy okazji kwestię genetyczną.

— Wal śmiało — odpowiedział doktor Gilgam Zinder.

Strefa Północna

Podobnie jak jej odpowiednik na Południu, Półkula Północna, ze swoimi siedemset osiemdziesięcioma formami życia nie opartego na związkach węgla, posiadała Strefę z ambasadami i ambasadorami. Summa summarum siedemset dwa sześciokąty utrzymywały w Strefie stałych lub tymczasowych reprezentantów i posiadały własną międzystrefową radę z wybieranymi po kolei przewodniczącymi. Przy tym Północ stała przed większymi trudnościami niż Południe, gdzie rasy — jakkolwiek tak sobie obce, że utrudniało to identyfikację łączyło poczucie większej jedności. Markowianie byli formą węglpochodną i, co naturalne,; więcej ze swojej energii poświęcili formom także węglpochodnym. Nie mogli jednak przeoczyć żadnej szansy. W swym samobójczym projekcie obdarzenia swoich dzieci chwałą — utraconą przez przodków po osiągnięciu stanu boskiej stagnacji — Markowianie nie mogli dopuścić nawet cienia możliwości, że zostaną one skazane na zagładę przez to, że są formą węglpochodną.

Strefa Północna była prawdziwym rajem dla eksperymentatora. W siedmiuset osiemdziesięciu sześciokątach Północy nie istniały żadne reguły ani ograniczenia, dlatego w pewnych wypadkach życie przybrało formy tak szalenie obce, że nie można było znaleźć nic, co by je między sobą łączyło. Tak właśnie było w przypadku Uchjinów, na których terenie rozbili się Trelig i Julin. Oni mieli ambasadora na placówce — to był jedyny powód, dla którego uciekinierzy przedostali się na południe — lecz z nimi mogła porozumieć się ledwie garstka. Po prostu w ich wypowiedziach nie można było doszukać się sensu. Ich sposób kojarzenia, pojmowania i tym podobne umiejętności były tak odmienne, że nie można byłoby nawet im wytłumaczyć, co to jest statek i co sobą przedstawia.

„Nie” — było jednak całkiem zrozumiałe nawet dla tych ras z Północy, które na własną rękę próbowały uzyskać kontrolę nad statkiem, niektórzy na Północy byli równie chciwi i makiawelicznie przebiegli, jak ci z Południa i dlatego wkładali w to sporo wysiłku.

Na próżno.

Stworzenie u Wrót Studni w Strefie Północnej nie pasowało do tego miejsca. Było sporych rozmiarów. Miało ponad dwa metry wysokości, nie licząc ogromnych, złożonych ciasno wzdłuż grzbietu skrzydeł w pomarańczowo-brązowe pla-

my. Jego lśniące, twarde jak kamień ciało spoczywało na ośmiu czarnych, jakby z gumy kończynach, z których każda zakończona była miękką, lepką macką. Przypominająca ludzką czaszkę twarz miała odcień czerni; niewielkie, żółtawe półksiężycy nadawały jej wygląd diabelskiej maski. Z głowy wyrastały dwie, nieskończonej długości, wibrujące czułki. Aksamitne oczy w kolorze soczystej pomarańczy były wyraźną oznaką tego, że system widzenia różnił się od przyjętego za normalny na Południu.

Yaxa, w obawie przed tym, że jakaś nieszczelna uszczelka albo też czyjaś nadgorliwa ręka spowoduje wtargnięcie atmosfery kotłującej się po drugiej stronie Wrót, nigdy nie czuła się dobrze w Strefie Północnej. Wskutek małego, zainteresowania i braku odpowiedniego ekwipunku południowcy docierali najwyżej do tego miejsca.

Wrota Studni mogły błyskawicznie przenosić z Północy na Południe i w kierunku odwrotnym. To dlatego właśnie podróż była tak frustrująca: Strefy nigdzie nie otwierały się na otaczający świat; Wrota Studni były jedynym środkiem transportu do sześciokątów i z nich. Wrota Strefy Północnej czy Południowej niezmiennie przenosiły każdego na powrót do rodzinnego sześciokąta.

Tym razem Yaxa nie miała na sobie kombinezonu ciśnieniowego i to był jeden z powodów jej nerwowości. Prócz tego nie wiedziała, z czym się spotka.

Yaxy były pośród tych, którzy zapoczątkowali Wojny Studni, zakończone tak bezowocnie, i na Północy nigdy nie dały za wygraną. Niegdyś, dawno temu, mieszkaniec Północy przekroczył Wrota Strefy Południowej i wyszedł w sześciokącie tejże Południowej Strefy. Dowody na to były niepodważalne.

Jak to się stało?

Yaxy głowiły się nad tym problemem od lat, niewiele mając do dyspozycji. Wiedziały, że owym mieszkańcem był symbiont, zwany Wróżbitą i Relem, z północnego sześciokąta o odtworzonej przez translator nazwie, Astilgol — żadna z nazw północnych sześciokątów nie była taki naprawdę tłumaczona, ale zawsze takie właśnie wydobywały się z niej dźwięki.

Astilgolowie byli zainteresowani statkiem. Próbowali porozumieć się z Uchjinami, lecz nie udało im się to jak i wszystkim innym. Unoszący się tuż nad gruntem Uchjinowie byli całkowicie obcy dla każdego z Południa — szereg migotliwych, srebrnych obręczy, zawieszonych u kryształowej sztaby, na której szczycie lśnił rząd malutkich punkcików, przypominających świetliki schwymane do misy. Jednak żadnego naczynia nie było widać, wyczuwało się jedynie, że ono tam jest.

Ambasadora Astilgol zainteresowały kontakty nawiązane przez Yaxy: oni byli na Północy, a Yaxy kontrolowały Julina. Słuchały także Makiemów, Treliga i Ortegi.

Nie mogli jednak nic zrobić w sprawie podstawowego problemu: Wróżbita, jak się okazało, urodził się jako pewnego rodzaju mutant, zdolny do okazjonalnego dostosowywania się do wewnętrznych procesów Studni. Czasami mógł prze-

powiadać, kiedy Studnia obliczała prawdopodobieństwo nowych danych — lecz nie zdarzało się to co dzień. Jedynie trzech Wróżbitów urodziło się w ciągu dziejów, a ten, który udał się na Południe, nigdy nie powrócił. On był ostatnim.

Dlaczego Studnia zezwoliła Wróżbicie i Relowi na przejście? Nikt tego nie wiedział. Studnia była komputerem, który nie posiadał osobowości. Ona nie zdecydowała o przepuszczeniu Wróżbity, oto w jakiś sposób nastąpiła interakcja fuzji stworzeń i systemu transportowego Studni, do czego nikt inny nie mógł doprowadzić.

Yaxy teoretyzowały na ten temat od lat. Rozwiązanie problemu sprowadzało się do sposobu, w jaki Studnia zaklasyfikowała jakieś stworzenie. Opierano się zawsze na założeniu, że determinantem była budowa fizyczna. Ba, lecz gdyby tak nie było, to co?

Czy związek Wróżbity ze Studnią zakłócił w jakiś sposób normalny proces translacji? A może Wróżbita udzielił Studni informacji, że jest stworzeniem innego rodzaju, niż był w istocie? Czy Studnia rozpoznawała osobnika na podstawie jego samowyobrażenia o sobie? Czy w takim razie można było Studnię oszukać? Czy Wróżbita powiedział do Studni: „daj się oszukać”? Czy Wróżbita powiedział na Południu: „Jestem Azkfru” i wylądował nie w Astilgolu lecz w Azkfru?

Próbowali różnych eksperymentów z wykorzystaniem głębokiej hipnozy stworzeń, aby przekonać je, że są z Yaxa. Dobrze znosiły hipnozę, lecz wciąż pojawiały się w swych rodzinnych sześciokątach.

Rasy z Północy utrzymywały pewną wymianę handlową z Południem. Translatory na przykład były w rzeczywistości hodowane we wnętrzu północnych stworzeń w Moiush i wymieniane na żelazo, potrzebne w tym sześciokącie. Stąd niektóre rasy z Północy posiadały kontakty na Południu, a niektóre rasy z Południa współpracowały z Północą. O każdym projekcie prędzej czy później zaczynają krążyć wieści.

Koniec końców dotarły i do Yugash.

Oni nigdy nie obsadzili swojej ambasady w Strefie; nie ufano im, ani nie byli lubiani; najwyraźniej nie mieli nic wartościowego, czym można by handlować, i z reguły inne rasy traktowali jak zwierzęta, niegodne ich uwagi.

Ich fizyczna struktura była uwięzioną energią. Dzikie stworzenia o niewyobrażalnych kształtach i rozmiarach zamieszkiwały ich krystaliczny sześciokąt; Yugashe hodowali organizm wedle życzenia, a potem wnikali w niego w pewien sposób, obejmowali go w posiadanie i brali pod całkowitą kontrolę.

Stworzenia fizyczne były ledwie narzędziami dla Yugashy, rzeczami do wykorzystania, póki się nie zepsuły lub nie przestały być użyteczne. Jako mieszkańcy wysokotechnologicznego sześciokąta, wiedzieli o statku kosmicznym w Uchjin; przeleciał nad nimi, lecz rozbił się trzy sześciokąty dalej. Jacyś Yugashe zaryzykowali nawet podróż do Uchjin, pomimo że sąsiednie rasy nienawidziły albo bały się ich i próbowały im w tym przeszkodzić.

Potem, jak sięgnąć pamięcią — po raz pierwszy, Yugashe pojawili się w Strefie Północnej. Otrzymali raporty o wojnach na Południu i łączywie je przeczytali. Oni także zaczęli rozpracowywać problem, ponieważ dowiedzieli się od własnych agentów, że chociaż mogą wyhodować istotę przystosowaną do lotu statkiem, to na Północy nie ma nikogo, kto wiedziałby, jak on działa. To było obce nawet Przybyszom.

Utrzymywali nikiłe kontakty z Treligiem, Ortegą i Julinem i to ten ostatni odesłał ich do Yax. Ludzie jego własnego sześciokąta — w przeważającej mierze farmerzy — zlinczowałiby go, gdyby do nich doszło, że wciąż rozważa możliwość opanowania statku.

Nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. Teoretyczne badania Yax można połączyć z potencjalnymi możliwościami Yugashy.

Otworzyły się drzwi śluzy i wszedł Yugash.

„Wpłynął” byłoby bardziej adekwatnym określeniem. Stworzenie było przedziwne, niemal niewidoczne w świetle. Zawieszona dobre pół metra nad podłogą poziome i pionowe linie tworzyły coś, co wyglądało jak nakreślony czerwoną kredką zarys obszernej szaty z kapturem, pustej w środku.

Nawet Yaxa, której oczy odznaczały się najlepszą rozdzielczością w Studni, miała kłopoty ze skupieniem wzroku na tym stworzeniu. Możliwe, że stworzenie byłoby najlepiej widać w zupełnych ciemnościach, bo każde światło, nie mówiąc o jasności panującej w tym miejscu, rozmywało jego obraz prawie całkowicie.

Wydawało się, że Yugash skinął na przywitanie, lecz nie odezwał się. Było to jedno z tych stworzeń, dla których translator nie miał żadnej wartości; nie było do czego go przytwierdzić, bo Yugashe to istoty niematerialne.

Powoli stwór przepłynął obok Yaxy w kierunku czeluści Wrót Studni. Zawrócił, skinął ponownie i zdryfował we Wrota. Dziwaczne, ostro odcinające się widmo — tuż przed wchłonięciem. Jego śladem udała się Yaxa, zdenerwowana jak nigdy przedtem i natychmiast wyłoniła się z Wrót Strefy Południowej Studni.

Yugash podpłynął do niej i dotknął ją. Yaxa poczuła osobliwe, nieprzyjemne mrowienie, lecz nic poza tym. Nagle ogarnął ją ziąb, poczuła niepokój, zrobiło się jej duszno. Teraz, wtapiając się w ciało Yaxy, Yugash zniknął.

W Strefie przebywała garstka innych stworzeń, lecz żadne nie poświęciło im większej uwagi. Olbrzymie motyle były zawsze oziębłe i wyniosłe, niektórych napawały strachem. Jedynie inna Yaxa mogłaby zauważyć, jak niezdarne wydawało się to stworzenie i jak niepewne siebie.

Wkroczyło ono do ambasady Yax, niemal kalecząc sobie skrzydła u wejścia. Wewnątrz znajdowali się ambasador i kilku innych przywódców Yax — wszyscy płci żeńskiej. Płeć męska tego gatunku — miękkie, miąższowate gąsienice, przeznaczone tylko do jednego celu — była przywiązana do ziemi i poddawała się temu z rezygnacją. Osobniki płci męskiej trzymano w uśpieniu do chwili, kiedy były potrzebne. Kobiety Yax zawsze pożerały partnerów po fakcie.

Ambasador sprawiał wrażenie zatroskanego.

— Czy coś nie w porządku?

Nowo przybyły stanął, chwiejąc się niepewnie na czterech kończynach. Jego głos był niepodobny do niczego, co do tej pory słyszały.

— Jestem Torshind z Yugash — wybełkotał. — Musicie mi wybaczyć, wciąż uczę się posługiwania tym ciałem. W Yugash hodujemy potrzebne nam ciała z dobrych kryształów, żywionych zgodnie z ich przeznaczeniem. Wasze jest zadziwiająco skomplikowanym tworem, a przy tym napotykam na spory opór gospodarza.

— Masz na myśli to — zapytała jedna z nich - że jesteś stworzeniem z Północy, okupującym w tej chwili jedną z naszych sióstr?

Dziwna Yaxa kiwnęła głową.

— Tak. Czy mogę was prosić o skłonienie tego stworzenia do zaniechania oporu? Nie będziemy mogli doprowadzić tego testu do końca, jeżeli całkowicie nie opanującej rejonu czaszki.

Wyglądało na to, że poczuły się nieswojo, zdenerwowane zarówno z powodu dwuznaczności tego, co widziały, jak i z powodu nazwania ich ciała „tworem”.

— Proszę! — Torshind zwrócił się do nich ponownie. — Zróbcie to albo będę musiał porzucić jej ciało i mózg ulegnie stałemu uszkodzeniu!

To do nich dotarło.

— Hipnoza! — rozkazała jedna z nich i w mgnieniu oka, zgodnie z życzeniem Yaxy, pojawiła się igła. Lekarka, jeśli naprawdę nią była, sprawiała wrażenie, że się waha.

— Jesteś pewny, że na ciebie nie będzie to miało wpływu? — zapytała zaniepokojona. — A to całkowite opanowanie, czy ono jest odwracalne?

Yaxa-Yugash skinął głową.

— W zupełności. Stworzenie nie będzie miało nic oprócz mglistych wspomnień o zawładnięciu. Szybciej! Jest mi coraz trudniej!

Igła została wprowadzona poprzez staw i w ciągu kilku minut szarpanina ustała. Prawdziwa Yaxa zapadła w głęboki, hipnotyczny sen, zaś tymczasowy właściciel jej ciała raptownie się ożywił. Pewnie uniósł się na wszystkich ośmiu kończynach, prężąc skrzydła i czułki. Wdział na siebie kombinezon ciśnieniowy Yax.

— Tak jest znacznie lepiej — powiedział Torshind. — Sprawuję całkowitą kontrolę. Musiałbym spędzić w ciele tak skomplikowanym jak to kilka dni, aby się wszystkiego nauczyć, lecz myślę, że podołam. Idziemy?

Wyszli całą grupą i udali się do najbliższych Wrót Strefy. Wszyscy, nie wyłączając Torshinda, odczuwali napięcie.

Ambasador i lider projektu weszli we Wrota jako; pierwsi, potem Yaxa-Yugash, a za nim reszta.

W swoim biurze na końcu korytarza Serge Ortega zaklął. Z monitorów dowiedział się wszystkiego, z wyjątkiem tego, czy eksperyment wypalił. Czy Torshind jest teraz w Yaxie, czy w Yugashu?

O tym wiedziały tylko Yaxy, lecz Ortega już to naprawi.

Glathriel

Gedemondan, bez mała trzy metry białego futra o poduszkowatych łapach, i psim pysku, zachichotał:

— Tymczasem prawdziwą próbą wzbudzającej grozą siły jest zdolność do nieużywania jej. — Patrzy w jej kierunku i wyciąga kosmaty palec z pazurem.

— Bezwzględnie, Mavro Chang, zapamiętaj to! — napomina ją ostro.

Czuje się zaintrygowana.

— Masz na myśli to, że dana mi jest olbrzymia siła? — pyta sceptycznie i odrobinę szyderczo, wyrażając uczucie, jakie budzi w niej tego rodzaju mistycyzm.

— Najpierw musisz zstąpić do Piekieł — ostrzega ją Gedemondan. — Wtedy, gdy przeminą wszelkie nadzieje, zostaniesz wyniesiona na sam szczyt osiągalnej potęgi, lecz to, czy będziesz czy nie będziesz mądra na tyle, by wiedzieć, co wtedy zrobić lub czego nie czynić, jest przede mną zamknięte.

Vistaru, wróżka z Lata poddaje to w wątpliwość.

— Skąd możesz to wszystko wiedzieć? — pyta.

Gedemondan chichocze:

— Odczytujemy prawdopodobieństwa. Ty rozumiesz, my rozumiemy — „postrzegamy” jest lepszym słowem. — matematykę Studni Dusz. Czujemy przepływ energii, prądy i pasma w każdej oddzielnej cząstce materii i energii. Cała rzeczywistość jest matematyką, wszelkie istnienie — przeszłość, teraźniejszość i przyszłość — jest równaniem.

— W takim razie możesz przewidzieć, co ma nastąpić — stwierdzają Renard i Agitar, satyrowie. — Jeśli postrzegasz matematykę, możesz rozwiązać równanie.

Gedemondan wzdycha.

— Jaki jest pierwiastek kwadratowy z minus dwóch? — pyta z pełną zadowolenia miną.

* * *

Mavra Chang ocknęła się, jak zwykle słowa śnieżnego giganta powtórzyły się echem w jej uszach. Śniła o tym tysiąc razy od chwili, kiedy się to wydarzyło Jak

dawno to było? Dwadzieścia dwa lata temu, dowiedziała się od lekarza z Ambrey.

Miała wtedy dwadzieścia siedem lat, a teraz niemal pięćdziesiąt. Całe życie, myślała, leżąc na poduszkach.

Przeciągnęła się i rozmyślała o tym przez chwilę. O sobie. Jakże zmieniła się z upływem lat!

Nie myślała o czasach, kiedy była człowiekiem. Wiedziała, że wypalili jej to wrażenie hipnozą przed dwudziestu dwu laty, uległo stłumieniu z upływem czasu wraz ze snami i rozmyślaniami.

I, przez chwilę, to się liczyło. Pamiętała Gedemondanów, nawet jeśli upewnili się, że nikt inny ich nie pamiętał — ich potęgę i mądrość, sposób, w jaki jeden z nich wskazał palcem gondole silników, po czym one przewróciły się i eksplodowały.

Pamiętała, jak schwytali ją Olbornianie — wielkie dwunogie koty, żyjące według prastarych zwyczajów — i sprowadzili do swojej świątyni, by przyłożyć jej kończyny do tego zadziwiającego kamienia. Lecz nie mogła sobie przypomnieć, jak życie wyglądało przedtem.

Och, nie zapomniała swojej przeszłości, lecz wtedy, przed laty, coś w niej pękło. Pamiętała tę część własnego życia w sposób wykoślawiony, zniekształcony: wszyscy, których zapamiętała, wyglądali jak ona — żebracy, ładacznice, piloci, własny mąż. W jej myślach wszyscy byli stworzeniami, w jakie sama się zamieniła, choć zdawała sobie sprawę, że jest wybrykiem natury, a ludzie z przeszłości nie przypominali jej obecnego wyglądu.

To było tuż po tym, jak po raz ostatni podjęła próbę ucieczki, by jakoś dowiedzieć się, co, u diabła, miał na myśli Gedemondan.

Nie miało to już, jak się wydawało, aż takiego znaczenia.

Potem wiele rozmyślała, śniła i popadła w głęboką, samobójczą depresję. Wtedy to zaszła w niej zmiana. Nie rozumiała jej, lecz się z nią pogodziła.

W świecie tysiąca pięciuset sześćdziesięciu ras dość było miejsca dla jeszcze jednej — Chang — jeśli będzie trzeba.

I Joshi pojawił się tu, jak gdyby w odpowiedzi na Jej nowe, wewnętrzne odczucia.

Przetoczyła się i wstała niepewnie. Nie było to proste, jednak robiła to tak, często, że stało się prawie naturalne. Przeciągnęła się ponownie, długie włosy opadły jej na twarz. Sięgały do podłogi zarówno te z przodu, jak i te za uszami, co ją irytowało nie bardziej niż to, że koński ogon zamiatął teraz podłogę, ciągnąc się za nią jak wielka miotła.

Podeszła do niskiego, dwumetrowej szerokości lustra i obróciła głowę, potrząsając nią lekko, by odsłonić oczy.

Zaszła w tobie niejedna zmiana, Mavro Chang, powiedziała do siebie.

Stworzenie, które patrzyło na nią, było w istocie osobliwe dla wszystkich, z wyjątkiem jej i Joshiego. Mówiąc prawdę, musiały upłynąć lata, zanim poprosiła o lustro; wtedy dopiero, gdy zaszła w niej zmiana.

Po pierwsze, odłącz kończyny od korpusu drobnej kobiety. Następnie ułóż go w pozycji poziomej twarzą w dół, unosząc biodra kobiety na wysokość metra nad ziemią, a bark na wysokość około sześćdziesięciu centymetrów. Teraz dodaj odpowiednio proporcjonalne nogi muła z przodu do barku. Dodaj dwie zadnie nogi, także muła, lecz niechaj będą one całkowicie „ludzkie”, wyśmienicie pasujące do pozbawionego owłosienia, pomarańczowego torsu. — Każda z czterech nóg będzie zakończona kopytem. Zastąp kobiece uszy długimi na metr uszami oślimi, obciążniętymi ludzką skórą. Rezultat wywiera większe wrażenie, jeśli uświadomić sobie, że niegdyś kobieta ta miała niecałe sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a więc uszy faktycznie są dłuższe niż korpus. Teraz, jako końcowy akcent, u nasady kręgosłupa dodaj koński, sięgający do ziemi ogon. To ostatnie, to prezent wyniesiony — jakże dawno temu — z przyjęcia Antora Treliga na Nowych Pompejach. Takiej właśnie transformacji Mavry Chang dokonały koty z Olbunu.

Nie przeszkadzało jej, że włosy utrudniają patrzenie; gdy maksymalnie podniosła głowę, jej wzrok sięgał zaledwie trzech metrów. Nauczyła się przykładać mniejszą wagę do zmysłu wzroku i bardziej polegać na innych organach, szczególnie uszach. Chociaż jej słuch nie był lepszy od dawnego, to mogła operować każdym uchem niezależnie, dzięki małym mięśniom w skórze na głowie.

Przeszła do zewnętrznej, zadaszanej części zagrody, przybliżyła twarz do ziemi i złapała zębami płachtę skóry. Szarpnęła, by odsłonić niezdarną, skórzaną torbę, którą następnie uniosła do góry w zębach. Ambrezjanie utrzymywali jej zęby w doskonałym stanie.

Przy podnoszeniu ciężkiej sakwy potrzebne jej były jedynie mięśnie szyi. Stawiając przednie nogi po obu stronach torby, ustami i nosem otworzyła ją szeroko, tak by mogła zmieścić się jej twarz. W środku znajdowało się pokrojone, gotowane mięso, zimne, lecz jeszcze świeże. Jadła jak pies. Kiedy skończyła, zdołała zamknąć torbę, umieścić ją ponownie w dziurze i nakryć.

Co miesiąc Ambrezjanie zostawiali niewielkie plastikowe, zamykane na klappkę torebki, wypełnione papką bez smaku. Nigdy jednak ich nie przyjęła. Takie postępowanie uzależniało ją od innych i nie potrafiła tego znieść na dłuższą metę.

Podeszła do małego strumienia z lodowatą wodą, który przepływał przez zagrodę zdążając do niedalekiego morza Turagin. Opuściła twarz, piła długo. Lodowatość przyniosła całkowite orzeźwienie.

Żadnego uzależnienia przez długi okres czasu, pomyślała z zadowoleniem. W tym sześciokacie żyli prymitywni ludzie. Rdzenni mieszkańcy mieli smagłą cerę, negroidalne rysy i krępa budowę. Tak jak i ona, mieli długie, czarne włosy. Początkowo tubylcy siali między sobą popłoch opowieściami o żyjącej we własnej zagrodzie Bogini Zwierząt, której sam już widok zamienia w zwierzęta. Oczy-

wiście, bardzo długo nie miała ochoty nikogo widzieć, wolała rozczułać się nad sobą w odosobnieniu. W końcu jednak zaczęła wychodzić poza obręb zagrody, czasami na plażę. Podparta, mogła stamtąd oglądać wspaniałe gwiazdy. Później udawała się i w głąb kraju, lecz robiła to zawsze w nocy, by nie przysporzyć sobie kłopotów. Jeśli nie liczyć moskitów i innych owadów, nic jej nie doskwierało, nie było tutaj drapieżników, które mogłyby ją niepokoić, a tubylcy obawiali się ciemności.

Naturalnie musiała jednak kiedyś natknąć się na kogoś i pierwsze spotkanie okazało się katastrofą. Od razu domyślili się, że patrzą właśnie na opisane w opowieściach zwierzę, i przeraziło ich to tak bardzo, że jeden naprawdę padł nieżywy, a reszta dostała pomieszania zmysłów.

Zrozumiała wtedy, że najpotężniejszą siłą czarodziejską są własne przekonania.

Tak więc, na początku, zachowywała ostrożność. Posiadała translator, mogła zatem ich zrozumieć, a oni ją, chociaż urządzenie nadawało dziwne brzmienie jej głosowi.

Efekt był właściwy. Podobna do Ambrezjan, lecz nie Ambrezjanka, a coś innego: bogini!

Oczywiście w końcu oświadczyła tubylcom, że jeśli będą jej służyć, to się im ukaze, a oni od tego w najmniejszym stopniu nie ucierpią. Kiedy wreszcie wkroczyła w krąg ogniskowych światła, niesamowita jak upiór, postąpili zgodnie z jej nadziejami. Padli na twarz, oddając boską cześć.

Ostrzegła ich, że mówienie o tym Ambrezjanom niesie ryzyko jej gniewu. Nawet doniesienie o tym innym plemionom grozi ściągnięcie na siebie losu gorszego od śmierci. Jej plemię dochowało wiary. Należeli do wybrańców bogini i upajali się tym.

Mavra zażądała ofiar i je otrzymała. Całe góry zapasów pożywienia składało teraz na progu zagrody; także i tytoń. Te rzadkie w Świecie Studni liście były w wysokiej cenie. Oczywiście Ambrezjanie zabierali lwią część zbiorów, miała jednak teraz coś na handel z przyplływającym co miesiąc statkiem dostawczym w zamian za przedmioty, których pragnęła bardziej niż zaopatrzenia, obecnie przeważnie niepotrzebne.

W zamian za tytoń załoga statku przyniosłaby jej wszystko, czego tylko by zażądała. Ponieważ Glathriel był sześciokątem nietechnologicznym, maszyny nie wchodziły w rachubę, lecz z książek geograficznych i poradników językowych można było korzystać. Nauczyła się czytać w kilkunastu pokrewnych językach i przebrnęła przez wszystkie wydane w tych językach publikacje na ten temat.

W chwili podjęcia jedenastej próby ucieczki była prawdopodobnie największym wśród żyjących autorytetem w dziedzinie wiedzy o życiu w Świecie Studni, jego geografii i geologii. Często wracała do przeczytanych książek, obracając kartki nosem i językiem, tak że stały się niemal nieczytelne. Nawet po przejściu

przemiany nie przerywała chciwego czytania; był to jedna z niewielu czynności, które właściwie ją stymulowały.

Udzielała tutejszym myśliwym porad w sprawie pułapek na zwierzyńcę, co pomnożyło ich łupy, i proponowała sposoby wyrobu nowych nietechnologicznych broni. Glathriel, oczywiście, odpłacili jej jeszcze większą czcią. Ambrezjanie stali się podejrzliwi, lecz niewiele mogli w tej sprawie zrobić. Sytuacja zaszła za daleko.

Nagle, pewnej nocy, niedługo po tym, jak dokonano jej zmiany, zauważyła dziwną lunę od strony wioski. Zajawszy dogodną pozycję, obserwowała płonąca chatę i krzyczących ludzi. Uratowano tylko jednego, małego chłopca o poważnie poparzonych rękach i stopach.

Rozkazała przynieść go do swojej zagrody, po czym wystrzeliła małą racę, sygnał dla Ambrezjan. Jeszcze jeden przykład boskiej magii.

Lekarz z Ambrezy przybył i zbadał chłopca.

„Stan beznadziejny” — powiedział do niej. „Mogę umieścić go w szpitalu, ale będzie za późno, aby się to na coś przydało. Jest straszliwie poparzony. Mógłbym ocalić mu życie, lecz nie uratowałbym jego członków i zawsze już miałby te olbrzymie blizny, byłby kaleką. Najlepiej go uśpić, oszczędzając mu cierpienie.”

Widok poparzonego, politowanego godnego, dziesięcio- lub jedenastoletniego chłopca wstrząsnął nią. „To nie jest zwierzak domowy, którego można by uśpić, oszczędzając mu cierpienie!” — wykrzyknęła do stworzenia przypominającego bobra. „To jest człowiek! Jeśli nie ocalicie go dla siebie, ocalcie go dla mnie!”

Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, to po prostu wydawało się w jakiś sposób właściwe. Bezbronny, okaleczony chłopiec przypominał Mavrze o jej własnej odmienności i komentarz Ambrezjanina dotknął ją osobiście.

Towarzyszyła chłopcu i lekarzowi w drodze do Ambrezy. Zobaczyła go później, wciąż pod działaniem narkozy, w wysokotechnologicznym szpitalu. Pokrywały go rozległe blizny, obie ręce, tak jak i stopy, amputowano.

Kłóciła się z Ambrezjanami. Zwykle nie przywiązywaliby do tego wagi, lecz teraz poczuli się do szczególnej odpowiedzialności, mieli poczucie winy wobec Mavry Chang.

„Co możemy zrobić?” — zapytali potem. „Plemię zabije go. Ty nie jesteś w stanie mu pomóc. Bądź rozsądna!”

Raptownie zaświtało jej w głowie rozwiązanie. Tego rodzaju intuicja była dla niej nowością, na tym polegała przemiana.

„On jest płci męskiej!” — krzyknęła w odpowiedzi. „Jeśli Olbornianie wciąż mają te żółte kamienie, zabierzmy go tam! Przykładajmy do nich okaleczone ramiona, dopóki nie nastąpi zmiana! Uczyńmy z niego Changa, takiego jak ja. I oddajcie go mnie!”

To ich zdumiało. Nie wiedzieli, co zrobić, a więc postąpili wedle jej życzenia, ustępując pod lekkim naciskiem własnych techników psychiatrii i pod zdecydowaną presją Serge'a Ortegi.

Hipnozą usunęli z umęczonego mózgu wszelkie wspomnienia i przystosowali chłopca do nowego rodzaju egzystencji. Wszystko pod kierunkiem Mavry, która zachowywała się przy tej okazji jak maniaczka. Ambrezjanie pobłazali jej, dlatego że coś jej zawdzięczali i dlatego że po raz pierwszy coś innego niż ucieczka tak ją pochłonęło.

Joshi był na pierwszym miejscu w projekcie, który zaświtał jej w głowie i którego realizacji teraz gorączkowo pragnęła: zbudować swój własny, mały, niezależny świat.

Joshi zdecydowanie ustępował jej inteligencją. Nie chodzi tu o to, że był tępy lub opóźniony w rozwoju, po prostu był przeciętny. Nauczyła go posługiwać się mową Konfederacji, której sama wciąż jeszcze używała w myślach, oraz nauczyła go czytać w języku Ambrezjan i w starym języku Glathriel, który wyszedł z użycia, ale ocalał w przedwojennych książkach, przechowywanych przez Ambrezjan. Tę wiedzę musiała mu wtłoczyć siłą, studia nie interesowały go, skłonny był zapominać wiadomości, których nie wykorzystywał, tak jak większość ludzi.

Ich związek był dziwny, ale byli sobie bliscy. Była dla niego i żoną, i matką, a on był dla niej mężem i synem. Ambrezjanie, którzy śledzili bez przerwy jej postępowanie, wierzyli, że musi ona spełniać dominującą rolę, musi czuć się i naprawdę być odrobinę lepsza od tego, który był jej bliski.

Joshi poruszył się za jej plecami. Zaczynał zapadać zmierzch, naturalna pora ich aktywności, od dawna popadli w rutynę. Bezradny dziesięcioletek urósł i wydorósł. Był od niej większy i niemal tak czarny jak węgiel, chociaż różowawe blizny od ognia znaczyły jego całe ciało.

Podszedł do niej. Transformując go, byli bardzo ostrożni; zbyt długie wystawianie na działanie kamienia z Olbornu powodowało całkowitą przemianę w łagodnego muła.

W pewien sposób, pomimo blizn i ciemniejszej karnacji, był do niej podobny, miał tego samego rodzaju, nogi, uszy i pochylone w dół ciało. Pozbawiony był oczywiście ogona i miał zupełnie inne włosy. Częściowo spaliły się w ogniu, lecz wciąż jeszcze miał ich sporo na głowie. Męskie owłosienie. Był przy tym otyły. Dieta tubylców nie należała do najlepiej zrównoważonych na świecie. Nastroszona broda przyprószona była siwizną, chociaż nie przekroczył jeszcze trzydziestki.

Przywykli do siebie. W końcu, napiwszy się zapytał ją:

— Idziesz na plażę? Wydaje się, że mamy pogodną noc.

Przytaknęła.

— Wiesz, że pójdę.

Opuścili zagrodę i pokłusowali ścieżką w takt narastającego odgłosu rozbijających się o brzeg fal.

— Tam musi być sztorm — rzucił. — Posłuchaj tych fal.

Ale sztorm, czy nie sztorm, niebo w przeważającej części było przejrzyste, przysłonięte gdzieś tam tylko pojedynczymi, rzadkimi obłoczkami, dzięki czemu atmosfera stawała się niemal mistyczna.

Położyli się na piasku. Wsparała się jako tako na jego grzbiecie, tak by móc widzieć gwiazdy.

Pod pewnym względem zmieniała się mniej, niż myślała. Darzyła Joshiego prawdziwym uczuciem i on odpłacał jej tym samym. Joshi był częścią jej własnego planu, stworzonego, by uniezależnić się od innych. Nigdy nie była długo od nikogo zależna i stanu, do jakiego została sprowadzona, nie można było tolerować.

Mózg kompensował jej niektóre straty; jeśli będzie żyła dostatecznie długo, pewnego dnia bilans się zmieni.

Była to jednak tylko pewnego rodzaju pociecha. Umysłowo i emocjonalnie przyzwyczaiła się do swoich warunków fizycznych i ograniczeń, lecz nigdy nie zapomniała o gwiazdach, wielkich wirujących czeluściach, lśniących w nocy tak jasno dookoła niej, że mogłaby niemal dać w nie susa. Tak bliskie, tak widoczne, a jednak tak odległe.

Przynależała do tego miejsca, nie zrezygnowała z tego nigdy.

— Najpierw musisz zstąpić do Piekieł — ostrzega ją Gedemon-dan. — Wtedy, gdy przeminą wszelkie nadzieje, zostaniesz wyniesiona na sam szczyt osiągalnej potęgi...

Nadzieja nigdy nie przeminie, pomyślała. Nie, dopóki żyję. Nie, dopóki tak świecą gwiazdy.

Joshi przechylił trochę głowę do góry, spoglądał na horyzont w kierunku północno-wschodnim.

— Spójrz! — powiedział. — Można zobaczyć twój księżyc!

Obniżyła wzrok na horyzont. Wisiał tam jak duża, srebrna piłka; na pozór nierealny i nie na miejscu, jak kawał srebra.

Na pewno wszyscy do tej pory już umarli, powiedziała do siebie. Wszyscy, z wyjątkiem Obie, biednego, osamotnionego Obie. Ten komputer był czymś więcej niż samoświadome modele, jakie poznała. Obie był synem Gila Zindera i za takiego się uważał. Jego tragedia polegała na tym, że posiadał samoświadomą osobowość. Jakże musi być samotny, pomyślała.

Samotny. Dziwne, że użyła tego terminu, zamyśliła się. Przez całe życie to był normalny dla niej stan, jeśli nie liczyć tych kilku lat małżeństwa. A jednak teraz było jej lepiej niż Obie. Miała Joshiego. I plemię.

Po jakimś czasie zaczęły do nich docierać słone, rozpylone krople nadciągającego przyływu i chmury przesłoniły widok, więc wstali i skierowali się z powrotem do zagrody.

— Kupiec powinien przypląć w tym tygodniu, prawda? — zapytał.

Kiwnęła głową.

— Mam nadzieję, że przywiozą bioleksykony, o które ich prosiłam, oraz książki o technikach łowienia ryb włókiem.

Westchnął.

— Te rzeczy o wędkarstwie potrafię zrozumieć, są przynajmniej pożyteczne dla plemienia. Trzeba utrzymywać wierzących przy wierze i basta. Ale co jest w tym zainteresowaniu biologią? Wiesz, że jesteśmy dwojgiem osobników wysterylizowanych. Gdyby tak nie było, doczekalibyśmy się już czegoś.

Zachichotała. To była prawdziwa łamigłówka. Ich seksualne organy nie znajdowały się w najszcześniejszym miejscu, ale udało się. Zastanawiała się, czy na nowo obudzony apetyt na seks po tylu latach wstrzemięźliwości był wywołany jej średnim wiekiem.

— No cóż, tak czy siak jestem bezpłodna — odpowiedziała. — Nawet gdyby tak nie było, mielibyśmy dzieci Glathriel. Może jednak gdzieś są jakieś sposoby. Byłam świadkiem bardziej szalonych manipulacji genetycznych. Możliwe jednak, że dla mnie będzie za późno; starzeję się, jeśli o to chodzi.

Przytulił się do niej.

— Dla mnie nie jesteś za stara. Nieco zmordowana, przytłusta i o wielkim zadzie, ale i tak mnie się to podoba.

Prychnęła z pozorną pogardą.

— Mówisz tak tylko dlatego, że jestem jedyną kobietą, jaką miałeś. Prócz tego, wiem coś o tej ofiarnej dziewicy, nad którą się biedziłeś w osadzie plemienia.

Zaśmiał się.

— Miałem dobrego nauczyciela — powiedział znacząco. A potem spoważniał. — Ale nie jestem Glathriel. Już nie. Nawet nie sięgam tak daleko pamięcią. Jestem Chang, ty jesteś Chang i tego nic już nie zmieni.

To sprawiło jej przyjemność. Gdy wrócili do swojej sypialnej zagrody, Mavra czuła pewność, że jeszcze przed śmiercią ponownie będzie panią własnego przeznaczenia i pokieruje swoim losem.

Jednak to przeznaczenie zawsze władało Mavrą Chang.

Dasheen

Ben Julin był zdenerwowany. Yaxy nie były mile widziane w Dasheen; było tak od czasów wojen, kiedy to pokojowi, rolniczy Dasheen zostali wciągnięci przez Yaxy w północną kampanię.

Dasheen byli minotaurami, ich populacja w danej chwili liczyła około osiemset tysięcy, tylko osiemdziesiąt tysięcy osobników było płci męskiej. Ich spore, masywne, muskularne kształty pokrywało delikatne futro. Mieli olbrzymie, obłe, bycze łby, prawie pozbawione szyi, krótkie pyski o szerokich różowych nozdrzach, duże brązowe oczy i imponujące, wygięte rogi.

Z męskiego punktu widzenia jedyną kroplą dziegciu w beczce miodu było to, że organizm Dasheen nie przyswajał wapnia. Wynikiem była dolegliwość, której zaradzić mogło tylko kobiece mleko.

Yaxa pojawiła się na wielkiej farmie bez zapowiedzi, wznecając panikę wśród krów. Z jej skrzydeł padał na obsiane owsem i pszenicą pola gigantyczny cień. Wyglądała jak wielki, kolorowy drapieжник. Wylądowała obok głównego domu — ogromnej budowli, która mieściła w sobie silosy, pomieszczenia magazynowe, kwatery mieszkalne stu siedemnastu żon Julina i jego własną kwaterę.

Nie chodziło o to, że całkowicie zerwał kontakty z Yaxami. Jednak takie spotkania odbywały się zazwyczaj po kryjomu i to on udawał się do jakiegoś neutralnego wysokotechnologicznego sześciokąta, aby poddawać testom swoje teorie albo organizować spotkanie w Strefie.

Julin uspokoił rodzinę i wyszedł przywitać się z Yaxą.

Wydawało się, że wielki motyl jak zwykle beznamiętnie uklonił się lekko na powitanie. Julin zaprosił ją gestem do udania się do jego mieszkalnych kwater. Podążyła za nim, z pewnym wysiłkiem przeciskając się przez drzwi. Julin zajął miejsce w obszernym fotelu na biegunach i czekał, aż stworzenie zacznie mówić.

— Nazywam się Racer — powiedziała Yaxa, podając swój pseudonim. Ich imiona były nieprzetłumaczalne, a więc w kontaktach z innymi z reguły posługiwały się pseudonimami.

Ben Julin kiwnął głową.

— Doskonale, witaj. Ale czy twoje pojawienie się tutaj nie jest ryzykowne? Chociaż granica biegnie niedaleko stąd, wątpię, aby udało ci się uniknąć zauważenia. Padnie wiele pytań.

— Mam ci do powiedzenia coś nadzwyczajnego, nie mogę z tym czekać. W Strefie byłoby to o wiele bardziej ryzykowne, zresztą nie było czasu ani wiarygodnego powodu, by cię stąd wydostać. Pytania okazały się mało ważne, kiedy usłyszysz to, co mam ci do zakomunikowania.

— Słucham — powiedział. Narastało w nim zaniepokojenie pomieszane z podnieceniem. Podejrzywał, że wie, dlaczego przybyła Yaxa.

— Umieściliśmy Yaxę w północnym sześciokącie. Możemy teraz umieścić tam każdego, z trudnościami, lecz ze stuprocentową pewnością.

Wstrząsnął nim dreszcz, poskromiony przez jego ścisły, inżynierski umysł. Tak jak Yaxy, pracował nad tym problemem od lat bez żadnych sukcesów.

— Jak to jest możliwe? — zapytał.

— Energetyczne stworzenia z Północy, Yugashe, hodują krystaliczne stworzenia, skrojone na własną miarę, a potem kierują nimi, wnikając do ciał tych stworzeń i obejmując nad nimi kontrolę — wyjaśnił Racer. — Koniec końców, Yugashe, którzy osiągnęli wysoki poziom technologii, zesłali się z nami. Oni, tak jak i my, myśleli, że Studnia kieruje się raczej umysłem niż formą fizyczną, regulując transfer pomiędzy Strefą i wrotami sześciokątów. Pozwoliliśmy, by Yugash o imieniu Torshind całkowicie opanował jedną Yaxę, której procesy myślowe stłumiono silnym narkotykiem. Ciało Yaxy przekroczyło Wrota Strefy w ambasadzie Yaxa, lecz wyszło w Yugash!

Julin przemyślał to.

— Czy to znaczy, że oni mogą opanować twoje ciało? A Studnia przerzuca ich i ciało tego, w którym się znajdują, do Yugash?

— Tak właśnie jest. To nieco niepokojące, na szczęście nie mogą wejść do sześciokątów na Południu. Studnia jest nazywana Studnią Dusz nie bez powodu: rozpoznaje ciebie po twoim umyśle, a nie po tym, jak wyglądasz. Wierzmy mocno, że teraz możemy przenieść wybraną przez nas grupę do Yugash, oddalonego tylko o trzy sześciokąty w prostej linii od miejsca, gdzie rozbiłeś się w Uchijn.

Wiadomości były zdumiewające. Ledwie mógł w nie uwierzyć, gdzieś w tym musiała być kropla dziegciu. Pewna myśl przyszła mu natychmiast do głowy.

— Co miałyby powstrzymać te stworzenia od sterowania nami, gdy już zapadną nad naszymi ciałami? — zapytał przezornie. — Widziałem dość życia Świata Studni, aby wiedzieć, że legendy o centaurach, syrenach i duchach to coś więcej niż pamięć rasowa. Niektóre z tych stworzeń w zamierzczłych czasach musiały przeniknąć do świata ludzi. Istnieją także legendy o ludziach opętanych przez demony. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Yugashe... — Nie dokończył niepokojącej myśli, ale Yaxa zrozumiała, o co mu chodziło.

— Sądźmy, że prawdopodobnie masz rację — zgodziła się Racer. — Badania wielu Przybyszów wskazują na taką możliwość, a i opowieści są niezwykle podobne. Bardzo możliwe, że Yugashe błakają się w wielu rejonach przestrzeni; potomkowie tych, którzy opanowali protokolonistów, ci zaś opuścili Studnię jeszcze przed eonem. Yugashe mogą wprawdzie kontrolować ciało, ale nie mogą odczytywać myśli. Sprawdziliśmy to dość dokładnie. Z powodu braku wiedzy nie mogą zatem odlecieć statkiem ani uzyskać dostępu do środków umożliwiających przedostanie się do Obie.

Julin skinął głową. To przyniosło ulgę. Jednak problemy praktyczne nie zniknęły.

— Czułbym się jednak lepiej, jeśli byśmy znaleźli sposób panowania nad samym sobą w krytycznej chwili, kiedy będziemy wewnątrz Obie. Stare legendy wspominają o sposobach obrony przed złymi duchami. Jeśli legendy o duchach są oparte na faktach, to i zaklęcia ochronne także.

— Wyprzedziliśmy cię — wtrąciła Yaxa. — Porównaliśmy legendy wielu ras Przybyszów w poszukiwaniu punktów wspólnych i, co ważniejsze, chcielibyśmy dowiedzieć się, dlaczego żaden z sześciu sześciokątów otaczających Yugash nie padł ofiarą ich najazdu. Sądźmy, że znaleźliśmy odpowiedź, punkt wspólny. Po pierwsze, zawsze noszono pewnego rodzaju ochronne amulety. Niektóre sporządzano z materiału roślinnego, inne wykonano z miedzi lub stopu miedzi. Sprawdziliśmy to i rzeczywiście, we wszystkich sześciokątach graniczących z Yugash odkryliśmy duże ilości miedzi, tlenku miedzi lub siarczka miedzi, już to w tkankach różnych organizmów, już to w samej atmosferze. A w Yugash nie ma śladu miedzi!

Wołowe oblicze Bena Julina nie mogło wyrazić uśmiechu, ale można było z niego wyczytać zadowolenie i ulgę.

— Jednak wciąż pozostają problemy natury dyplomatycznej — dodał. — Uchjinowie zablokują wszelkie wysiłki usunięcia statku, a my nie mamy środków, aby tego dokonać.

— Pracujemy nad tym — zapewniła go Yaxa. — Wątpię, czy uda nam się dotrzeć do Uchjin, lecz wespół z Yugashami i sąsiadami Uchjinów, Bozogami, możliwe, że znajdziemy sposób opanowania statku siłą. Bozogowie mają sposób na przeniesienie go, a ich wysokotechnologiczny sześciokąt mógłby być polem startowym. Ceną byłoby oczywiście włączenie ich do naszej małej grupki, a nie są oni rasą godną wielkiego zaufania. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że porozumieli się także z Ortegą i Treligiem. Przyłączą się do tego, kto pierwszy dotrze do statku.

Ben Julin ciężko westchnął.

— A więc to wyścig, prawda? Jednak powiedz mi, dlaczego Bozogowie po prostu nie zwędzą statku samodzielnie?

— Ponieważ w żaden sposób nie mogliby nim odlecieć — ucięła poirytowana Yaxa. — Pierwszemu, który opracuje metodę, umożliwią środki realizacji.

Julin rozważył to.

— Logistyka? Zaopatrzenie z powietrza, żywność i tym podobne?

— Już jest konstruowane w sekrecie — powiedziała Racer. — A z pomocą Torshinda wykreślamy mapę najlepszej trasy. Będzie ona dłuższa i niebezpieczniejsza od drogi na wprost, ale dzięki niej znajdziemy się w sześciokątach wysoko- lub półtechnologicznych, a więc aparaty tlenowe i systemy podtrzymywania życia będą funkcjonować. — Yaxa zawahała się na moment, zastanawiając się nad następną kwestią.

— Nasze największe wątpliwości — ciągnęła dalej — dotyczą ciebie. Czy potrafisz jeszcze pilotować po tylu latach? Czy zdołasz przedostać się przez wartownicze roboty Treliga po upływie tak długiego czasu? I czy jesteś w stanie włączyć komputer?

Julin potraktował poważnie słowa Yaxy i zamyślił się.

— Co do pilotażu. Na pewno nieco zarzewiałem, lecz systemy są w zasadzie zautomatyzowane. Jest to kwestia wiedzy, co należy nacisnąć i w jakiej kolejności. Myślę, że sobie z tym poradzę, jednak nie wchodzi w grę nic wymyślnego ani awaryjne lądowanie. Jeśli chodzi o dostanie się do komputera, och, tego jestem pewny i tak długo, jak będę miał oczy, palce i będę mógł mówić, potrafię go kontrolować. Ze strażnikami sprawa przedstawia się groźniej. Bez wiedzy Treliga przepuściłem problem przez Obie dla własnej korzyści i otrzymałem kod. To dlatego, myślę, Trelig wiedział, które sygnały przekazać Mavrze Chang. Kod jest oparty na książkach z biblioteki Treliga na Nowych Pompejach. Mamy długie zadanie do rozwiązania przez komputer, znam tytuły, lecz kluczowych jest pięćdziesiąt siedem, a hasło zmienia się z dnia na dzień na zasadzie osobliwej progresji. Hipnoza powinna umożliwić przypomnienie ich sobie w pełni. Jednak dwadzieścia dwa lata mają swoje znaczenie. To tutaj zarówno Trelig, jak i Chang, będą mieli przewagę. Oni będą pewni na sto procent, my na około dziewięćdziesiąt.

Yaxa kiwnęła całym ciałem.

— To wystarczy, rozumiem, że nie życzysz sobie umowy z Treligiem.

— Dobry Boże! Nie! — wykrzyknął gwałtownie Julin, lecz natychmiast opamiętał się. — Nigdy. Nie zdajesz sobie sprawy, jak nisko człowiek może upaść. Ja to wiem.

— Na konstruowaniu sprzętu i testowaniu upłyną nam mniej więcej dwa miesiące — powiedziała Yaxa. — Przez ten czas pozostali nie będą próżnować. Ortega już jest w posiadaniu sprzętu, ma go od lat. I może wiedzieć więcej niż ktokolwiek z nas. Za każdym razem kiedy Nowe Pompeje są widoczne, przechwytywane są osobliwe sygnały radiowe wysyłane z punktu niedaleko oceanu Overdark. Nie mogliśmy ich rozszyfrować, ani nawet się nie domyślamy, co zawierają. Jednakże podobne sygnały wróciły z satelity. Ktoś rozmawia z tym komputerem!

Julin był przerażony. A jednak! To miało sens. Obie posiadał zdolność transmisji, zaprogramowaną w ten sposób, że można było nią sterować na odległość, kiedy zacznie się realizacja wielkiego projektu Treliga.

— Czy zdołali wytrącić go z jego „trybu obronnego”? — zapytał.

— Jeśli to Ortega, to chce go zniszczyć, a nie wykorzystać — zauważyła Racer. — To zbyt wielkie ryzyko! A Yugashe są kupą anarchistów. Jeśli Torshind może robić to dla nas, inny Yugash może wpaść na pomysł porozumienia się z tym Ulikiem Ortega. Teraz nagli każda sekunda, czas pracuje przeciw nam.

Julin zastanowił się nad tym.

— Ale Ortega jest z natury konserwatywny — zauważył. — Nie wykona ruchu, dopóki nie będzie absolutnie przekonany, że nas wyprzedza. Rozwiązanie jest proste: należy zabić tę dziewczynę Chang, zanim on ją porwie i sprowadzi do Wrót Strefy.

— Przewidzieliśmy to — uspokoiła go Yaxa.

Glathriel

W małej szalupie siedziało trzech pasażerów. Dwóch, biedzących się przy sporych wiosłach, stopiło się z tłem nieba i można było ich odróżnić tylko mocno się wysiliwszy. Na dziobie, wpatrzone w posępne chmury, znajdowało się małe stworzenie łatwiejsze do zobaczenia. Mała małpki o sowim obliczu, Parmiter z północnego zachodu, wyteżęła wzrok, obserwując pociemniałe wybrzeże.

— Jesteś pewny, że oddaliśmy się dostatecznie od zagrody i tych wiosek, aby nas nikt nie zauważył? — odezwał się głęboki głos za plecami Parmitera.

— Jestem pewny, Grune — odpowiedział Parmiter, jak zwykle, skrzekliwym tonem. — Tubylcy bardzo się obawiają ciemności, świecą pochodniami, rozpalają ogniska, aby je rozproszyć. A co do innych, no cóż, widziałeś zdjęcia. Musielibyśmy niemal wylądować na nich, żeby nas zobaczyli.

To wydawało się zadowalać Grune.

— Zbliżamy się do plaży — powiedział — słyszysz fale bijące o brzeg?

— Niech nas teraz unoszą swobodnie — ostrzegł Parmiter — ale bądźmy w pogotowiu. Ty też, Doc. Nie możemy roztrzaskać się na plaży. Musimy wrócić na statek razem z nią, wiesz o tym.

Doc westchnął.

— Po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego zadajemy sobie trud. Czy zabicie jej nie byłoby prostsze? A na dodatek doskonale łupi się te prymitywne okolice. Uprawiają tutaj tytoń. Wiesz, ile to warte tam, w okolicach Overdark?

Parmiter zirytował się.

— Myśl o tej robocie, Doc! Płacą nam pięćdziesiąt razy tyle, ile zarobiliśmy w ciągu ostatnich dwóch lat, ale wszystko musi być na mur beton! Żadna tam z tych drobnych sprawek z moim podwójnym stawem w biodrze! To jest coś wielkiego!

Kiedy osiągnęli plażę, dwa wielkie, słabo widoczne kształty wskoczyły do wody, złapały łódź i wciągnęły ją na piasek, tam gdzie plaża stykała się ze ściółką. Przez bardzo krótką chwilę stworzenia były w pełni widoczne: długie jaszczurki o ostrych, rogatych osłonach dookoła głowy i twardej skórze. Natychmiast zaczęły ponownie blaknąć, odruchowo dostosowując swoje zabarwienie do tła. Naciągnęli kamuflującą pałatkę na małą łódkę i zostawili ją na skraju plaży. W ciemności

trzeba by się o nią potknąć, żeby ją zauważyć:- Nie planowali, że wrócą tutaj rano.

Trójka ostrożnie ruszyła wzdłuż plaży. Malutki Parmiter wskoczył na szczyt łąba Doca i ulokował się przed uzbrojoną w róg osłoną. Sięgnął do charakterystycznej dla torbaczy fałdy na brzuchu i wyciągnął z niej pistolet gazowy; sprawdził ciśnienie i ładunek.

— Wszyscy pozakładali swoje filtry?

Joshi wydobył zębami metrowej długości zapałkę z obszernej szuflady i potarł ją, wykonując szybki ruch głową; pilnował przy tym, by jego uszy znajdowały się w bezpiecznej odległości. Ostrożnie przytknął płonąca końcówkę do naczynia z nieprzyjemnie pachnącą cieczą, która momentalnie zajęła się ogniem, oświetlając wnętrze zagrody. Następnie, wetknąwszy zapałkę w piaszczystą ziemię, zgasił ją i pociągając za długi powróż, wywindował płonące naczynie dostatecznie wysoko, by światło rozlało się szerzej. Z powrozem w zębach parę razy obszedł dookoła słup, na którym wisiało naczynie i, na koniec, dwa razy zamotał końcówkę na małym gwoździu. Zawisło pewnie.

Mavra nigdy nie zbliżała się do ognia z powodu swoich długich włosów; jednak on, urodzony w ogniu, noszący po nim blizny, nie lękał się go.

Zaczęli sprzątać zagrodę. Statek z zaopatrzeniem, Kupiec Toorinu, powinien przyplłynąć następnego dnia. Pojawiał się o różnych godzinach, lecz zawsze w oznaczonym dniu pomiędzy brzaskiem a zmierzchem.

Miotły trzymane w ustach zgarnęły śmiecie z drewnianych podłóg i wygładziły piasek w zewnętrznych częściach zagrody. Przyglądając się Mavrze i Joshiemu żyjącym w odosobnieniu, ktoś mógłby pomyśleć, że są bezbronnymi, godnymi litości stworzeniami, lecz oni przy pracy wyglądali normalnie, naturalnie, tak jakby stać ich było niemal na wszystko.

To prawda, byli uzależnieni od tych, którzy wytwarzali zapałki, naczynia i wiele innych niezbędnych rzeczy, lecz każdy jest w pewnym stopniu uzależniony od kogoś. Kiedyś Mavra Chang ubierała się i obsługiwała skomplikowane urządzenia, ale przecież nie uszyła ubrania, w którym chodziła, ani nie wykonałaby tych urządzeń. Niegdyś była kosmicznym pilotem, ale nigdy nie zbudowałaby statku kosmicznego ani nie wyposażyłaby go w paliwo czy żywność. Szukała tych, którzy mogli to zrobić, i płaciła za to, czego jej było potrzeba, tak samo, jak korzystała z zapasów tytoniu, by płacić za to, co było jej potrzebne w Glathriel.

Nagle do jej uszu dobiegły dziwne dźwięki.

— Słuchaj! — syknęła do Joshiego. — Słyszysz coś?

Joshi znieruchomiał i nastawił ucha.

— Tak jakby ktoś szedł plażą — odpowiedział, zaciekawiony i zaintrygowany. — Ktoś ogromny. Czyżby Kupiec przybył wcześniej?

Mavra wyteżyła słuch, powoli kręcąc głową.

— Myślę, że nie. Znam ich wszystkich bardzo dobrze, nawet odgłosy ich kroków.

— Nie są to także Ambrezjanie — powiedział. — Wydaje mi się, że coś takiego słyszę po raz pierwszy. Starają się robić jak najmniej hałasu, prawda?

Kiwnęła głową. Stary instynkt przez dwadzieścia dwa lata nie używany i niepotrzebny zaczynał się budzić. Coś tu było nie tak. Zanosilo się na coś nieprzyjemnego. O tym była przekonana.

— Czy chcesz odpalić flarę alarmową? — wyszeptał Joshi, wyczuwając jej nastrój.

Ponownie pokręciła głową.

— Za dużo czasu zabiera Ambrezjanom przybycie tutaj — jej odpowiedź była niemal jak delikatne tchnienie.

— Ktokolwiek czy cokolwiek to jest, stoi teraz przed drzwiami — szepnęła jej prosto do ucha.

— Jeśli wejdą do środka, uciekaj przez furtkę od strony strumienia — powiedziała. — Nikt nie zdoła tego przewidzieć.

Kiwnął głową. Najciszej jak mogli, usunęli się w cień.

— Szkoda, że nie możemy zaryzykować zgaszenia światła — syknęła. — Zaczekaj, może mógłbyś odwiązać powróż i przytrzymać go — poddała pomysł. — Ktokolwiek wejdzie, będzie musiał przejść pod słupem, wtedy puścisz powróż, a dookoła rozprysnie się płonąca oliwa.

Kiwnął głową i ostrożnie odczepił linę z gwoździa.

— Pomóżcie mi! — tuż przed drzwiami odezwał się płaczliwy, błagający głos, zbyt cienki jak na stworzenie czy stworzenia, których obecność wyczuli. — Proszę! Niech ktoś mi pomoże!

Joshi nie mógł mówić, bo ustami trzymał linę, coś jednak wybełkotał.

Mavra w mig zrozumiała o co chodzi.

— Sztuczka, aby wywabić nas na zewnątrz — wyszeptała. — Aby jego wielcy przyjaciele lub przyjaciel mogli nas pochwycić. Do licha! Chciałabym wiedzieć, kim są i dlaczego to robią.

Rozejrzała się dookoła. Jej wzrok przyciągnęła podpora dachu, która już od dawna była przedmiotem jej troski. Zamierzała polecić załodze Kupca podstępowanie dachu następnego dnia, lecz teraz to może okazać się przydatne. Mavra miała zadnie nogi muła, a muły, jak wiadomo, odznaczają się nieprzyjemnym kopnięciem. Ona także. Zastanawiała się tylko, w którym miejscu ma kopnąć w słup, aby zapadający się dach nie przygniół także i jej.

— Na pomoc! Błagam, pomóżcie mi! — powtórzył jakże żałośnie i szczerze głos.

Szybko wyjaśniła szeptem plan Joshiemu. Z odwróconą głową, z ustami pełnymi liny, nawet nie ryzykował kiwnięcia głową, ale pojął o co chodzi. Trzy razy tupnął prawą przednią nogą. Joshi, młodszy od Mavry, miał lepszy od niej słuch.

Mavra zrozumiała sygnał. Było ich trzech. Dwóch wielkich i jeden malutki, sądząc po odgłosach. Nie docenili rasy Chang.

Rozległo się szuranie. To ten mały czołgał się w stronę skrzydła drzwi. Teraz zobaczyli, jak powoli uchylają się do środka. Lekko zaskrzypiał górny zawias. Do wnętrza wczołgało się niewielkie, dziwne stworzenie, ciągnąc za sobą łapy, tak jakby były złamane. Mavra wiedziała, że swych studiów nad Światem Studnią, że jest to Parmiter; Parmiter diabło daleko od domu, co najmniej dwa lub trzy tysiące kilometrów.

Jego nogi rzeczywiście nie nadawały się do niczego, wyglądały żałośnie. Na chwilę Changowie zwątpili w słuszność swoich podejrzeń, żaden szmer nie zdradzał tych większych stworzeń, których się obawiali.

Parmiter spojrział na nich ze szczerym zdumieniem na twarzy. Te stworzenia w istocie były przedziwne. Ich wygląd zaskakiwałby nawet na fotografii. Wydawały się tak bezbronne.

Łypnął okiem na Joshiego, trzymającego w zębach linę. Jego małe, paciorkowate oczy przebiegły wzdłuż liny, poprzez bloczki, do punktu zawieszonego niemal nad jego własną głową i zatrzymały się na naczyniu z płonąca oliwą.

— Niech to szlag! — wrzasnął Parmiter. Skoczył na równe nogi wyciągając z fałdy na brzuchu pistolet.

Teraz dwóch jego kompanów zdecydowało się nie marnować więcej czasu na subtelności. Rozpędziwszy się, uderzyli w ściany zagrody z desek. Wszystko zatrzęsło się potężnie, deski ugięły się, lecz nie puściły.

— Trzymaj! — krzyknęła Mavra do Joshiego i ruszyła prosto na Parmitera, który raptem poczuł się schwytywany w pułapkę.

Podniósł pistolet gazowy, ale ona skoczyła i spadła z góry całym ciężarem swoich sześćdziesięciu sześciu kilogramów na piętnastokilogramowego Parmitera. To go ogłuszyło.

— Och! — wrzasnął Parmiter, gdy nagle całe powietrze uszło z jego płuc. Pistolet wypadł mu z ręki.

Doc i Grune uderzyli w ścianę po raz drugi, potem trzeci. I to załatwiło sprawę. Runęła nie tylko ściana z desek, ale i połowa dachu.

Gdy wtaczali się do zagrody, Joshi zwolnił linę.

Mavra zrobiła przewrót, o co nikt by jej nie posądził, i ponownie stanęła na nogi.

— Strumień! — krzyknęła do Joshiego i odwróciła się.

Wrzące naczynie spadło wprost na grzbiet jednego z wielkich jaszczurów. Zaryczał przerażająco w nagłej agonii i przetoczył się na bok, zbijając z nóg drugiego jaszczura.

Zapadnięty dach zagrody buchnął płomieniem, paliła się też sucha słoma leżąca dookoła.

Z zadziwiającą szybkością Joshi i Mavra wskoczyli do lodowatego strumienia i bacząc, by się nie poślizgnąć, ruszyli kamienistym korytem w kierunku lasu.

W środku zagrody jęczał Parmiter. Tym razem kilka kości było naprawdę przetrażonych. Krew ciekła mu z kącika ust. Oszołomiony rozejrzał się dookoła.

— Wynośmy się stąd! — krzyknął do kompanów, z których jeden wciąż jeszcze był w agonii na skutek oparzeń. — Jeśli tubylcy zjawią się tutaj z dzidami i łukami, będziemy załatwieni!

Nie przetrwaliby tak długo, podążając swymi krętymi ścieżkami, gdyby z powodu porażki czy też odniesionych ran dawali się pochwycić w pułapkę. Parmiter z trudem wskoczył na nie poparzonego jaszczura. Obydwaj błyskawicznie opuścili to miejsce, a za nimi, prawie tak samo szybko, podążył ich ranny kompan.

Ciężko dysząc Mavra i Joshi zatrzymali się i odwrócili w stronę zagrody. Nad nią była łuna, ale wyglądało, że ogień został zlokalizowany. Widzieli, jak dwa wielkie kształty umykały w stronę plaży. Jeden zdawał się stapiać z piaskiem, stając się niemal niedostrzegalnym, drugiego, z dużymi czarnymi plamami na grzbiecie łatwo można było wyśledzić.

— Co tu, u diabła się dzieje? — wysapał Joshi.

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Ale to jest koniec naszego świata, to pewne.

— Co masz na myśli? — zapytał, szczerze zaniepokojony. — Oni nie wrócą.

— O tak, powrócą — odparła. — Oni albo ktoś gorszy. To nie byli zwykli piraci, Joshi. Wylądowali tutaj po to, aby nas dostać. Czy zabić, czy porwać, tego nie wiem. Ale byli zawodowcami. Nie zajęliby się nami, skoro wioska, pełna suszonego tytoniu, jest tylko o rzut kamieniem. Ktoś nałożył cenę na moją głowę.

— Ale... dlaczego?

— Jedyne powód, jaki przychodzi mi do głowy to to, że komuś w końcu udało się wpaść na pomysł, jak dostać się do statku na Północy, więc eliminuje konkurencję — odpowiedziała dziwnym, oficjalnym tonem, jakiego nigdy nie słyszał w jej głosie. Po raz pierwszy spotykał się z prawdziwą Mavram Chang i to go zadziwiło.

Lecz jej oczy rozblęły. Po tylu latach gra toczyła się znowu. Mavra była w swoim żywiole.

— Ogień już wygasa, prawdopodobnie już wygasł — kiwnął głową, czując się nieswojo. — Chcesz zobaczyć, co dałoby się uratować?

— Będziemy się trzymać z dala, spędzimy noc tutaj, w zaroślach — odpowiedziała rzeczowym tonem, lecz z nutką podniecenia.

— Tubylcy... — zaczął, ale ona ucinając, wpadła mu w słowo.

— W Dniach Statku nie zbliżą się pod żadnym pozorem. Ty o tym wiesz. Gdyby to zrobili, naraziliby się na gniew Ambrezjan.

— A co na to Ambrezjanie? — nie ustępował, próbując jakoś wrócić do wygodnej, starej sytuacji, znanej mu od czasu, gdy wyratowano go z płomieni.

— Nie została odpalona żadna flara, a więc nie są zaalarmowani — stwierdziła. — Jeśli nie mają gdzieś w pobliżu przypadkowego patrolu, możliwe, że jeszcze nic nie wiedzą, potem będzie za późno.

Dziwnie na nią spojrział.

— Za późno na co?

— Nie próbowałam ucieczki od tak wielu lat, że uznali to za rzecz pewną — wyjaśniła mu. — Od dawna nie prowadzą ścisłej obserwacji. Jednak, pomimo że dawno temu porzuciłam myśl o ucieczce, to zawsze miałam coś w zanadrzu na wszelki wypadek. Wiesz o tym. Suszony tytoń w szopie na tyłach i małe, złote sztabki zbierane w zamian za niego za pośrednictwem Kupca.

Kiwnął głową.

— Zawsze myślałem, że to było na drobne łapówki. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że...

— Jeśli chcesz przeżyć, pomyśl o wszystkim — powiedziała surowo. — Teraz, jeśli będziemy mieli szczęście, nasz mały bank sprawi, że przemycą nas na pokładzie Kupca Toorinu.

* * *

Kupiec pojawił się wcześniej rano. Mavra i Joshi obserwowali, jak jego żagle wyrastają na pustym horyzoncie; białe, postrzępione od sztormów obłoki na wielkich masztach.

Nie był to bynajmniej jedyny statek na morzu Turagin, ale jeden z sześciu przewożących pocztę i obsługujących te sześciokąty, którym na tym zależało lub dla których to było niezbędne; umożliwiał handel i transport. Był to wspaniały okręt. Długi niemal na sto metrów, zbudowany z najlepszego, twardego drewna, krytego miedzią. Załoga wolałaby stal, lecz to okazało się zbyt ciężkie dla żaglowca.

Był to trójmasztowiec z osobliwym bukszprytem i okrężnicą, przez którą w razie potrzeby mogły wysunąć się złowieszczo wyglądające armaty. Jego nadbudówka na śródkręciu mieściła także dwa bliźniacze, czarne kominy nad turbiną, która we wszystkich sześciokątach, poza nietechnologicznymi, mogła napędzać dwie śruby na rufie. Everod, morski sześciokąt sąsiadujący na wybrzeżu z Głathriel był nietechnologiczny. Zamieszkujące go ogromne, podobne do małży stworzenia o licznych, przekłuwających skorupy mackach należały do typu żyjącego głęboko pod wodą. Nigdy nie nawiązali prawdziwych kontaktów z mieszkańcami lądów, ale i nie przeszkadzali w handlu prowadzonym na powierzchni między innymi przez Kupca. Faktem jest, że także oni wykorzystywali Kupca, i po złożeniu zamówienia u brokera w Strefie otrzymywali wszystko, co było im potrzebne.

Załoga Kupca, w liczbie trzydziestu czterech, była zbieraniną osobników różnych ras z rejonu morza Turagin. Podobni do nietoperzy Drika trzymali nocne

wachty i od czasu do czasu ruszali do przodu na zwiady przed sztormem. Skorpiony Ecundo wspinały się zwinnie po olinowaniu i obsługiwały żagle zdumiewająco uniwersalnymi kleszczami. Kapitan przypominał z wyglądu dużą kulę spletaną nylonowej żyłki, z której w miarę potrzeby wyłaniały się spiczaste kończyny.

Zwinęli żagle i zakotwiczyli przy rafie oznaczonej żółtymi bojami; opuszczenie kotwicy na głębokiej wodzie i, co nie wykluczone, „nadeptanie” jakiegoś Everodowi na skorupę, mogłoby zaszkodzić interesom.

Z rufy opuszczono barkas. Duże wiosła wznosiły się i opadały rytmicznie, kiedy płynęły w kierunku zagrody.

Pierwszy oficer, lśniący, trójkątny Wygonian, którego sześć kończyn przypominało kudłate wyciory do fajki, zbadał wybrzeże małymi oczami na czułkach, od czasu do czasu pomrukując rozkazy swoim muskularnym wioślarzom z Twosh. Kiedy w końcu spostrzegł zburzone ściany zagrody, krzyknął do wioślarzy, aby zwolnili. Parę smużek dymu wciąż jeszcze unosiło się ze środka, więc domyślił się, że coś jest nie w porządku.

Mavra i Joshi klusem wbiegli na plażę na wprost dziobu barkasu i podeszli do przystani. Ich widok uspokoił nieco pierwszego oficera, barkas zawrócił i przycumował z łatwością.

Zostali dobrymi przyjaciółmi. Wielu z załogi Kupca od dziesięciu lat pływało na statku i w ich kontraktach zawsze był punkt o tym dostawczym postoju.

— Mavro! — Tbisi, oficer, zawołał na nią. — Co się tutaj wydarzyło?

Szybko opowiedziała o wizycie ostatniej nocy i swoich obawach. Członkowie załogi pokiwali głowami ze współczuciem; wiedzieli, dlaczego tutaj jest i dlaczego jest taka, jaka jest.

— A więc rozumiesz chyba, że nie możemy zostać tu dłużej — podsumowała — i nie możemy wrócić do Ambrezjan. Wiesz, co mogłoby się stać. Ortega zabrałby nas po prostu do Strefy i zamknął na resztę życia w przytulnej, małej klatce. — Tbisi nie był wysoki i Mavra mogła niemalże patrzeć prosto w jego dziwną twarz i oczy. — Wyobraź sobie, co to oznacza, Tibby! Wyobraź sobie, że ktoś chce ciebie zabrać z pokładu Kupca i wepchnąć do miłej, czarnej dziury na resztę twoich dni!

Nie tylko oficer, ale i Twoshe przytaknęli głowami ze współczuciem.

— Jak możemy wam pomóc? — zapytał oficer, czując swą bezradność.

Skinęła głową w stronę zagrody.

— Tam jest prawie pół tony suszonego tytoniu i około trzydziestu funtów złota. Jest wasze, jeżeli nas stąd zabierzecie.

— Ale dokąd pójdziecie? — ze strony Tbisiego był to bardziej sprzeciw niż pytanie.

— Do Gedemondas — odpowiedziała. — Och wiem, że nie mają wybrzeża, lecz obsługujecie Mucrol, który jest tuż obok. Drobne zboczenie z kursu?

Powoli potrząsnął swoją niewiarygodnie płaską głową.

— To prawda, moglibyśmy to zrobić, lecz nie zaraz. Musimy dbać o naszą pracę i środki na utrzymanie. Trwałoby to przynajmniej miesiąc, może dłużej. Jeśli Ortega lub ktokolwiek inny szukałby ciebie, zacznij od Kupca.

Zastanowiła się nad jego słowami.

— W takim razie, co powiesz na to: przewieź nas na wyspę, na Ecundo. Wiem, że tam przybijasz. Przejdziemy łodem przez Ecundo i Wuckl i spotkamy się z wami po drugiej stronie w porcie Wuckl, Hygit; stamtąd już tylko skok na drugą stronę.

Oficer wciąż miał wątpliwości.

— Nie wiem. To prawda, że w załodze jest kilku Ecundów, uczciwych ludzi, lecz generalnie to obrzydliwa hałastra. Ci, którzy płyną z nami, są przeważnie poszukiwani we własnym kraju. Nasi Ecundowie to zgrana paczka i nie lubią obcych.

Przytaknęła.

— Wiem o tym. Ale wypasają bundas i, jeśli o tym pomyśleć, bundas wyglądają podobnie jak my z owłosieniem. Mnóstwo z nich biega wolno, myślę więc, że zdołamy przedostać się na drugą stronę.

— Ale Ecundowie zjadają bundas — zwrócił uwagę Tbisi. — Mogą także i was zjeść. A czym wy będziecie się żywić? Mówisz o trzystu pięćdziesięciu kilometrach przez Ecundo, potem droga przez całe Wuckl, razem niemal tysiąc kilometrów na własnych nogach.

— Ci Wuckle — zapytał Joshi — jacy oni są?

— Wysokotechnologiczny sześciokąt, z gatunku trudnych do opisanie. Naprawdę przyjemni ludzie i wegetarianie. Jestem pewny, że nie robiliby wam trudności, jeśli opowiedzielibyście im o swoich kłopotach, chociaż pewnie nie pomogą wam wiele. Ale, chwileczkę! Mówię tak, jakby ta szaleńcza eskapada miała się udać! Hej, Mavro, pomyśl tylko! Jeśli się nie mylisz i ktoś próbuje się was pozbyć jako zagrożenia dla statku, czyż Ortega nie będzie was potrzebował?

Zaśmiała się z pogardą.

— Z tego, co wiem, Ortega zniecierpliwiał się i postanowił zabić wszystkich trzech pilotów. Nawet jeśli to nie jest prawda, nie wykluczone, że jedna lub druga strona zdobywszy przewagę zdecydowała się działać, aby uprzedzić wszelkie potencjalne zagrożenia. To nie ma znaczenia; ja muszę działać tak, jakby właśnie o to chodziło. Proszę! Czy nie pomożecie mi?

Mogliby jej pomóc, chcieli jej pomóc i w końcu zdecydowali się to zrobić. Każdy dobry żeglarz raczej podejmuje ryzyko, aniżeli biernie wyczekuje na skradającą się śmierć.

Oni ją rozumieli.

Strefa Południowa

Zaciekawiony Serge Ortega patrzył na kryształowy kształt podobny do kraba, który właśnie wszedł. Pomimo że nie miał on twarzy ani oczu, uszu, ani też żadnych innych otworów, potrafił mówić. Operator modulował sygnały drobnych kryształów wewnątrz stworzenia, które z kolei przesyłało je przez translator.

— Jesteś Ghiskindem? — zapytał Ortega, szczerze zaciekawiony.

— Do usług, Ambasadorze.

Ortega zmierzył przybysza z Północy uważnym spojrzeniem.

— Ja... och... rozumiem, że nie jest to dokładnie forma, pod którą występujecie, ale przyjęliście ją dla mnie?

— Tak jest — przyznał Ghiskind. — Jest to jeden z moich modułów roboczych, zmodyfikowany przeze mnie i wyposażony w niezbędne urządzenia głosowe. Nasza własna forma porozumiewania się jest, powiedzmy, bezsłowna. Chciałbym jednakże złożyć podziękowanie za udostępnienie translatora; to fascynujący przyrząd.

— Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz, do rzeczy. Oczywiście wiadomo wam o interesach Torshinda z Yaxami i wiecie o statku.

— Oczywiście. Władze nie chciały nadawać temu rozgłosu, lecz los mi sprzyjał i byłem niedaleko Wrót Strefy w chwili, gdy zmaterializowała się Yaxa. To było widoczne już na pierwszy rzut oka: emitowała widmo węgla. Wydaje mi się, że tak najlepiej można by to określić. Tak trudno jest wyrazić te zjawiska w łatwo dla was zrozumiałej formie.

Ulik kiwnął głową.

— Mniejsza o to. Problem tkwi w czym innym. Na przykład: dlaczego wybraliście skontaktowanie się ze mną, a nie z innymi, i to wbrew własnemu rządowi; oraz, oczywiście, czy zdołacie wykonać pracę, której od was zażądamy, i dlaczego się tego podejmujecie.

— Długa seria — skwitował Ghiskind. — Co do tego, dlaczego wybraliśmy ciebie, odpowiedź brzmi: dlatego że jesteś od samego początku znanym oponentem Yax, co jest równoznaczne z tym, że jesteś przeciwnikiem Torshindów.

Krzaczaste brwi Ortegi uniosły się do góry. „Aha!” — pomyślał sobie w duchu.

— Co do działania wbrew własnemu rządowi... — ciągnął Ghiskind — no cóż, sprzeciwianie się własnemu rządowi stało się już w dużym stopniu tradycją w Yugash. W każdym razie to głupia gra, rząd nie posiada prawdziwej władzy, sprawują ją jedynie kupieckie klany. Nie, tak naprawdę to rząd niewiele ma do tego.

— Zatem Torshindzi są waszymi handlowymi rywalami? — dociękał Ortega.

— W żadnym razie — odpowiedział Yugash. — Torshindzi reprezentują, aaa, jak by to powiedzieć... koncepcje. Koncepcje, wydaje mi się, że... aczkolwiek prawdopodobnie źle mnie zrozumiecie, najtrafniejsze, co przychodzi mi do głowy, to: kościół. A przynajmniej zorganizowany kult o surowych, dogmatycznych wierzeniach, raczej fanatyczny.

Ortega przemyślał to.

— Kult, to mi wystarczy. Czy nie jest istotne, jakie to są wierzenia, czy to ma jakiś związek?

— Związek ma, owszem — odpowiedział Ghiskind. — Kiedyś dysponowali wielką mocą. Kiedy Markowianie nadzorowali odloty, udało im się wydostać w ciała niektórych ludzi, by szerzyć wiarę i umacniać potęgę kultu. To oni głównie są odpowiedzialni za naszą społeczną i polityczną izolację, ponieważ traktują wszelkie inne stworzenia jak narzędzia, jak urządzenia na ich pożytek i ku ich przyjemności.

— Myślałem, że nie potraficie czytać w myślach, nawet jeśli opanowaliście ciało gospodarza — nerwowo przerwał mu Ortega.

Krystaliczne stworzenie drgnęło.

— Nie rozumiesz. To nie to. Lecz oni potrafią zniekształcać mózgi, wyrządzać szkody, okaleczać, wywoływać szaleństwo. Mogą czuć, tak jak wszyscy Yugashe, to, co czuje ciało gospodarza. Seks, masochizm, sadyzm, wszystko bez najmniejszego ryzyka dla Yugasha, który jest wewnątrz. Mogą, stymulując odpowiednie ośrodki mózgowo, wywoływać tego typu emocje. To tylko kwestia eksperymentu, odszukania, gdzie one są i za co każdy z nich jest odpowiedzialny.

Serge Ortega zadrżał.

— Ale wy tego nie robicie? — dopytywał się zaniepokojony.

— Większość Yugashy nie — zapewnił go Ghiskind.

— U nas stosunek dobrych do złych ludzi jest prawdopodobnie mniej więcej taki sam, jak w każdej innej rasie. Sądzę, że wiem, o czym myślisz. Paniczne lęki waszych przodków, szczególnie te dotyczące instytucji państwowych, mogły być wzniecane przez Yugashy, lecz nas nigdy nie było wielu, bo rozmnażamy się powoli albo wcale, jeśli otoczenie temu nie sprzyja. Nie wykluczone więc, oto jedna z moich najbardziej niepokojących sugestii, że większość tego typu ruchów była zrodzona lokalnie, a nie w Yugash.

Trafił w sedno, choć nie było to uspokajające. Ortega nie rozwodził się nad tym.

— A więc kult ten nie jest już czynnikiem dominującym w Yugash, a rząd jest słaby. To oznacza, że ty reprezentujesz... kogo w takim razie?

Ghiskind z tym nie miał najmniejszych kłopotów.

— Tak jak powiedziałem, Yugashe są podzieleni i rządzą nimi kupieckie klany. Niektóre, jak mój własny, osiągnęły w Yugash punkt nasycenia. Nie możemy się rozwijać, możliwa jest jedynie stagnacja. Moje własne interesy są tak odległe od waszej formy życia, że nawet opowiadanie o nich jest niemożliwe. Lecz w bardzo wielu sześciokątach, głównie z Północy, ale i w paru z Południa, wiedzą, jak wykorzystać nasze umiejętności. Jednakże, ponieważ kult wciąż jeszcze nie wygasł, a embargo obowiązuje od tak dawna, że jest brane za pewnik, z nikim nie możemy handlować. Moja spółka zatem wysłała mnie w podwójnej misji. Po pierwsze: by zamknąć Torshindowi i jemu podobnym nową furtkę do innych światów i ras. Po drugie: by odbudować wiarygodność Yugash przez współdziałanie z innymi, z Północy i z Południa, aż do szczęśliwego końca zgodnie z nakazami honoru, i tym samym otworzyć od dawna zamarłe kanały komunikacji.

To, co powiedział, brzmiało wiarygodnie.

— Lecz jakie ja mam gwarancje? — zapytał Ortega przepraszającym tonem. — To znaczy, czy mam tylko twoje słowo... .

Ghiskind miał przygotowaną odpowiedź.

— Są sposoby, by przeszkodzić Yugashom we wniknięciu i przejęciu kontroli nad ciałem — odpowiedział. — Ujawnimy je tobie. Przede wszystkim okupacja nie jest sprawą tak prostą, jak to może się wydawać. Gdybym teraz próbował opanować twoje ciało, mógłbyś stawić opór i wygrałby mocniejszy umysł. Nawet gdybym zdobył kontrolę, potrzebne byłyby ćwiczenia dla właściwego zapoznania się z twoim systemem nerwowym, tak, bym mógł panować nad tobą, a nie zabić. I pamiętaj, my nie mamy pilota statków kosmicznych!

To, oczywiście, miało rozstrzygające znaczenie.

— W takim razie w porządku, Ghiskind. Myślę, że dobiliśmy targu. Od dawna mam przygotowany sprzęt ciśnieniowy, ale możliwe, że trzeba go będzie odremontować. — Zamilkł na chwilę jakby w zamyśleniu i dodał: — Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że jeśli zdołamy dostać się do komputera, zamierzam zniszczyć wszystko tak, by nikt inny nigdy nie mógł się tam ponownie znaleźć.

Kryształ ponownie zadygotał, najwyraźniej przytakiwał.

— Oczywiście. Gdyby nie potencjalne zagrożenie Studni, sam wysadziłbym statek w powietrze i załatwiłbym sprawę.

— Grupa Yax potrzebuje dwóch miesięcy na skompletowanie sprzętu — zauważył Ortega. — Powiedzmy... za trzydzieści dni tutaj?

— W porządku — odpowiedział Ghiskind. — A tymczasem pozwól, że zaznajomię cię z terenem i z problemami logistycznymi, które się z tym wiążą. Zakładam, że już rozmawiałeś z Bozog?

Ortega uśmiechnął się.

— O, tak. Tych małych, okrągłych bękartów nie można lekceważyć. Jeśli wystaramy się o pilota, dotrą do statku.

Westchnął, głęboko zatopiony w myślach. A potem sięgnął za siebie jednym ze swoich dolnych ramion, otworzył szufladę i wyjął grubą kartotekę. Na okładce widniał napis: CHANG.

Teraz, po upływie tych wszystkich lat może spłacić swoje długi. Nacisnął guzik interkomu prawą, środkową ręką.

— Tak? — rozległ się dźwięczny głos kobiety z Ulik.

— Zudi, powiedz Ambrezjanom, żeby sprowadzili do mnie Mavrę Chang przez Wrota Strefy. Będą wiedzieli, co to oznacza. I powiedz, żeby sprowadzili Joshiego, jeśli ona i on będą tego chcieli.

— Natychmiast — odpowiedziała sekretarka.

Poczuł się lepiej. Od dwudziestu dwóch lat bardzo pragnął wydać to polecenie.

Glathriel

Parmiter jęknął. Część jego korpusu tkwiła unieruchomiona w gipsie. Grune, wielki jaszczur, który uległ poparzeniu, współczuł mu spod zwojów bandażu, pokrywających jego kark i boki.

— Och, zamknijcie się, obaj — warknęła druga olbrzymia jaszczurka, znana jako Doc. — Do licha, gdyby Grune, ten tutaj, nie przetoczył się po mnie, dostalibyśmy ją mimo wszystko!

— Tak się złożyło, że nie byłeś w ogniu — odpowiedział ze złością Grune. — Chcesz, abym podłożył pod ciebie pochodnię i zobaczył, czy przewracasz się, jak należy?

— Uspokójcie się, obydwaj! — odezwał się Parmiter. — Takie spory prowadzą donikąd. Wciąż jeszcze żyjemy, wciąż mamy ten statek i dobrze opłaconą załogę drani i wciąż jeszcze mamy na głowie kłopot z porwaniem tej Chang.

— Dlaczegożby nie zrezygnować z tego? — prychnął Grune. — Do diabła, piractwo i rozboje może aż tak się nie opłacają, ale nikt mnie przy tym nie przypiekał na różnie.

— Nie możemy i dobrze wiesz o tym! — odparował Parmiter. — Za tą robotą stoją wielkie pieniądze. Jedyne rząd sześciokąta stać na to, by porządnie wyposażyć statek taki jak ten oraz wyłożyć pieniądze na załogę i pokryć nasze wydatki. Rząd, ośle! Występnij na tyle, by wiedzieć, kim jesteśmy, gdzie nas szukać i że podejmiemy się tej roboty. Jeśli wie o tym i jeśli istotnie jest to rząd, musielibyśmy wyemigrować na Półkulę Północną, aby uratować własną skórę, a i to mogłoby nie wystarczyć.

Na te słowa ucichli i Parmiter ponownie mógł się skupić.

— Posłuchajcie — powiedział — przemyślmy to jeszcze raz. Byliśmy tam ponownie i stwierdziliśmy, że zagroda jest opuszczona. Tubylcy byli wściekli, a więc nie wiedzą, co się stało. Ani śladu Ambrezjan, jak do tej pory, zatem oni jej nie mają. Gdzież ona może być?

— Najprawdopodobniej ukrywa się w lesie — zasugerował Grune. — Albo ucieka do jakiegoś sześciokąta.

— Słusznie! — odpowiedział Parmiter. — Teraz musimy oprzeć się na tym, że ani ona, ani jej chłopiec nie lubią Ambrezjan. Przede wszystkim to oni trzyma-

li ją tutaj w niewoli. A więc Południe nie wchodzi w rachubę. Ginzin jest niemal dwieście kilometrów na północ, przy czym to prawdziwe piekło. Zostaliby pochwyceni przez Ambrezjan, zanimby się tam przedarli, to pewne, albo wrzuceni do tych rozpadlin z wrzącą smołą, gdyby dotarli do granicy. Nie brak im oleju w głowie. Jeśli, a to możliwe, nie poszli do żadnego z tych miejsc, co nam pozostaje?

Doc zastanowił się nad pytaniem.

— W takim razie zostaje jedynie woda — zauważył. — A nie mogą podnieść nosa dostatecznie wysoko, aby nie utonąć.

— My jesteśmy na wodzie, prawda? — podpowiedział spokojnie Parmiter.

Grune rozpoznał się.

— Oni mieli łódź? Albo zabrali jakąś?

Parmiter kiwnął głową.

— Teraz dochodzimy do czegoś. Pamiętacie wielki statek, przed którym musieliśmy wczoraj uciekać? Założę się, że to jest ich statek zaopatrzeniowy. Jeśli tak, to zatrzymali się, zobaczyli zamieszanie, które wywołaliśmy i może...

Doc skinął głową.

— Ale tamten statek to piekielne monstrum — zwrócił uwagę. — Ten tutaj to przyjemniutki jachcik, w porównaniu z tamtym to łódź wiosłowa.

Parmiter zachichotał.

— Taak? Może i tak, ale widziałeś miotacze na dziobie i rufie? To są wyrzutnie rakiet. Wystrzeliwuje się z nich zgrabne, rozpryskowe bomby. Spadają, zderzają się z czymś, na przykład z pokładem statku, i b a m na wszystkie strony, wybijają dziurę, szeroką na kilometr.

— A jakież z tego tutaj pożytek? — zapytał Grune.

— Ten sześciokąt jest nietechnologiczny. Wiesz o tym.

— Idiota! — prychnął Parmiter. — A więc to są sprężynowe miotacze, rozumiesz? Zapłon prochu następuje od zapalnika umieszczonego nad nim. Wybuch powoduje chemiczna reakcja wywołana wstrząsem, bez zasilania w energię, rozumiesz? To tutaj działa i robi dziurę, przez którą będziemy mogli płynąć do ich przeklętej ładowni.

— Och — powiedział Grune.

* * *

Yaxa dryfowała wzdłuż linii brzegowej, jej osobliwe oczy przeszukiwały teren. To była uciążliwa, niemal dwudziestodniowa podróż. Teraz zbliżał się jej kres; Yaxa osiągnęła swój cel. To prawda, podróż z powrotem zajmie trochę czasu, ale nie tak wiele; wystarczy dotrzeć do Wrót Strefy, z których mogłaby skorzystać, nie zwracając na siebie przesadnej uwagi. Swoją zdobycz miała doprowadzić do Strefy, do ambasady Yaxa.

To był ciężki i wyczerpujący lot nad terytorium niezbyt przyjacielskim czy gościnnym. Widziała, że zwierzchniczki były przeciw wysłaniu jej, ponieważ była tak zaangażowana w zbliżającą się ekspedycję. Lecz ona się uparła i zdołała, dzięki sprzyjającym Wrotom Strefy, przekazać współziomkom, że wszystko jest w porządku.

Wreszcie rola w tej części projektu należała się jej od samego początku. Wszystko zaczęło się tak dawno temu, wtedy, kiedy toczyły się wojny. Jako jedyny w historii Yaxa Przybysz ze świata „ludzi”, wyróżniała się wyjątkowymi kwalifikacjami. Inni nie rozumieli ludzkiej natury, bez względu na to, jaką przybierała postać. Ona tak, we wszelkich jej odmianach.

Trzeba jednak przyznać, że siostry rozpoznały jej wyjątkowe zdolności i wyznaczyły zadanie. Jej lojalność była niekwestionowana, jej poświęcenie nieporównywalne. Dzięki swoim wpływom i autorytetowi powstrzymała je od wysłania oddziału albo wynajęcia gangu, który miał zabić Mavrę Chang. Nie Treliga. O nie! Próbowwały dostać go z dziesięć lub więcej razy lecz chytry płaz zawsze okazał się dla nich zbyt sprytny.

Powiedziała im, że Chang ufa tylko sobie, co było prawdą, i że ta dziwna kobieta jest niezwykle ważna jako alternatywa Julina, na wszelki wypadek. Zgodziły się z tym, co powiedziała. Do pewnego stopnia to była prawda. Kierowały nią i inne powody, które dla nich z pewnością nigdy by nie były zrozumiałe, ale dla Mavry tak, w odpowiednim czasie.

Krążąc teraz nad zagrodą, natychmiast zauważyła, że coś jest nie w porządku. Ściana frontowa została zdruzgotana czymś olbrzymim i potężnym, po czym wybuchł ogień. Część zagrody leżała w gruzach, magazyn na tyłach stał otworem, opróżniony ze wszystkiego. Momentalnie ogarnęła ją panika. Rabusie? Piraci? W takim razie, czy przybywa za późno?

Lecz nie, ciągle obserwując, zobaczyła Ambrezjan gorączkowo przeszukujących teren.

Nie żyje? Albo...

Gwałtownie zawróciła nad morze, aby uniknąć oczu Ambrezjan i zebrać myśli. Szybowała leniwie na wstępujących prądach powietrza ponad spienionymi, zielononiebieskimi wodami.

Nie mogła uwierzyć, że Mavra Chang zginęła, nie mogła pozwolić sobie na to, póki nie zobaczy jej ciała albo grobu. Dopiero wtedy, och nie...

Lecz jeśli żyje, co w takim razie się stało? Gdyby piraci napadli na to miejsce i jej udało się uciec... w którą udałaby się stronę? Do Ambrezy? Nie. Tam w dole Ambrezjanie nazbyt przypominali ekipę śledczą, nawet ci w małej łódce.

Nie do Ambrezy, na południe, ani tym bardziej na północ, do zabójczego Ginzin. Wodą w takim razie?

Co to zatem oznacza? Porwanie?

Kto prócz niej chciałby porwać Mavrę Chang, zastanawiała się Yaxa. Ortega? Nie, to pewne. Była w jego mocy. A zatem...

Antor Trelig.

Tak musi być, zdecydowała. Może by wejść w porozumienie z Ortega, ponieważ Trelig był jedynym uczestnikiem nie mającym dostępu na Północ. Gdyby tak było, raczej nie zabierałby jej do Strefy. Makiemowie nie dysponowali środkami takimi jak Yaxa i trudno było oczekiwać, aby długo ukrywali jej obecność przed Ortega.

Doszła do wniosku, że przybyli na statku. I oddalili się w ten sam sposób prawdopodobnie na północ, do Domien, które było na tyle neutralne, że udostępniłoby Treligowi kryjówkę, element w przetargu.

Nie, nie, zganiła siebie samą. Myślisz zbyt prostolinijnie. Tam Ortega i Ambrezianie zaczęliby szukać w pierwszym rzędzie. Z pewnością odpłynęli najpierw na południe, by uniknąć patroli, a potem popłyną, być może, wzdłuż środkowego wybrzeża tej podwójnie heksagonalnej wyspy, dopóki nie zdecydują się na skok wprost do Domien.

Yaxa zawróciła na południowy wschód, modląc się, by miała rację.

Agitar

To była osobliwa stadnina koni. Prawda, że wyglądem bardzo przypominała takie miejsca: akry falujących, bujnych traw, duże stajnie i dom jak na ranczo. Jednakże nie było tutaj ogrodzenia ani torów wyścigowych. Siodła miały taki kształt, by można było na nich zainstalować przyrządy: wiatromierze, wysokościomierze i tym podobne. W Agitar nawet przypadkowy gość nie musiał długo dziwić się ani czekać na wyjaśnienie, jeśli choć jeden koń znajdował się w pobliżu. Były to wielkie zwierzęta o pięknej barwie sierści, lawendowe, niebieskie, żółte, we wszystkich kolorach tęczy. No i wyrastały im skrzydła.

Skrzydła, jak u ogromnych łabędzi, leżały złożone wzdłuż ich olbrzymich ciał. I, o tak, one fruwały, gdyż tylko z zewnątrz przypominały zwierzęta kopytne, ich wewnętrzna budowa pozwalała na to, miały ruchomy środek ciężkości, puste kości i szereg innych cech umożliwiających lot. Stworzenia te były o wiele bardziej kruche, niż na to wyglądały, ważyły o połowę mniej, niż komukolwiek przyszłoby do głowy.

Właściciel i pan tego wszystkiego, jedynej, największej stadniny pegazów w całym Agitarze, przybył tutaj przed dwudziestu laty jako trener. Tysiące z Agitaru nauczyło się dosiadać tych zwierząt w czasie Wojen, lecz ledwie garść była z nimi tak blisko, by mogła być dobrymi trenerami. On był jednym z nich.

Jego zdrowy rozsądek, zręczność i prosta, ciężka praca zostały nagrodzone. Najpierw został Głównym Trenerem, potem Mistrzem Hodowli, a teraz był Naczelnym Menedżerem. Rząd był właścicielem tego miejsca, oczywiście, ale to on żył w obszernym domu i to on był szefem.

Miał około stu czterdziestu centymetrów wzrostu. Poniżej talii jego ciało przypominało zad kozła — grube, umięśnione łydki osłonięte gęstą, kędzierzawą, ciemnoniebieską sierścią przechodziły w niesłychanie cienkie nogi zakończone małymi, spiczastymi kopytami. Tak jak pegazy mógł kontrolować położenie swojego środka ciężkości i poruszał się z gracją i swobodą tancerza w baletkach.

Z wyglądu powyżej talii przypominał muskularnego człowieka, o cerze ciemnoniebieskiej, a jakże, i bardzo porowatej. Jego trójkątna twarz ozdobiona była niebieskoczarną, przyprószoną siwizną kozią bródką. Ponad demoniczną twa-

rzą, pomiędzy dwoma niewielkimi, ostro zakończonymi rogami sterczały krótko ostrzyżone włosy, jakby obsypane mieszaniną pieprzu i soli.

Z zadowoleniem rozglądał się dookoła. Miał na imię Renard, niezwykle to było imię jak na obywatela Agitar. Niegdyś był bibliotekarzem w Komlandzie, zwanym Nową Muscovią. Potem został wybrany przez niejakiego Antora Treliga, któremu potrzebny był znawca kultury klasycznej, do jego neorzymskiej biblioteki na Nowych Pompejach. Trelig uzależnił go od gąbki. Renard był tym, który pomógł Mavrze Chang uciec i rozbił się wraz z nią pośród gigantycznych cyklopów Teliaginu. Mavra utrzymywała go przy życiu, aż nadeszła pomoc, kiedy to Ortega przeprowadził go przez Studnię, by uleczyć z nałogu. Wyszedł w Agitar. Statek, w którym się rozbił, stał się przyczyną wojny. Zanim zdążył się połapać, Renard został zaciągnięty do wojska, wsadzony na pegaza i wysłany na wojnę, a jego sojusznikiem okazał się nie kto inny jak właśnie Antor Trelig.

Renard oczywiście zdezerterował i odszukał Mavrę. Na swoim pegazie Domie przeleciał, razem z dwoma Lata, ponad wielkim morzem. W Olbornie to on uchronił Mavrę przed całkowitą transformacją w muła i wspólnie byli świadkami zniszczenia silników statku kosmicznego w Gedemondas.

Renard towarzyszył Mavrze Chang na wygnaniu, lecz ona go przepędziła. Pomimo upływu tylu lat wciąż się o nią niepokoił. Od czasu do czasu dochodziły do niego wieści od Ortegi, jednak obarczony różnymi obowiązkami nigdy nie wrócił, aby się z nią zobaczyć. Poczował się z tego powodu do winy. Wiedział, że powinien był to zrobić, ale po prostu jakoś się nie złożyło.

Mavra przewidywała, że Agitar powita go jak bohatera. No cóż, trudno byłoby powiedzieć, że tak się stało, ale ponieważ był świeżo przybyłym i na dodatek zawdzięczał coś Mavrze Chang, więc zrezygnowali z oskarżenia go o dezercję. Cała jego odyseja, a także samo przeprowadzanie Domy góorskimi szlakami, gdy lot był niemożliwy, wywarły na nich wrażenie.

Stąd jego nowa kariera. I jeśli nie liczyć, związanego z Mavrą, przewlekłego poczucia winy, powodziło mu się nieźle.

— Renardzie! — od strony biura wezwał go kobiecy głos. Odwrócił się i zobaczył machającego ku niemu urzędnika.

Agitarianki, odwrotnie niż mężczyźni, były kozłami z tułowia i twarzy, a ludźmi od pasa w dół. Nie był to powód do zmartwień dla niego ani dla żadnego Agitarianina. Miał dzieci z wieloma z nich.

Żwawo pobiegł do biura.

— Co jest, Gudo? — zawołał pogodnie. — Podnieśli komuś pensję?

Potrząsnęła głową. Jej twarz, podobnie jak twarze wszystkich Agitarianek, pozbawiona była ekspresji, ale w oczach odbijała się powaga. Podala mu telegram, który właśnie nadszedł po łączach rządowych. Po przeczytaniu go sam spoważniał. Nie zwrócił uwagi na adres i kody kierunkowe, interesowała go sama wiadomość:

RENARDZIE, ZAATAKOWANO MAVRĘ CHANG I PRAWDO-
PODOBNIENIE PORWANO. PODEJRZANYM JEST TRELIG. IST-
NIEJĄ POSZLAKI, ŻE SKNOCILI ROBOTĘ. CZY MOŻESZ JAK
NAJSZYBCIEJ POLECIEĆ NA POŁUDNIE OD GLATHRIEL I
POMOC W POSZUKIWANIACH? PO DRODZE SPODZIEWAJ
SIĘ DALSZYCH WIADOMOŚCI PRZY WROTACH STREFY. W
TEN SAM REJON WYSYŁAM TAKŻE VISTARU. POWODZE-
NIA, ORTEGA.

Był oszołomiony. To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Zamyślony, wahał się przez moment. Opuszczenie farmy, być może na kilka tygodni, nie spotka się to z uznaniem w stolicy. Ale chodziło przecież o Mavrę...

— Gudo, kochanie, czy możesz osiodłać Domaru i wyposażyć go w prowiant przynajmniej na dwa tygodnie? Wyruszam w podróż — powiedział do niej, — Powiedz Viliemu, że do mojego powrotu jest za wszystko odpowiedzialny.

Odwrócił się i wybiegł klusem, zostawiając za sobą Gudę z na wpół otwartymi ustami.

Everod u wybrzeży Ecundo

Przez większą część nocy zalegała mgła i zdryfowali na południe. Wiedzieli o tym, ale zdecydowali się płynąć z prądem tak długo, jak długo woda będzie dostatecznie głęboka, a przynajmniej do czasu, kiedy będą mogli ustalić pozycję według słońca, które, mieli nadzieję, przebije się przez mgłę o świcie.

I słońce w istocie okazało się do pewnego stopnia pomocne, choć było jedynie ledwie widoczną jasną plamą na wprost od sterburty. Kapitan, pomasowawszy łagodnie trąbę sterczącą mu pośrodku tułowia, postanowił podnieść żagiel i przesunąć się na zachód, w nadziei, że mgła tuliła się tylko do brzegów wyspy. To było prawdopodobne. Łąd nagrzewa się i oddaje ciepło szybciej niż woda, co ściąga wczesną mgłę do wielu brzegów w letnią pogodę.

Mavra przyjemnie spędziła czas. Była bardziej ożywiona niż kiedykolwiek. Przebywała często z załogą, zbierając aktualne informacje o Ecundo i Wuckl. Joshi nie pamiętał nic z czasów spędzonych poza Glathriel i poza zagrodą. A więc, gdy ustąpiły początkowe obawy, powitał podróż morską jak wielką, nową przygodę i wszędzie go było pełno. Zadawał pytania, badał ekwipunek, a przede wszystkim napawał się zapachem morza i chłodnym, łagodnym dotykiem mgły.

Załoga okazywała szczególną pomoc. Żaglomistrz przez dwa dni biedził się nad kurtkami, w których Changowie mogliby zabrać najniezbędniejsze rzeczy. Chociaż członkowie załogi nie omieszkali opróżnić magazynu z cennych zapasów Mavry, to jednak okazywali prawdziwą pomoc nie z powodu wielkiej łapówki, lecz dlatego że współczuli obojgu zbiegom.

Tbisi wciąż się martwił nie tylko czekającą ich podróżą lądem, lecz także tym, co miało nastąpić po niej. Należał do nieuleczalnych pesymistów. Mavra jednak tolerowała tę jego postawę, ponieważ szczerze się o nią troszczył.

— W porządku, przypuśćmy, że uda ci się przebrnąć Ecundo, choć marne są twoje szanse — sprzeczał się — zdołasz przepłynąć przez Wuckl i połączyć się z nami albo z innym statkiem kurierskim, który zaalarmujemy. Jeśli przerwucimy cię do Mucrol, będziesz musiała przebyć ten sześciokąt, zanim dotrzesz do Gedomondas. Potem będziesz zmuszona wspinać się w lodowatych górach, do czego nie jesteś w najmniejszym stopniu przygotowana, nie masz żadnych zapasów. Co wtedy? Co w ten sposób osiągniesz?

Myślała o tym często.

— Liczę na pomoc. Oni mnie tam znają i byli dla mnie bardzo mili. Myślę, że uważają mnie za przyszłe centrum swoich mistycznych ceremonii. Czy akceptujesz te bzdury, czy nie, oni w to wierzą. Udzielą nam schronienia. Jestem tego pewna. Dopiero kiedy tam dotrę, mogę zaplanować przyszłość.

Była nieugięta. Tbisi nie mógł nakłonić jej do zmiany planów i w końcu zaprzestał prób, czuł respekt dla jej umysłu i niewyczerpanej pomysłowości. Podejrzewał w duchu, że tkwiła w tym odrobina masochizmu, że była szczęśliwa tylko wtedy, gdy musiała szukać wyjścia spośród spiętrzonych nie do pokonania przeszkód; beznadziejnym szansom na przekór. Osobliwy sposób na przetrwanie, lecz godny szacunku, ponieważ wciąż pozostawała przy życiu, wciąż mocna, pomimo że los nie skąpił jej licznych tego typu wyzwania.

To, że ani jeden członek załogi nie uważał ich za bezradnych, za nienaturalny wybryk natury, było miarą jej nieugiętości. Byli po prostu jeszcze jedną formą życia w tym dziwnym świecie rozlicznych form istnienia, nie bardziej niezwykłą od innych i nie mniej od nich uzdolnioną.

Domysły kapitana sprawdziły się, tuman zaczął rzednąć; zamienił się w jasną, wirującą, pomarańczową mgiełkę. Słońce pozostało zasłonięte na północnym wschodzie, ale można było ustalić pozycję przy pomocy sekstansu.

— Statek na horyzoncie! — wykrzyknął marynarz na oku, usadowiony w połowie przedniego masztu. Mavra i Joshi pomyśleli o tym samym: ścigający Ambrezjanie patrolują obrzeża mgły, oczekując nieuchronnego wyłonienia się Kupca Toorinu.

Ustawili żagle do wiatru, równoważąc mocny, południowy prąd, i stanęli na wodzie niemal nieruchomo. Mavra podbiegła razem z Joshim do niskiego relingu na burcie statku. Oparli się na nim i stanęli niemal pionowo na tylnych nogach. Nie było to całkiem wygodne, ale umożliwiło im patrzenie.

Bezszelестnie, na swoich podobnych do rur od odkurzacza odnóżach, podszedł Tbisi i spojrzał w tym samym kierunku.

— Mały statek — mruknął do siebie. — Niewielki czarny kuter. Szybki, ale niegroźny dla nas.

— Ambrezjanie? — zapytała nerwowo Mavra.

Tbisi wyciągnął swoją długą, nieprawdopodobnie cienką szyję i wbił wzrok w mgłę.

— Nie, myślę, że nie. To nie jest typ statku, którym się zwykle poruszają. Ma kadłub z aluminium i wygląda na uzbrojony. To jest statek Oglabianian, nigdy ich nie widziałem tutaj, po zachodniej stronie, ale został poważnie zmodyfikowany. Obawiam się, że nie wiem do końca, co to jest.

Raptownie mały, czarny statek jakby eksplodował serią jaskrawych, niebieskobiałych błysków.

— Sygnał do Kupca! — wrzasnął marynarz na oku. — Zatrzymać się do wejścia na pokład i przeszukania! To standardowe kody celników, ale nie jest to na pewno okręt rządowy.

Głos osobliwego kapitana Kupca, wydobywający się z translatora zabrzmiał jak róg mgielny skrzyżowany z syreną parową.

— Wejście na pokład i przeszukanie, a niech mnie! — ryknął. — Nie na moim okręcie! Sygnalizować: Jesteśmy obaj na neutralnych wodach. Zajmijcie się swoimi sprawami!

Na dziobie wisiała olbrzymia latarnia, wypełniona czymś, co lśniło jaskrawo, ale nie roztopiło lampy od wewnątrz. Podobne do łasicy stworzenie przycupnęło na burcie, poruszyło dźwignią kilka razy do przodu i do tyłu, odsłaniając przednią sekcję latarni i wysyłając w mgłę oślepiający strumień świetlny.

— Gotowe, kapitanie!

Kupiec oczekiwał w napięciu, co zrobi mały kuter. Mavra, tak samo zaniepokojona jak wszyscy, zwróciła się do Joshiego:

— To mogą być ci sami, którzy zaatakowali nas poprzedniej nocy. Musieli przyplłynąć statkiem, założę się, że to oni.

Joshi przytaknął, nie odrywając oczu od nieznanego statku. Zaszło mu w gardle, słyszał łomot serca w piersi. W ograniczonym umyśle zrodziła się nadzieja, że Mavra nie zauważy jego strachu; nie pomyślał nawet przez sekundę, że ona mogłaby czuć to samo.

— Kanonierzy na stanowiska, przepompować balast na bakburtę — rozkazał kapitan. Załodze nie brakowało doświadczenia. W mgnieniu oka stanowiska zostały obsadzone, furty działowe podniesiono i krótkimi łomami wytoczono załadowane działa.

Nagle Joshi zaniepokoił się.

— Wydaje mi się, że toniemy! — wykrzyknął.

Tbisi roześmiał się.

— Nie, niesiemy duże zbiorniki cieczy balastowej i przepompowujemy do niektórych wodę, aby zrównoważyć statek w razie nierównego rozłożenia ładunku. Teraz ręcznie przepompowują całą wodę na tę stronę statku tak, byśmy odsłaniali przed nimi jak najniższą burtę.

— Ale to przechyła pokład w ich kierunku! — zauważył Joshi. — Czy to nie gorsze?

Tibby zaśmiał się ponownie.

— Nie, ta nadbudówka wytrzyma sporo ciosów. Będzie dużo szkód, ale ani nas nie zatopi, ani nie utracimy sterowności. Strzał poniżej linii wodnej, pomiędzy dwie wodoszczelne grodzie mógłby nas posłać na dno. — Zwrócił się do nich twarzą. — Wy dwoje lepiej ukryjcie się. Tutaj może zrobić się nieprzyjemnie. Będę dowodził z pomocniczego mostku.

Mavra kiwnęła głową i powiedziała:

— Chodź, Joshi. Nic tu po nas, jeszcze by nas rozerwało na strzępy.

Ociągał się z zejściem z pokładu; chciał zobaczyć bitwę. Jednakże nigdy nie kwestionował jej osądu ani zdrowego rozsądku. Odszedł.

— Zwracają się do nas dziobem, kapitanie! — wykrzyknął ten na oku. — Zdaje się, że mamy bitwę!

— Zwinąć żagle! — rozkazał kapitan. — Niech prąd znieś nas z powrotem w mgłę. Sternik, mocno na bakburtę!

Żagle opadły momentalnie. W tej samej chwili Kupiec obrócił się powoli, prezentując napastnikowi najmniejszy profil. Zaczął przy tym dryfować do tyłu, zdany teraz na łaskę południowego prądu.

— Wszyscy pod pokład! — wykrzyknął kapitan i każdy, nie wyłączając marynarza na oku, zszedł na dół, by zająć stanowisko. Duże beczki z wodą do zmywania pokładu działowego ustawiono tak, aby były pod ręką. Zapalono pochodnie.

Widząc ten manewr, kuter zrobił to samo. Ten sam prąd morski, który znosił Kupca, znieś kuter, i tak długo, jak długo obaj będą zdani na niego, wielki statek nie będzie zyskiwał przewagi nad małym pod względem prędkości.

Na przednim pokładzie kutra błysnęło coś jaskrawo-żółtego, rozległ się huk i z dziobu uniósł się pióropusz dymu, przekrzywiając się w ich stronę.

— Tak trzymać... trzymaj tak... trzymaj... — mruczał pod nosem kapitan. Do tej pory wykonali pełny obrót dookoła swojej osi, ich dziób był skierowany od kutra. Kapitan stał na mostku sterowym. Pióropusz dymu zwinął się w pętlę i zaczął opadać.

— Mocno na bakburtę, teraz! — krzyknął kapitan. Masywne koło sterowe obróciło się pod naciskiem mocnych, wytrenowanych mięśni, zajęczały łańcuchy i zakołysały się maszty, kiedy statek nagle ustawił się bokiem.

Wybuch nastąpił zaledwie trzydzieści metrów od nich, potężna eksplozja, gdy rakietka uderzyła w morze przed nimi, wbijając się w wodę z szybkością dostateczną, by odpaliły sprężynowe zapalniki.

Kawałki metalu wżarły się w statek nawet z tej odległości, ale strzał był chybiony, doleciało jedynie kilka odłamków.

Teraz kuter wykonał gwałtowny skręt. Okazało się, że posiadali tylko dwie wyrzutnie: na dziobie i na rufie. Zanim przygotują rufową wyrzutnię do strzału, będą musieli zaprezentować się z profilu, co umożliwi Kupcowi oddanie salwy burtowej.

Drugi oficer, dowodzący kanonierami, wyczekiwał odpowiedniej chwili. Wtem, na moment obydwie statki ustawiły się równolegle.

— Ognia ze wszystkich dział! — wykrzyknął i natychmiast przytknięto palące się jaskrawo pochodnie do otworów zapłonowych armat. Seria eksplozji zatrzęsa statkiem, gdy po kolei odpaliło szesnaście dział. Wokół kutra wysoko wzbily się fontanny wody. Wydawało się, że został całkowicie zniszczony. Jednak salwa była

za krótka. Gdy woda opadła, okazało się, że żaden z pocisków nie zbliżył się do napastnika nawet na pięćdziesiąt metrów.

Kupiec obracał się w dalszym ciągu, teraz jego dziób celował w rufę kutra. Wyjątkowo silny prąd pozwalał mniejszej jednostce zbliżyć się, lecz w fontannach wody wzniesionych kolejnymi salwami nie było jej łatwiej dokonać zwrotu niż większemu statkowi.

Zwykle Kupiec przyjmował wyzwanie i stawał do wymiany ognia na krótkim dystansie, lecz rakiety kutra miały duży zasięg i kapitan nie miał odwagi zezwolić na nadmierne zbliżenie. To było frustrujące: miny raketowe najwyraźniej miały większy zasięg niż armaty Kupca i, chociaż wielki statek mógł co nieco przyjąć na siebie, nie obyłyby się bez ofiar. Gdyby natychmiast nie obezwładnił przeciwnika, byłby zdany na jego łaskę. Kapitan nie należał do tych, którzy podejmowali takie ryzyko, jeśli mogli tego uniknąć.

Obserwując napastników, którzy właśnie wystrzelili drugi pocisk, kapitan z kamienną twarzą i błyszczącymi oczami wykrzyknął do nawigatora:

— Namierzyłeś pozycję?

Zanim nawigator zdążył odpowiedzieć, granat uderzył, tym razem bliżej, odłamki metalu dokonały nieprzyjemnie wyglądających wyłobień w przedniej nadbudówce statku.

Kapitan wykrzyknął kilka dodatkowych rozkazów. Mgła znów zaczęła gęstnieć i kuter stawał się coraz mniej widoczny, tak jak i Kupiec. Jeszcze tylko kilka minut, a będą dla siebie zupełnie niewidoczni. To osobliwie sprzyjało załodze kutra, który dzięki temu, że był mniejszy i lżejszy, mógł się zbliżyć, gdy obaj płynęli unoszeni prądem.

Joshi wyrzwał spod brezentu.

— O Boże! Szkoda, że nie mogę zobaczyć, co się dzieje! — poskarżył się. — Mgła robi się coraz gęstsza!

— Wyjdiesz na tym lepiej, jeśli pozostaniesz przy życiu! — zgryźliwie odpowiedziała Mavra Chang. — Wracaj z powrotem i siedź spokojnie! Kapitan wie, co robi!

Mam nadzieję, dodała w duchu. Ani ona, ani Joshi w żaden sposób nie mogli pływać.

Nawigator na mostku wyczekał na krótką przerwę w wymianie ognia. Teraz podał informację:

— 34 południe, 62 zachód!

— Właśnie! — podchwycił kapitan. — Jak daleko jeszcze do styku sześciokątów Ecundo i Usurk?

Twarz nawigatora rozpromieniła się.

— Płynąc z tą prędkością — odpowiedział — może dziesięć, najwyżej dwanaście minut!

To w pełni zadowoliło kapitana.

— Kto żyw na pokład! — ryknął. — Wszystkie żagle na maszt! — Zwróceni byli dziobem we właściwym kierunku, wiatr wiał z prędkością czterech do pięciu węzłów.

Na kutrze, choć coraz trudniej było zlokalizować we mgle większą jednostkę, dostrzegli błysk rozwijanych żagli.

Parmiter, pełniący wachtę na pomoście obserwacyjnym, wykrzyknął:

— Wciągają żagle! Musimy się pospieszyć albo stracimy ich z oczu! Nuże, bękarty! Oni nie mogą nas zobaczyć, ale my wciąż ich widzimy! Jeśli nie umiecie trafić w coś tak dużego z tej odległości, wszystkim nam biada!

Parmiter miał rację. Promienie porannego słońca od czasu do czasu oświetlały fragmenty Kupca Toorinu. Wynurzająca się z coraz mroczniejszej północnej strony jednostka, zbudowana z czarnego aluminium, była prawie niewidoczna na powierzchni morza.

Ich dziobowa wyrzutnia wypaliła ponownie i tym razem celniej. Nie tylko zbliżali się, zaczęli wyczuwać dystans; gdyby mogli korzystać z dwóch dziobowych wyrzutni, już by trafili Kupca. Ciągłe zwroty jednakże powodowały, że celowanie było trudniejsze, ponieważ za każdym razem kąt elewacji wyrzutni zmieniał się nieznacznie.

Na mostku Kupca Toorinu kapitan zaczął się niepokoić. Ostatni strzał wyłobiał głęboką bruzdę w sterze i rozerwał furtę działową. Kuter najwyraźniej wcelowywał się, pozostając równocześnie poza zasięgiem armat. Kapitan postanowił, że jeśli wywinie się z tego, to kompania będzie musiała wyposażyć statek w raketowe miny.

— Musimy się zbliżyć do granicy! — kapitan krzyknął do nawigatora. — Kotłownia! Podrzucić koks! Uwaga na stanowisku obronnym A!

Dwaj Twoshe, wyglądający jak kręgle do gry, przemknęli przez pokład w jasnobiałych rękawiczkach na rękach i susem wskoczyli pod brezent, który okrywał coś na dziobie. Płótno opadło, ukazując urządzenie przypominające mały teleskop pod kopułową osłoną. Twoshe siedli przed pulpitem sterowniczym w dopasowanych do ich kształtu wgłębieniach, ogromne owalne oczy wpatrzyły się w zamarłą tablicę kontrolną.

Kolejna rakietka uderzyła w śródkręcie, wybijając wielką dziurę w burcie Kupca.

— Przepompować balast dla kompensacji! — krzyknął kapitan. — Zbliżcie się, dranie! Gdzież jest ta granica?

Raptownie, jakby ktoś uniósł brudną kurtynę, Kupiec Toorinu wynurzył się z mgły i w całej okazałości stanął przed napastnikami, jak siedząca na wodzie kaczka.

— Mamy ich! — triumfalnie wrzasnął Parmiter. — A teraz ich wykończmy!

Obsługa rakiet zachichotała i załadowała śmiertelny pocisk. Celowali w część środkową, chcąc trafić w grotmaszt. Po tym trafieniu statek byłby zdany na ich łaskę i niełaskę.

Załoga Parmitera nie spieszyła się tym razem, ani mgła, ani elewacja wyrzutni nie sprawiły im już kłopotu. Tak byli zajęci oddaniem strzału, że uszły ich uwagi białe pasemka, które zaczęły unosić się z bliźniaczych kominów Kupca.

Nagle, siedzący na dziobie przed dziwną konsolą Twoshe zaskomlili radośnie, gdyż wymyślna tablica kontrolna ożyła przed ich oczami. Maszt radarowy poszedł w górę i zaczął omiatać przestrzeń tam i z powrotem w powolnym rytmie, a na dużej siatce współrzędnych przed jednym z Twoshow pojawił się wyraźnie kuter.

Kapitan wyszedł z tej hazardowej gry zwycięsko. Teraz, w walce i ucieczce, unoszeni przez morski prąd, zdryfowali do granicy wysokotechnologicznego sześciokąta, Usurk. To uaktywniło wszystkie ich techniczne przyrządy.

Na pokładzie kutra ujrzeli upiorny kształt z zapaloną flarą, gotowy w każdej chwili odpalić pocisk, który zadałby ostateczny cios Kupcowi Toorinu.

Twoshe gwałtownie podnieśli swoją platformę na odpowiednią wysokość, zablokowali ją i odpalili z precyzją komputera.

Dziwnie wyglądający teleskop był po prostu działem laserowym.

W tym samym momencie Kupiec zrobił zwrot. Żagle opadły w rekordowym tempie i kiedy główny zegar na mostku wskazał gotowość, szczupła kończyzna wystrzeliła z kapitana i pociągnęła za dźwignię, włączając potężne maszyny i bliźniacze śruby.

Wielkie obłoki pary buchnęły z kominów Kupca, nim jeszcze opadły żagle. Statek zakreślił z zadziwiającą szybkością, kierując się wprost na mały kuter.

— Ognia! — wrzasnął Parmiter, ale w tej samej chwili oślepiający strumień zielonkawobiałego światła uderzył w nich z pełną siłą. Granat podskoczył na pół metra i eksplodował. Laserowy promień śmignął w dół, odcinając dziób kutra.

Mały statek eksplodował.

Nastąpił oślepiający błysk i huk, spowodowany zapłonem pozostałych w zapasie pocisków. W górę wytrysnęła wysoka fontanna wody, a potem opadła, zostawiając za sobą jedynie szczątki tam, gdzie znajdował się kuter.

Przez pokład Kupca Toorinu przetoczyło się zbiorowe westchnienie ulgi.

Kapitan zbadał wzrokiem pole bitwy, jego przedziwna przezroczysta głowa przekrzywiła się nieco w jedną stronę.

— Może to i racja — mruknął pod nosem. — Może te pociski są zbyt wybuchowym ładunkiem.

Ekipa naprawcza rozpoczęła uprzątnięcie szkód, łatając i reperując. Dzięki temu, że znajdowali się w wysokotechnologicznym sześciokącie, mogli wykorzystać swój najlepszy sprzęt.

Kupiec podpłynął do widocznego teraz wybrzeża Ecundo, które z daleka wydawało się dzikie i nieprzyjazne. Wkrótce skierowali się na północ, płynęli wzdłuż wybrzeża niemal przez całą drogę na żaglach.

Statek oddalał się od samotnej, drobnej figurki dryfującej z prądem na południe. Była zbyt mała i zbyt oddalona, aby można było usłyszeć jej głos. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, jeśli nie liczyć kilku zaciekawionych mew.

— Pomóżcie mi! O Boże, proszę! Niech ktoś mi pomoże! — rozległ się rozpaczliwy głos Parmitera. — Doc! Grune! Ktoś! Ktokolwiek! Na pomoc!

Ale tym razem nie było takiego, kto by Parmiterowi pomógł.

Nocha

Kupiec Toorinu został naprawiony rzetelnie; jedynie świeże łąty drzewa na dziobie, śródkręciu i nadbudówce wskazywały, że coś się stało.

Tydzień później Kupiec znajdował się kilkaset kilometrów dalej. Gnał pełną parą przez morze Turagin w kierunku północnozachodnim, aby dostarczyć Wygonianom wielkie skrzynie pełne rzeczy, których przeznaczenia załoga się nie domyślała, czym zresztą nikt nie zamierzał się w najmniejszym stopniu kłopotać.

W Nocha było zimno, nieco powyżej temperatury zamarzania. Załoga starała się przebywać pod pokładem. Morze było wyjątkowo wzburzone i łatwo było wypaść za burtę, w lodowate wody. Nikt nie miał na to ochoty, nie w Nocha, gdzie ledwie kilka metrów pod wzburzoną powierzchnią wody na taki kąsek wyczekiwały tysiące zębatach insektów. Pod żadnym względem nie należeli do klientów kompanii i załodze ani się śniło dawać im cokolwiek za darmo.

Sztorm i chłód zepchnęły malutką, skrzydlatą figurkę daleko na zachód. Była niemal u kresu sił i zaczęła wątpić, czy doleci. Jak okiem sięgnąć woda; nie widziała żadnego ładu, od kiedy wleciała nad morze, aby doścignąć Kupca, zanim za trzy dni przyplynie do Wygonu — zgodnie z rozkładem rejsów otrzymanym w biurze kompanii w Damien.

Nie miała wielkich, szerokich skrzydeł, aby szybować wygodnie na prądach wznoszących, powyżej sztormowego wiatru. Jej zdolności do lotu były zdumiewające, potrafiła lecieć zygzakiem, zawracając niemal pod kątem prostym lub zawisnąć nieruchomo. Musiała jednak skrzydłami pracować nieprzerwanie, by utrzymać się w powietrzu. A w tej chwili wszystkie cztery pary były nielicho obolałe.

W desperacji wzbiła się tak wysoko, jak tylko starczyło odwagi, pozwalając, aby podmuchy wichury uniosły jej miniaturowe, kruche ciało niby liść na wietrze, dając chwilę wytchnienia i zmuszając do wysiłku jedynie wtedy, gdy traciła wysokość. Ten system sprawdził się, o tak, ale nie można było go długo stosować. Znosiło ją przy tym w kierunku zachodnim, nie mogła jednak określić, czy ku południowemu, czy ku północnemu zachodowi.

To powietrzne dryfowanie w kierunku zachodnim o mało jej nie zgubiło. Kiedy sztorm gwałtownie ucichł i oblała ją fala ciepła, kiedy atmosfera uspokoiła

się, a ciśnienie obniżyło, ona, nim zdała sobie z tego sprawę, zaczęła spadać jak kamień.

Pokonując ból walczyła, by utrzymać się w powietrzu. Uzmysłowała sobie, że została zdmuchnięta ponad granicę morskiego sześciokąta. Wyrównała lot tuż przed zderzeniem z falami i zdołała utrzymać się na niewielkiej wysokości. To nie wystarczało. Lśniąca srebrzyście ryba, która zdawała się składać z samych zębów, wyskoczyła z wody, by ją pochwycić. W panice udało jej się wznieść nieco wyżej.

Zbyt wyczerpana, by jasno myśleć, pozwoliła przeniknąć wyobrażeniom nieuchronnego nieszczęścia do swojej świadomości. Uzmysłowała sobie, że jeśli szybko nie znajdzie miejsca, gdzie mogłaby wylądować, spadnie do raptownie uspokojonego morza. Unieruchomiona z powodu mokrych skrzydeł stanie się łatwą i kuszącą ofiarą dla tych srebrzystych głodomorów poniżej.

Nie miała pojęcia, gdzie jest. Prawdopodobnie był to Hookl, ponieważ było tak ciepło, na pewno nie Jol, znany z gór lodowych.

W tej chwili zgodziłaby się nawet na górę lodową, pomyślała tęsknie.

Pozwalała się unosić, pewna, że lada chwila odpadną jej skrzydła od nadmiernego wysiłku, strofowała samą siebie za to, że była taka głupia. Napotka wyspę, mówiła do siebie, albo jakąś łódź, którą będzie można wykorzystać — ale w Jol nie było teraz warunków do żeglugi, podobnie jak w Nocha, gdzie morze było wzburzone i gdzie panował dokuczliwy ziąb.

I wtedy dostrzegła ją. Tak, była tam. Plamka w pobliżu horyzontu. W desperackiej nadziei skierowała się w tę stronę wykorzystując resztki energii, która jeszcze w niej się tliła.

To była wyspa; niewielka — wygięta, skrecona iglica skalna, wystająca z wody, jej szklisty połysk tłumiała niska roślinność.

Chwilę czuła niepokój, patrząc na tę roślinność. Nie miała pojęcia, jakiego rodzaju stworzenie może tam zamieszkiwać, ani co jest jego pożywieniem — te zgłodniałe ryby nie były na pewno jego ofiarą, lecz coś, co żyło z nimi w symbiozie, musiało być odrobinę mniej sympatyczne od nich. To jednak nie ma znaczenia, powiedziała sobie w duchu. Stała przed alternatywą: wylądować na tej wyspie albo zostać zakąską tych pływających w wodzie zębatych bestii.

Wyspa była nieco większa, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Zobaczyła ptasie gniazda uwite pośród mchów i zdecydowała się zaryzykować. Niewiele większa od niektórych ptaków morskich wybrała wielkie gniazdo na skalistym zboczu, które wydawało się opuszczone, i z ulgą usadowiła się w nim.

Było tam twardo i kamieniste, dookoła wystawało mnóstwo ostrych kantów, lecz ona nie czuła nic. W mgnieniu oka zasnęła.

* * *

Nie przyśniło się jej nic, spała twardo i bardzo długo. Budziła się z trudem. Łomotało jej w głowie, wydawało się, że na powiekach wisały ciężary. Usiadła z jękiem, otworzyła oczy, które piekły jak ogień, i wstrzymała oddech.

Nie była sama na wyspie.

Wpatrywało się w nią stworzenie trzykrotnie większe od niej. To coś przylgnęło z łatwością do gładkiej i śliskiej skały.

Krzyknęła przerażona i natychmiast zerwała się na nogi.

Nigdy w życiu nie widziała Yaxy z tak bliska.

Błyszcząca trupia główka gigantycznego stworzenia zwróciła się w jej kierunku.

— Nie próbuj odlecieć — doradziła jej — Zatrądziłam się o twoje skrzydła.

Natychmiast spróbowała je rozwinąć i poczuła, jakby były z ołowiu. Spojrzała przez ramię i stwierdziła, że spięto je na końcu niewielkimi klipsami. Skrzydła były zbyt delikatne, by próbować pozbyć się klipsów, które znajdowały się poza zasięgiem rąk.

Yaxa była zadowolona z demonstracji i nie brak było po temu powodów. Lata, te malutkie, delikatnie wyglądające stworzonka, były niezwykle niebezpieczne dla większości ciepłokrwistych form życia.

Więzień wyglądał jak mała, dziesięcio- lub jedenastoletnia dziewczynka; wieku Lata nie dało się określić, wyglądały niemal tak samo od momentu wyklucia aż do śmierci — starzenie się było procesem całkowicie wewnętrznym.

Przypominały wyglądem małe dziewczynki, ponieważ miały mniej niż metr wzrostu i były niewiarygodnie szczupłe. Lata, z zewnątrz podobne do ludzi, budową wewnętrzną bardziej zbliżone do owadów, mogły spożywać i trawić każdy pokarm pochodzenia organicznego. Nawet ich miękka, kremowa skóra była złądą, ponieważ okrywała chitynową skórę wewnętrzną. Lata były niemal nieczułe na zmiany temperatury, ich metabolizm był dostatecznie elastyczny, aby czuły się dobrze we wszelkich warunkach, wyjąwszy ekstremalne przypadki chłodu i upału.

Miały one małe, ostro zakończone uszy i mocne, czarne włosy, przycięte na pazia. Cztery pary przezroczystych skrzydeł utrzymywały ich lekkie ciała w powietrzu i nadawały im wyjątkową zwrotność.

W tym przypadku Lata była koloru różowego. Jej żądło — złowieszcze ostrze w czerwone i czarne pasy, opadające z pleców aż na dno gniazda, osadzone na zawiasowym stawie — mogło sztywno się wyprostować albo zgiąć do tyłu umożliwiając siadanie. Lata swym jadem mogła sparaliżować i zabić stworzenie wielokrotnie większe od niej. Yaxa obawiała się tej trucizny i czuła przed nią respekt.

— Jak cię zwa, Lata? — zapytała Yaxa.

— Jestem Vistar z Jeleniej Kępy — odpowiedziała ukrywając zdenerwowanie. Nigdy nie czuła się tak bezbronna w obliczu wroga.

Yaxy nigdy nie manifestowały swoich uczuć, nie mogły, ich głos po przepuszczeniu przez translator brzmiał twardo i zimno jak lód. A jednak wydawało się, że w głosie tej zabrzmiała nutka zdziwienia, kiedy zapytała:

— Vistaru? Ta, która w zamierzczłych czasach pomogła Mavrze Chang na wojnie?

Lata kiwnęła głową zdumiona, że jej imię jest jeszcze znane po upływie tak długiego czasu.

Wydawało się, że Yaxa się waha, tak jakby nie wiedziała, co robić. To nie było zwyczajne w przypadku wielkich owadów. Jej nieprzeniknione oczy wpatrzyły się badawczo w Vistaru.

— Powiedziałabym, że powinnaś być teraz w okresie męskim — rzuciła Yaxa.

— Powinam — wyjaśniła — ale odwlekam ten moment. Być mężczyzną to znaczy odpowiadać za wychowanie dzieci, a ja jeszcze nie jestem do tego przygotowana.

Yaxa nawet nie drgnęła, beznamietna, wciąż snująca tajemnicze rozmyślenia. W końcu powiedziała:

— Ortega przysłał cię, abyś pomogła odnaleźć Mavrę Chang. — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Vistaru przytaknęła kiwnięciem głowy, lecz z własnej woli nie dodała żadnej informacji: ich rasy od dawna były sobie wrogie. Cokolwiek by powiedzieć o dziwnym zachowaniu tej Yaxy, nie spodziewała się wyjść cało z tego spotkania.

— W takim razie miałam rację — wielki motyl mruczał pod nosem. — Ona zaginęła, nie jest martwa.

— Jakie to ma dla ciebie znaczenie? — Vistaru rzuciła wyzwanie. — Jeśli nie przyłożyłaś ręki do jej zniknięcia, to tylko dlatego, że Trelig albo ktoś inny cię w tym ubiegł.

— Odważne słowa — zauważyła Yaxa oziębło, lecz niemal z aprobatą — ale dobiję z tobą targu. Odpowiedz szczerze na moje pytanie, a będziemy jednakowo mądre i wówczas dopilnuję, abyś miała okazję doświadczyć okresu męskiego.

Vistaru spojrzała twardo na stworzenie, zdumiona, lecz nie mogła domyślić się, o czym ono mówi. Chociaż biologicznie spokrewnione były bardziej ze sobą niż z ludźmi, to pod względem umysłowym Lata bliższe były ludziom.

— Zobaczmy — powiedziała ostrożnie Vistaru. — Zadaj swoje pytania.

— Czy wiesz, kto zniszczył zagrodę Chang? — zapytała Yaxa.

To pytanie było łatwe.

— Nie, ale sądzimy, że była to banda nasłana przez Antora Treliga.

Wydawało się, że odpowiedź zadowoliła Yaxę.

— Zakładam, że Ambrezjanie wprowadzili w czyn wszystkie plany opracowane na wypadek ucieczki i wszelkie wyobrażalne procedury, czy tak? — zapytała.

Vistaru ponownie przytaknęła.

— Niemal na pewno nie ma jej w Glathriel i w Ambrezie, i nie wygląda na to, by przekroczyła granicę Ginzin.

— W takim razie odpłynęła na statku, tak jak przypuszczałam — powiedziała Yaxa. — Pozostaje kwestia: dobrowolnie, czy nie.

— Treligowi na nic by się nie przydał jej męski towarzysz, Joshi — zwróciła uwagę Vistaru. — Kto może posłużyć się hipnozą, ten nie potrzebuje żadnych dodatkowych nacisków w celu uzyskania informacji. Lecz i Joshi zniknął. Zakładamy, że udało im się uciec. — Lata zamilkła, nagle niepewna, czy nie powiedziała zbyt wiele.

— Nie musisz się obawiać — uspokoiła ją Yaxa, jakby czytając w jej myślach. — Doszłam do podobnych wniosków. Zakładam, że trafiłaś tutaj, donikąd, z tego samego powodu co ja, masz nadzieję przechwycić Kupca Toorinu.

Lata nie odpowiedziała, ale wyraz jej twarzy wystarczył za odpowiedź.

Yaxa wciąż była głęboko pogrążona w myślach, jej zamierzenia nadal okrywała tajemnica. Następną wypowiedź zdumiała Vistaru.

— Lata, mogłabym cię zabić, ale nie zrobię tego. Jeśli cię uwolnię, możliwe, że albo będziesz próbowała mnie użądlić, albo będziemy kontynuować równoległe poszukiwania, polując na Kupca, który teraz nie powinien być daleko. Koniec końców wejdziemy w konflikt w ten czy w inny sposób. Mogłabym po prostu porzucić cię tutaj ze skrępowanymi skrzydłami i chociaż żywiłabyś się mchem, w końcu zginęłabyś z głodu. Ta naga skała leży na uboczu szlaków transportowych i jedynie Kupiec przywiódł nas obie tutaj przez przypadek. A więc proponuję pokój honorowy. Obiecuj, że mnie nie użądłisz, a ja nie wyrządę ci krzywdy i usunę klipsy. Wspólnie poszukamy Kupca i pozostaniemy razem, dopóki nie określimy miejsca pobytu Mavry Chang. Przystajesz na to?

Vistaru zastanowiła się nad tym. Nie miała nadziei na własnoręczne usunięcie klipsów ze skrzydeł, a bez skrzydeł była w potrzasku. Z drugiej strony, czy mogła ufać Yaxie? Jakimi kierowała się motywami? Dlaczego tutaj była?

A jednak nie miała wyboru.

— W porządku, zgadzam się. Pokój. Przynajmniej do chwili, kiedy dowiemy się, co się tutaj dzieje. Masz moje słowo, nie zrobię ci krzywdy.

— Twoje słowo wystarczy. — Długi, lepki język wysunął się z wygiętej trąbki Yaxy i delikatnie zdjął klips z jednej pary skrzydeł, po czym podał go przedniemu odnóżu, które włożyło go na powrót do niewielkiej torby, przyklejonej na brzuchu owada. Ta sama procedura powtórzyła się trzykrotnie, uwalniając Vistaru, która z wdzięcznością rozprostowała skrzydła i rozłożyła je.

Yaxa ani drgnęła, obserwując ją. Czyhała tylko na to, aby Vistaru wzbiła się w powietrze i spróbowała ją użądlić.

Nie robi tego. Dotrzyma słowa przynajmniej do czasu, kiedy dowiedzą się, gdzie jest Mavra Chang. Poza tym miała przecież jad, który się nie psuje.

— Wiesz, gdzie jest statek? — zapytała Yaxę.

— Leć za mną — odpowiedziała i odbiła się od klifu; chwytając wiatr, wielkie pomarańczowobrazowe skrzydła rozpostarły się szeroko. Vistaru poszła w jej ślady, ale musiała ciężko pracować, by nadążyć za wielkim owadem.

— Zwolnij trochę! — poprosiła i Yaxa wstrzymała nieco lot. Vistaru podleciała do góry, nieco poniżej i na prawo od czarnej, połyskującej, trupiej główki. — Jak masz na imię? — zapytała.

— Moje imię brzmi Wooley — padła odpowiedź.

Ecundo

Ich podstawowy kłopot polegał na tym, że nie mogli postąpić logicznie i bezpiecznie, to znaczy trzymać się plaży. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś idący ich tropem koniec końców natknie się na Kupca Toorinu i połączy wszystko w jedną całość.

— Czy nie pozbyliśmy się tych, którzy nas ścigali? — skarżył się Joshi, gdy przedzierali się przez niskie zarośla, które sprawiały im mnóstwo kłopotu, choć mieli zahartowaną skórę. — Dlaczego uciekamy?

Mavra zastanowiła się nad tym pytaniem. Jak mu wyjaśnić, ażeby zdołał to zrozumieć? Że uciekają z niewoli do wolności, do prawa decydowania o swoim losie? Ta myśl była dla niego zbyt abstrakcyjna. Glathriel był jedynym domem, jaki znał. Pominąwszy sporadyczne wizyty w Ambrezie, które były dla niego przygodą, zagroda i wioska to był jego świat.

A jednak, przypomniawszy sobie, sama niemal uległa uśpieniu i pogodziła się z losem. Ona, narzeczona gwiazd, wolny duch wielu światów, złapana w pułapkę znajdowała zadowolenie w zwyczajnej, domowej krzątaniu; prawie zapomniała o swym zadaniu i celu.

Została wynajęta do uporania się z zagrożeniem stworzonym przez Nowe Pompeje, które wciąż były tam, na niebie, jak jakiś sztylet wymierzony w serce wszelkiej egzystencji. To zadanie, powierzone jej tak dawno temu, wciąż było nie wykonane. A przy okazji, co z jej głównym celem, który mogła oglądać w pogodne noce stając na plaży? Gwiazdy!

Dlaczego uciekamy, Joshi? Zamyśliła się. Od czego i do czego? Od stagnacji i nieuchronnej przecież śmierci do przygody na naszych własnych warunkach, oto do czego!

Głośno zaś powiedziała:

— Nie wiemy, czy to ci sami, co zaatakowali zagrodę, lecz nawet jeśli tak, to byli to zwykli płatni siepacze, a nie ludzie, którym naprawdę na nas zależało. Stojący za tym atakiem znów będą próbowali nas dostać w swoje ręce, aż pewnego dnia im się to uda. Możemy siedzieć i być dla nich celem, dopóki nie trafią w środek tarczy, albo możemy spróbować zmienić reguły gry. Zmienimy niektóre, to nie ulega wątpliwości.

Zastanowił się nad tym, co powiedziała, nawet to zaakceptował, ale nie rozumiał wszystkiego do końca. Zagroda symbolizowała zawsze spokój i bezpieczeństwo; pogodzenie się ze zburzeniem tego schronienia potrwa nieco.

Mieli na sobie ubranie dostarczone przez żaglomistrza. W kieszeniach było trochę żywności, żelazna racja witamin, nieco zapasów, których mogliby potrzebować. Wzięli ze sobą wszystko, co mogli unieść bez nadmiernego obciążania się. Ich kurtki pokryte były ciemnym futrem, które z pewnej odległości wyglądało jak włosy.

W Ecundo dni były ciepłe, lecz zapadająca noc przyniosła w głąb łądu nieprzyjemny chłód od strony wybrzeża. Zasnęli okryci ściółką. Budzili się często zziębnięci i wilgotni od rosy.

W Ecundo było pięć większych miast, cztery z nich na wybrzeżu i jedno w samym centrum sześciokąta, niedaleko Wrót Strefy, lecz oni obchodzili je z daleka. Ecundianie to długie, cylindryczne stworzenia o gumowatych szczypcach z przodu i obrzydliwych żądłach z tyłu. Tysiące ich żyło w wygrzebanych norach, w miastach, które były sztucznie usypanymi kopcami.

Aby wyżywić populację, większość gruntów w kraju oddano ranczerom. Te mięsożerne istoty żywiły się głównie bunda — stworzeniami, które rozmnażały się jak króliki i wędrowały po pastwiskach wielkimi, dzikimi stadami.

Po upływie dwóch dni zobaczyli je po raz pierwszy. Poczuli drżenie ziemi i usłyszeli tętent, przyłgnęli pomiędzy jakimiś skałami i czekali, rozglądając się uważnie. Wkrótce przeszło obok nich stado, wydawało się, że były ich setki, niektóre przechodziły tak blisko, że tuman kurzu wpadał do kryjówek, lecz bunda nie okazywały szczególnego zaciekawienia, jeżeli w ogóle zauważyły dwoje podróżnych.

Mavra liczyła, że bunda pomogą im przeprowić się przez sześciokąt. Zbierały się w stada poza okresem godów, kiedy to pary szukały samotności, aby się parzyć, wydać na świat liczne potomstwo i opiekować się nim przez pierwsze kilka tygodni. Z tej przyczyny Ecundianie zawsze interesowali się stadami, z reguły ignorowali pojedyncze pary, dzięki którym, przede wszystkim, nie wysychało źródło ich zaopatrzenia.

Po części instrukcje wydane przez Mavrę żaglomistrzowi opierały się na tej informacji. Mieli tak bardzo przypominać wyglądem bunda, jak to tylko możliwe. Najlepiej byłoby trzymać się z dala od ciekawskich, śledzących oczu, by uniknąć rozpoznania, że są intruzami.

Zobaczywszy bunda, Joshi zrozumiał jej plan.

Stworzenia były w rzeczywistości trochę, większe od niego i poruszały się jak oni oboje, na czterech nogach zakończonych kopytami. Co prawda, te kopyta były czarne, a nie brunatnobiałe, i miały jednakową długość, lecz zostawiały takie same ślady. We wszystkim bundas przypominały gigantyczne świnki morskie. Krótka, czarna sierść pokrywała całe ciało z wyjątkiem pyska i uszu, które jednak

nie były tak długie, jak u Changów. Miały duże, brązowe oczy i świńskie pyski o zaokrąglonym ryju i krótkiej szczęce. Były roślinożerne, żywiły się trawą i krzewami, ale zjadały także owady, wyglądem przypominające skrzyżowanie mrówek z karaluchami, żyjące w niewielkich kopcach rozrzuconych po równinach. Bunda nigdy nie trzyma się szukaniem owadów ani nie niszczy kopców. W nocy, po całodziennym poszukiwaniu świeżych traw i liści po prostu kładą się i zasypiają, wystawiając niewiarygodnie długie, lepkie języki, które wydają się pokryte białą sierścią. Insekty usłużnie wylazą ze swoich kopców prosto na oczekujące je języki i wpadają w pułapkę. Nie budząc się nawet, bunda zwija język, przetyka i ponownie wystawia go na zewnątrz.

Przemierzając równiny Mavra i Joshi poznawali zwyczaje i charakter bunda. Zwierzęta były leniwe, zadowolone z siebie, łatwe do oszukania i tępe. Joshi doszedł do wniosku, że gdyby bunda natknął się na trzymetrowy odcinek płotu, toby zawrócił, nie zastanawiając się, jak go obejść.

Ważyły średnio prawdopodobnie jakieś sześćdziesiąt kilogramów z okładem. Tłuszcz zwisał im ze wszystkich stron. Rozmnażały się szybko, po czworo w miocie co pięć tygodni, ssaly przez dwa, trzy tygodnie i stawały się w pełni dorosłe po upływie mniej więcej roku. Nie miały żadnych naturalnych wrogów z wyjątkiem Ecundian, którzy dobrze sobie z nimi radzili.

Wędrowcy mieli nadzieję, że z daleka Ecundianie zobaczą jedynie parę odłączoną od stada, trochę osobliwą z wyglądu, długouchą, o nieco rzadszej sierści. Dwoje bunda, których nie należy napastować, ponieważ właśnie przysparzają żywności.

W szóstym dniu ich teoria została poddana próbie. Zaczynali przyzwyczajając się do stad przemierzających z tętentem równiny, szlakami przecieranymi od pokoleń przez stada bunda i jeśli pominąć konieczność usuwania im się z drogi, Mavra i Joshi nie bardzo zaprzętały sobie nimi głowę. Tym razem jednakże stado wydawało się ogarnięte paniką. Zwykle Mavra i Joshi podróżowali nocą, lecz jeśli ktoś udaje, że jest bundą, to nie może być aktywny wtedy, kiedy bunda śpi, a więc słońce świeciło, ogrzewając ich grzbiety, kiedy w stadzie wybuchła panika. Ledwie umknęli przed nim z drogi. Coś w zachowaniu zwierząt, pędzących na oślep, zmusiło ich do zastanowienia.

Leżeli oboje w wysokiej trawie. Upłynęło kilka minut, zanim zobaczyli, co było powodem paniki: pięciu Ecundian, każdy poruszający się na sześciu długich, dwumetrowych krabich nogach, biegło ze zdumiewającą szybkością za uciekającymi bunda. Ich paciorkowate oczy na czułkach zwrócone były do przodu. Podnieśli wysoko do góry część ogonową tułowia z obrzydliwymi żądlami, z których ściekały krople jadu, kleszcze wystawili w pogotowiu uniesione przed siebie.

Ecundianie przecięli stado drogę w pobliżu Mavry i Joshiego. Oboje przyłgnęli do ziemi i wstrzymali oddech, kiedy jeden niemal przeszedł po nich, zapatrzony w stado. Okropnie śmierdział.

Ecundianie rozstawili się w wachlarz, przeganiając stado tam i z powrotem, by w końcu gonić je niemal w koło. Zmęczywszy zwierzęta, zbliżyli się, łapiąc je kleszczami i wbijając żądła z niewiarygodną szybkością.

Użądłone ofiary początkowo posłużyły za barykadę, ograniczając rozszalałym zwierzętom drogę ucieczki tylko do wąskiej ścieżki, którą z kolei Ecundianie przykryli wielkimi sieciami. Stado wbiegło prosto w sieci. Przewodnicy potykali się, z kwikiem wpadając w potrzask, a inne sztuki bezmyślnie szły w ślad za nimi, dopóki panujący nad wszystkim Ecundianie nie doszli do wniosku, że połów jest wystarczający. Były dwie sieci, do każdej weszło przynajmniej dwadzieścia bunda, a wielkie skorpiony uniosły ciężki ładunek, jakby to było piórko.

Zadowoleni Ecundianie pozwolili przejść reszcie stada. Wszyscy zajęli się sparaliżowanymi bunda, które tworzyły jakby żywy koral. Cięli je kleszczami z ostrymi zębami, połykali razem z kośćmi, pochwyciwszy w usta, które otwierały się na wszystkie cztery strony. Changowie nie mogli dojrzeć żadnych odruchów żucia. Albo Ecundianie trawili całe ćwierci, albo zęby znajdowały się u nich za przetykiem.

— O rety — westchnął Joshi bez entuzjazmu, gdy Ecundianie odmaszerowali ze swoim dziennym łupem. — Wolałbym raczej pogadać sobie z nimi, niż się z nimi sprzeczać.

— Na niewiele by się to zdało — pośepnie odpowiedziała Mavra. — Ci mądrze ze statku mówili, że Ecundianie są bardzo nieprzyjemni dla obcych, których nie zapraszali. Zjadają ich lub po prostu paraliżują i odsyłają do domu dla nauczki. Nie, nie, Ecundianie nie podadzą nam ręki, wierz mi.

Dziewiątego dnia zaczęła kończyć się im żywność. Oboje byli tym strapieni.

— Ile jeszcze do granicy tego Wuckl, czy jak mu tam?

— Nie powinno być daleko — odparła Mavra. — Mamy bardzo dobry czas. — Szczególnie po obejrzeniu nagonki Ecundian, dodała w duchu.

I rzeczywiście mieli doskonały czas. W dolinach napotykali nieliczne przeszkody, dookoła pełno było śladów bunda i każdego dnia w jakimś punkcie nad nimi pojawiała się słońce, co pomagało utrzymać kierunek. Płaski teren i ślady pozwalały im kłusować, według szacunków Mavry przemierzali od czterdziestu do pięćdziesięciu kilometrów w ciągu dnia. Jeśli utrzymają właściwy kierunek, granica powinna być blisko. Powiedziała o tym Joshiemu.

— Lepiej niech tak będzie — rzekł — A niech to! Co oni tam jedzą w Wuckl?

— To, co i my — odpowiedziała. — Jednak znacznie mniej mięsa. Są to naprawdę zabawni ludzie, o ile dobrze pamiętam. Musisz zobaczyć któregoś, abys uwierzył, ja nie będę nawet próbowała ci ich opisywać. W większości są wegetarianami z wyboru, łowią nieco ryb słodkowodnych na pojezierzach. Są wysokotechnologiczni, ale rozmnażają się rzadko i ich populacja nie jest liczna. Jeżeli informacje Kupca są dokładne, jest tam wiele parków i rezerwatów dzikiej zwierzyny, hodowanej dla przyjemności.

Pokiwał głową.

— Czy proszenie o żywność nie będzie ryzykowne? — zamyślił się. — Mimo wszystko, to wysokotechnologiczny sześciokąt. Ludzie, którzy nas ścigają, nie omieszkają zajrzeć i tutaj.

— Nie będziemy prosić, chyba że byłoby to konieczne — odpowiedziała. — Jest tam mnóstwo dziko rosnących owoców, a w parkach i na pojezierzach są warzywa. Wydaje mi się, że jesteśmy już blisko.

Nie myliła się. Dotarli do granicy tuż przed zmierzchem.

To była puszcza, ale niezbyt gęsta, ot, las parkowy ze ścieżkami wysypanymi drobnymi kamyczkami. Miejsce było przepiękne. Przed oczami mieli dzikie krzewy jagodowe a nawet kilka drzew cytrusowych obsypanych owocami. Wydawało się, że to kraina mlekiem i miodem płynąca, a i Wuckle nie byli ani nietowarzyscy, ani śmiertelnie niebezpieczni.

Było tylko jedno ale.

— Spójrz na to — odezwał się Joshi zrzędliwie. Cztery pasma kolczaste-go, miedzianego drutu przyczepione były do metalowych słupów rozstawionych mniej więc co cztery metry. Wysoka Zapora ciągnęła się jak okiem sięgnąć.

— Aby trzymać z dala Ecundian? — zastanawiał się Joshi.

Potrząsnęła głową.

— Raczej, aby zniechęcić bunda do inwazji na parki Wuckli i szturm na ich dobra. Prawdopodobnie zostały ustawione przez obydwie kraje we wspólnym interesie.

— U góry pasmo kolców wygląda szczególnie nieprzyjemnie. W jaki sposób przedostaniemy się ponad nim?

— Zrobimy inaczej — odparła Mavra Chang. — Przejdziemy pod nim. Jest tam prześwit na dobre pięćdziesiąt centymetrów, wydaje mi się, że wytrzymam ukłucie lub dwa, byle się przedostać. Idziemy?

Joshi spojrział na drobne kolce, które nie wydawały się wcale takie ostre, a potem pomyślał o Ecundianach ćwiartujących bunda.

— Kto pierwszy? — zapytał.

— Ja pójdę. Przy odrobinie szczęścia prześliznę się tuż pod tym. Potem pomogę przejść tobie.

Kiwnął głową, a ona zbliżyła się do ogrodzenia.

— To dziwne — powiedziała w zamyśleniu. — Ciche brzęczenie. Wibracja?

Usłyszał jej słowa, ale wzruszył ramionami.

— Kto by tam wiedział?

— Przechodzę tutaj! — oświadczyła i przykucnęła tak nisko, jak tylko mogła. Ćwiczenie było bolesne i zaczęła żałować, że z biegiem lat uzbierało się na niej tyle tłuszczu. Miała jeszcze do przebycia połowę drogi, kiedy biodrem dotknęła dolnego drutu.

Krzyknęła. Joshi usłyszał głośnie brzęczenie. Potrącone zostały aktywatory. Wyła i trzęsły nią spazmatyczne drgawki.

— Mavra! — krzyknął w panice i pośpieszył jej na pomoc. Gdy tylko złapał ustami jej drgającą tylną nogę, on także poczuł wstrząs.

Ecundo był sześciokątem półtechnologicznym, na nieszczęście Wuckl był wysokotechnologiczny, a płot cofnięto jeden metr w głąb niego.

I podłączono do prądu.

Hookl

Niebo wypogodziło się, zaczęło się ocieplać i jeśli chodzi o załogę Kupca Toorinu, wszystko na świecie było w porządku. Fale nie osiągały dwóch metrów i Kupiec płynął pełną parą na północny zachód, zostawiając za sobą ogromne, długie na kilometr obłoki szarobiałego dymu z podwójnych kominów. Stracili nieco czasu z powodu sztormów w Nocha; teraz te straty odrabiali.

Na pokrywie rufowego luku zażywało relaksu dwóch różowych Twoshów. Z upodobaniem wystawiali swoje ciała w kształcie kręgli do gry na działanie słońca. Mając dziesięć cygar w małym schowku przy pasie, jeden z Twoshów balansował na swojej szerokiej dłoni, drugą zaś wydobył cygaro i wepchnął je sobie w małe, niemal okrągłe usta. Nigdy go nie zapalał, po prostu ssał, żuł końcówkę cygara tak długo, aż zjadł je całe.

— Coś wielkiego w powietrzu przed dziobem, dwadzieścia stopni od sterburty! — wykrzyknął nagle operator, siedzący przy konsoli radaru.

Twosh z cygarem spojrział do góry i odszukał wzrokiem niewyraźny, odległy kształt, a potem zwrócił swoje wielkie, cytrynowe oczy do bliźniaka.

— O nie, jeszcze jeden! — jęknął.

Drugi Twosh stężał.

— Niech mnie licho, jeśli tym razem to nie wygląda jak koń. Tego nam jeszcze brakowało; spłoszone konie na otwartym morzu!

— I wiesz, komu przyjdzie posprzątać pokład — złowieszczo dodał pierwszy.

Wielki koń koloru intensywnie purpurowego, z łabędzimi skrzydłami rozpostartymi szeroko, co pozwalało mu wykorzystać w pełni powietrzne prądy, okrążył kilkakrotnie statek, jakby upewniając się, czy jest tym, którego poszukuje. W tym czasie jeździec zastanawiał się, jak by tu wylądować. Była to prawdziwa sztuka. Pegaz z Agitaru nie siadał, ot, tak sobie jak pierwszy lepszy ptak; musiał mieć nieco miejsca, aby przebiec po ziemi dla wytracenia pędu. Mógł oczywiście wylądować w wodzie, ale teraz, choć wody były dostatecznie spokojne dla Kupca, to dla stworzeń mniejszego rozmiaru były bardzo wzburzone.

Wraz z załogą kapitan obserwował przybysza, zastanawiając się nad jego zamiarami.

— Niech mnie licha, jeśli zwolnię dla niego — zrzędził kapitan głosem jak róg przeciwmgielny. — Jeślibym wiedział, że wpadniemy w takie towarzystwo na środku oceanu, zająłbym się czymś spokojniejszym, wstąpiłbym do armii na przykład.

Tbisi skinął swoją długą, włochatą, cienką szyją.

— Może coś nam tutaj umyka, szefie — powiedział na poły żartując. — Mam na myśli to, że powinniśmy obciążyć ich za lądowanie, obłożyć mytem każde zadane pytanie, pięćdziesiąt razy tyle za udzieloną odpowiedź, po stokroć, jeśli by była prawdziwa.

Renard doszedł do wniosku, że pokład od sterburty był dostatecznie pusty i długi, aby przynajmniej spróbować, i ściaął wodze Domaru, wnukowi Domy.

Przy pierwszym podejściu Domaru zbuntował się; w przeciwieństwie do swoich dalekich krewnych, koni, pegazy nie są ani głupimi, ani bezmyślnymi zwierzętami. Ścieżka była nie tylko wąska, ale prawdopodobnie zbyt krótka i zbyt pełna przeszkód — lin i osprzętu — aby się do niej przymierzyć. Dodać do tego trzeba jeszcze przechył i kołysanie statku w takt przetaczających się fal. Drugie podejście przerwał Renard, klnąc szpetnie, bo nikomu na dole ani się śniło pomagać mu, ani choćby kiwnąć palcem. Za trzecim razem obaj, jeździec i pegaz postawili wszystko na jedną kartę. O mały włos by im się nie udało. Po wylądowaniu pegaz w biegu musiał złożyć skrzydła, aby zmieścić się pomiędzy nadbudówką a relingiem. Gdyby Domaru nie zatrzymał się przed dziobem, prawdopodobnie skreśliłby kark.

Wydawało się, że pomógł widok szybko zbliżającego się łańcucha dziobowego. Pegaz hamując ze wszystkich sił zatrzymał się, mając zaledwie pięćdziesiąt centymetrów zapasu i zdołał zawrócić.

Odczekawszy chwilę dla odzyskania tchu i uspokojenia nerwów, Renard obrzucił spojrzeniem załogę, która patrzyła na niego z zaciekawieniem. Po raz pierwszy zawahał się, czy nie powinien był poprosić o zezwolenie na wejście na pokład. Dwóch nieprzyjemnych z wyglądu Ecundian opalało się na dachu mostka, ich oczy na czułkach wpatrzony były w niego; dwóch Twoshów spojrzało na niego wzrokiem, w którym więcej było znudzenia niż wrogości.

Zsiadł z siodła i zdenerwowany zbliżył się do Twosha z cygarem.

— Hej, przepraszam, czy to jest Kupiec Toorinu?

Twosh odgryzł kawałek cygara, zżuł go i połknął.

— Skoro podjąłeś trud, aby tu wpaść, jestem zmuszony odpowiedzieć na to: tak.

Ta odpowiedź wprawiła go w lekkie zakłopotanie. Nie był pewny, jak pozdrowia się dwa małe, różowe, brązowookie kręgle. Podając rękę? Nie, na czym by w takim razie stali? No cóż...

— Mam na imię Renard — spróbował. — Z Agitar.

— To interesujące — odparł uprzejmie Twosh.

Renard chrząknął i spróbował jeszcze raz.
— Jestem, hmm, reprezentantem ambasadora Ortegi z Ulik.
Twosh zmierzył go krytycznie spojrzeniem.
— A niech tam, a niech tam! A gdzie twoje pozostałe cztery ramiona?
Ciężko westchnął:
— Nie, ja tylko pracuję dla niego. Szukam kobiety, osoby nazwiskiem Mavra Chang, która zniknęła z Glathriel.
— Czy ona robi jakieś inne sztuczki? — wtrącił się drugi Twosh.
Renard poczuł zniechęcenie, chichot pozostałej części załogi w niczym nie był mu pomocny.
— Słuchaj — powiedział szczerze. — Jestem jej starym przyjacielem. Słyszałem, że ma kłopoty. Przybywam na pomoc. Wytropiliśmy ją aż tutaj i byłbym wdzięczny za pomoc w odnalezieniu jej. To ma niesłychane znaczenie.
Twosh z cygarem w zębach łypał na niego podejrzliwie.
— Znaczenie, dla kogo? — zapytał.
— Dla mnie największe — odparł przybysz z Agitaru. — I dla niej.
— Akurat! — mruknął pod nosem ten drugi. — Doskonale, jeśli wyśledziliście ją na tym statku, musi być gdzieś tutaj, hę? Proszę, możesz poszukać, aczkolwiek obawiam się, że załoga statku na morzu jest zbyt zajęta, by ci towarzyszyć. — Jego czarne, proste brwi raptownie opadły, aż oparły się na górnej części oczu. — Ale powiem ci od razu, że to na nic — wyszeptał. Drobną główką skinęła w kierunku dwóch Ecundian, przyczajonych na dachu mostka. — Oni ją pozarli, rozumiesz.
Przez krótki, nieprzyjemny moment Renard myślał, że to niewielkie stworzenie mówi prawdę. Ale odegnał tę myśl od siebie, czując słabość w żołądku. Teraz był pewny, że Mavry nie ma na statku. Przedobrzyli.
— Od opuszczenia Glathriel zatrzymaliście się tylko raz — zwrócił się do nich — w Ecundo. Czy to tam ją wyrzuciliście?
Twosh wydawał się wstrząśnięty.
— Oczywiście, nie! Wyokrętowując kogoś, opuszczamy go delikatnie za burtę! — obruszył się.
Renard wyrzucił ręce do góry.
— Ludzie, jak możecie stroić z tego żarty. To ponad moje siły! — wściekał się. — To niebezpieczne miejsce dla kogoś takiego jak ona!
Ecundianie na dachu mostka gwałtownie zerwali się na równe nogi, a mieli ich po sześć.
— Hej, koźli człowieku! Czy nas obrażasz? — szydził jeden, a dwa żądła stanęły na baczność.
Renard poniósł całkowitą klęskę.
— Poddaję się! — powiedział oburzony.

— Myślisz, że ona jest w Ecundo, więc lepiej tam się skieruj — sugerował jeden z Twoshów. — Przez to, że wszyscy tak się rozbijają, szukając tej osoby, czy tego czegoś, trzeba będzie się gęsto tłumaczyć w Domien. Uważaj jednak w Ecundo. Ci dwaj, tam na górze, zostali wygnani, bo byli zbyt mili.

— Chwileczkę. Przez to, że wszyscy się tak rozbijają? Czy inni odwiedzili was tutaj?

Twosh nie widział powodów, by uchylać się od odpowiedzi na to pytanie.

— Jasne. Wielki bękart o ładnych, pomarańczowych skrzydłach i mały skurczybyk wielkości twojego kolana przyleciały dziś rano. Nie byliśmy dla nich tak uprzejmi, jak wobec ciebie, bo ty jesteś takim miłym facetem.

Nauczył się nie zwracać uwagi na złośliwości.

— Yaxa i Lata? Czy spotkały się tutaj przypadkiem? — Niepokoił się o Vistaru, słuch o niej zaginął od kilku dni.

— Ponieważ jeden siedział na drugim, powiedziałbym, że trudno im byłoby znaleźć się tutaj razem przez przypadek — zauważył Twosh.

To zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Nie szczędził wysiłku, by opisać im Lata. Chciał się upewnić, że tym razem go nie nabierają. Jakaś Yaxa i jakaś różowa Lata, niemal na pewno Vistaru, razem? Wydawało się to niemal niemożliwe.

— Czy wiecie, kto przewodził? — zapytał. — Mam na myśli, czy wyglądało na to, że jeden jest, powiedzmy, więźniem drugiego?

Twosh pomyślał nad tym.

— Nie. Nie powiedziałbym, że byli kumplami, ale nie sądzę, aby ktokolwiek mógł być kumplem tej pomarańczowej góry lodowej. Lecz współpracowali, to pewne.

Ogarnął go niepokój. Czy Vistaru z jakiegoś powodu porzuciła Ortege po tylu latach i przyłączyła się do odwiecznych wrogów? To nie do pomyślenia. A jednak, upłynęło tak wiele lat. Ludzie zmieniają się, pomyślał sobie w duchu. Rządy się zmieniają i zmieniają się zwykli ludzie.

Nie brzmiało to najlepiej.

— Hej, przyjacielu! — zawołał jeden z Ecundian.

Renard przestraszył się.

— He?

— Jak zamierzasz wystartować? — zapytał tamten wesołym tonem.

Pytanie odjęło mu na krótką chwilę mowę. Po prostu nie pomyślał o tym. Morze było zbyt niespokojne i nie ulegało wątpliwości, że Domaru potrzebował tyle samo miejsca do startu, co i do lądowania, i to przy rozwiniętych skrzydłach.

Utknął tutaj aż do lądowania w Damien, o jeden dzień drogi w kierunku przeciwnym do tego, w którym chciał się udać.

Teraz wszyscy głośno chichotali. W końcu to Tbisiemu przypadło zadać ostateczny cios.

— Przejazd kosztuje dwanaście sztuk złota dziennie — powiedział podchodząc do Renarda.

Agitarianin westchnął i w myślach zbeształ sam siebie.

— Tylko sięgnę do juków Domaru — powiedział z rezygnacją.

— To druga sprawa — dodał Tbisi. — Pegaz to cargo. Sztukę złota za kilogram.

Wuckl

Tam i z powrotem, świergot garstki ptaków rozbrzmiewał to między cienistymi drzewami, to — z rzadka — pomiędzy granicą sześciokąta i lasem. W powietrzu Ecundo było coś, co nie podobało się Changom i czego szybko nauczyli się unikać o ile to było możliwe.

Ściółka zachrząściła, gdy coś nad wyraz wielkiego poruszyło się w tym sielskim świecie ptactwa i liści. Cokolwiek to było, przesuwało się niespiesznie, miarowo, jednostajnie; umyślnie kierując się do elektrycznego ogrodzenia na granicy z Ecundo. Strażnik reagujący na bezgłośny alarm.

Stworzenie, które stanęło przed ogrodzeniem, było olbrzymim dwunogiem. Jego niemal doskonale owalne, pokryte czarną, sztywną jak drut sierścią ciało wspierało się na nogach przypominających długie ślimacznice, dzięki czemu miało się wrażenie, że stworzenie opiera się na sprężynach. Grube, metrowej długości kończyny, wyginające się na wszystkie strony, zakończone były niesłychanie dużymi, ptasimi stopami o pięciu długich paluchach z pazurami.

Wuckl zatrzymał się, obrzucił zaciekawionym spojrzeniem ogrodzenie i dwie nieprzytomne istoty, po czym podszedł do płotu i niemal go dotknął. Jego głowa wahała się w tę i tamtą stronę, badając pod każdym kątem drut ogrodzenia oraz schwyte istoty.

Rzecz jasna, że Wuckl był zaintrygowany. Z pewnej odległości wyglądały jak bunda, z bliska nie przypominały niczego znanego mu z doświadczenia, podobne były do bunda, lecz w jakimś stopniu zniekształcone.

Koniec końców postanowił, że dziwić się będzie później. Ładunek nie był taki mocny, nie mógł zabić bunda, Ecundo, Wuckla ani żadnego stworzenia sporych rozmiarów. Urządzenie miało na celu odstraszać intruzów, a nie ogłuszać, ale jedna z istot próbowała przeczołgać się pod ogrodzeniem, utknęła i poddana została serii wstrząsów. Druga schwyciła ją mocno i także doznała nienormalnej porcji wstrząsów. W rezultacie obie zostały pozbawione przytomności.

Chociaż wydawało się, że Wuckl nie nosi ubrania, długa, cienka ręka sięgnęła do boku i wyciągnęła z niewidocznej kieszeni parę izolujących rękawic. Prawa ręka zagłębiła się ponownie i wynurzyła się z czymś, co wyglądało jak duże nożyce

do cięcia drutu. Nałożywszy rękawice, Wuckl ostrożnie przeciął metalowe druty dookoła nieprzytomnych stworzeń.

Można było wtedy łatwo przeciągnąć pierwsze z nich na jego stronę. Z drugim jednakże było więcej kłopotu, ponieważ Wuckl nie miał ochoty pociąć całego ogrodzenia. Przez chwilę rozważał, czy by nie zostawić go na miejscu, ale pod odzieniem upodabniającym do bunda kryło się dwóch osobników tego samego gatunku i nie należało ich rozdzielać, przynajmniej do czasu rozwiązania zagadki ich pochodzenia.

W końcu, sięgnąwszy na drugą stronę, Wuckl zdołał przewlec pod ogrodzeniem także Joshiego. Wtedy, ściągnąwszy rękawice i umieściwszy je pospołu z nożycami w swojej niewidocznej kieszeni, wziął po jednym stworzeniu do każdej ręki, tak jakby ich ciężar równał się zeru, i pomaszerował ścieżką z powrotem.

Toug był leśniczym. Leczenie rannych zwierząt nie było jego specjalnością, a więc skierował się do domu gajowego, który zdobył stopień naukowy, kończąc Nauki o Zwierzynie. W ciągu dziesięciu minut, które upłynęły, nim Toug dotarł do gajowego, dwie niesione przez niego istoty nie dały znaku życia.

Gajowy, po początkowych klekotach dziobem i zrzędzeniach o to, że niepokoją go przy kolacji, zobaczywszy brzemię Touga wykazał zainteresowanie. Myśl o kolacji ulotniła się błyskawicznie. Poleciał leśniczemu wnieść nieprzytomne stworzenia do gabinetu.

W pomieszczeniu stał stół operacyjny, długi na ponad trzy metry, którego wymiary można było dowolnie regulować, oraz pojemniki, kadzie, chłodziarki i tym podobne urządzenia. Włączono specjalne oświetlenie. Joshiego położono ostrożnie na wyłożonej płytkami podłodze, Mavrę zaś umieszczono na stole, wyregulowanym ku wygodzie gajowego. Był on mniejszy od Touga i najwyraźniej nieco starszy, ale pod żadnym innym względem nie różnił się od niego.

— Gdzie znalazłeś tę dwójkę? — zapytał leśniczego.

— Przy ogrodzeniu, tak jak ich tutaj widzisz — odpowiedział Toug. — Zostałem zaalarmowany przy słupie czterdziestym trzecim i poszedłem, aby to sprawdzić.

Gajowy wydawał się zdumiony.

— Czy oni próbowali przedostać się do Ecundo?

— Nie, Seniorze, wszystko wskazuje na to, że próbowali przedrzeć się do Wuckl — odpowiedział leśniczy.

Podczas badania długa szyja gajowego nieustannie się poruszała. Cienkie palce błędziły to tu, to tam. W końcu powiedział:

— Wracaj do swoich obowiązków. Nie obejdzie się tutaj bez pewnego namysłu.

— W takim razie oni nie są martwi? — zapytał Toug z wyraźnym zaniepokojeniem.

Głowa drugiego Wuckla zawirowała kuliście.

— Nie, nie są martwi. Lecz ich ustrój jest o wiele za delikatny na to, co im się przytrafiło. A teraz odejdz, a ja zajmę się rozwiązaniem tej zagadki.

Gdy tylko Toug się oddalił, badanie Mavry i Joshiego rozpoczęło się na serio. Wuckl nie mógł ich rozszyfrować. Mieliby być zwierzętami? To nie miało sensu.

Ich mózg wydawał się nadzwyczaj duży i skomplikowany, lecz niewielki z niego był pożytek. Przy tak ograniczonych możliwościach ruchowych kończyn i przy całkowitym braku chwytności, zwierzęta te nie mogły, prawdopodobnie, należeć do naczelnych. Reprezentowały gatunek kopytnych — to rzucało się w oczy — lecz ich wewnętrzne organy były nietypowe. I na dodatek te obrócone w dół twarze. Widać było, że budowa nóg i napięcie mięśniowe są prawidłowe; nie były sztuczne, a zatem: to muszą być mutanci, zawyrokował. Ale mutanci czego?

Byli dziwacznymi, to pewne. Wuckl wyciągnął Katalog Świata Studni i przejrzał go od deski do deski, lecz nie pasowało nic. Byli tam centauroidzi, o tak, ale ci ich nie przypominali. Pod pewnymi względami podobni byli do tych z Glathriel, jednak różnice były tak znaczne, że gajowy odrzucił tę możliwość; reszta była jeszcze bardziej odmienna.

Odłożył księgę, przekonany, że to są zwierzęta, a nie stworzenia inteligentne; mniejsza o budowę mózgu. Cóż z nimi począć? Ich system nerwowy poważnie ucierpiał. Stworzenia potrzebowały pomocy, w przeciwnym razie czekała je pewna śmierć. Chociaż Wuckl dobrze nie wiedział, czym one były, nie po to poświęcił tyle czasu na studiowanie Wiedzy o Zwierzętach, by pozwolić zwierzętom umrzeć, skoro mógł je ocalić. Układ rozrodczy Mavry zastanowił go. Jakiś fachowiec zoperował ją, bez finezji, ale efektywnie. W takim razie nie byli dzikimi zwierzętami.

Zamyślił się nad tym i doszedł do jedynej konkluzji, do jakiej mógł dojść, znając pewne fakty. Przypomniał sobie, że pięciu jego kolegów studentów zostało za swoje haniebne doświadczenia relegowanych i odesłanych na Nauki Manualne. Eksperymenty były zupełnie odmiennie, jednak to, co miał przed sobą, przypominało mu o tamtym incydencie. Na początek przedstawicielom jednego z podstawowych gatunków zwierząt piątka studentów przeszczepiła kończyny, pobrawszy je od innych zwierząt. W ten sposób powołana została do życia para potworów.

A gdyby tak studenci ostatnio dokonali tego samego? I obawiając się ujawnienia porzucili nieszczęsne stworzenia w Ecundo — na pożarcie — by za wszelką cenę uniknąć kontroli urzędników Wuckl?

Żaden Wuckl nie byłby w stanie zabić z rozmysłem, a więc takie rozwiązanie problemu nawet nie zaświtało w głowie gajowemu.

Tym, oczywiście one muszą być: ohydny wytworem studenckiego eksperymentu. To wiele wyjaśniało, lecz konsekwencje tego były jeszcze bardziej obrzydliwe. Mózgi musiały pochodzić od wysoko rozwiniętych stworzeń, przeszczepione — być może w stadium płodowym — dorastały wraz z istotami. Od jak dawna?

Śmierć mogłaby być dla nich wybawieniem, pomyślał ze smutkiem. Nigdy nie dowiedzieliby się, kim byli. Potworności, zrodzone w umysłach innych nie powinny przynosić cierpienia. Tak czy owak złoży raport o tej rzeźni. Sprawcy zostaną odnalezieni, a ich mózgi przysposobione do Nauk Manualnych. Nawet taka kara będzie dla nich zbyt łagodna, lecz litość była w Wuckl rzeczą powszechną. Ale co począć z dwojgiem tych?

Pozostawienie ich takimi, jakimi byli, jest nie do pomyślenia. Takich stworzeń nie ma w Katalogu. Nie mogliby zasymilować się w Środowisku Zrównoważonym. Skazać ich na banicję, co najoczywiściej próbowano zrobić, to również nie do przyjęcia.

Jedynym rozwiązaniem była readaptacja ich do Katalogu. Kłopot polegał na tym, że formy życia w Wuckl różniły się znacznie od form z innych sześciokątów, z wyjątkiem ptaków i owadów. Bunda. To byłoby najprostsze, naturalnie, lecz wiele czasu i wysiłku kosztowało nas utrzymanie bunda z dala od Wuckl; nie wiadomo czy dodanie dwóch odbiłoby się korzystnie na równowadze ekologicznej.

Jeszcze raz powrócił do swoich podręczników. W rezerwacie pewne wyjątki można by tolerować. Wybierając jedną z pozycji Katalogu, można by to wyjaśnić i umotywić tak, jak w przypadku pierwszego lepszego ośrodka zwierząt zagranicznych. Zasadnicze zmiany byłyby tylko kosmetyczne. Zwierzę jest skomplikowanym organizmem, niełatwym do zbudowania z tego, co jest pod ręką. Niektóre wymagania musiałyby być jednakże spełnione; nie było mowy o specjalnym pożywieniu, a więc pewnym modyfikacjom musiał ulec system trawienny. I aklimatyzacja, oczywiście, która nie będzie wcale prosta, biorąc pod uwagę mózgi tak skomplikowane.

I nagle gajowy znalazł to, czego szukał: mieszkaniec kilku sześciokątów, typ biologicznie kompatybilny; ukształtowanie go wymaga znacznie mniej wysiłku niż odtwarzanie innych form. Prosta modyfikacja.

Joshi, który został znacznie słabiej porażony niż Mavra, nagle jęknął i przeciągnął się lekko. Wuckl, jeszcze na to nie przygotowany, szybko chwycił niewielki przyrząd, skontrolował go i przyłożył delikatnie do szyi Chang. Joshi od razu znieruchomiał. Na wszelki wypadek gajowy podał także Mavrze Chang dawkę środka uspokajającego. Substancja podziałała. Nie miałoby sensu, by przyszli do siebie, zanim ukończone zostaną modyfikacje, pomyślał nerwowo Wuckl.

Telefonicznie zawiadzał kilku asystentów i rozpoczął rozkładanie instrumentów.

* * *

Trzy godziny później w gabinecie stało czterech Wuckli. Trzej byli całkiem młodymi terminatorami uczącymi się rzemiosła. Gajowy szybko wyjaśnił im swo-

je teorie, decyzje i plany, a oni przystali na jego diagnozę. Elektrowanny, instrumenty i inne niezbędne urządzenia zostały przygotowane; wszystkim udzieliło się podniecenie. Zanosilo się na prawdziwie twórczą serię operacji z rodzaju tych, jakie niewielu specjalistom kiedykolwiek udało się przeprowadzić; może trafią dzięki temu do ksiązek.

Gajowy, jako najstarszy, był tym, który poprowadzi operację; pozostali będą mu asystować. Mavra, od której mieli zacząć, leżała rozciągnięta na stole. Polerowany blat lśnił w dziwnym oświetleniu; dzięki osiągnięciom nowoczesnej optyki z każdego punktu pomieszczenia wszyscy mogli obserwować zabieg.

Długie ręce Wuckla o cienkich, wrażliwych palcach rozpoczęły operację, ugniatając i naciskając skórę, co przypominało niezwykle silny masaż. W miarę posuwania się operacji, ruchy te stawały się coraz szybsze. Obok stał drugi Wuckl, trzymał w pogotowiu potrzebne organy i tkanki.

Teraz ręce gajowego znalazły się wewnątrz Mavry. To niesłychane, nie było widać ani nacięcia, ani kropli krwi, nic. Prawa ręka wycofała się szybko — wyciągając okrwawiony organ — i błyskawicznie wróciła w to samo miejsce. Teraz wynurzyła się lewa, chwyciła niewielkimi szczypcami płaty ciastowatego mięsa z wypełnionych cieczą pojemników i zanurzyła się z powrotem. Szybkość ruchów była fantastyczna. Student Wuckl obserwował z podziwem manipulacje wewnątrz ciała, dosłownie zbyt błyskawiczne, by mogło je uchwycić oko. Senior posiadał dar dziesięciokrotnie większy i asystenci podziwiali jego pewność siebie i zręczność.

Operacja zabrała trochę czasu. Raptem ręce odsunęły się, małe plastikowe szczypce unurzane w krwi zostały usunięte z ciała. Gajowy zrelaksował się na moment, zacierając dłonie.

— Modyfikacja wewnętrzna zakończona — zakomunikował pozostałym. — A teraz czas na kosmetykę.

Stare organy zastąpił nowy komplet i terminatorzy skontrolowali jego działanie.

Na ciele nie było nacięć ani ran, nie było krwi, blizn, ani żadnych innych śladów. Wygląd Mavry nie zmienił się.

— Najwięcej zawdzięczamy syntetykom — objaśnił terminatorom senior. — Są oczywiście pochodzenia organicznego, ale powstały w wyniku procesu produkcyjnego. I tu pochwała dla Touga za obfitość dostawy. Ponieważ nie możemy uzupełnić zapasu krwi inaczej niż drogą naturalną, a tych dwoje posiada różne grupy krwi, podstawowego znaczenia nabiera szybkość. A teraz czas na drugą fazę.

I znowu jedne części zostały usunięte, inne dodane z pojemników wypełnionych cuchnącymi cieczami, wszystko w błyskawicznym tempie. Po uporaniu się z głową, zajął się ciałem, kształtując je, ugniatając, zmieniając, przy czym cały czas dbał o zachowanie naturalnych połączeń, by nie pojawiły się żadne kłopoty

z adaptacją. Uniwersyteckie pieniądze i informacja komputerowa z całą pewnością umożliwiłyby całkowite przekształcenie, jednak Wuckl w gabinecie rezerwatu nie dysponował takimi możliwościami. Była to raczej sprawa adaptacji formy do funkcji i, w pewnym sensie, to przynosiło większą satysfakcję.

W końcu operacja dobiegła końca, wzbudzając swą niewiarygodnie wysoką klasą podziw asystentów. Części odjęte zwierzętom zostały zakonserwowane; staną się przedmiotem późniejszych studiów i analizy w lepszych laboratoriach, będą dowodem w sprawie o ukaranie sprawców tej biologicznej zbrodni.

— Elektrokapieł! — rozkazał senior. Bez zwłoki uniesiono Mavrę i umieszczono w cuchnącej cieczy. By można ją było całkowicie zanurzyć, podłączono maskę na twarzy do butli z tlenem. Zasilanie zostało włączone i naelektryzowana ciecz uszczelniła to, co zostało zrobione, rewidując genetyczną informację w poddanych zmianie komórkach tak, by zachowały nadany kształt, nie tworząc blizn ani nie odrzucając tego, co zostało dodane. Niewielki komputer wprowadził wszystkie dane, od informacji do najistotniejszych instrukcji rozwojowych włącznie.

— A teraz samiec! — zarządził senior i na stole został położony Joshi. — Zauważcie blizny. Dawno temu został poważnie poparzony, być może poddany torturom. — Zamruczeli coś, zszokowani. — Później się tym zajmiemy.

Odpoczywając kilkakrotnie, dokończył dzieła. Joshi został zanurzony w drugiej elektrowannie.

Czas zrobić ostatni krok.

— Zwróciliście uwagę na wysoko rozwinięty mózg — rozpoczął wykład. — Pod wpływem pierwszego impulsu chciałem operacyjnie przystosować go do nowych potrzeb, lecz jest zbyt skomplikowany; zbyt wiele tu miejsca na popełnienie błędu. Jednakże konieczna będzie adaptacja do nowej sytuacji. Zwierzęta w życiu kierują się instynktem i przyzwyczajeniami, a ponieważ tych dwoje posiada niewłaściwe przyzwyczajenia, instynktu zaś im brak, należy dokonać inplantacji, aby umożliwić im egzystencję. Znane są wam pryncypia hipnoprogramowania; wierzę, że tych dwoje osiągnęło dostateczny stopień rozwoju, by zabsorbować nieco informacji na poziomie elementarnym.

— Ależ, seniorze! — zaprotestował jeden z młodych Wuckli. — Oni wciąż nie należą do żadnej formy życia wyspy, nie mówiąc o Wucklach. Jak tego dokonasz?

— Niemniej jednak, stworzenie to jest powszechnie spotykane i figuruje w Katalogu — zareplikował gajowy. — Otrzymałem jego charakterystykę w telefonicznej transmisji z Uniwersytetu. Było z tym trochę kłopotu oczywiście, raz, czy dwa musiałem powołać się na przyjaźń i później winien będę pewne wyjaśnienia tym, którzy zestawili obydwie moduły o tak późnej porze, ale oto mamy je tutaj. Zaaplikujemy kurację w czasie, gdy leżą zanurzeni w elektrokąpieli. Poddam ich narkozie do momentu uzyskania pewności, że postęp naszych prac jest zadowalający.

— A potem, co? — zapytał drugi. — Co z nimi zrobisz?

Dziób seniora rozwarł się szeroko na cztery strony w charakterystycznym dla Wuckla uśmiechu.

— Obudzą się w swoich nowych, stałych domach, szczęśliwi i otoczeni opieką. Dopilnuję tego, bez obawy. To, co uczyniliśmy, jest słuszne i etyczne.

* * *

Mavra Chang obudziła się, nie pamiętając żadnych przeżyć ze swojej przeszłości. Było to niemalże jak narodziny; początek świadomości. Jej mózg był jak nie zapisana karta, tabula rasa. Nie uformowały się jeszcze żadne słowa. Nagle jej zmysły obudziły się. Otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Było ciemno i trudno było cokolwiek zobaczyć. Wstała i kierowana bezmyślną ciekawością obeszła teren dookoła. Było to wyścielone słomą, zamknięte pomieszczenie. Oprócz niej był tu jeszcze, leżący po drugiej stronie przepierzenia, sporych rozmiarów samiec.

Jakimś sposobem wyczuła, że on jest samcem, a ona samicą. Spostrzeżenie to pojawiło się tak naturalnie, jak chodzenie, spanie, jedzenie, po prostu pojawiło się. Samiec wciąż jeszcze spał.

Znalazła przejście i podeszła do niego; obwąchawszy go przeszła ponad jego ciałem. Po drugiej stronie leżał świat zewnętrzny.

Rozejrzała się wkoło z tą samą wypraną z inteligencji ciekawością. Dojrzała skoszony, trawiasty pagórek o przyjemnym zapachu i, tuż obok, żłób wypełniony czymś aromatycznym oraz otaczającą wszystko fosę, głęboką na jakieś cztery, pięć metrów, o kamiennym, przebijającym przez wodę dnie. Z jednej strony ich zagrody, nad fosą wznosiła się ściana, prawie o metr wyższa od pagórka. Lustro wody znajdowało się trzy metry poniżej szczytu ściany, co skutecznie blokowało wszelką możliwość wyjścia. Chociaż dzieliło ją od ściany marne piętnaście metrów, Mavra z trudnością sięgała wzrokiem poza nią. Przedmioty rysowały się ostro i wyraźnie, powiedzmy, w promieniu kilku metrów, lecz rzeczy oddalone zaczynały się zamazywać. Powyżej ściany dostrzegła niewyraźne zarysy jakichś nie rozpoznawalnych kształtów. Miała przecucie, że coś jest nie w porządku, lecz nie zastanawiała się nad tym.

Była spragniona, nieprawdopodobnie spragniona, więc ruszyła w dół w kierunku wody, ześlizgując się z łatwością; bez lęku brodziła w niej. Otworzyła usta i pozwoliła wpływać wodzie tak długo, aż się nasyciła. Potem ruszyła w stronę niewysokiego pagórka. Ze żłobu unosił się przemożny aromat. Podeszła więc szybko i zaczęła jeść.

Usłyszała za sobą szmer i zobaczyła zaspanego samca, który niemal dokładnie skopiował jej postępowanie. Natychmiast powróciła do jedzenia. Wkrótce i on, także głodny, zaczął łapczywie jeść. W żłobie zgromadzono olbrzymią ilość

pokarmu, lecz oni nie przerwali, aż nie zjedli wszystkiego, nawet przepychali się nawzajem przy ostatnich kęsach.

Każde z nich spędziło nieco czasu na poszukiwaniach dookoła żłobu i zjadaniu resztek. W końcu, pewni, że nie pozostało już nic więcej, zeszli ponownie nad wodę, napili się i popływali trochę. Potem niespiesznie powrócili na wzgórze i położywszy się wygodnie na trawie, kapali się w słońcu, wsłuchani w nieznanome, dolatujące ze wszystkich stron dźwięki — odgłosy różnych zwierząt i otoczenia.

W ciągu kilku następnych dni rutynowe czynności nie uległy zmianie. Samiec oznaczył wyspę, chatę, miejsca z pokarmem i wodą swoim zapachem, co zostało przez nią zaakceptowane. To określało granicę ich terytorium.

Pokarm był dostarczany przez osobliwie wyglądającego osobnika o dziwnej woni, który wchodził przez rampę opuszczoną z przeciwnej strony ściany, wlewał jedzenie do żłobu, a potem się oddalał, pozwalając, aby rampa składała się za jego plecami. W pierwszej chwili zaatakowali go, lecz jedzenie pachniało zbyt mocno, a że wyjaśnił się cel jego przybycia, więc zostawili go w spokoju. Zaczęli wyczekiwać jego przelotnych wizyt, odgłosów, które wydawał od czasu do czasu, wyęźłali węch, by pochwyć jego zapach.

Zawsze głodni nie zostawiali po sobie nic. Kiedy nie było już jedzenia, odpoczywali lub rozbawieni uprawiali gonitwy, albo też pływali w fosie. Nigdy nie nawiedziły ich myśli, które układałyby się w słowa, nigdy nie odezwała się w nich pamięć, nigdy nawet nie obudziła się w nich ciekawość, gdzie się znajdują.

Lecz sam wstrząs i narzucone przez Wuckli warunki bytu nie dotknęły tak naprawdę ich mózgow. Cała inteligencja pozostała nietknięta i z upływem czasu powoli wracały wspomnienia, najpierw pod postacią snów, zabawnych obrazów nieznanymi zwierząt, wydających dziwne odgłosy, a potem pełne sekwencje zdarzeń. Początkowo przerastało to ich możliwość zrozumienia, lecz czas, beczynność oraz poczucie całkowitego bezpieczeństwa uzdrawiały ich coraz bardziej i bardziej.

Myśli stawały się spójne. Dziwne zjawiska ze wspomnień zaczęły zyskiwać nazwy, nic nie znaczące, lecz określone. Raptem trzeba było zrobić wielki skok do przodu; samoświadomość. On, ona. Ja.

W przypadku Mavry Chang pojawiły się wizje zimnego, górzystego miejsca, zamieszkanego przez olbrzymie, dwunogie stworzenia o białym futrze, psim pysku i łagodnych oczach; wizje istot, którym była znana, istot, które być może wiedziały wszystko, które mogłyby jej pomóc, chociaż wciąż nie rozumiała, dlaczego ich pomoc była jej potrzebna. W niewytłumaczalny sposób pojęła to, że musi dotrzeć do nich. To był imperatyw, tak jak jedzenie i sen; coś, co musiało być zrobione.

Z Joshim było inaczej. Wiedział, że jest samcem, jego rola to: parzyć się i ochraniać samice. Nie nawiedzały go obrazy dziwnych istot o białym futrze i

łagodnych oczach, ale czuł, że musi podążać za swoją towarzyszką, dokądkolwiek by poszła.

Ucieczka stała się obsesją Mavry. Przebiegła niewielką wysepkę wzdłuż i wszerz, szukając wyjścia, lecz nie znalazła sposobu na pokonanie muru.

Miała wrażenie, że znajduje się w zwierzyńcu, chociaż idea tego była dla niej bardzo niejasna. Zaczęła myśleć, układać plany, spiskować, lecz robiła to bardzo ostrożnie. Próbowwała biec najszybciej, jak potrafi i odkryła, że pomimo otyłości i poruszania się tuż nad ziemią, była zdolna rozwinąć na krótkich odcinkach zadziwiająco prędkość. Czuła, że jest w stanie oprzeć się pokusie jedzenia i naprawdę rzucić się w kierunku mostu. Żałowała, że nie może przekazać tej myśli samcowi. Jednakże, chociaż próbowała to zrobić — i on również — zdobyli się jedynie na głębokie pochrząkiwanie. Jednak szedł za nią krok w krok, biegł, gdy ona to robiła, zatrzymywał się, gdy ona stawała, i to powinno wystarczyć. Jeśli nie pójdzie w jej ślady, to źle, lecz ona wiedziała, że musi dotrzeć do dziwnego miejsca, które nawiedzała we śnie.

Wuckl, bardzo młody dozorca, pojawił się tuż przed zmierzchem, tak jak co dnia. Pracował w rezerwacie od kilku miesięcy i rutynowe czynności znalazł na pamięć. Kiedy dotarł do nowych i podniósł ciężkie wiadro paszy, stali, czekając na niego jak zwykle. Samica chrząkała z większym podnieceniem niż zazwyczaj, ale nie było w tym nic niezwykłego.

Dozorca przyglądał się im z zainteresowaniem przez chwilę. Z sześciokąta daleko na północ od wyspy pochodziły te nowe okazy. Wuckl dziwił się, dlaczego tak wspaniałe miejsce, niegdyś wybieg dla dużej grupy zwierząt domowych, zostało przeznaczone tylko dla tych dwojga.

Te zwierzęta wyglądały dziwnie. Tłuste, żarły wszystko, kiedy tylko mogły, do miejskich, organicznych odpadków włącznie, co było zresztą standardowym daniem. Stały na czterech śmiesznych, krótkich nogach, osadzonych daleko z tyłu korpusu i zakończonych małymi, rozszczepionymi kopytami. Nie mogły zobaczyć własnych nóg, ponieważ łby na stosunkowo mało elastycznych szyjach stanowiły całą przednią część ich ciała.

Czworonogów nie można było jednak lekceważyć. Tuż po przybyciu do zwierzyńca były niemal nagie, w ciągu następnych dni brązowa sierść pokryła ich ciało, wyjąwszy podbrzusze, nogi i ryje. Brązowa sierść mogła zmylić — była sztywna, ostra jak igły, głaszcząc ją, można się było pokłuć. Prawdę mówiąc, wyglądały jak duże świny pokryte kolcami jeżozwierza, aczkolwiek Wuckl nigdy nie widział wieprza i nie przyszłoby mu na myśl taka analogia. Trochę się jednak różniły od wieprzy. Nie miały ogona, a ich uszy były długie i spiczaste. Ryj i racice samca były w neutralnym różowym kolorze, który kontrastował z pomarańczowym podpalanym u lochy. Kopnięcie zakończonej pazurem nogi i rampa rozłożyła się. Wuckl wskoczył na nią, zanim zdążyła złożyć się z powrotem, jego ciężar utrzymał ją w dole, gdy przechodził na drugą stronę. Po przekroczeniu fo-

sy, stojąc wciąż na mostku, postawił wiadro z paszą, wychylił się, zaczepił mały hak o metalowy pierścień wbity w ziemię i zakotwiczył mostek.

Mavra spojrzała na swojego towarzysza i wydała z siebie głośny kwik, by odwrócić jego wzrok i myśli od żarcia. Kiedy Wuckl szedł w stronę koryta, pobiegła w kierunku mostka i przekroczyła go dzwoniąc kopytami. Joshi rozejrzał się wokoło, przez chwilę zdezorientowany i pognął za nią.

Słyszając te odgłosy, dozorca odwrócił się, przerażony.

— Hej! — wrzasnął i pobiegł za nimi. Był wytrącony z równowagi, potknął się na krawędzi mostka i wpadł do wody.

Zawdzięczając jego pechowi cenną minutę lub dwie, Mavra oddaliła się. Zasięg jej wzroku był ograniczony, chwyciła jednak węchem wiele zapachów, podobnych do zapachu dozorca na przykład i szła tam, gdzie woń wydawała się silniejsza.

Rezerwat był zamknięty; personel na służbie zajęty był swoimi obowiązkami lub posilaniem się, a więc nikt ich nie niepokoił. Nie myliła się w swoich spostrzeżeniach: im silniejszy zapach, tym więcej Wuckli tędy przeszło, więc najprawdopodobniej była to droga do wyjścia lub wejścia. W poprzek zawieszono łańcuch, ale wisiał tak wysoko, że nie zablokował im przejścia i wkrótce znaleźli się w rejonie parkingów. Pobiegli na lewo, w kierunku jakichś drzew, ledwie widocznych w pogłębiających się ciemnościach. Dolatywała stamtąd mocna woń i miejsce to wydawało się naturalnym celem ich wędrówki. Tymczasem dozorca wygramolił się z fosy i podniósł alarm. Jednak uciekinierzy byli już daleko i wciąż biegli, pomimo że Joshi nie miał bladego pojęcia, dlaczego to robią.

Uważając siebie za świnię, z zachowania i wyglądu podobna do świni, wciąż niezdolna do klarownego myślenia, Mavra Chang obrała kierunek na Gedemon-das, nie wiedząc, czemu.

Oolakash

Miasto przypominało wielką, jaskrawą rafę koralową, rozrastającą się we wszystkich kierunkach. Było jednakże nie całkiem naturalnego pochodzenia, zawdzięczało swe powstanie procesom biologicznym mieszkańców i zaawansowanej technologii.

Obszerne sale wewnątrz miasta połączone były długimi, wąskimi tunelami; jednostki mieszkalne, biura, wszystko było własnością komunalną. Każdy wiedział, gdzie co jest i kto za co jest odpowiedzialny.

Mieszkańcy tego wysokotechnologicznego sześciokąta sami byli dłudzy i cienicy, o kościstych zewnętrznych szkieletach. Jeden z nich, wysoki i wciąż jeszcze bardzo młody, wyszedł z pasażu prosto w ciemną, czystą wodę. Jego łeb trochę podobny do końskiego był w rzeczywistości kościaną muszlą, w której tkwiło dwoje miniaturowych, nieruchomych oczu, osadzonych na wierzchu długiego, okrągłego jak rura, ryja. Nadawało mu to wyraz wiecznego zdumienia. Dwoje niewielkich; uszu, nie większych od fałdki na zewnętrznym szkielecie i dwa małe różki nad oczami błyskawicznie przekazywały dane pobierane z wody, w której stworzenie poruszało się bez wysiłku. Ciało w kształcie wydłużonej rzepy, z rzędem uzbrojonych, pokrytych ssawkami macek, zakończone! było długim, wygiętym ogonem, który przy każdym poruszeniu sprężał się i rozprężał.

Doktor Gilgam Zinder, pomimo tylu lat spędzonych pod postacią Oolakash, wciąż zachwycał się tą formą życia i tymi stworzeniami, teraz — współziomkami. Każdy ich ruch przypominał unoszenie się w gęstym powietrzu. Delikatne trzepnięcie ogonem tu czy tam kierowało w dół lub w górę, gdzie tylko miało się ochotę. To było cudowne uczucie całkowitej wolności i władzy nad sobą.

Pod wieloma względami się zmienił, całkowicie się różnił od tego człowieka, który złamał kod Markowian. Nieortodoksyjny, dogmatyczny, egocentryczny i ekscentryczny, a przecież pojął matematykę rzeczywistości lepiej niż ktokolwiek przed nim i trafił do wysokotechnologicznego sześciokąta — chociaż w podwodnym świecie. Wymagało to sporej, powtórnej edukacji.

A jednak ten świat był niewiarygodny, świat nowoczesnych wygod. Były tutaj nawet ekspresowe tuby, w których woda pod ciśnieniem pchała osobników do różnych miejsc sześciokąta. Mieszkańcom Oolakash jakoś udało się uzyskać

ograniczony dostęp do technologii atomowej, dostosowanej do użycia pod wodą po ominięciu pewnych stadiów pośrednich.

Po przybyciu tutaj Zinderowi wydawało się, że jest odizolowany, odcięty na zawsze. Nie miał pojęcia, gdzie są pozostali, ani nawet czy ocaleli.

Z kulturowego punktu widzenia, przyzwyczajenie się do Oolakash wymagało nieco wysiłku. Poczucie prywatności było tu minimalne, lecz ludzie byli dobrzy, uczciwi i poważni. Organizowali się w gildie, które szkoliły i wychowywały swoich członków, i które były od siebie uzależnione, jeśli chodzi o świadczenie usług. Każda gildia wybierała spośród swoich członków jednego reprezentanta do gildii rządzącej, a ta z kolei przywódcę, którego kadencja trwała dwa lata. Sprawował on władzę absolutną, lecz po upływie kadencji, nigdy już nie mógł objąć żadnego stanowiska w biurze.

Zasadniczo był to matriarchat. Kobiety wykonywały większość prac, dominowały w gildiach i kierownictwie. Mężczyźni, ze swą umiejętnością panowania nad ubarwieniem ciała, próżni jak pawie, starali się przede wszystkim przyciągnąć uwagę kobiet.

A jednak Oolakash uznali, że Zinder jest wyjątkiem; wiedzieli, kto przypadł im w udziale, i otoczyli go murem tajemnicy i milczenia. Każdemu, kto wiedział coś! o jego pochodzeniu, wymazano to z pamięci, gdy tylko wiedza ta stawała mu się niepotrzebna... każdemu, nawet przywódcom. Dla innych był on po prostu Tagadalem, naukowcem wyjątkowo inteligentnym jak na osobnika płci męskiej.

Przed nim znajdowała się wyspa. Od spodu zdobiły ją girlandy morskich form życia; z wierzchu, naga skała sterczała z gładkiej, wodnej tafli; jej środek mieścił jedyne w swoim rodzaju centrum komunikacyjne.

Najtrudniejszym zadaniem było umieszczenie nadajnika ponad powierzchnią wody i zamaskowanie go. Udało im się to jednak, dzięki zdalnie sterowanym urządzeniom, po części projektu samego Zindera. Sam system komunikacyjny był genialnym połączeniem myśli konstrukcyjnej Zindera i Oolakash. Wykorzystywano powierzchnię wody dla odbioru mocnych sygnałów z dużej odległości, które z bliska były zbyt rozproszone, by można je było namierzyć w celu lokalizacji głównego źródła sygnału. W rezultacie sygnał był niezrozumiały dla każdego z wyjątkiem tego, dla kogo był przeznaczony.

Zinder skinął technikom, wpływając do swojego biura dla sprawdzenia raportów przed udaniem się do komory transmisyjnej. Musiano skonstruować przyrządy, które by umożliwiły mu korzystanie z głosu; Oolakash komunikowały się seriami bardzo szybkich pulsacji o wysokiej częstotliwości. Zamiast umocowywać translator na nim, podłączono go bezpośrednio do obwodu transmisyjnego. Mówił z normalną szybkością; na terenie Strefy używano urządzenia do spowalniania jego mowy stosownie do standardu pozostałych ras, niemniej jednak prowadzenie rozmowy z takimi wolnymi myślicielami było dla Oolakash bardzo frustrujące. Doszedł do wniosku, że było to jak rozmowa pomiędzy planetami dużego systemu

o olbrzymim opóźnieniu czasowym. Nie miał kłopotu jedynie z takim partnerem, z którym konwersował korzystając z wielkiego przekaźnika u góry.

Macki wystrzeliły, przebiegając po kontrolkach z szybkością błyskawicy. Zawirosowały światełka i tarcze wskaźników, włączyło się zasilanie. Nadszedł czas, by rozpocząć.

— Obie? — zawołał.

Było pewne opóźnienie, tym razem było to opóźnienie w czasie rzeczywistym, po czym rozległa się odpowiedź w jego własnym języku, wypowiedziana z typową dla niego szybkością.

— Tak, doktorze? Jestem tutaj — odezwał się głos z daleka.

— Czy możesz w jakiś sposób obliczyć postęp ekspedycji na Północy? — zapytał.

— Nikt jeszcze nie wyruszył, jeśli to masz na myśli — odpowiedział ostrożnie komputer. — Prowadzę monitoring danych wejściowych z Wrót Strefy Yugash. Jak dotąd wszystkie w granicach normy i z Południa nic, co byłoby w korelacji. Udało mi się przechwycić pewne transmisje Yax, jak tego żądałeś.

Zinder kiwnął głową. Były mu potrzebne. Obie był olbrzymim komputerem, to prawda, lecz w porównaniu ze Studnią Dusz był podrzędną zabawką. Studnia, oczywiście, nie miała świadomości, lecz jej zawartość stała otworem dla Obie -! który, na nieszczęście, nie dysponował mocą zinterpretowania takiej góry zawiłych informacji. Z biegiem lat jednak Obie nauczył się korzystać z podzbiorów danych ze Studni. Natężenie transmisji Yax było małe, lecz wystarczające, by były użyteczne, mimo to upłynęły tygodnie, zanim Obie zdołał je wyselekcjonować.

— A więc, jak daleko się posunęli? — nalegał Zinder.

Komputer nie wahał się.

— Pojawiły się liczne problemy. Po pierwsze, słabe rezultaty wstępnych testów skafandrów; aparat oddychania zwrotnego nie działał poprawnie, nieomal doprowadzając do dwóch wypadków śmiertelnych — zaraportował. — Zaczęli wszystko od początku. Ich błąd jest fundamentalny dla półtechnologicznego sześciokąta, mógłbym rozwiązać go w mgnieniu oka, ale oni jak na razie utknęli.

To dobrze, pomyślał zadowolony Zinder.

Problem, oczywiście, polegał na tym, że chociaż Yugash znajdował się blisko Uchjin, gdzie przez wiele lat leżał rozbity statek, to nie przylegał do Uchjin, lecz był oddzielony od niego kilkoma sześciokątami. W żadnym z sześciokątów Północy nie było atmosfery, którą mogłaby oddychać forma życia oparta na węglu. Zwyczajny skafander kosmiczny nie wystarczał; mieszkaniec Południa potrzebowałby całego wagonu butli tlenowych jedynie po to, by przebyć trzysta pięćdziesiąt pięć kilometrów w obrębie nietechnologicznego sześciokąta. Elektryczne systemy oddychania zwrotnego także nie działały w półtechnologicznym sześciokącie. Trzeba poszukać jakiegoś innego rozwiązania, w przeciwnym razie nawet jeśli Yaxa i Ben Julin przedostaną się na Północ, to nie przeżyją drogi do Uchjin.

Ortedze spadł już ten kłopot z głowy. Obie rozwiązał go dawno temu i urządzenia, teraz okryte tajemnicą, ulokowane w bezpiecznych i nic o nich nie wiedzących sześciokątach, zostały wyprodukowane zgodnie ze wskazówkami Zindera. Ortega mógł dostać się do Uchjin, lecz nie mógł sterować statkiem, a Zinder nie mógł pójść razem z nim: Oolakash byli niemal niewyciężeni we własnym środowisku, lecz opuścić go nie mogli. Na dodatek dostępne źródła energii w wiecie Studni nie wystarczały do osiągnięcia dostatecznego ciągu, który by pokonał efekt wywierany przez Studnię w samym sześciokącie, w przyległych do niego nietechnologicznych oraz półtechnologicznych sześciokątach i wyrzucił pojazd w przestrzeń.

Gil Zinder był aktywnym obserwatorem.

— Co z tą kobietą, Chang i jej kompanem? — zapytał.

Komputer westchnął w niezwykle ludzki sposób.

— Wiesz, że nawet nie przeszła przez Studnię, a więc nie jest wcale rejestrowana — przypomniał uczonemu. — Co do Joshi, jej kompana... no cóż, znasz liczbę różnorodnych form życia w Świecie Studni. Gdybym przynajmniej dysponował na początku wzorcem jego typu, to mógłbym go wyśledzić — ale teraz, nawet gdybym prowadził monitoring wprost na niego, w żaden sposób nie potrafię stwierdzić, że to jest właściwy osobnik.

Wiadomości oznaczały, że wzrasta prawdopodobieństwo, iż to Yaxa i Julin jako pierwsi osiągną Nowe Pompeje; Julin, ten, który nadzorował budowę Obie i który, jak wydedukował teraz Zinder, miał dostęp do obwodów w komputerze, mogących wbrew wszystkiemu poddać Obie jego woli. Julin najlepiej ze wszystkich mógł sobie poradzić z Obie, najłatwiej mógł udaremnić wszelkie próby komputera, jeśli by ten chciał się uwolnić od swojego operatora lub go oszukać.

Gil Zinder westchnął.

— Wielce się obawiam, Obie, że będziemy musieli dokonać czegoś niewyobraźalnego. Jeśli Yaxy wejdą na właściwą ścieżkę, będziemy musieli pobić je w wyścigu do Nowych Pompejów, chociażby nawet mieli paktować z samym diabłem.

— Co staje się coraz bardziej prawdopodobne — posępnie odparł komputer.

Wuckl

Po ich ucieczce sprawy nie przedstawiały się tak prosto. Możliwości mózgu Mavry wciąż wzrastały. Tu i tam trafiały się białe plamy, to, w jaki sposób popadli w takie położenie, przerastało ją, ale coraz łatwiej przychodziło jej przypominanie sobie przeszłości.

Kiedy ona i Joshi ukryli się na wzgórzach przed demaskującym wszystko światłem słonecznym, które właśnie zaczęło rozlewać się po horyzoncie, podsumowała to, co wiedziała i co musiała zrobić. Żałowała, że nie wie, ile czasu upłynęło od momentu przekroczenia ogrodzenia.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, było ogrodzenie. Jakoś pozbawiło ich ono przytomności i ocknęli się w postaci przedziwnych świń. Zanosilo się na to, że wyjaśnienie, jak do tego doszło i dlaczego nastąpi dużo później, o ile nastąpi kiedykolwiek.

A więc była świnia, myślała beznamiętnie. Z pewnych względów, dawało to wyraźną przewagę. Ta rasa zrodzona była, by żyć w stanie dzikim, zatem została wyposażona w mechanizm przeżycia, który aż do tej pory był dla nich niedostępny.

Wziąwszy pod uwagę pomyje, które zjadali w zwierzyńcu, nie martwiła się o pożywienie. Dieta Wuckli, bez względu na ich odmienność, była raczej zbliżona do tego, co konsumowali ludzie w Glathriel. Oni również używali pojemników i wysypisk na śmieci. Mavra nie unosiła się dumą i jeśli coś można było zjeść bez uszczerbku na zdrowiu, to zjadała to. I wszystkie formy życia na Południu były oparte na węglu; jedne roślinożerne, inne mięsożerne, niektóre wszystkożerne, lecz w ogólności pokarm jednej nie zabiłby członka innej rasy, choćby nawet nie przyniósł wiele dobrego.

Najważniejszy był nowy kąt nachylenia głowy. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów patrzyła wprost przed siebie, nie w dół. A co za tym idzie, zyskała olbrzymią pewność ruchów i była to cenna rekompensata krótkowzroczności. Wzrokiem sięgała i tak znacznie dalej niż w swoim poprzednim wcieleniu. I na dodatek miała ostre kolce, które mogły okazać się przydatne jako broń defensywna.

W sumie lepiej było być świnia, doszła do wniosku. Pod wieloma względami Wuckl, czy też ktokolwiek inny, kto ich przekształcił, przysłużył się im. Jedy-
nym poważnym problemem było porozumiewanie się. Uzmysłowiła sobie, że ich
ciała zostały w wysokim stopniu zmodyfikowane, lecz nie zmienione, ponieważ
wciąż posiadała zdolność translacji dzięki miniaturowemu kryształowi chirurgicz-
nie wszczepionemu do mózgu. Przeszczep pozwalał jej zrozumieć Wuckli i inne
rasy. Joshi, który nie posiadał translatora, był ciemny jak tabaka w rogu.

Istniały dwie możliwości: albo ich struny głosowe zostały sparaliżowane, albo
usunięte; świnie kwiczały jedynie w klasyczny dla swego gatunku sposób.

Zastanawiała ją, co właściwie pamięta Joshi. Czy pod względem umysłowym
był od niej lepszy czy gorszy? Czy możliwe jest porozumienie? Musiała spró-
bować. W biały dzień trudno im było się przemieszczać, a ślady życia zwierząt
dookoła nich przekonały ją, że w tym sześciokącie miejscem dla świń był zwie-
rzyniec. Będą w dalszym ciągu zmuszeni do podróżowania nocą.

Rozważyła to, co wiedziała. Uniwersalny kod, tak, to było to! Joshi nauczył
się go, by pomagać sygnalizacją statkom dostawczym przy zdradliwej pogodzie.
Jeśli ona zdoła usystematyzować chrząknięcia, a on wpadnie na ten pomysł i jeśli
jego zdolności umysłowe pozwolą mu je zrozumieć, wtedy to może wystarczyć.

Mnóstwo warunków.

Szturchnęła go ryjem. Prychnął bardziej z zaciekawienia niż z irytacji. Nad-
szedł czas próby.

Zaczęła prostym zdaniem:

— Jesteśmy wolni.

Chciała się zorientować, czy może dotrzeć z czymkolwiek do niego. Proce-
s był bardzo powolny, powtarzała wszystko w nieskończoność z nadzieją, że
uchwyci powtarzający się wzór.

Upłynęło kilka minut i on wydawał się zmieszany. Obawiała się, że nic z tego
nie zrozumiał, gdy nagle zastrzygł uszami.

Prawdę powiedziawszy, Joshi został znacznie słabiej porażony i dlatego wy-
zdrowiał o wiele szybciej. Po prostu nie miał ani jej ambicji, ani motywacji. Teraz
jednakże rozumiał, że ona próbuje z nim rozmawiać. Grupa oznaczająca "my"
była związana i podstawowa. Zrozumiał to, powtarzając na głos pulsację jej chrząk-
nięć. Opanowało ją podniecenie, spróbowała zwiększyć tempo i on ponownie to
powtórzył, teraz i on był podniecony.

Przestała, i on przestał w chwilę później. Teraz przyszła kolej na niego.

— Jesteśmy świniami — wychrzakał.

Przełom! Przytuliłaby go i pocałowała, gdyby tylko mogła.

— Pójdziemy dalej — zakomunikowała mu.

Kwiknął w kodzie bardziej uniwersalnym:

— Co zrobimy? Jesteśmy świniami.

— Świniami Chang — odpowiedziała. — Myślimy. Wiemy. My dalej jesteśmy my. Jeśli będziemy wolni, mimo wszystko może nam się udać.

Wydawał się zrezygnowany.

Uzgodnili krótki zestaw dźwięków dla najważniejszych pojęć i ćwiczyli je, aż oboje nabrali wprawy. Komunikaty były podstawowe, parę chrząknięć i kwiknięć, lecz mogli zasygnalizować: „stop”, „idź”, „uciekaj”, „niebezpieczeństwo” i tym podobne pojęcia kluczowe, w razie gdyby chwila nie zezwalała na długą konwersację. Zdanie mogło zabrać około minuty.

W końcu Joshi zasygnalizował:

— Jestem głodny.

Współczuła mu. Bez przerwy byli głodni. Obojgu nie brakowało rozsądku, a rozsądek podpowiadał, by czekać z jedzeniem, aż będzie to mniej ryzykowne. Pogodził się z jej logiką i zdecydował się zasnąć.

Mavra Chang nie mogła pójść w jego ślady, nie od razu. Przyglądając się Joshiemu, myśląc w sposób, w jaki on myślał, i znając swoje własne uczucia, uzmysłowiła sobie, że istnieje w niej jakiś rozłam, jakby dwie różne istoty toczyły walkę w jej mózgu.

Joshi wyglądał normalnie. Poczwała głód, jaki poczułaby świnia; odczuwała wszystko tak, jak odczuwałaby to świnia. Na swój sposób uzmysłowiła sobie, że ta ostatnia transformacja zerwała ostatnie więzi, łączące ją z człowieczeństwem. Minione dekady spędziła kurczowo trzymając się swojego człowieczeństwa; mimo wszystko pozostawała człowiekiem, choć pod odmienną i zupełnie wyjątkową postacią, co sprawiało jej niejaką przyjemność. Teraz już tego nie czuła. Jakiś czas zastanawiała się, czy nowy stosunek do życia nie został jej aby wszczepiony. Powątpiewała w to; nie było tak jak po hipnozie, która miała pogodzić ją z życiem w charakterze czworonoga. Nie, to było coś odmiennego, a przecież znajomego; jak wtedy, gdy zaszła w niej zmiana, gdy porzuciła myśl o odzyskaniu pewnego dnia ludzkiej postaci, zaakceptowała siebie taką, jaką była, gdy zerwała z myśleniem o sobie jak o kobiecie, a zaczęła, jak o samicy Chang. Ponownie jej mózg był podzielony i starała się usunąć konflikt. Nie walczyła z tym, pozwoliła, aby tym razem nastąpiło to bez jej udziału.

Świnia, wszystkie elementy składające się na to zwierzę, z którym teraz była spokrewniona, walczyły z ludzką osobowością i sposobem rozumowania. Przede wszystkim, co zawdzięczała ludziom, co uczynili dla niej? Nawet w dobrych, starych czasach trzymała się na dystans, odróżniała się, była obca pośród „normalnych” ludzi. W niewytłumaczalny sposób czuła się od nich lepsza. Niewiele dobrego zrobili dla niej, za to sporo jej wyrządzili złego. I na odwrót, ona wykorzystywała ich, jak ktoś używający narzędzi do osiągnięcia celu. Żyła pomiędzy nimi, nie będąc jedną z nich, zawsze jak sięgnąć pamięcią. To oni zmienili ją w zwierzę. Doskonale, będzie zwierzęciem. Świnią. Czymkolwiek. Bardzo sprytną świnią, to pewne, ale tak czy inaczej świnią.

Konkurujące ze sobą żywioły w jej mózgu przestały wojować. Jest świnia; zawsze nią będzie. I to było dobre.

* * *

Z nastaniem zmierzchu wydawało im się, że umierają z głodu. Ostrożnie skierowali się w stronę odległych świateł. To był sześciokąt wysokotechnologiczny. Wuckle byli najwyraźniej istotami o dziennym trybie życia, lecz w przeciwieństwie do ludzi mogli prowadzić nocną egzystencję i byli o tej porze aktywni.

To było małe miasteczko; nie gęsto zaludniona metropolia, lecz miejscowość licząca kilkanaście tysięcy mieszkańców. Możliwe, że zostali zaalarmowani i poszukują dwóch zbiegłych zwierząt, a więc Mavra Chang i Joshi musieli zachować ostrożność. Okrążyli miasteczko, węsząc swoimi nowo pozyskanymi nosami w poszukiwaniu zapachów, które musiały tam być. Musiały. Ci ludzie używali pojemników na śmieci, lecz ona wołała nie wtykać w nie nosa, bo to robiło zbyt wiele hałasuj. Ale pojemniki na śmieci oznaczały wysypisko; szukając go, cierpieli katusze przez połowę nocy.

To, co odnaleźli, było wysypiskiem ziemnym: mnóstwo odpadków i śmieci oraz góry ziemi, zgarniane buldożerem dla zasypania bagniska. Częściowo poddano je obróbce chemicznej, by uniknąć zakażenia, lecz nosy zaprowadziły ich do nieskażonych odpadków. Nażarli się czegoś, co w ich poprzednim wcieleniu wydawałoby się; im wstrętne. Jako dzikie świnie nie zwrócili na to najmniejszej uwagi.

Na nieszczęście uczucie głodu nie ustępowało. Nawet kiedy głód przycichał, z trudnością przychodziło im porzucić źródło pożywienia, wiedzieli, że wkrótce będzie im znów tak bardzo potrzebne, jak przedtem. Jednak musieli wędrować dalej. Mavra wiedziała, że pozostawanie w tej okolicy oznaczało nieuchronna niewolę i w najlepszym razie powrót do mocniej pilnowanej zagrody albo nawet do klatki. Przerazająca myśl.

Słońce, choć dawno temu zaszło, wskazało wcześniej kierunek na wschód. Ruszyli łądem. Przeważały tereny bagniste, lecz nie zwracali na to uwagi. Świnie ich rasy należały do niestrudzonych pływaków w głębokich wodach i nie przeszkadzała im ani wilgoć, ani błoto. Prawdę powiedziawszy, zapach błota był dla nich raczej przyjemny, przypominał Mavrze, że ich rodzaj wywodzi się z takich bagien jak to.

Zdawało się, że wszystko przybrało pomyślny obrót. Druga noc zastała ich w pobliżu czegoś, co, sądząc ze wszystkich znaków na niebie i na ziemi, przypominało pole kukurydzy. To było dla nich jak prezent na gwiazdkę, zwłaszcza że brak tu i tam wyjedzonej kolby nie był łatwy do zauważenia, a rosnąca kukurydza dawała doskonałe schronienie.

Trzeciego dnia dosłyszeli z oddali ryk fal uderzających o brzeg. Joshi nie mógł tego słuchać, zwłaszcza gdy stanęli na skalistym brzegu, ze wzrokiem skierowanym w ciemność, nozdrzami wietrząc łagodny, słony zapach. To był wschodni brzeg morza Turagin, przypomniał im o domu.

Mrugające światełka niedaleko brzegu oznaczały niebezpieczne rafy, a potężne latarnie ostrzegały przed większymi niebezpieczeństwami.

Przez pewien czas napawali się widokiem i zapachami. Mavra wpadła w uciwioną rozterkę. Morze symbolizowało jakąś kuriozalną sprzeczność. Tam, za morzem, była wolność, ocalenie, tędy wiodła droga ucieczki, a przecież stanowiło barierę nie do pokonania. Tam znajdowały się wodne sześciokąty. To przypuszczalnie był Zanti, prowadzący do Twosh, zbyt daleko od celu ich wędrówki. Dalej leżał Yimsk, po drodze do Mucrol, tuż obok Gedemondas, lecz i przyległy do sześciokąta pajaków, Shamozan, który należał do ligi Ortegi. Trochę na północ znajdował się Alestol i jego strzelające śmiertcionym gazem rośliny. Wciąż jeszcze musieli przebyć setki kilometrów bagien w drodze do Mucrol i przynajmniej jeden bok sześciokąta do Gedemondas. A jednak, ich cel wydawał się jakiś bliski; na wyciągnięcie ręki, tuż, tuż.

Joshi przejrzał chyba jej myśli.

— Co teraz? — zasygnalizował.

Istotnie, a teraz co? — zadała sobie pytanie. Nie mogli popłynąć. Jeśli pamięć miała jak dawniej dobrą, te światełka oznaczały, że znajdowali się tuż na północ od głównego portu Wuckl, miejsca, gdzie mieli ponownie spotkać Kupca Toorinu, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem.

Lecz jak wiele czasu upłynęło? Jaki to był dzień, tydzień, miesiąc? I, nawet jeśli mimo wszystko zdążyli na czas, w jaki sposób mają wejść na pokład, nie ściągając na siebie uwagi, i jak przekonać załogę o swojej tożsamości?

No cóż, będą tam śmieci i miejsce do spania.

Ruszyli na południe, wzdłuż plaży. Gdy tak szli, posłyszala jak gdyby głos Gedemondiana, dolatujący z niewidzialną bryzą przez ryczące wody.

Zejdiesz do piekieł, szeptał. Dopiero wtedy, gdy prysną wszelkie nadzieje, zostaniesz wyciągnięta. . .

Wszelkie nadzieje giną, kiedy jesteś martwy, pomyślała. Dwie świny będą mogły powiedzieć to Gedemondianom w ich lodem pokrytych kawernach wulkanicznych; rzucą im to prosto w twarz, im, wszystkowiedzącym i zadowolonym z siebie.

Niedaleko granicy między Ecundo i Wuckl

Od tygodni prowadził poszukiwania, wiedząc, że oni muszą tam być. Kurs Kupca, szybkość i pozycja upewniły go, że Mavra nie mogła być nigdzie indziej, jak tylko w Ecundo.

Renard krążył z wolna nad Ecundo, wypatrując, tak jak to robił już z górą dwa tygodnie. Znał Mavrę na tyle dobrze, że przejrzał jej plan. Widział bunda. Widział niejedną okrutną nagonkę Ecundian, widok pierwszej przyprawił go o gwałtowne nudności. Gdyby Mavra i Joshi zostali schwytani, nie mieliby możliwości obrony przed tymi wielkimi, tłustymi skorpionami, ich śmiercionośnymi żądlami, ćwiartującymi ostrzami. Sam się przekonał, jak obrzydliwi potrafią być Ecundianie, gdy wylądował na Domaru, by zadać kilka pytań jednemu z nich.

Ruszyli do ataku, obsypując jego osobę obelżywymi przekleństwami oraz epitetami, i po raz pierwszy od wielu lat został zmuszony do wykorzystania w walce ogromnej potęgi Agitarian. On, niewielkich rozmiarów satyr, był, jak i inni, władcą elektryczności; uodporniony na skutki jej działania, mógł gromadzić w ciele ładunek tysięcy woltów, by wylądowywać go selektywnie na odległość przy pomocy długiego, pokrytego płaszczem miedzi, stalowego pręta zwanego tastem. Zawsze dysponował sporym ładunkiem spoczynkowym, niezbędnym dla zachowania zdrowia, który wzrastał, gdy jego wełnista sierść generowała statyczne ładunki podczas chodzenia.

Twosh z Kupca miał rację: Ecundianie z załogi byli przemiłymi istotami w porównaniu ze swymi ziomkami w ojczyźnie.

Nie rezygnował z poszukiwań, ponieważ wierzył w tę dziwną, napotkaną przed dwudziestu laty kobietę. Ona nie mogła się zmienić. Wspomnił jej zakończony powodzeniem lot i niewyczerpaną pomysłowość. Dziwił się, w jaki sposób oni zdołali uwięzić ją na tak długo.

Rzut oka na mapę przekonał go, że będzie miała tylko jeden cel: Gedemondas, miejsce, które stało się jej obsesją. Był razem z nią w tym zimnym sześciokącie; patrzył, jak moduł silników zostaje strącony od echa krzyku widzów stłoczonych w dolinie; obserwował, jak jednostka przebija skorupę lawy i ulega stopieniu. Jed-

nak nikt z obecnych tam nie przypominał sobie, by widział tajemniczych Gedemondian. Jedynie Mavra upierała się, że nie tylko spotkali się z nią, lecz także ją gościli, że obce, śnieżne istoty zdołały w niewyjaśniony sposób zahipnotyzować wszystkich prócz niej.

Czasami w snach wydawało się Renardowi, że ich widzi, i od czasu do czasu niepokoiło go, że być może ona miała rację — jak dotąd nie myliła się nigdy. Agitariańskiemu psychiatrze nie udało się, mimo wykorzystania najwymyślniejszych technik odczytywania umysłów, obnażyć żadnych zablokowanych wspomnień, więc koniec końców Renard wierzył, że to on, a nie Mavra ma rację i że jego sny są odbiciem jej złudzeń, zwielokrotnionych przez jego szacunek do niej.

Mimo wszystko Gedemondas był jedynym sensownym miejscem na trasie jej ucieczki; ona nigdy nie popadała w panikę, nigdy nie dawała za wygraną i nigdy nie robiła niczego bez celu.

Jedynym połączeniem lądowym pomiędzy Ecundo i Wuckl była trzystupięćdziesięciopięciokilometrowa granica z rozciągniętym wzdłuż niej skutecznym, elektrycznym ogrodzeniem. Zaczął od krańca południowo-wschodniego. Posuwał się po łądzie i w powietrzu wzdłuż granicy, szukając jakichkolwiek śladów, które mogłyby wskazywać na jej przekroczenie. W pobliżu granicy mieszkało niewielu Wuckli; nie miał im tego za złe, bo znał obrzydliwe usposobienie ich sąsiadów i ich brutalne maniery przy stole.

Raptem, nieco dalej niż w połowie drogi, Renard zauważył, że na sporej polaci urządzono park krajobrazowy z rezerwatem dzikiej przyrody oraz że w lesie znajduje się niewielki kompleks zabudowań. Tuż przed nim stała stacja transformatorów, która zasilala prądem i monitorowała następny kilometr ogrodzenia. Do tej pory przy każdej się zatrzymywał i rozmawiał z osobliwymi istotami, które je obsługiwały, wszystko na próżno.

Nagle spostrzegł Wuckla, wychodzącego ze stacji transformatorowej, to była jedna z około dwudziestu pozbawionych obsługi, więc zniżył się, aby przeprowadzić kolejną rozmowę.

Dziób tego Wuckla, jak to u nich bywa, rozdziawił się na wszystkie cztery strony, a głowa kiwała się tam i z powrotem. Wprawił go w zdumienie widok latającego konia, który obniżył lot i wylądował.

Renard szybko zeskoczył z siodła i stanąwszy na dwóch cienkich, kozich nogach, podszedł do Wuckla.

Wuckl gapił się ze zdziwieniem.

— Dzień dobry i tobie — odparł nieco niepewnie. Popatrzył na Domaru z mieszaniną zachwyty i lęku.

— Odbyłem daleką i długą podróż, szukając kogoś, kto wygląda o tak — powiedział Renard, wyciągając fotografię Mavry Chang, dostarczoną przez Ortegę.

Wuckl wziął ją do ręki i obejrzał, raptownie podniecony. Renard domyślił się, że to podniecenie i zdenerwowanie,! choć wydawało się, że dostał konwulsji.

— O co chodzi? — zapytał zaniepokojony. — Widziałeś ją?
— D... dwoje takich — wyjąkał Toug. — Jakieś dziesięć, sześć dni temu. Przyniosłem ich z miejsca, gdzie przedzierali się przez ogrodzenie.
Renard poczuł zdenerwowanie i podniecenie.
— Oni... oni nie zostali zabici, prawda?
Głowa Wuckla zatoczyła koło, co znaczyło: nie.
— Zabrałem ich do gajowego. — Sprawiał wrażenie zmieszanego. — Twierdzisz, że oni nie... nie b... byli zwierzętami?
Renarda nagle opadły złe przeczucia.
— Byli ludźmi. Jedynie pod inną postacią.
— O, rety! — wydusił z siebie Toug i niemal wyszeptał: — Chodźmy lepiej jak najszybciej do gajowego.
Renard złapał lejce Domaru i podążył za zaniepokojonym stworzeniem, niepewny, jak wyjaśnić strapienie Wuckla, jednakże przeczuwał coś niepomyślnego.
Reakcja Touga była niczym w porównaniu z zachowaniem gajowego, który, po wysłuchaniu całej historii, uzmysłowił sobie, co uczynił.
— Nie tknąłem mózgów — powiedział im z pewną ulgą. — Jeśli nie było trwałej szkody od porażenia prądem, skutki kuracji aklimatyzacyjnej ustąpią po kilku dniach, posłużyła ona głównie ustanowieniu zwierzęcych czynności rutynowych i zmianie nabytych wzorów zachowania.
— Czy to jest odwracalne? — zapytał przestraszony Renard.
Gajowy zastanowił się.
— W większym lub mniejszym stopniu tak. Dokładna dokumentacja fotograficzna albo kilka dobrych rysunków i przypuszczam, że tak. Jednakże nie idealnie. Wydaje mi się, że zależeć to będzie od nich.
Renard pogodził się z tym i współczuł gajowemu. Świat był, ogromny i do tego zawity, a Wuckl żył w wielkiej izolacji. Weterynarz wydawał się wciąż przepełniony poczuciem winy.
— Tak mi przykro — nie przestawał powtarzać. — Ja po prostu nie wiedziałem.
Postanowili, że gajowy telefonicznie porozumie się z rezerwatem miejskim, by utorować mu drogę. To wtedy Wuckl dowiedział się po raz pierwszy, że jego dwa okazy uciekły.
— Można się było tego spodziewać — westchnął. — Mnie też nie podobałoby się zamknięcie w takim miejscu. Proszę! Tutaj jest mapa, która zaprowadzi cię do rezerwatu, gdzie możesz rozpocząć poszukiwania. Wiadomość o nich została już umieszczona we wszystkich gazetach. Trzeba będzie dodać informację, że są istotami czującymi, na wypadek gdyby wpadli w ręce innego opiekuna. Na pewno zostaną odzyskani!
Renard wątpił w to.
— Jak do tej pory szczęście wam nie dopisało — zauważył.

— Szukano przecież dwóch nieszkodliwych zwierząt! — odparował gajowy. — Teraz poszukiwania staną się bardziej intensywne.

Pokiwał głową, mimo wszystko bardziej wierząc w umiejętności Mavry Chang niż w pełnych dobrej woli, lecz nieświadomych Wuckli.

— Jeśliby zostali odnalezieni, prześlijcie wiadomość do ambasadora Ulik w Strefie Ortegi — powiedział. — A potem dostarczcie ich do Wrót tak szybko, jak to tylko możliwe.

Instrukcje zanotowano i Renard opuścił przedziwne stworzenie. Wciąż nie rozumiał, jak to było możliwe, by gajowy dokonał tak olbrzymiej pracy, dysponując tak skromnymi urządzeniami.

Kiedy zbliżył się do Domaru, padł na niego olbrzymi cień. Poczł nagłą nerwowość, gwałtownie wzrósł jego ładunek elektryczny, zawrócił i spojrzł do góry. Yaxa opadała niemal na jego głowę.

Dysponując teraz pełnym napięciem, wyciągnął rękę, by odeprzeć spodziewany atak, lecz Yaxa zatrzepotała skrzydłami, wzbiła się lekko i zawołała:

— Zaczekaj! Chwilowo nie jesteście wrogami!

Renard zawahał się, lecz utrzymał pełny ładunek. Nie wiedział, do czego naprawdę zdolne są Yaxy. Ulepione były z twardej gliny, prowadziły wojnę i wyszły z tego cało. Jeśliby mógł wybierać, mając własne zdrowie na względzie, wolałby raczej żyć z nimi w zgodzie, niż z nimi walczyć.

Yaxa przysiadła! pomiędzy nim i pegazem Domaru, który spłoszył się i obserwował podejrzliwie przybysza.

— Ty jesteś Yaxą, o której mówiła mi załoga Kupca Toorinu. Szukasz Mavry Chang — domyślił się. — Daleko od domu, nieprawdaż? Próbujesz pozbyć się konkurencji?

Jej zimna, bezosobowa wypowiedź nie uspokoiła go, chociaż wszystkie Yaxy, jak mu powiedziano, wyrażały się tak samo.

— Nie skrzywdziłabym jej — odpowiedział wielki motyl. — Daję ci na to słowo. Mam na względzie jedynie jej dobro i bezpieczeństwo. Mogę cię zapewnić, że przez wszystkie te lata byłam tą, która chroniła ją przed spiskami mojego ludu i jego sprzymierzeńców.

Renard zachował sceptycyzm.

— Dlaczego?

— Na razie nie mogę ujawnić. Nadejdzie taki dzień... być może. Wiem, że to śmieszne wałkować ten temat z tobą. Czy możemy mówić otwarcie? Ja i mój lud jesteśmy zaciekłymi wrogami Antora Treliga, tak jak i ty. Czy nie wystarczy na razie stwierdzenie, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem? Renard wydawał się zaintrygowany.

— Trelig? Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

— To Trelig podjął próbę zamachu na nią w Glathriel. To Trelig wynajął morderców, którzy zmusili ją do tej ucieczki. Nie ma dostępu na Północ. To była jego jedyna droga. Oboje więc mamy w tym interes, aby ona nie wpadła w jego ręce.

Renard wciąż nie dowierzał.

— Uważasz, że Trelig spróbuje ponownie? Z tego, co wiem od załogi Kupca, roznieśli napastników na strzępy.

— Prawda, lecz to byli płatni oprawcy, zaledwie kilku spośród dziesiątek tysięcy gotowych spełnić jego życzenie dla zysku. Paru nawet teraz przeczesuje to miejsce w poszukiwaniu jej. Moja partnerka próbuje właśnie dowiedzieć się czegoś o ich planach; ona jest niewielka i może dostać się tam, gdzie żadne z nas się nie dostanie.

To go zainteresowało.

— Twoim partnerem jest Lata?

— Masz dobre informacje. Tak, Lata. Podobnie jak ty nie należy do zaufanych przyjaciół Yax i odwrotnie, jednak postanowiłyśmy działać wspólnie, a nie zwalczając się. Powinieneś do nas przystać. To zapobiegnie brutalności i dublowaniu wysiłków, na dodatek będzie was dwoje przeciw mnie jednej, gdybyście mimo wszystko nie ufali motywom, którymi się kieruje.

Renard rzeczywiście nie ufał motywom, którymi kierowało się to stworzenie, lecz w tym, co mówiło, było sporo sensu.

— W porządku, przez jakiś czas będziemy działać w trójkę. Jestem Renard.

Trupia główka Yaxy skłoniła się lekko.

— Wiem. Mnie zowią Wooley. Jak sądzę, Lata jest twoją znajomą, to Vistaru.

— Kiedy ona przyłączy się do nas? — zapytał.

— Spotka się z nami tutaj tak szybko, jak to możliwe — odpowiedziała Wooley. — Tymczasem wymienimy informacje i spróbujemy ograniczyć pole poszukiwań.

Wyglądało na to, że ukrywanie informacji nie miało sensu. Jeśli będzie się wzbraniał, Yaxa uda się po prostu do gajowego i zada te same pytania. Powiedział więc wszystko.

Na koniec Wooley zapytała:

— Jeśli ucieka do Gedemondas, to, bez wątpienia, do tej pory dotarła już na wybrzeże. W jaki sposób przekroczy morze? Ona nawet nie może mówić.

Renard zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Jeśli istnieje jakiś sposób, aby tego dopiąć, Mavra Chang na niego wpadnie.

Hygit, główny port Wuckl

Zapach zdechłej ryby mieszał się z mocnym aromatem solnej mgiełki. Wąski skrawek plaży cały niemal zniknął pod nabrzeżami załadunkowymi i pirsami, w większości wybudowanymi z giętkiego, lecz mocnego, miejscowego drewna. Gdzieś tam stały drewniane i aluminiowe budynki. To był port Hygit, skąd wysyłano do różnych miejsc przeznaczenia ładunki rzadkich warzyw i owoców w zamian za surowce.

Mavra i Joshi żyli przez kilka dni pod jednym z bardziej komercyjnych pirsów — pod rynkiem rybnym, mówiąc ściślej, dokąd przywoziły swój połów* z morskiego sześciokąta Zanti niewielkie łodzie, by wystawić go na targu około południa. Naokoło pirsu można się było niezłe obłowić. Po pierwsze, zawsze leżały tam zdechłe ryby obok handlowych resztek, rozrzuconych w rejonie, sprzątanym tylko sporadycznie.

Mocne pylony i zastrzały podtrzymujące strukturę były naturalnym schronieniem dla świń. Piasek, tyle ile go jeszcze zostało, miał szaroczną barwę, drewno zbrązowiło od deszczu. Były to dla nich barwy ochronne. Nikt prócz inspektora budowlanego raczej nie odwiedziłby ich schowka. Co więcej, to było miejsce związane z handlem, nieprawdopodobny cel rekreacji, a także wycieczek krajoznawczych w wolnej chwili.

A przy tym, można tu było nadstawiać ucha. Skurczona pod wąskimi deskami chodnika, którym przechodzili marynarze oraz dokerzy z Wuckl, Mavra podsłuchiwała potrzebne jej informacje.

Najbardziej zdumiała ją data: upłynęło niewiele ponad trzy tygodnie. Kupiec Toorinu miał jeszcze trzy dni do umówionego terminu przybycia, mnóstwo czasu. W porcie stał siostrzany statek. Także i jego załoga była znana Mavrze, lecz oni o niczym nie wiedzieli ani nie dostali łapówki i nie mogli być dla niej zbytnio użyteczni. Warto by jednak przeprowadzić zwiad na statku; Wuckl było wyjątkowo uczciwym miejscem i w czasie przerw w pracy dokerów wszystkie ładownie pozostawiano otwarte, trapy zaś opuszczone.

Changowie mogliby schować się gdziekolwiek. Byłoby to wykonalne, gdyby byli pewni, że zdobędą trochę żywności i znajdą sposób, by w każdej chwili określić, jaka jest ich pozycja. Rozważała znalezienie lepszej drogi.

Późną nocą wkradła się do magazynu, stąpając miękko, by stłumić rozchodzące się po budynku echo kopyt, stukających po gładkiej podłodze. Identyfikatorami kontenerów ładunku były standardowe, duże etykiety w uchwytych z wyżłobionym rowkiem. Z powodu mnogości ras, biorących udział w wymianie handlowej pomiędzy sześciokątami, z których każdy posiadał własne pismo, miejsce przeznaczenia ładunków określano symbolami ideograficznymi. U góry każdej etykiety umieszczano kolorowy kod albo ideogram ze specjalną instrukcją.

Trafiały się i żywe ładunki. Dookoła stały klatki różnorodnych kształtów i rozmiarów. Razem z Joshim sprawdziła jedną z nich. Miała ona prosty zamek z podwójnym symbolem, nie pomyślano o niczym, co byłoby trudniejsze do pokonania. Joshi zamknął ją wewnątrz klatki, a ona przez kilka minut, oparta o drzwi, trudziła! się nad jej otwarciem, pracując językiem i wargami. Otworzenie drzwi od wewnątrz było trudniejsze, niż wyglądało to na pierwszy rzut oka. Inne zwierzęta także mogłyby rozpracować tak proste skoble, dlatego zaprojektowano je w ten sposób, by temu zapobiec.

W trakcie pracy usłyszeli wyraźne echo kroków, odbijające się od ścian magazynu. Stróż dokonywał obchodu, a Mavra wciąż była wewnątrz klatki. Przez ułamek sekundy Joshi rozważał, czy by jej nie wyswobodzić, lecz uzmysłowił sobie, że hałas ściągnąłby zbyt wiele uwagi i wybrał ukrycie się za kilkoma drewnianymi pojemnikami z warzywami. Mavrze nie pozostało nic innego, jak skulić się w końcu klatki, w cieniu i wstrzymać oddech.

Wuckl przechadzał się na swoich wielkich, ptasich łapach z pazurami, powoli, pewnie. Był zrelaksowany. Świecił ręczną latarką tu i tam, gdzie popadło. Widać było, że nie spodziewa się żadnych kłopotów, ot sprawdzał, jak się rzeczy mają.

Czuła się bezradna, zgarbiła się, jak tylko mogła, i czekała, aż kroki się przybliżą. Światło kołysało się z jednej strony na drugą, a ponieważ stróż znalazł się niemal nad nią, liznęło i ją przelotnie. Mavrę ogarnęła panika, jej kryjówka została odkryta. Lecz światło oddaliło się, Wuckl wymachiwał leniwie latarką na wszystkie strony i nie patrzył za nim.

Wkrótce skierował się w stronę drzwi i wyszedł z magazynu. Zaczęli oddychać, lecz Mavra trzęsła się po tym spotkaniu. Zamknięta w klatce, zapędzona w kozi róg — to dla niej coś nowego, nienawidziła i bała się tego.

Problem istniał w dalszym ciągu. Powróciła do swojej pracy nad zamkiem. W końcu chrząknęła do Joshiego ustalonym kodem:

— To na nic. Wypuść mnie, poprobujemy czegoś innego.

Z zewnątrz skoble łatwo przesuwaly się pod płaskim ryjem Joshiego. Z ulgą, niemal wyskoczyła na zewnątrz. Minęło trochę czasu, zanim przyszła do siebie i zbadała pozostałą część magazynu.

Główną trudność sprawiało to, że wszystko było bardzo wysokie, a oni niewiele odstawali od ziemi. Nawet pod swoją dawną postacią miała ponad metr.

Teraz, na krótszych, świńskich nogach, tłustym brzuchem niemal szorowała po podłodze i zwyczajny stół zdawał się gigantyczną przeszkodą.

Odszukała biuro kierownika i zaczęła rozglądać się po podłodze. Było ciemno. Włączniki równie dobrze mogłyby wisieć na suficie, lecz ona przez prawie połowę życia polegała na innych zmysłach, a były one teraz znacznie bardziej wyostrzone.

W końcu zwiertzyła zapach, tak jak wszystkie, wydawał się inny, niż zapamiętała, lecz nie było mowy o pomyłce. Wślizgując się do połowy pod kartotekę, wytoczyła duży ołówek.

Wokoło leżało mnóstwo skrawków papieru. Udało im się znaleźć kilka sporych kartek. Joshi uniósł je w swoim ryju, ona w swoim trzymała ołówek. Wyszli.

Przez cały następny dzień w swojej kryjówce pod pirsem Mavra próbowała pisać trzymając ołówek w ryju, a on przytrzymywał kartkę raciami. Zadanie było trudne, przeżyli kilkanaście niepowodzeń, zanim coś z tego wyszło. Pismo było drżące, nierówne, okropnie kulfoniaste, ale w końcu sprokurowała coś czytelnego. Przebiegający w poprzek całej kartki słaby napis głosił: JESTEM MAYRA CHANG, POMÓŻCIE MI.

Miała nadzieję, że to wystarczy.

Teraz pozostało jej tylko czekać; statek stojący w porcie wypływał w złym kierunku. Dla niej odpowiedni był tylko Kupiec.

* * *

Ulice Hygit zatłoczone były zabieganymi obywatelami Wuckl. Turkot tramwajów, szum samochodów oraz wszelkie inne dźwięki wskazywały, że jest to wielkie miasto w wysokotechnologicznym sześciokącie. Czwórka idąca jedną z ulic budziła wielkie zaciekawienie nawet w mieście przyzwyczajonym do dziwnych form życia na przepływających okrętach.

Vistaru przysiadła na karku Domaru, burcząc:

— Można by ukryć armię w miejscu takim, jak to. Jej miękki, cieniutki głosik niemal utonął w hałasie.

Renard, prowadząc w tłumie wielkiego pegaza, skinął potakująco.

— To rzeczywiście wygląda raczej beznadziejnie, prawda? Ale ona jest tutaj, idę o zakład. To jedyny port na wschodnim wybrzeżu.

— Będzie trzymała się doków — dodała Wooley. — Może nie pójdzie tak źle, jak myślicie. Zważcie, jak daleka i trudna była droga aż dotąd, teraz nadrobiliśmy stratę. Czuję,! że poszukiwania zakończą się tutaj. Dalej, idziemy na nabrzeża.

Niewysokie wzgórza miasta urywały się raptownie, klif wygładzono mechanicznie. Zeszli w dół stromego zbocza do pirsów. Z góry wydawało się, że z jednego z nich rozciąga się widok na zespół portowy i wzburzone aż po horyzont morze.

— Popatrzcie! — zwrócił ich uwagę Renard. — Dym. Statek zawija do portu!

— Raczej wypływa — odpowiedziała Yaxa. — Powoli się oddala. Wolałabym na nim nie być, niebo wygląda bardzo groźnie.

I rzeczywiście tak było. Ciemne chmury i rzadkie, odległe błyskawice kontrastowały z ciepłem i słońcem, którym się cieszyli. Tam znajdował się kolejny sześciokąt. Odrobinę bardziej różowe powietrze oraz nieco ciemniejsza woda znaczyły granicę pomiędzy Wuckl i następnym sześciokątem.

Oczywiście, takie różnice istniały pomiędzy każdym południowym sześciokątem, lecz zazwyczaj miały niewielkie znaczenie, zależało to od wilgotności, zawartości dwutlenku węgla, domieszki pewnych gazów śladowych lub ich braku. W niektórych sześciokątach przybysze musieli korzystać z respiratorów albo ochronnego sprzętu. Niemniej jednak we wszystkich sześciokątach podróżujący czuli się trochę nieswojo.

— On znika nam z oczu — zauważyła Vistaru. — Spójrzcie, nie widać już dymu. Zwiększają prędkość.

— Zanti jest wysokotechnologiczny — przypomniała im Yaxa. — Rozwinął pełną moc i prędkość.

Zazwyczaj dwa wysokotechnologiczne sześciokąty nie przylegały do siebie, lecz zdarzały się wyjątki. Wuckle pływali kiepsko i nie znosili wody, która miała więcej niż dwanaście metrów głębokości; Zanti, prawie nieruchome rośliny, jakie niewielu miało okazję widzieć — nie mogły znieść głębokości mniejszej niż sto pięćdziesiąt metrów. Pod tym względem pomiędzy dwoma sześciokątami panowała równowaga, żaden nie posiadał czegoś, czego drugi by pożył, a że kilka spraw, na przykład prawo połowu, wymagało współpracy między sześciokątami, więc współżyli zgodnie.

Ni stąd, ni zowąd Renardem targnęto dziwne przecucie w związku z tym statkiem.

— Wiecie — rzekł ponuro — byłoby to draństwo, gdyby to był Kupiec Toorinu, czy coś w tym rodzaju, z nimi na pokładzie.

Ich pościg był długi i nużący. Raptem cała trójka poczuła, że Renard nie myli się. Przyspieszyli kroku.

W dokach znaleźli zmęczonych dokerów, zbierających swoje rzeczy. Wuckle byli zafascynowani obco wyglądającą czwórka, ale zachowywali się uprzejmie.

— Przepraszam, czy to był Kupiec Toorinu, o tam, w lewo? — zapytał Renard posępnie, mając złe przecucia.

Wuckl wstrząsnął się twierdząco.

— Tak jest. Spóźniliście się o dobre pół godziny. Następny statek będzie za trzy dni.

W umysłach trzech przybyszów nie powstał nawet cień wątpliwości, że Mavra Chang jakoś dostała się na pokład.

— Możemy polecić i go doścignąć — zaproponowała Vistaru.

— Lepiej nie — wtrącił się doker z Wuckl. — Kotłuje się tam diabelski sztorm. Gdyby Zanti nie było wysokotechnologicznym sześciokątem, nigdy by nie wyruszyli w morze, jak myślę. Są silni, więc sobie poradzą. Tam wieje wiatr ponad osiemdziesiąt kilometrów na godzinę i pada gęsty deszcz ze śniegiem. To są zimne wody, zanurczcie stopę, jeśli chcecie sprawdzić. To dlatego mamy tutaj mgły niemal co noc.

— Jak długo będzie trwał sztorm? — Wooley zapytała Wuckla.

Doker zakotłował głowę.

— Trudno przewidzieć. Meteorolog w budynku Kapitanatu mógłby wam to powiedzieć. Przypuszczam jednak, że uciszy się nie wcześniej niż jutro po południu.

Yaxa pomyślała przez chwilę.

— Możesz powiedzieć, jak szybko płynie statek w wysokotechnologicznym sześciokącie?

Wuckl przekrzywił głowę, myśląc nad tym.

— W ciszy, rozwijając pełną moc, mniej więcej dwadzieścia pięć, trzydzieści kilometrów na godzinę. Jednak mają za sobą sztorm, więc powiedziałbym, że trzydzieści.

Renard popatrzył po pozostałej dwójce.

— Jeśli sztorm potrwa tyle, ile nasz przyjaciel przewiduje, upłynie około czternastu godzin. Wyprzedzą nas o czterysta dwadzieścia kilometrów. — Odwrócił się do Wuckla. — Tu niedaleko jest granica sześciokąta, prawda? Mam na myśli Zanti i następny wodny sześciokąt.

Doker skinął głową.

— Tak jest. Ale nie popłyną przez Simjim, jeśli dadzą radę. On jest nietechnologiczny. Wzięli kurs na Mucrol i będą trzymali się strony wysokotechnologicznej, jeżeli tylko sztorm nie okaże się zbyt silny. Wiecie, zawsze najlepiej jest płynąć w linii prostej.

Podziękowali Wucklowi i Renard szybko wydobył mapę z juków przy siodle Domaru. Cała trójka wbiła w nią wzrok.

— W porządku, w tym miejscu powinni zejść na ląd w Mucrol — wskazał Renard. — O, tutaj jest Gedemondas, lądem o dwa boki sześciokąta. Mavra, jako pasażer na gapę, musi wysiąść na brzeg w porcie Mucrol. A więc, tam zaczniemy. Jeśli jednak zdołała porozumieć się z załogą, a oni poszli jej na rękę, to założę się, że podpłyną z nią tak daleko na północ Mucrol, jak to możliwe. Dzięki temu pozostanie jej tylko jeden bok do przebycia, tutaj, w pobliżu Alestol. W razie fiaska w porcie Mucrol, tam się skierujemy.

Zatroskana Vistaru wpatrywała się w mapę.

— Nie znam tego Mucrol, ale mam nadzieję, że ona nie przekroczy granicy Alestol. Te obrzydliwe baryłkowate rośliny mogą zagazować cię w kilka sekund.

— Yaxy są przyjaciółmi Alestol — odezwała się Wooley. — Gdybyśmy mogli zatrzymać się przy jakichś Wrotach Strefy, mogłabym wysłać wiadomość, by zwrócili na nich uwagę, nie czyniąc im krzywdy.

— Marne szanse — odparł Renard. — Będziemy blisko granic i wodne sześciokąty nie wchodzi w rachubę. Nie, będziemy trzymać się Mucrol. Ona zna niebezpieczeństwa drugiej strony.

Vistaru pogrążyła się w myślach.

— Interesują mnie jednak niebezpieczeństwa Mucrol.

Renard podniósł głowę i spojrzał wprost na nią. — Wiesz coś o tym miejscu? — zapytał ostro. Pokręciła głową.

— Nic a nic. A ty? Albo ty, Wooley?

Nikt z nich nic nie wiedział. To była zupełna zagadka.

Mucrol

Ti-gan wpatrywał się w południowe słońce ze swego posterunku na szczycie wozu. To była smutna kraina; nadgryziona erozją pustynia czerwieni, oranżu i purpury, samotnych kęp krzewów, kaktusów i pojedynczych drzew, tam gdzie woda gruntowa bardziej zbliżała się do powierzchni. Wyglądało tak tutaj przez większą część roku, z wyjątkiem początku i środka wiosny, kiedy to topniejące śniegi z północno-wschodnich gór zsyłały na ten teren powodzie kaskadami przelewające się przez kaniony, na swój sposób niebezpieczne, jak najście każdego nieprzyjaciela.

Jednak woda była tutaj, tyle że zamknięta pod powierzchnią. Parowe pompy pompowały ją do basenów, których należało pilnować jak oka w głowie. Kontrola nad wodą w krainie sfory była równoznaczna z pełną władzą nad nią.

Ti-gan wyglądał jak skrzyżowanie psa i łasicy. Jego morda kończyła się bardzo spiczastym i wilgotnym nosem, pod którym otwierała się duża paszcza z nieprzyjemnie długimi, ostrymi zębami. Miał zaokrąglone, spodkowane uszy. Jego ciało było nieproporcjonalnie małe, jak na zwierzę o tak wielkim łbie. Ramiona zakończone były krótkimi, grubymi, czarnymi łapami o pięciu palcach, z tak samo czarnymi pazurami. Poruszając się, chodził na wszystkich czterech łapach, lecz siadając, co właśnie robił, sadowił swój pozbawiony ogona korpus na grubych, zadnich łapach jak humanoid.

Dla tego, kto obserwował ich po raz pierwszy, Jednostka Strażnicza Sfory przedstawiała dziwny widok. Masywna, opancerzona platforma spoczywała na gigantycznych, balonowych oponach, osadzonych na oddzielnych osiach i dzięki temu mogła poruszać się po trudnym terenie jak pojazd kroczący. W zewnętrznej metalowej burcie widniały otwory strzelnicze;! mniejsza nadbudówka także była dobrze uzbrojona. Pięć stopniowo zmniejszających się pokładów zakończonych było wielkim, osmolonym kominem, buchającym wielkimi kłębamii pary z popiołem, zasysanymi przez suche powietrze.

Nastała najsuchsza pora roku; najbardziej niebezpieczna. Niektóre sfory musiały się zadowolić jedynie błotnistymi nieckami. Do roztopów było jeszcze przynajmniej cztery tygodnie. Zaczął się okres desperacji. Zwłaszcza w tym czasie wszyscy byli umieszczani w Jednostkach Strażniczych Sfory, wszyscy, z wyjąt-

kiem tych w wioskach wodnych, którzy pełnili podstawową służbę. W każdej chwili spodziewając się gwałtownych ataków, patrolowali teren wokół oazy — klucza do ich władzy.

W Jednostce Strażniczej Sfory było gorąco jak w piekle, choć nieco ulgi dawały ogromne wentylatory. Ponieważ sforze Ti-gana udał się raz handel cennym freonem, produkowanym po drugiej stronie obszaru niezdatnej-do-picia-wody, więc parowa klimatyzacja chłodziła górne kondygnacje. Przyniosło to jednak raczej odwrotny efekt; tak wiele ciał tłoczyło się w chłodniejszych rejonach, że ich ciepło własne wydatnie zmniejszyło osiągnięte korzyści.

Ti-gan wolał pozostawać na zewnątrz, przedkładał nad wszystko powiew stałego wiatru i od czasu do czasu chłodniejszy podmuch od strony dalekich gór. Nikt z Mucrolian nie uważał tych warunków za nie do zniesienia, pomimo że upał i niewygody mocno dawały się im we znaki. Urodzili się w tym środowisku i traktowali je jak jedno ze zwykłych brzemion. Dookoła brzęczały muchy. Leniwie się od nich oganiał. Tak naprawdę nie obchodziło go, co robią, nawet nie miał im tego za złe. To był surowy kraj i każda forma życia miała prawo walczyć o przetrwanie.

Pochylił się w przód, dmuchnął w tubę komunikacyjną. Mały mechaniczny wskaźnik niedaleko niego zadrżał i zadzwonił dzwonek; ktoś wciąż jeszcze zdolny do pracy był w maszynowni.

— Wyrzucić na luz, wszystkie maszyny stop — rozkazał Ti-gan i JSS! zazgrzytał w miejscu. Wyczuwało się jeszcze wibrację i silnik oczywiście hałasował, ale już bez porównania mniej niż do tej pory. Nie wiedział, dlaczego zarządził postój; to był jedynie instynkt rozwinięty wieloletnim doświadczeniem. Coś było nie całkiem w porządku, coś, co musiał sprawdzić. Wyciągnął rękę i podniósł swoje szkła połowe.

Pomimo że jego rasa była ślepa na kolory, widzenie w niemal całkowicie wyblakłych barwach często pozwalało na lepsze wizualne rozeznanie, niż w przypadku rozróżniania wszystkich kolorów. Jego oczy były niezwykle bystre, połowe szkła czyniły je niemal fenomenalnymi. Zbadał wzgórze z prawej strony. Sam nie wiedział, czego szuka. Już był gotów przyznać się przed sobą, że jest przewrażliwiony albo że się starzeje, kiedy spostrzegł ruch bardzo nieznaczny, niknący prawie w różnych odcieniach szarości niskich wzgórz z prawej strony.

Dwie sylwetki, dość powolne. Wyregulował ostrość, próbując zobaczyć, kim są, lecz znajdowały się zbyt daleko. Nie było to nic, co by znał; tego był pewien. Nie byli to; zwiadowcy atakujący jego JSS, nie była to także zwierzyna pustynna.

— Dziewięć stopni na lewo; cała naprzód — wykrzyknął do tuby.

JSS z rykiem obudził się do życia. Z sykiem i jękiem, z początku włączając napęd tylko z lewej strony, zakołysał się. „Cała naprzód” wcale nie oznacza wielkiej szybkości, ale to wystarczy.

W pierwszej chwili dwa stworzenia, usłyszawszy dźwięk,! zmieszały się, potem próbowały ukryć się w płytkim mule. Ti-gan pokiwał głową z zadowoleniem. Pościg za nimi był dla niego igraszką.

— Przyślijcie mi pięciosobowy oddział, pistolety i sieci.

Wewnątrz zapanowało wielkie poruszenie i za minutę oddział znalazł się na trzeciej kondygnacji, gotowy do działania. Skinął na nich i gestem wskazał dwa obce obiekty.

— Jest ich dwóch, jakieś niezwykle zwierzęta. Nic, co bym znał — wrzasnął do dowódcy oddziału. — Spróbujcie wziąć ich żywcem, jeśli zdołacie. Chcę się dowiedzieć, co też, u licha, tu mamy.

Wyteżyli wzrok, ale nie dostrzegli nic. W końcu Ti-gan krzyknął:

— Wejdźcie na platformę zeskokową. Wystrzelę flarę płoszącą. To zmusi ich do ucieczki.

Wspięli się na drugą kondygnację, na płaską powierzchnię wypolerowanego metalu o opancerzonych bokach. Czekali, bardziej w podnieceniu niż w napięciu. Z radością powitali ten krótki antrakt w uciążliwym przypiekaniu się na wolnym ogniu na dole.

Ti-gan załadował flarę wskazującą, dołączył ciśnieniowy cylinder z gazem i przytrzymując się relingu, wystrzelił w tym kierunku, gdzie się ukrywały dwa tajemnicze stworzenia. Nie dbał o to, czy je trafi czy nie. Raczej nie spodziewał się tego; huk i błysk w zasięgu dziesięciu do piętnastu metrów, to wystarczy.

Flara uderzyła w zbocze żlebu i wybuchła z rykiem, który przetoczył się po równinach. Sztuczka się udała. Dwa stworzenia raptownie wyprysły z; cienia w wielkim pędzie. Oddział dostrzegł je.

— Skakać i biegiem! — ryknął dowódca i już ich nie było. Niewielkie ciała poruszały się z niewiarygodną prędkością. Mucrolianie w sprincie osiągnęli sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

JSS zwolnił niemal do zera i gromadka ludzi wyszła na pokład, by przyglądać się pogoni. To było niezgodne z regulaminem, lecz Ti-gan w tych warunkach nie miał serca zapędzać ich na dół; przynajmniej tak długo, jak potrwa polowanie. Wkrótce i tak będzie przerwa.

Oddział rozbiegł się wachlarzem, pędząc uciekające zwierzęta najpierw w jedną a potem w drugą stronę. Chociaż ofiary były szybkie, to oddział był od nich szybszy, a przy tym wydawało się, że ci z oddziału mogą zmienić kierunek w pół kroku. Pobawili się ze zwierzętami przez chwilę, a potem nagle dwóch z nich ruszyło biegiem. Nie wiadomo skąd pojawiła się sprężynowa sieć i rozciągnęła się nad zwierzętami. Ci z oddziału złapali ją, podwinęli z dołu, opuścili ze skrzętem i z łatwością pochwycili zbiegów, mimo ich oporu. Sieć zaprojektowano z myślą o groźniejszych od nich stworzeniach.

Oddział przybliżył się, wybierając sieć. Okrążeni jeńcy zaprzestali walki.

— To są świnie! — wykrzyknął jeden z nich. — Olbrzymie świnie! — W Mucrol żyły świnie ale innego gatunku, były znacznie mniejsze i nie miały owłosienia.

Dowódca oddziału był zaintrygowany.

— Są i nie są. Gatunek pokrewny, lecz nie z Mucrol, to pewne. Ciekawe, skąd się tutaj wzięły.

— Czy smakują jak świnie? — innemu pocięła ślinka.

— Może sprawdzimy — odparł dowódca. — Oddział ma pierwszeństwo w podziale połowu. Wydaje się, że to samiec z samicą. Może opłaci się hodowla, jeśli są takie wielkie i jeśli rzeczywiście smakują jak nasze. — Wzruszył ramionami i westchnął. — Nie my będziemy o tym decydować. Załadować je i jazda do źródeł.

Jeńcy, wciąż w sieci, zostali z wprawą załadowani na małą, okrągłą platformę. Wysunięto dyszel i po założeniu niewielkiej upręży oddział pociągnął wózek przez pustynię w stronę odległej kępy drzew.

Źródła okazały się osadą wielokondygnacyjnych budynków — jakby czerwonych, ceglanych odmian JSS — rozstawionych dookoła rynku z niewielkim stawem pośrodku, pełnym błotnistej na oko wody, otoczonych palisadą z drewna palmowego.

Dwie schwytane ofiary zabrano do znajdującego się na rynku wybiegu dla trzody i zapędzono do dużej, drucianej klatki. Przy usuwaniu sieci dwaj Mucrolianie przekonali się, że dotknięcie długiej sierści stworzeń grozi głębokim i bolesnym ukłuciem. Jednego ze swoich musieli powstrzymać, bo chciał zabić świnie na miejscu. W końcu mały skobel zamknął klatkę, a członkowie oddziału oddalili się; dwóch do punktu sanitarnego, pozostali z powrotem do JSS. Nie śpieszyli się. Przed powrotem na służbę do — jak przyjęło się mówić — „pieca”, przystanęli, aby się napić.

Mavra Chang klęła w żywy kamień, wszelkimi przekleństwami, jakich ją życie nauczyło, a liczba ich była niepoślednia, lecz wszystkie ułożyły się w sekwencję chrząkań i kwików, które dla niewtajemniczonego ledwie wskazywały emocje, a nie sens.

Joshi pozwolił, by wyładowała się w szaleńczych tyradach. Czuł podobny niesmak, lecz upał tłumiał gorący temperament; po prostu schodził jej z drogi, póki nie ochłonęła.

Uspokoiwszy się, dysząc z gorąca i wyczerpania, Mavra oceniła sytuację, w jakiej się znaleźli. Klatka mocno osadzona bolcami w drewnianej podłodze, stała na otwartym polu. Otaczała ich gęsta, stalowa siatka od dołu, od góry i po bokach, jedynym otworem były drzwi na nieco zużytych, lecz mimo to mocnych jeszcze zawiasach.

Po chwili razem z Joshim sprawdzili skobel, próbowali staranować drzwi, uderzając w nie łbem, ciałem, czym się dało. Klatka zatrzęsa się od tych prób. Narobili wiele hałasu, a osiągnęli tylko tyle, że rozbolała ich głowa i krzyże.

— Przyznaj — chrząknął Joshi — że utknęliśmy na dobre.

Wiedziała, że on ma rację, lecz nie chciała się z tym pogodzić. Nie, po tylu próbach, tak blisko celu; nie, skoro góry, które wiodły do Gedemondas oddalone były ledwie o tuzin kilometrów. To nie mogło zakończyć się więzieniem w klatce. Skończą w charakterze doświadczalnego, wieprzowego kotleta, kiedy stanie się dla tych ludzi jasne, że z hodowli nici.

— Może uda się nam z nimi porozumieć — zaproponował Joshi. — Mimo wszystko, z tymi na statku to nam się udało.

— W jaki sposób? — odpowiedziała. — Nie mamy ołówka ani papieru i nie ma tu nikogo, kto mógłby przeczytać to, co napiszę. Nie ma nawet ziemi, na której można by było nabazgrać jakieś symbole. Ale jeszcze się nie poddawaj. Jeszcze zdarzy się coś, co da nam szansę — próbowała go pocieszyć.

Nie był tego taki pewny i, prawdę mówiąc, ona też nie. Kłopot w tym, że chyba zanadto wystawili szczęście na próbę. Zawsze, w jej barwnej przeszłości, przytrafiało się coś, co wyciągało ją z opresji. Nawet gdy rozbiła się na tym świecie wiele lat temu, zbyt obniżywszy lot nad nietechnologicznym sześciokątem, przeżyła coś takiego. Miała z sobą Renarda i Nikki Zinder, oboje gwałtownie uzależniających się od gąbki, ich mózgi ulegały zniszczeniu na jej oczach. Została schwytana przez pożerających owce cyklopów Teliaginu, którzy zamknęli ją w więzieniu tak bezpiecznym jak ta obecna klatka, i czekał ją ten sam los. Wtedy uratowała ją Lata.

Zawsze było tak samo. Kiedy wpadła w pułapkę na Nowych Pompejach, komputer Obie dostarczył jej to, czego potrzebowała, by się z niej wydostać: kompletny schemat prywatnego, małego światka, który gdzieś tam w jej głowie wciąż jeszcze tkwił. Obie przekazał jej przy okazji niezbędne kody, pozwalające uniknąć systemu rażenia satelitów-zabójców.

Przez całe życie... Kiedy jej rodzinna planeta stała się Komlandem, tajemniczy kapitan frachtowca wykradł ją stamtąd i przemycił do Maki Chang, która zabrała ją do siebie, by wychować w przestrzeni. Dobrzy żebracy przyjęli Mavrę i pomogli jej, kiedy Maki została aresztowana. Gimball Nysongi zabrał ją z sobą do magazynów w podziemiach aerodromu Kaliva i obdarował statkiem, gwiazdami, różnymi umiejętnościami i szczęściem, kiedy wszystko wydawało się bezнадziejne. Potem, nawet kiedy Gimball został zabity, a ona kontynuowała tradycję rabunków stuleci w Komlandach, za każdym razem gdy sytuacja zdawała się bez wyjścia, szczęśliwym trafem zdarzało się coś, co ratowało ją od aresztowania i skazania. Schemat był zawsze ten sam.

Wymykała się raz za razem. Doszło do tego, że wyczekiwała, aż zdarzy się coś nieprawdopodobnego: ucieczka w ostatniej chwili, o włos od nieszczęścia, choć

w najciemniejszym zakamarku umysłu wiedziała, że nadejdzie dzień, kiedy to nie nastąpi.

Lecz to nie był ten dzień, powiedziała sobie, zmuszając się do tego, by w to uwierzyć. Nie mogła w to uwierzyć.

Jednak, przyznała uspokajająco, cokolwiek by ją miało ocalić, będzie musiało przyjść z zewnątrz, chyba że tutaj okoliczności zmieniają się na lepsze. Na razie mogła jedynie położyć się i zasnąć, by uciec od suszy i gorąca.

* * *

Słońce zachodziło. Jeszcze kilka minut, a długie cienie pochłoną buchającego parą JSS, który czając się okrążał mięscinę-oazę, i cały teren pogrąży się w ciemności. Na ulicach małego miasteczka już zapalono naftowe lampy, z wieżyczek obserwacyjnych widać było, jak żarzą się matowo. To nie zwiększało ryzyka. Wróg rozpoznałby miasto po zapachu wody. Położenie JSS poznałby po wydawanym przez niego syku, klekocie i po wypluwanym dymie. Jednak bez sensu byłoby wystawiać się pod ostrzał gorliwych kanonierów. W całym mieście panowało zaciemnienie.

Mor-ti wymieniła Ti-gana na mostku; znacznie lepiej widziała w nocy, choć o wiele gorzej oceniała odległość, a więc dobrze była przystosowana do warunków. W nocy, co dziwne, zagrożenie malało. Wprawdzie Mucrolianie w ciemnościach widzą bardzo kiepsko, ale napastnicy musieliby się poruszać w nieznanym, pilnie strzeżonym terenie. Mimo że znane były przypadki takich napadów, w JSS nastąpiło niejaki rozluźnienie; większości strażników pozwolono odwiedzić nieckę z wodą, na pokładzie zostawiając tylko nocną wartę.

I znów szósty zmysł, jakim odznaczali się najlepsi obserwatorzy, zdecydował o dalszych wypadkach. Mor-ti nie dałaby! sobie za to uciąć ręki, ale w otaczającym mroku coś było nie w porządku. Zasygnalizowała do maszynowni, by zwolnili.

Wiała zachodnia bryza od dalekiego morza. Była odrobinę silniejsza niż wiatr, który o zmierzchu chłodził nadmorską równinę, zdmuchując obłoki dymu z kolumny.

Wyteżyła słuch, aby dosłyszeć cokolwiek mimo warkotu zwalniających maszyn i syczenia kotłów. Na zewnątrz coś się czaiło, coś niecodziennego i dziwnego. Dmuchnęła do pneumatycznego telegrafu i otrzymała odpowiedź.

— Dwaj zwiadowcy na górę — rozkazała. — Coś tu się nie zgadza. Utrzymujcie ciśnienie. Możliwe, że...

Zanim dokończyła zdanie, z prawej strony rozległ się huk wystrzałów, a potem gwizd i ryk wybuchów otoczyły JSS.

— Cała załoga na stanowiska! — wrzasnęła do pneumofonu. — Zostaliśmy zaatakowani! Ognia! Kurs zygzakowaty!

JSS z rykiem ożywił się i rozpoczął obronne zmiany kursu. Mor-ti otoczyła opancerzonymi płytami swoje gniazdo obserwacyjne i wyjrzała przez szczeliny.

Wystrzały i eksplozje zbliżyły się otaczając ich. Odłamki metalu odbijały się z głośnym ping, ping; ping od stalowych blanków JSS. Dookoła olbrzymiego, parowego czołgu ziemia eksplodowała kolumnami gorąca i jasności.

Obserwatorzy z przodu i z tyłu próbowali dostrzec atakującego JSS. Kolczasta kula armatnia uderzyła w JSS, powodując gigantyczny wstrząs i wibracje. obrońcy krzyknęli z wściekłości i bezsilności.

— Ostro w prawo i salwa rozsiana! — rozkazała Mor-ti. — Zobaczmy, czy można ich wykurzyć.

Osłony otworów działowych opadły z klekotem po jednej stronie. JSS wykonał ostry skręt. Seria wystrzałów wstrząsnęła nim ponownie, tym razem w wyniku salwy z ośmiu dział oddanej w gęstniejący mrok. Pociski trafiały w ziemię z dużym rozrzutem i eksplodowały z hukiem, ładunek fosforowego żeluz oświetlił okolicę.

Mor-ti miała wrażenie, że dostrzega wrogiego molocho w zamierającym świetle pocisków. Zaryzykowała i skierowała tam swoje JSS, gdzie jak czuła, znajdował się nieprzyjaciel. Kąt padania wystrzałów dowodził, że miała rację; nowa salwa przeleciała wprost nad pojazdem i uderzyła sto metrów za nim.

Dowódca wroga zrozumiał, że to kontratak. Zawrócił swój pomalowany na czarno pojazd i wznosił z przodu ostre, nieprzyjemne narzędzie, które przypominało wielki otwieracz do puszek.

Obrońca zbliżył się na pełnej szybkości, co oznaczało, że będzie potrzebował dobre ćwierć mili, aby zawrócić. Napastnik zwolnił niemal do zera i czekał, jego działa raptownie zamilkły.

Kiedy obrońca minął nieprzyjacielski pojazd pancerny z prawej strony, dowódca napastników zawył do pneumofonu:

— Cała naprzód i tak trzymać! — Jego JSS skoczył do przodu z rykiem silników.

Wyliczenie było niemal doskonałe. Napastnik uderzył w bok broniącego JSS, nie trafił w sam środek, jak planował, lecz nieco z tyłu. Wielkie, korundowe ostrze wbiło się, taranując pędzącego obrońcę.

Zawory parowe staranowanego JSS zawyły jak żywe. Został trafiony kocioł. Uszkodzony pojazd Mor-ti podskoczył, a potem powlókł się wolno w ciemność. Napastnik wykrzyknął do pneumofonu:

— Pompować naftę! — Jego JSS turkotał tuż za okulawionym obrońcą.

Dowódca wroga próbował wycelować w rozpruty pancierz obrońcy, chciał oddać strzał miotaczem ognia. Nie było to łatwe technicznie. Ciśnienia w miotaczu nie można było utrzymywać w nieskończoność, trzeba było mierzyć całym JSS, a w momencie zapalenia nafty stawali się celem widocznym jak na dłoni.

Dowódca podjął decyzję.

— Zapalać! — krzyknął. Drobna sylwetka potarła czymś o burtę JSS i rozjarzona kula żaru została wypchnięta do przodu. Zapalnik stał się celem, do którego obrońcy mogli strzelać, i tak się stało. Napastnicy zapalili strumień sprężonej pod ciśnieniem nafty.

Naraz długa, cienka jak ołówek linia ognia polizała otwory działowe obrońcy — płonąca posoka, skradająca się w stronę pęknięcia w zbroi. Trzeba było zrobić to szybko, bo ilość nafty była ograniczona, jednak dowódca napastników dorównywał Mor-ti umiejętnością manewrowania, skierował dyszę z płonąca cieczą do otworu.

W końcu usłyszał wrzaski z wnętrza trafionego JSS, gdy nafta znalazła to miejsce i ogień się rozprzestrzenił. Prawie natychmiast zajęła się ogniem maszynownia pełna łatwopalnych gumowych węży i drewniana nadbudówka. Broniący się JSS stanął w miejscu. Jego palacze nie mogli opanować płomieni jednocześnie utrzymując ciśnienie w kotłach.

Czując zwycięstwo napastnik staranował nieruchomego JSS. Brnął do; przodu mocą silników przewyciężając opór masy obezwładnionej maszyny bojowej. Powoli, w metalicznym jęku agonii, JSS został przechylony, a potem zgnieciony ze zgrzytem i przewrócony na burtę.

Czarny napastnik cofnął się. Jego żołnierze już wyskakiwali z włazów na rufie, kierując się w stronę miasta.

Obrońcy nie próżnowali. Po ewakuacji z przewróconego JSS żołnierze rozpierchli się w mroku i razem z innymi obstawili miasto dookoła. Latarnie naftowe mrugnęły i zgasły, pograżając wszystko w całkowitej ciemności. Jedyne gwiazdy świeciły nad głowami.

Walka rozgorzała niemal natychmiast. Dopóki nie obudziła się artyleria miejska, harcownicy nękali nieprzyjaciela.

JSS zawrócił i z hałasem skierował się w stronę rozbłysków, odwrócił się burtą do miasta i oddał salwę.

Rozbłyśki oddawanych wystrzałów znakomicie oświetlały scenerię, rysując setki rozbieganych dookoła, niewielkich, ciemnych sylwetek. Na miasto spadł z atakującego JSS śmiertelny deszcz salw artyleryjskich. Bombardowanie zrobiło szerokie wyrwy w ceglanych pueblach. Ludzie biegali tam i z powrotem, krzycząc i wyjąc.

Mavra i Joshi skulili się w swoich klatkach; on ze strachu, ona w bezsilnej wściekłości.

Niedaleko nich ktoś wybiegł na rynek.

— Rozgonić trzodę! — rozkazał. — Zatruc nieckę z wodą! Uciekać! Uciekać! — krzyczał.

Sylwetki rozpierchły się, by uniemożliwić napastnikom korzystanie z owoców zwycięstwa. Ktoś przebiegł wzdłuż zagrody, otwierając furtki. Przerazone

zwierzęta rozbiegły się na wszystkie strony. Nie zatrzymał się jednak przy ich klatce, lecz uciekł.

Pocisk rozerwał się bardzo blisko nich i jakiś odłamek uderzył w klatkę. Skulili się tak blisko siebie, jak tylko mogli, próbując odsunąć się jak najdalej od śmiertelnych wybuchów.

Drugie uderzenie, potem trzecie, bardzo bliskie, trafiło we wznoszący się nad ich klatką budynek z cegły. Wielki kawał gruzu upadł, uderzając w ścianę ich klatki i rozdzierając siatkę. Żadne z nich nie czekało ani sekundy, nie potrzebowali się porozumiewać; dopadli do dziury. Ciężko było się wydostać. Część klatki wciąż tarasowała im drogę i Joshi utknął, boleśnie zawieszony na brzuchu, do połowy na zewnątrz. Mavra, widząc, w jakim jest kłopotcie, przyskoczyła do niego i trąciła go w pośladki, wypychając na zewnątrz, lecz nie obyło się bez przecięcia na brzuchu. Upadł na ziemię i teraz ona podjęła próbę. Jej nogi były po prostu za krótkie, tłuste, świńskie ciało było zbyt ciężkie i zawisała tak samo jak on. Nie myśląc o bólu i przerażeniu, pokuśtykał do niej. Rozpaczliwie zakołysała się w przód, próbując obniżyć przednią część ciała. W końcu udało mu się złapać ją zębami za przednią racicę. Pociągnął. Ostre kły rozdarły jej ciało, ale to wystarczyło i stoczyła się na niego. Dźwignęła się i stwierdziła, że nie może oprzeć się na zranionej nodze. Trzy będą musiały wystarczyć, powiedziała sobie i ruszyła, byle jak najdalej od zamieszania. Szybko podążył za nią.

Dookoła nich z głośnym grzotem padały pociski, biegali rozkrzyczani, wyjący Mucrolianie; strzelali w noc na oślep i od czasu do czasu umierali.

Gdy siły atakujących zbliżyły się, w ciemności zaroilo się od mnóstwa białopomarańczowych światełek. Nie podjęli żadnych kroków, by otoczyć miasto, prawdę mówiąc, mieli nadzieję, że obrońcy wycofają się. To oaza była ich celem, a nie ludzie. Zrozumiawszy to, Mavra i Joshi podążyli w ciemność na tyłach, gdzie nie było widać błysków.

Ich największą troską było uniknięcie stratowania przez przerażone zwierzęta i wycofujących się Mucrolian. Kolejna trudność polegała na tym, by nie dać się zastrzelić przez ogarniętych paniką obrońców.

W końcu odgłosy bitwy przycichły za ich plecami. Atak powiódł się. Po raz kolejny byli wolni. Pojawił się jednak następny problem: będą musieli dzielić surową krainę z dużą liczbą uciekinierów, dla których pierwszorzędne znaczenie będzie miało zdobycie żywności. Jeśli świnie zostaną złapane, pomysł o hodowli przejdzie do historii.

* * *

Światło brzasku odsłoniło przed oczami trzech powietrznych obserwatorów niesamowity widok. Z wysokości czterystu metrów ujrzeli pustynne terytorium w

całej okazałości, aż po zamglone góry w oddali. Tam, w dole była jatka; martwe! ciała, kadłub JSS, zbombardowane budowle oazy. Duża grupa Mucrolian ścigała mętny kozuch z powierzchni stawu, by woda mogła być znowu zdatna do użytku. Milczące JSS napastników stało w pobliżu. Obok niego pracowało prowizoryczne urządzenie, hałaśliwie filtrując wodę, by przetłoczyć ją do kotłów imponującej, bojowej maszyny.

— Mój Boże! — To było wszystko, na co mógł się zdobyć Renard.

— Jeśli byli w tym wraku, nie wiem, jak mogliby ujść cało — powiedziała posępnie Vistaru.

— Ta Mavra Chang dokona tego — zapewniła ją Wooley chłodnym, pewnym głosem Yax. — Tutaj jednak nie lądowałabym ani nie zatrzymywałabym się na długo. Nawet z tej wysokości widać, że większość zwierząt została zabita albo uciekła. Słońce wstało. W dalszym ciągu trzymałabym się najkrótszej, prostej drogi do Gedemondas. Oni tam będą.

Pozostała dwójka chciały być tego tak samo pewna.

Na północny wschód od zbombardowanej oazy mogli czasami dostrzec sfory mucroliańskich uciekinierów. Niektórzy z nich, dobrze uzbrojeni, próbowali się przegrupować. Raz czy dwa razy ci z ziemi zauważyli dziwne stworzenia u góry. U niektórych wzbudziło to podniecenie, oddali w ich kierunku kilka strzałów, lecz przeważnie byli ignorowani.

Z całej trójki Yaxa odznaczała się najlepszym wzrokiem. Przewyższała ich znacznie w rozróżnianiu kolorów, kontrastów, głębokości i wszelkich innych parametrów, a więc zdali się na Wooley przy starannym przeczesywaniu terenu.

Kilkakrotnie spostrzegła niewielkie zwierzęta, więc zniżyli lot, by dokonać z bliska inspekcji, lecz one zawsze okazywały się tylko zwykłymi zwierzętami.

Wczesnym popołudniem fałszywe alarmy zaczęły całej trójce działać na nerwy.

— Może powinniśmy udać się dalej — zaproponowała Vistaru. — Zbadamy drogi aż do granicy, a potem zawrócimy.

To było rozsądne, lecz Wooley niechętnie zbierała się do odlotu.

— Jeśli są w jednym z tych wyschniętych źródeł, uciekinierzy szybko się z nimi uporają — zauważyła.

Skęcili nieco na zachód, gdzie jakieś wyschnięte koryto przechodziło w solną płaszczyznę, którą musiał przebyć każdy idący w stronę gór.

— To jest dobre miejsce — kompromisowo załatwił spór Renard. — Wcześniej czy później będą musieli przekroczyć tę równinę, a poza tym możemy widzieć wszystko z dużej odległości.

— Chyba że już ją minęli — odparła Vistaru z wyraźną obawą.

— Lepsze to od dalszych poszukiwań na ślepo — zauważyła Yaxa.

Postanowili działać zgodnie z planem Renarda. Wylądowali na pół godziny dla wytchnienia, po czym ponownie wzbili się do góry.

Dzień się miał ku końcowi, kiedy wreszcie coś się wydarzyło.

— Na prawo! — krzyknęła Wooley. — Mucrolianie kogoś ścigają! Dwa obiekty!

W pierwszej chwili nikt z pozostałych nie zobaczył tego, co dostrzegła, ponieważ Lata prowadzą nocny tryb życia, a Renard miał tylko zwyczajne oczy. Mimo wszystko ruszyli za Yaxą.

— Tam! — wykrzyknął Renard i wskazał coś, pochylając się w siodle.

Pół tuzina Mucrolian ścigało dwa mniejsze, ciemne obiekty przez żółtobiałą równinę. Nie były to zawody. Tubylcy byli dużo szybsi od swoich ofiar.

— To Mavra! — wykrzyknęła Wooley głosem pełnym emocji, jaki po raz pierwszy usłyszeli u zwykle beznamiętnego motyla.

Renard wydobył długi pręt z pochwy, zawieszanej na szyi Domaru.

— Pilnujcie, aby mnie nie zestrzelili! — krzyknął do pozostałych. — Schodzę w dół!

Mucrolianom znudziła się pogoń i zacieśniali śmiertelną pętlę, kiedy tuż nad głowami usłyszeli łopot mocarnych skrzydeł. Jeden odwrócił się, podniósł wzrok i krzyknął do swych kamratów.

Mavra Chang także ich zauważyła i natychmiast domyśliła się, kim są, chociaż Yaxa była dla niej niespodzianką. Nie miała zamiaru wpaść w sidła. Wykorzystała chwilę, i kiedy Mucrolianie zawrócili, by zmierzyć się z nowym zagrożeniem, i pomknęła przez równinę, wyciągając wszystkie siły. A Joshi za nią.

Jeden z Mucrolian podniósł strzelbę i nagle zderzył się z niewielkim obiektem. Pierwsza zerwała się na nogi Vistaru, uderzyła stworzenie w mordkę i zatopiła żądło. To natychmiast odwróciło uwagę sfory od Renarda, ruszyli ku niej.

Domaru zniżył lot i Renard zaatakował swoją iglicą. Tysiące wolt zmagazynowane w jego ciele spłynęło wzdłuż prawego ramienia do pręta. Poraził jednego; błysnęło jaskrawo i wojownik upadł z jękiem.

Nie byli to zgrani żołnierze, lecz zdesperowani uciekinierzy i atak pomieszał im szyki. Na akcję Renarda odwrócili się w jego kierunku. Podniosło się jeszcze jedno narzędzie bojowe i Vistaru zaatakowała ponownie. W tej samej chwili Renard powalił następnego swoją iglicą.; Pozostali dwaj Mucrolianie, chociaż uzbrojeni w broń krótką, wpadli w panikę i co sił w nogach umknęli w poszukiwaniu kryjówki.

Renard zaśmiał się triumfalnie i wylądował niedaleko leżących na ziemi ciał. Vistaru usiadła delikatnie na grzbiecie Domaru.

— Uff...! — sapnęła. — Nie robiłam tego od lat!

— Ty to mówisz! — śmiał się Renard. — Jak za dawnych dobrych lat! Niezwyciężeni! — Nagle jego uśmiech zniknął. — Gdzie Wooley?

Odwrócił się i rozejrzał dookoła, to samo zrobiła Vistaru.

— Tam! — krzyknęła.

Pomarańczowe skrzydła widniały daleko na horyzoncie. Leciąca w kierunku granicy Alestolu.

— Zostaliśmy przechytrzeni! — warknął Renard. — Podczas gdy my walczyliśmy, ona porwała Mavrę!

Ruszyli w pościg, lecz był to daremny wysiłek. W locie Yaxa dorównywała, a nawet może przewyższała Domaru, jednakże Vistaru mogła tylko na krótko rozwinąć dużą szybkość. Z każdą minutą dystans powiększał się. Wlecieli do Alestol, tam gdzie kraina była zielona i śmiertelnie niebezpieczna. Na ziemi olbrzymie baryłkowate rośliny ustawiły się równolegle do kursu ich lotu i czekały na nich, aż wylądują.

— Wszystko na nic! — powiedziała do niego Vistaru. — Wiem, dokąd ona leci, bierze nas za durniów!

Renard nie chciał dać za wygraną.

— O czym mówisz?!

— Leci do Wrót Strefy w Alestol. Zabiera ich do ambasady Yax w Strefie. Jednocześnie nas wciąga coraz bardziej i bardziej w głąb sześciokąta Alestol, który stał w czasie wojen po ich stronie. Będziemy musieli prędzej czy później wylądować, napić się lub odpocząć, wtedy te strzelające gazem rośliny dostaną nas i pożrą, tak więc musimy się wycofać. Natychmiast! Co gorsza, już zwabiła nas w miejsce bardzo odległe od tych Wrót Strefy, z których moglibyśmy skorzystać!

Renard nie chciał uznać oczywistych faktów, lecz ona miała rację. Gdy tylko stało się jasne, że Wooley nie można doścignąć, jedyne, co im pozostało, to skierować się do Wrót Strefy, zaalarmować Ortegę i czuwać w Strefie. Na nieszczęście, oddalili się o dobre sześćset kilometrów od Wrót, byli przy tym bardzo wyczerpani.

Yaxa nie tylko porwała Mavrę Chang, ale udało jej się zdobyć nad nimi przewagę. Upłynie dzień lub nawet więcej, zanim o tym doniosą, ci jedyń, którzy o tym wiedzieli.

Przeklinając własną głupotę, odlecieli na Południe. Do Palim.

Strefa Południowa

Chociaż działo się to na terenie ambasady Yax, jedynie dwóch techników spośród stłoczonych przy stole stworzeń należało do tej rasy. (Obecny był jeden Wuckl, a obok niego siedzieli przedstawiciele innych ras, które w najgorszym razie zachowywały neutralność, w pewnych sytuacjach przyjazną wobec gospodarzy.

Wysoki minotaur przystanął przed drzwiami, zawahał się, oglądając z zaciekawieniem widniejący na wszystkim symbol. Inaczej było w jego rodzinnym Dasheen, gdzie posługiwano się standardowym symbolem w kształcie hexagonu. Yaxy korzystały z ideogramu, który w pierwszej chwili pomyłkowo wziął za symbol stylizowanych skrzydeł. Po chwili zdał sobie sprawę z pomyłki. Państwo Yax graniczyło z Barierą Równikową. Kompozycja składała się z przepołowionych sześciokątów, złączonych bokami. Jedynie dwadzieścia cztery sześciokąty były tak podzielone po obu stronach. Bariery. „Skrzydła” były w istocie połowami połączonych sześciokątów.

Kiedy zajrzał do pomieszczenia, zbliżyła się do niego Yaxa, stojąca na zewnątrz.

— Pan Julin? — zapytała.

Minotaur odwrócił się i skinął potężnym łbem.

— Tak. Otrzymałem waszą wiadomość i przybyłem tak szybko jak tylko mogłem, po uporządkowaniu spraw na farmie. Co tam się dzieje?

— Ambasador Windsweep — przedstawiła się Yaxa swoim oficjalnym pseudonimem. — Te dwie istoty to Mavra Chang i jej małżonek. Dokonujemy drobnego zabiegu chirurgicznego, aby było nam wszystkim łatwiej.

Julin był zaintrygowany.

— Chang? Po co się trudzić? Jeśli wpadła wam w ręce, pozбудьте się jej i boisko należy do nas.

Wydawało się, że Yaxa okazała zniecierpliwienie albo westchnęła, a może jedno i drugie.

— Panie Julin, chciałabym przypomnieć, że nie brak nam kłopotów. Po pierwsze, musimy dotrzeć na Północ. Po drugie, musimy polegać na Bozogach, by zabezpieczyć statek przed Uchjmami i przygotować odpowiednią platformę starto-

wą. Po trzecie, powtarzam, w drodze do waszej planetoidy znajdziemy się w polu działania robotów strażniczych Antora Treliga. Panie Julin, jak brzmi dzisiejszy kod hasła dla robotów?

Wyglądał na wystraszonego.

— Ja. . . ja nie jestem pewny — wyznał. — Właśnie planowaliśmy przesłuchać je wszystkie z przyspieszonej taśmy.

— A jeśli roboty mają zaprogramowaną tylko mowę zwolnioną? — zapytała Yaxa-ambasador. — Mamy, zgodnie z tym, co sam pan powiedział, tylko trzydzieści sekund na podanie kodu. Jeśli taśma nie będzie działać, jesteście zgubieni.

Myśl ta nie przypadła mu do smaku, zwłaszcza, że to była prawda.

— No i co dalej?

— Mavra Chang przybyła na Nowe Pompeje jako gość, czyż nie tak? Nie była tam nigdy przedtem.

— To prawda — przyznał Ben Julin. — W czym więc rzecz?

— A jednak Chang porwała statek kosmiczny, co było w zasięgu jej możliwości, i przeleciała tuż obok robotów strażniczych. Bez przeszkód! Proszę powiedzieć, panie Julin, jak jej się to udało?

Do tej pory łamał sobie nad tym głowę tysiącrotnie.

— Chciałbym to wiedzieć — odrzekł. — Najlepsze, co przychodzi mi do głowy, to to, że zdradziecki komputer ujawnił jej hasło, kiedy przepuściliśmy ją przez niego. Prawdopodobnie, niech to licha, przekazał jej jedynie kod na ten szczególny dzień. Hasło jest zmieniane, wiesz o tym.

Potwierdzając, Yaxa ugięła lekko cztery przednie kończyny.

— Ale Trelig posłużył się kodem, kiedy startowaliście dzień później po Mavrze Chang. Nie słyszałeś go, byłeś zbyt zajęty pilotażem. Udowodniła to głęboka hipnoza. A więc pewne kody pochodzą dokładnie z dnia i godziny, kiedy odleciała Mavra Chang. Czy tak?

— To prawda! — przytaknął, zaczynając dostrzegać sedno sprawy.

— Wiemy od ciebie, że istnieje pięćdziesiąt jeden fraz kodu, po jednej na każdy dzień. Są one zmieniane codziennie, nawet po dwudziestu dwóch latach. Możemy więc zacząć od daty ucieczki Mavry Chang i wyliczyć, na jaki dzień to teraz przypada. Znamy standardowy kalendarz Kom, a zatem, wybierając datę przybycia, możemy być pewni, że się nam powiedzie.

Rozumowanie Yaxy spowodowało, że Julin poczuł się nieswojo. Dopóki on był jedynym pilotem, do niego należała absolutna władza. Mavra Chang zagrażała jego potęgę; była niewiadomą. Nie miał pojęcia, co jeszcze komputer umieścił w jej mózgu. Nie życzył sobie, by ponownie znalazła się na Nowych Pompejach, to pewne.

— Przecież możecie wydobyć z niej kod pod głęboką hipnozą i na tym po przestać! — zaprotestował.

— Próbowaliśmy — odparła Yaxa. — Tak jak kiedyś Ortega. To nam się na nic nie zdało. Do tego, co Obie umieścił w jej mózgu, można dotrzeć jedynie w specyficznej sytuacji. Nic nie pamięta, dopóki nie będzie jej to potrzebne. Ani my, ani ona nie mamy do tego dostępu.

To była tylko po części prawda. Yaxy nie darzyły sympatią Bena Julina nie mówiąc o zaufaniu, i wołały mieć w zanadrzu narzędzie nacisku. W rzeczywistości znały słowa kodu, ponieważ Mavra wypowiedziała je i świadomie z nich skorzystała podczas ucieczki. Zablokowane zostały pozostałe informacje.

Zdominowana przez osobników płci męskiej kultura, w której jedynie kobiety pracowały, aj mężczyźni zbierali owoce, odpowiadała wrodzonej, amoralnej naturze Julina. Społeczeństwo Yax rządziło się zupełnie innymi prawami: zasadniczo męski przedstawiciel Yax był maszyną płciową, zabijaną i zjadaną przez partnerki po odbyciu aktu. W tej zdominowanej przez płęć żeńską społeczności dodatkowa wiedza Mavry Chang zasługiwała na większe zaufanie.

Julin niechętnie pogodził się z sytuacją.

— W porządku, w takim razie idzie razem z nami. O co tu zatem chodzi? — Wskazał zaimprovizowaną salę operacyjną.

— Chang i jej towarzysz zostali przez Wuckli przekształceni chirurgicznie w świnię — wyjaśniła Yaxa. — To nieważne, dlaczego. I tak nam nie brakuje problemów. Kombinezony ochronne niełatwo poddają się zmianie. Ponownie wszczepiamy im struny głosowe. Pracuje nad nimi Wuckl, który dokonał operacji, i pięciu chirurgów z najbardziej zaawansowanych biologicznie sześciokątów, jakie znamy i jakie możemy przekupić, mając pewność co do tego, że nikomu innemu nie dadzą się podkupić. Niektóre ich umiejętności są niewiarygodne.

— Twierdzisz, że przywrócą im poprzedni wygląd? — Julina zatkało. — Rety! Myślałem, że to niemożliwe!

— Zabiegi kosmetyczne — powiedziała ambasador Windsweep — są łatwe. Dopasowanie ciał do kombinezonów, które posiadamy, jest trudniejsze. Sądzę, że będziesz zdumiony.

Julin wzruszył ramionami z rezygnacją. Byłby szczęśliwszy, gdyby umarli na stole operacyjnym.

On i Yaxa wkroczyli do biura ambasadora, gdzie minotaur zajął ogromny, pluszowy fotel ustawiony tam specjalnie dla niego.

— A więc, jak wygląda rozkład jazdy? — zapytał.

— Już porozumieliśmy się z Torshindem — wyjaśniła Windsweep. — Spodziewają się nas za dwa dni. Tyle czasu! powinno naszym więźniom wystarczyć do odzyskania sił. Z naszej strony dostarczyliśmy już cały sprzęt, wszystkie najważniejsze przyrządy zostały przetransportowane przez Torshinda i jego współpracownika do Yugash — Macka opadła w dół niby wąż, aby uchwycić i unieść cylinder z tworzywa, wypełniony białą cieczą.

— Oto sposób na przeżycie. Zabranie czterech krów po to, aby nie zabrakło ci wapnia i laktozy, okazało się niezmiernie kosztowne. To nas uwolni od kłopotu.

Julin spojrział nieufnie na pojemnik.

— Ile tego macie? — zapytał nerwowo.

— Potrzeba ci naprawdę niewielkiej ilości dziennie — wyjaśniła Windswe-ep. — Dysponujemy trzymiesięcznym zapasem. Nawet po upływie tego czasu mógłbyś przetrwać dwa miesiące. Jeśli nie wykonamy zadania do tego czasu, wszyscy będziemy martwi.

Julin spojrział na pojemnik z nadzieją, że ambasador się nie myli.

— Zawsze możesz się wycofać, wiesz o tym — przekonywała Yaxa. — Przede wszystkim nie możemy zmusić ciebie do udziału w wyprawie, mimo że jesteś nam potrzebny ze względu na swoją znajomość komputera.

Minotaur wyrzucił ręce do góry.

— Wiem o tym doskonale — powiedział pokonany.

* * *

Chirurdzy musieli rozwiązać kilka problemów. Zmiany kosmetyczne można było oczywiście łatwo usunąć, lecz nogi nie zmieściłyby się w żadnym kombinezonie ciśnieniowym. Yaxy sporządziły skafander według własnych, przestarzałych form, które jednak uznano za nieprzydatne z powodu całkowicie odmiennego kształtu świńskich kończyn. Gdyby przywrócić im poprzedni wygląd, Changowie okazaliby się stworzeniami małymi, słabymi, powolnymi i na dodatek ich twarze obrócone byłyby w dół, jednym słowem — staliby się tylko balastem dla ekspedycji.

Problem polegał więc na tym: co zrobić — zakładając, że Mavrę Chang można będzie usidlić, uczyniwszy z Joshiego zakładnika — aby podczas podróży okazali się przydatni. Jak dopasować do nich skafander, zdjęty z Przybysza, który kiedyś wpadłszy z gwiazd do Wrót Studni albo do bezludnego świata Markowian, wylądował prosto w Strefie? Rozwiązanie problemu stało się palącą koniecznością. Choć tuziny ras osiągnęły kosmos, to jednak wielu innym to się nie udało. Dopiero Yaxy podsunęły rozwiązanie.

Ponad dwa stulecia temu, Nathan Brazil — postać niemal mityczna, możliwe, że ostatni żyjący Markowianin — przewędrował Świat Studni. Niewielu z tych, którzy go widzieli, jeszcze żyło. Sporo wysiłku kosztowała propaganda, by przekonać większość, że był on postacią legendarną, niczym więcej. Prawie wszyscy naoczni świadkowie popierali, rzecz prosta, Ortegę, Ortega też spotkał się z nim osobiście. Jeden z nich jednak był sojusznikiem Yax i tyle tylko było potrzeba.

W odległym kraju Murithel, zamieszkałym przez dzikich Murniów, żywiących się żywym mięsem, ciało Brazila zostało okrutnie zmasakrowane, a Murniowie w

jakiś sposób przeszczepili jego świadomość do ciała wielkiego jelenia. Wiedziało o tym, chociaż badania były utrudnione, gdyż Murniowie skłonni byli zadawać uprzejme pytania dopiero po pożarciu badacza. Mimo wszystko udało się i przynajmniej przedstawiciele dwóch ras na Północy o tym się dowiedzieli.

Do sali operacyjnej zajrzała Yaxa.

— Cuzicolowie są tutaj! — zaanonsowała.

Pochodząca z Północy rasa Cuzicolów handlowała z Yaxami.

Dziwne stworzenie, podobne do metalicznych żółtych kwiatów o setkach ostrych kolców, stało na cienkich nogach. Kilka rubinowoczerwonych punktów, osadzonych w dyskowatej głowie, zamigotało, kiedy istota przemówiła:

— Wprowadzić pierwszego — rozkazała.

Wszyscy pragnęli asystować. Każdy zaprzedałby swą duszę, gdyby wierzyli w jej istnienie, byleby być przy tej operacji. Większość uważała ją za niemożliwą do przeprowadzenia. Nie wierzyli, że można przeszczepić coś nieuchwytnego. I stali się tego świadkami, nie raz, ale dwa razy: przemiany w zwierzę, po części tworu chirurgii, po części mistyki. Nie zastosowano tej samej metody, której użyli Murniowie — w wielkiej mierze polegała na technicznej zręczności, ale okazała się skuteczna. Wszyscy przyznali, że z problemami zarówno dopasowania skafandrów, jak i przydatności obiektów dla ekspedycji, uporano się w sposób zadowalający, przy minimalnym zakłóceniu zwyczajów podmiotów. Przywykli do tego, że są czworonogami, kopytnymi zwierzętami, i takimi mieli pozostać. Zręczność Wuckla wykorzystano przy sporządzeniu dla obojga szczątkowych krtani i przy implementacji translatora Joshiemu. Ich głos przybierze niską tonację i będzie nieco sztuczny, ale to nie szkodzi. Translatorowi wystarczyło do modulacji byle jaki sygnał.

Mavra Chang ocknęła się. Ostatnie, co zapamiętała, to ucieczka poprzez pustkowie słonych równin, z dala od swoich wybawicieli, cztery mocarne macki, nagle owijające się dookoła niej, dwie inne omotujące Joshiego; porwanie w niebo i bolesne, poprzedzające utratę przytomności ukłucie. Teraz znajdowała się w jakimś pokoju. Nie ulegało wątpliwości, że stworzono go dla istot różniących się od tych, które znała. Wszędzie rozrzucono dziwne poduszki, rozstawiono osobliwe meble i sprzęty. W dalszym ciągu była krótkowidzem, a teraz na dodatek stała się niewrażliwa na kolory. To ją zaniepokoiło o wiele bardziej niż delikatna dystorsja typu „rybiej oko”, na którą teraz cierpiała. Zawsze cieszyło ją patrzenie na kolory, a teraz odebrano jej tę przyjemność.

Domyślała się, że poddano ją ponownej transformacji. To było oczywiste, świadczyła o tym zmiana percepcji i fakt, że zmienił się jej wzrost oraz kąt widzenia. Pomyślała, że jak na kogoś, kto nie przeszedł przez Studnię Dusz i nie uległ przemianie przez tę olbrzymią maszynę w stworzenie z tego świata, zmieniała się częściej niż jakikolwiek mieszkaniac Świata Studni. Czymkolwiek była, szczyciła się sporym pyskiem. Dzięki szeroko rozstawionym oczom mogła to łatwo stwier-

dzić. Spróbowała poruszyć się i zobaczyła, że kajdany krępują wszystkie cztery nogi.

Jej uwagę przyciągnął jakiś pobliski szmer. Kiedy obróciła głowę, zobaczyła niskiego konia, mniej więcej wielkości szetlandzkiego pony. Był złocistej maści, miał grube, mocne, zakończone kopytami nogi i gęstą grzywę, a pomiędzy uszu opadał gruby kosmyk włosów niemal sięgający oczu.

— Joshi? — z niedowierzaniem powiedziała głośno do siebie.

— Joshi! Odzyskaliśmy mowę! — wykrzyknęła podniecona.

Zwierzę drgnęło.

— Mavra? — rozległ się dziwny, elektroniczny głos.

Patrzyły na nią oczy konia.

— A więc teraz jesteśmy końmi, które mówią, hę? — odparł posepnie. — Co dalej? Końskie muchy?

— Oj, przestań! — skarciła go. — Wyszliśmy na tym lepiej niż poprzednio. Żyjemy, jesteśmy zdrowi i razem.

To do niego dotarło. Pierwszy raz mówiła o czymś, co było mu drogie, wydało się, że to dodało mu energii.

— W porządku, w porządku — odpowiedział. — A więc, w czyich jesteśmy rękach tym razem? Jeźdźca na koniu czy motyla?

Rozejrzała się dookoła.

— Na pewno motyla. Dlaczego i po co, na razie nie mam pojęcia, ale zdaje się, że wkrótce się tego dowiemy.

Nie przerywali rozmowy, bardziej ciesząc się z odzyskanej możliwości porozumiewania, niż z tego, że mogli omówić coś ważnego. Żadne nie zdawało sobie sprawy, jaki wpływ na nich miała wcześniejsza izolacja, dopóki nie mogli ze sobą rozmawiać.

Po półgodzinie skrzydła drzwi rozsunęły się z jękiem. Do środka wkroczyła Yaxa, równie ogromna i okrutna w szarościach, czerni i bieli, jak w kolorze.

— Widzę, że obudziliście się — zaczęła dziwnym, lodowatym głosem. — Na imię mam Wooley. Wiecie, kim jesteście i kim ja jestem.

— Czego chcesz?

Trupia główka Wooley zwróciła się w ich kierunku.

— Czy chcielibyście powrócić na Nowe Pompeje? — zapytała.

Mavrze niemal zaparło dech w piersi. Nowe Pompeje! Przestrzeń! Gwiazdy! Ale...

— Jest ze mnie pilot, że ho-ho — odparła z sarkazmem.

Wooley nie zareagowała na ten komentarz.

— Nie jesteś nam potrzebna jako pilot, chyba że zapasowy. Przypominasz sobie Bena Julina?

Mavra myślała przez chwilę. Prawdę powiedziawszy, rzadko miała okazję widzieć Julina, młodego naukowca, przed pulpitem testowym Treliga. W mózgu nie

pojawił się żaden obraz. Wszystkie przeżycia związane były z osobą Treliga, nie Julina.

— Mgliście — odparła. — Naukowiec pracujący dla Treliga. No więc? Wiem, że na niego między innymi liczyłaś, chcąc dostać się na Nowe Pompeje po wojnach, dwadzieścia lat temu z górą, lecz z tego nici, prawda?

Wooley puściła to mimo uszu.

— Mamy Julina, możemy przedostać się na Północ i osiągnąć Nowe Pompeje, ale to nie będzie łatwe. Ty jesteś naszą polisą ubezpieczeniową. Czy zaufałybyś byłemu porucznikowi Ań tor a Treliga?

Musiała przyznać, że nie. Z drugiej jednak strony nie zaufałyby również Mavrze Chang, która nie poczuwała się do lojalności wobec Yax.

— Czy aby bardziej nie chodzi o to, że Ortega nie może mnie wykorzystać, skoro jestem z wami? — dociekała.

Czułki Yaxy zakołysały się delikatnie.

— Po części, oczywiście, tak. Jednakże, z tym samym skutkiem moglibyśmy ciebie zabić. Idzie o to, że jesteś nam potrzebna, by trzymać Julina w szachu. Chcemy mieć kogoś, kto zna Nowe Pompeje i zarazem takiego, komu zdrada nie przyjdzie do głowy. Ty najbardziej nam odpowiadasz.

— Ale dlaczego konie? — wtrącił się Joshi, lekko rozdrażniony, że wykluczono go z rozmowy.

— Spokrewnieni z końmi jesteście, o tak — powiedziała Wooley — ale nie jesteście końmi. Wasza niezwykła siła, to jeden z powodów.

— A więc możemy unieść ładunek — zauważyła Mavra. — To zrozumiałe.

— Poza tym w swojej nowej postaci nie jesteście wyłącznie roślinożerne. Rasa wywodzi się z Furgimos, sześciokąta położonego na wschodzie. Tak jak świnie, możecie się odżywiać niemal; wszystkim. Możecie doskonale poradzić sobie z magazynowaniem wody. Przez dwa tygodnie, a nawet dłużej. Czy rozumiecie, jak to wpływa na uproszczenie podróży?

Rozumieli.

— A zatem, po dotarciu na Północ czeka nas długa wędrówka — zgadywała Mavra.

— Bardzo długa — przyznała Wooley — z powodu tego, że niezbędne aparaty oddechowe są użyteczne jedynie w wysokotechnologicznych lub półtechnologicznych sześciokątach, co z góry wyklucza najkrótszą drogę. Szlak krótki, zarazem omijający nietechnologiczne sześciokąty, jest zablokowany przez Poorgłów, bardzo obrzydliwe wysokotechnologiczne istoty, dla nas śmiertelnie niebezpieczne. Nie ma wyjścia, trzeba przemierzyć siedem sześciokątów.

Konie zaczęły rachować w pamięci, lecz Wooley nie dała im skończyć.

— Razem, to jakieś dwa tysiące czterysta kilometrów. Olbrzymi dystans.

Joshi był tym wstrząśnięty.

— Tak daleko na Północ? Bez powietrza, bez żywności i wody, zdani tylko na zabrane zapasy? To niemożliwe!

— Nie jest to niemożliwe — odparła Yaxa — lecz trudne. Zapominasz, że mieliśmy mnóstwo czasu, by przygotować się do tej misji zarówno od strony dyplomatycznej, jak i logistycznej. Uciążliwa podróż obejmuje jakieś tysiąc kilometrów, na następnych odcinkach otrzymamy transport i uzupełnimy zapasy z założonych baz. Mimo wszystko wędrówka będzie trudna i niebezpieczna.

— A co z nami? — zapytała Mavra, — Jak będziemy oddychać, jak będziemy chronieni?

— Powiedziałam wam, że jest kilka powodów, dla których zostaliście końmi. Czy przypominacie sobie centaurów z Dillian? To oni wszędzie, gdzie w przestrzeni narodziła się ich cywilizacja, rozpoczęli podróże kosmiczne. Otrzymaliśmy dwa skafandry i jeden zapasowy od Przybyszów z planety Dillian. Przystosowanie ich było rzeczą łatwą — wyjaśniła Yaxa. — Zostały zaprojektowane dla końskich kształtów, jednak w użyciu są podobne do waszych: formują się pod ciśnieniem. Wszystko jest przygotowane.

— I kiedy zaczynamy tę wielką ekspedycję? — dociekała podniecona Mavra.

— Jutro. Jutro wcześniej rano — odpowiedziała Yaxa i opuściła ich. Drzwi zamknęły się za nią z jękiem.

Stali przez kilka minut w milczeniu, pogrążeni w myślach. Nagle Mavra zdała sobie sprawę, że Joshi potrząsa zadem, najwyraźniej podekscytowany.

— Co się stało? — zapytała. — Boisz się?

— Chodzi o co innego — odparł, najwyraźniej czymś przygnębiony. — Mavro, czy mogłabyś zajrzeć mi pomiędzy zadnie nogi i powiedzieć, co tam widzisz?

Starając się go udobruchać, pochyliła łeb i popatrzyła uważnie.

— Nic — odpowiedziała. — A co?

— Tak właśnie myślałem — wykrzyknął płaczliwie. — Niech to licha, Mavra! Zdaje się, że zamienili mnie w klacz!

Biuro Ortegi, Strefa Południowa

Serge Ortega uderzył pięścią w brzęczący interkom.

— Tak?

— Oni są tutaj — odpowiedziała sekretarka.

— Oni? — zapytał, a potem doszedł do wniosku, że nie warto silić się na wykręty. — Przyślij ich tu.

Drzwi rozsunęły się i do środka w leniwych podskokach wskoczyły dwie istoty. Wyglądem bardzo przypominały półtorametrowe żaby, długość ich nóg była proporcjonalna do długości ciała. Jedna z nich, o jaśniejszej, zielonej karnacji, była nieco wyższa od drugiej. Ich białawe brzuchy pokrywał precyzyjnie wykonany tatuaż.

— Antor Trelig — Ortega skinął głową. — I?

— Moja żona, Burodir — odezwała się większa z żab.

— Jestem oczarowany — odrzekł człowiek-wąż. Rozejrzał się. Znalazłoby się tutaj miejsce dla Ulików, mieliby gdzie się zwinąć, trochę krzesel i sofy dla odwiedzających humanoidów, ale najwyraźniej nie było nic odpowiedniego dla żab. — Proszę, usiądźcie, jeśli znajdziecie coś dla siebie.

Zaskakujące, ale okazało się, że były to krzesła. Kiedy żaby rozsiadły się, ze zgiętymi, lekko skrzyżowanymi nogami, wyglądem niemal zaczęły przypominać ludzi.

— Przypuszczam, że wiecie, o co chodzi, nie będę więc owijał w bawełnę — rozpoczął Ortega. — Mavra Chang wpadła w ręce Yax. Są gotowi wyruszyć z nią i Julinem na Północ. Musimy tam dotrzeć, jeśli nie przed nimi, to przynajmniej w tym samym czasie, co oni. Droga będzie trudna, a na końcu może dojść do walki. Bardzo to przypomina powtórkę Wojen Studni w miniaturze, tym razem na neutralnym terenie.

Trelig skinął głową.

— Rozumiem. Ofiaruję moją współpracę.

— Współpracę, tak... Myślę, że nawzajem się rozumiemy, Trelig — odpowiedział zgryźliwie Ulik. — Nie oszukuj mnie. Wysyłam razem z tobą kilku moich przedstawicieli. Jednym z nich jest Agitarianin,; a ty wiesz, jaką on ma moc.

Trelig kiwnął głową.

— Będzie wam także towarzyszyć Lata. Jej uządlenie jest skuteczne, może przy tym szybko latać nad Nowymi Pompejami. Przy transporcie zapasów pomoże wam para centaurów z Dillian. Na dodatek jedna z Yax, imieniem Wooley, która towarzyszy drugiej stronie, to Przybysz, w przeszłości uzależniony od gąbki — ciągnął Ortega.

Trelig, w poprzednim wcieleniu stojący na czele gąbkowego syndykatu, zadrział.

— Przysięgła zabić ciebie bez względu na ryzyko i już kilkakrotnie próbowała — dalej mówił człowiek-wąż. — Ponowi próbę na Północy. Yaxy są jednymi z najbardziej przebiegłych, śmiertelnie niebezpiecznych stworzeń w Świecie Studni, tak więc nie możesz sobie pozwolić na błędy.

Trelig spokojnie kiwnął głową.

— Zaszedłem tak daleko i wysoko, nie popełniając żadnego. Zapewniam pana, że instynkt samozachowawczy jest dla mnie najważniejszy.

— W takim razie, w porządku — powiedział Ortega. — Masz ze sobą oba skafandry Makiemów?

— Już pracują nad nimi wasi ludzie — wtrąciła Burodir. — Wyruszymy, gdy uporają się z robotą.

Ortega westchnął.

— W porządku. Proszę o jak najszybsze dostarczenie zapasów i przybycie na odprawę punktualnie o czwartej.

Makiemowie podnieśli się i skierowali do wyjścia. Trelig odwrócił się jeszcze i powiedział:

— Nie będzie pan tego żałował, Ortega.

— To pewne, gotów jestem pójść z tobą o zakład — odparł człowiek-wąż, obserwując ich wyjście. — Ty sukinsynu — dokończył, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

Spoza przepierzenia wynurzyły się dwie postacie.

— A więc to jest Trelig — westchnął Renard. — Teraz jest taki, jakim zawsze był, obślizgły. Kolor też do niego pasuje. Nie zmienił się ani na jotę.

— Zauważyłam, że nie powiedziałeś mu, kim jest ów Agitarianin — odezwała się Vistaru, Lata.

Ortega zachichotał.

— Nie. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli wystąpisz pod przybranym nazwiskiem, Renardzie. Takim, które ciebie nie zdradzi. Oby się nie dowiedział, więc nie popełnij gafy.

Uśmiech nadał twarzy Renarda wyjątkowo diabelski wyraz.

— Nie ma obawy. Ale nic mnie nie powstrzyma przed elektrokcją sukinsyna, kiedy nie będzie już nam potrzebny. Rozumiesz mnie?

Ortega to rozumiał. Trelig wyszukał Renarda w jednym z ośrodków dla umysłowo chorych Komlandu, nakarmił go olbrzymią porcją gąbki i jak niewolnika

zamknął na Nowych Pompejach. Renard znał lepiej niż ktokolwiek inny zło, którym przeżarty do szpiku kości był Trelig, jego moralną degradację. To naprawdę był potwór. Tymczasem Trelig nie wiedział, kim jest Renard i, jeśli obejdzie się bez wpadki, nie miał się tego dowiedzieć. Zdjęty obawą przed mściwą Yaxą, u własnego boku będzie miał wroga, który zna go na wylot, doskonale orientuje się w Nowych Pompejach i dyszy nieopisaną nienawiścią.

— Jakże chciałabym, by tu była Mavra — syknęła Vistaru przez zaciśnięte zęby. — Ta suka Wooley! Dostanę ją, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Ortega wydawał się pogrążony w myślach. Nagle westchnął.

— Renardzie, dopilnuj, proszę, końcowych przygotowań — ponaglił go. Agitarianin odwrócił się do wyjścia, to samo zrobiła Vistaru. — Nie, Vistaru, nie ty. Zostań ze mną jeszcze minutę.

To ją zaintrygowało. Renard wyszedł. Ponownie drzwi zamknęły się z sykiem.

— Myślę — powoli zaczął Ortega — że nadszedł czas powiedzieć ci o paru rzeczach, o których nie wiesz. Wooley wie. . . musiałem jej o tym powiedzieć, aby ocalić Mavrze Chang życie przez wszystkie te minione lata. Teraz przyszła kolej na ciebie.

Vistaru poczuła opanowujący ją ukradkiem lęk, jakby tak naprawdę nie chciała słyszeć tego, co zamierzał powiedzieć jej Ortega. Prawda rysowała się dość mgliście.

Ortega westchnął i wyciągnął z szuflady biurka plik dokumentów. Gruby skoroszyt oznaczony był napisem: CHANG MAVRA w niemożliwym do odcyfrowania piśmie Ulików, ale Lata domyśliła się ze zdjęcia na okładce, co to było.

— Lepiej powiem wszystko od początku — odezwał się ostrożnie. — Wszystko zaczęło się pięćdziesiąt cztery lata temu, gdy odnaleźliście Nathana Brazila. . .

Ambasada Yax, Strefa Południowa

Jak zjawia z nocnego koszmaru, kilka centymetrów nad podłogą, unosił się Torshind — bladoczerwona szata bez właściciela. Ponieważ było to stworzenie w zasadzie składające się z energii i translator nie miał niczego, co mógłby modyfikować, więc obserwując przygotowania, zachowywało głębokie milczenie. Dookoła czuwała uzbrojona w śmiertelną broń straż Yax, na wypadek jakiegś próby zakłócenia całej operacji ze strony Ortegi czy Treliga.

Wszystkim członkom grupy zaaplikowano narkotyk, od którego stali się senni, zapadli niemal w śpiączkę. Z powodu kłopotów zaopatrzeniowych grupa nie była liczna: w jej skład wchodził oczywiście Wooley i Julin, upodobnieni do koni Mavra z Joshim oraz Torshind. Nie obyło się bez pewnej dyskusji, zwłaszcza nad włączeniem Joshiego, kosztem drugiej Yaxy. Jednak Joshi umożliwił kierowanie Mavrą, był przy tym potrzebny do transportu zapasów, podczas gdy jeszcze jedna Yaxa pochłonęłaby więcej żywności i wody od niego. Piątka wystarczała w zupełności; nikt nie darzył zaufaniem Julina i to trzymało go w ryzach. Torshindowi też nikt nie ufał, ale on nie mógł pilotować statku. Mavra nie miała rąk, a kształt jej ciała całkowicie uniemożliwiał uruchomienie statku, zwłaszcza na pochyłości, a więc potrzebny jej był sprzymierzeniec posiadający ramiona, pod tym względem Wooley była pewniejsza niż Julin. Sytuacja nie była doskonała, ale to było najlepsze rozwiązanie.

Większość zapasów przeniesiono zawczasu. Skafandry umożliwiające przeżycie ekspedycji na Północy wyposażono w niewielkie, lecz skomplikowane aparaty oddechowe. Na własne potrzeby Julin zaadaptował „ludzki” skafander, dawnego projektu. Yaxy miały swoje od Przybyszów, podczas gdy Mavra z Joshim korzystali ze zmodyfikowanego sprzętu Dillian. W rozumieniu południowców, Torshind nie oddychał, a więc nie potrzebował niczego.

Transfer nie był skomplikowany. Torshind po prostu podpływał do transferowanego, stapiał się z jego ciałem, obejmował go niezdarną kontrolą i przeprowadzał korytarzem do Wrót Strefy. Narkotyk ułatwiał Torshindowi zadanie, każdy uczestnik został poddany wcześniej przynajmniej jednemu testowi.

* * *

Przytomność wracała powoli.

Mavra Chang wstrząsnęła się, rozprostowała kończyny i pokręciła głową, jakby wytrzepując z mózgu jakąś watę.

Znajdowali się w dziwnej komnacie, holu z jakiegoś szklistego materiału. Oświetlenie było kiepskie, ale wystarczające i mogła zobaczyć, jak inni w mniejszym lub większym stopniu zmagają się, by odzyskać panowanie nad sobą.

Jedna rzecz wydawała się pewna: udało się oszukać! Studnię. Wszyscy byli teraz w Yugash, nie wyłączając Torshinda.

Dookoła poruszały się inne postaci, tak samo widmowe jak Torshind, ale odcinające się ostro i wyraźnie w mroku. Niewrażliwość na barwy uwydatniała ten kontrast; dla Mavry Yugashe byli ostrymi, białymi konturami na ciemnoszarym tle.

Można było dostrzec jeszcze jedną istotę, najwyraźniej stworzoną z tego samego co ściany tworzywa: kanciastego, krystalicznego kraba o szklistych maczkach zamiast szczypców. W części środkowej do tułowia miał przypasane urządzenie, umożliwiające translatorowi, wszczepionemu wewnątrz, przesyłanie sygnałów radiowych.

— Witajcie w Yugash — rozległ się wysoki, elektroniczny głos Torshinda. — Będę się trzymał ptira, tego oto stworzenia, przez większą część naszej podróży. Gdy tylko poczujecie się na siłach, przejdziemy do komnaty przygotowanej zgodnie z waszymi życzeniami. Proponuję, aby wszyscy najpierw wysłuchali krótkiej informacji o marszrucie i spodziewanych trudnościach, a potem udali się na spoczynek. Jutro początek naszej epepei.

Skinieniem głowy wyrazili zgodę. Czuli, że są świadkami narodzin historii, że będą ogniskiem wydarzeń, które mogą ukształtować przyszłość.

Wciąż lekko zamroczeni, wyszli śladem Torshinda z komnaty Wrót Strefy do Yugash.

* * *

To był mroczny sześciokąt. Wydawało się, że gwiazdy są lekko zamglone, słońce jakby znacznie bardziej oddalone. Było tu tak, jak w niektórych sześciokątach, gdzie fasety¹ Studni zmieniały obraz otoczenia, by symulować światy położone bliżej lub dalej od głównych słońc. Każdy sześciokąt był laboratoryjną symulacją rzeczywistej planety, na którą istoty z sześciokąta miały być wysłane, by założyć, zbudować i rozwijać normalną kulturę.

¹Faseta — skośnie zeszlifowana krawędź drogich kamieni; w architekturze: Ukos, uskok, ukośne ścięcie graniastej krawędzi.

Miasto wybudowano z powykęcanych szklanych elementów, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie. Ogromne iglice strzelały w niebo, nawet najbardziej prozaiczne budynki wyglądały jak poskręcane, stopione, czy w inny sposób zdeformowane. Tysiące krystalicznych istot, takich jak ptir Torshinda, śpieszyło tam i z powrotem w swoich nieodgadnionych interesach. Wyhodowane ściśle według zaleceń właścicieli, na wielkich krystalicznych farmach, były kombinacją wszystkich wyobraźalnych istot. Jednak sporadycznie członkowie grupy mogli dostrzec Yugasha w jego naturalnej postaci.

W dużym pomieszczeniu, jakie przygotowano na ich przybycie, zapewniono wszelkie wygody; rozwieszono dywany i draperie zasłaniające szklane struktury i starannie rozstawiono niezbędne zapasy. Jedyne od czasu do czasu syk systemu ciśnieniowego przypominał im, że są w odizolowanym pokoju i że tylko tutaj dostosowano atmosferę i ciśnienie do warunków ich rodzinnych sześciokątów, by mogli przeżyć bez skafandrów.

Kiedy Wooley i Torshind zdjęli z Mavry skafander, zajęczała:

— Mogłabym spać przez tydzień. Mrużąc pod nosem, zgodzili się z nią.

Wooley udało się otrząsnąć z otępienia i zbadać kilka sakiewek zrobionych ze skóropodobnego materiału. Swymi dłońmi u końca macek, podobnymi do rękawicy z jednym palcem, otworzyła sakiewkę, wyciągnęła dużą, składaną mapę i rozłożyła ją na podłodze. Pozostali zbrali się dookoła, a Torshind przemówił:

— Przede wszystkim zaprojektowaliśmy aparaty oddechowe tak, aby działały zarówno w sześciokątach półtechnologicznych, jak i w wysokotechnologicznych. To świetnie, lecz nawet pełny zapas tlenu nie pozwoli wam przebyć nietechnologicznego sześciokąta. Wystarczyłoby go wam na jakieś osiem godzin. Oznacza to, że trzeba omijać takie sześciokąty. — Wskazał szklaną macką mapę. — Możecie sami zobaczyć, że dzielą nas od Bozog zaledwie cztery sześciokąty, a trzy od Uchjin. Najkrótsza droga stąd, omijając nietechnologiczne sześciokąty, prowadziłaby przez Masjenada do Poorgl, a potem przez Nichlaplod do Bozog. Jednakże Poorglowie nie chcą współpracować. Odmówili zezwolenia na przejście i zagrozili atakiem, jeśli spróbujemy. Jako że jest to sześciokąt wysokotechnologiczny, prawie niemożliwe, abyśmy uniknęli spotkania z nimi na dystansie, jaki musimy pokonać. Jednym słowem trzeba wybrać drogę okrężną. — Macki przesunęły się na północny zachód. — Masjenadanie są łagodni i chętni do pomocy. Naszej narody nie są w całym tego słowa znaczeniu przyjaciółmi, lecz jako że niewiele mamy kontaktów, nie jesteśmy też wrogami. Pewne minerały są u nich w cenie jako dobra luksusowe, a moi pobratymcy mogą je im dostarczyć, dzięki współpracy z Yaxami. Nawiasem mówiąc, Yaxy wsparły nas przy układach z Oyakotami, którzy bez tego nigdy nie pomogliby nikomu z Yugash. Pugeeshowie stanowią niewiadomą. Będziemy tam musieli poruszać się na palcach, zdani wyłącznie na własne siły. Mieszkańcy Wohafa pomogą nam, bo są zaprzyjaźnieni z Bozogami,

również ci z Uborsk, zrobią, co w ich mocy, choć niewiele nam to pomoże. Tak więc, to powinna być całkiem łatwa podróż.

— Zbyt prosto to wygląda — niespokojnie odezwał się Julin. — Nie mogę się oprzeć myśli, że w tej talii ukryto jokera.

— Odległość jest wielka — przyznała Wooley — i niektóre odcinki nie będą łatwe, ale to jest najlepsza trasa.

— A co z drugą wyprawą? — nie ustępował byk z Dasheen, pod wpływem pesymizmu narastającego na widok tego, ile trzeba przebyć.

— Ortega ma własnych sojuszników pośród Yugashy — odparł Torshind. — Nie możemy im tutaj w niczym przeszkodzić. Jednak będą spóźnieni przynajmniej o jeden dzień i równie dobrze mogą wybrać inną trasę. Jeśli nie, będziemy musieli przewidzieć dla nich niespodziankę.

Domyślili się, o co mu chodzi. W całkowicie nieznanym terenie, chronione jedynie przez skafandry, żyjące tylko z zabranych zapasów, obydwie grupy były niezwykle narażone na szwank. Gdyby jednej z nich udało się czymś zaskoczyć drugą, zmuszonym do obrony mogłoby sprawić to poważny kłopot. Skafandry były wytrzymałe, to prawda, ale nawet w półtechnologicznym sześciokacie pocisk, czy nawet strzała, dałaby im radę.

Mavra zapamiętała tę informację na przyszłość. W tej chwili była bezradna, lecz gdyby jej się udało dotrzeć do statku, nie czułaby się związana więzami lojalności z żadną ze stron. Wołałaby, aby jej znajomi, Renard i Vistaru, nie zostali zabici, lecz gdzież oni podziewali się przez ostatnie dwadzieścia cztery lata? Czy czuli się za nią odpowiedzialni w takim samym stopniu, jak ona za nich?

Tymczasem jej ocalenie całkowicie zależeć będzie od ludzi zebranych tutaj, zaś instynkt! samozachowawczy był dla niej zawsze najważniejszy.

Yugash, a potem Masjenada

Niewielkie figurki przemierzały niesamowitą okolicę, w której krajobrazie dominowały szaroczarne, ponure skały. Szły, omijając poszarpane formy, podobnie jak mrówki w kamieniołomach.

W grupie było ich siedmioro: dwie żaby z Makiem w sztywnych białych skafandrach, niewielki Agitarianin w przezroczystym kostiumie dopasowującym się do ciała, Lata, ubrana w skafander zaprojektowany w jej kraju, dwoje dużych centaurów z Dillian, mężczyzna i kobieta, którzy ciężko obciążeni, z pakunkami na grzbietach, ciągnęli wóz z zapasami, i krystaliczny krab, którym powoził tajemniczy Ghiskind.

— O ile nas wyprzedzili na starcie? — zapytał Re-nard.

— Mniej więcej o sześć godzin — odpowiedział Ghiskind. — To nie tak dużo, ale oni są mniej obciążeni niż my. My mamy tylko dwa punkty z dodatkowymi zapasami, podczas gdy oni pięć.

— W takim razie na pewno nas prześcigną — zauważyła zawiedziona Vistaru. — Z każdą godziną są coraz dalej.

— Niekoniecznie — Ghiskind zwrócił się do niej. — Mamy w tej podróży pewną przewagę. Moi towarzysze nawiązali lepsze stosunki niż klan Torshinda, a i Ortega wykazał wielką zręczność. Myślę, że mamy spore szanse. Niebezpieczeństwo polega głównie na tym, że możemy wpaść na siebie. Musimy być przygotowani na pułapkę.

Lata westchnęła.

— Szkoda, że nie mogę pofrunąć. To by znacznie ułatwiło sprawę.

Była za mała, aby dotrzymać im kroku, i dlatego jechała na wozie z zapasami.

Dillianie, Makorix i Fali, którzy stanowili małżeństwo zgodnie ze zwyczajami swego ludu; ciągnęli ładunek bez wysiłku, nie uskarżając się. W Yugash ciężenie grawitacyjne było nieco niższe niż w Dillian, dlatego mieli lżej. Strach ich jednak ogarniał na myśl, że być może w jednym lub kilku miejscach przed nimi jest odwrotnie.

— Daleko jeszcze do granicy? — Makorix zwrócił się do Yugasha.

— Niedaleko — odpowiedział Ghiskind. — Tuż za następnym wzniesieniem. Renard rozejrzał się podejrzliwie.

— Dobre miejsce na zasadzkę — zauważył.

Antor Trelig, wodząc dookoła wielkimi, niezależnymi od siebie, kameleonimi oczami, nerwowo kiwnął głową.

— W Yugash na nic się nie odważą — zapewnił ich Ghiskind. — Kult stracił na sile i do tego są z nami moi ludzie, niewidoczni, pilnują nas i organizują nasze przejście. Tamci znają naszą siłę i wiedzą, że w razie jakiegokolwiek akcji z ich strony, zostałyby zaatakowana ich główna świątynia. Nie, tutaj nie zastawią zasadzki. A w Masjenada ominie ich, jak myślę. Jeśli ich tam nie wyprzedzimy, to przynajmniej nie natkniemy się na nich. Najlepszym miejscem będzie prawdopodobnie pugeesh, o którym nie mogliśmy dowiedzieć się niczego. Ale — zaczekajcie! Tam! Teraz już widać granicę!

Wspięli się na grzbiet wzgórza. Pomimo że wszyscy w Świecie Studni przyzwyczajeni byli do nagłych zmian na granicach sześciokątów, widok zdumiewał bardziej niż zazwyczaj.

Mroczna ponurość Yugash dobiegała do nieuchwytnej linii, by po drugiej jej stronie eksplodować światłem i barwą. Tam zaś rozświetlona ziemia jarzyła się jaskrawą żółcią, zielenią i oranżem, które sprawiały wrażenie tętniących własnym życiem. Wszędzie gdzie sięgnąć okiem bladoczerwone rośliny zdobiły falujące równiny niby egzotyczne korale. Jaskrawozielone niebo ze zwiewnymi, brązowymi obłokami jak gdyby mieniło się barwami bijącymi od ziemi.

— Masjenada — ogłosił Ghiskind. — Czy widzicie grupę skał z lewa? To miejsce spotkania.

Ruszyli w tym kierunku. Przy przekraczaniu granicy w ich ochronnych skafandrach zmieniło się nieco ciśnienie. Zostało dopasowane do obniżonej grawitacji, wynoszącej około 0,8 średniego ciężenia w Świecie Studni. Wpłynęło to na pogodę ducha i dodało ruchom żwawości.

Okazało się, że rośliny są twarde jak skała, takie, na jakie wyglądały. Ekspedycja usilnie starała się je omijać, ponieważ niektóre z ich wypustek! były bardzo ostre i mogły przebić skafandry. Szybko dotarli do grupy nagich skał i tam dwoje Dillianów uwolniło się z uprzęży wozu. Rozpakowano zapasy, sprawdzono paki z wodą i żywnością, tam gdzie to było konieczne, dokonano zmiany. Aparaty oddechowe funkcjonowały normalnie. Ich działanie oparte było głównie na procesach chemicznych, ale wyposażono je dodatkowo w niewielkie akumulatory, które mogły pracować pomimo ograniczeń, charakterystycznych dla półtechnologicznych sześciokątów.

Trelig i Burodir nawet nie próbowali pomóc innym. Usiedli i spokojnie pozwolili się obsługiwać, jakby to się im należało. Pomimo irytacji pozostali nie mogli zrobić nic, jak tylko zrzędzić. Trelig zajmował stanowisko pilota i wiedział o tym.

Nie czekali długo na spotkanie.

Masjenadanie należeli do niezwyklej rasy. Wkrótce kilku z nich zaczęło krążyć w powietrzu, potem paru zacieśniło tor lotu, by powoli zbliżyć się okrężną drogą. Przypominali wyglądem łabędzie, które mogłyby wydmuchiwać mistrz szklarski. Stworzenia miały ze trzy metry długości. Ich przezroczyste ciała mieniły się rozbłyskującymi, odbijającymi dominujące kolory gwiazdkami. Zdawały się nie mieć ani szyi, ani głowy, ani nóg. Były to stylizowane, krystaliczne formy, latające bez wysiłku na niemal niewidocznych skrzydłach.

Członkowie grupy przypatrywali się im zafascynowani. Renard wstrzymał oddech, kiedy dwa stworzenia zaczęły lecieć wprost na siebie.

— Zderzą się! — wykrzyknął i zerwał się na równe nogi.

Ale Masjenadanie nie zderzyli się. Nastąpiło spotkanie i wydawało się, że przeniknęli przez siebie, jakby nie wiedzieli o swoim istnieniu, jakby obydwaj stworzeni byli z powietrza.

— Jak u licha...? — wyrwało się Treligowi.

— Wydaje mi się, że oni istnieją na wielu płaszczyznach, inaczej niż my — wyjaśnił Ghiskind. Nie jestem pewien, czy to rozumiem. Oni przelatują przez siebie nawzajem, nie ponosząc przy tym szkody na ciele, a mogą się przy tym także łączyć.

— Czym oni są? Bańkami gazu? — potrząsnęła głową Vistaru.

— Nie wiemy, czym oni są — przyznał Ghiskind. — Jedno jest pewne: posiadają masę ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy.

Masjenadanie, którzy przelecieli przez siebie, zawiśli kilka centymetrów nad ziemią tuż przed swoimi gośćmi. Ghiskind zbliżył się do nich na odległość kilku metrów.

— Lata nienawidzą węży — powiedział tajemniczo.

Jaskrawożółte światło zajaśniało nagle wewnątrz jednego ze stworzeń.

— Chyba że wężem jest Lata — odparło cienkim, wysokim, lekko wibrującym głosem.

Hasło i odzew. W grupie nastąpiło odprężenie.

— Ja jestem Ghiskindem z Yugash — zadźwięczała krystaliczna forma. — To są: Antor Trelig i Burodir z Makiem, Makorix i Faal z Dillian, Vistaru z Lata i Roger z Agitar — przedstawił ich, Renarda pod przybranym imieniem — wszyscy z Południa.

Ciała Masjenadan obróciły się lekko, najwyraźniej po to, by zbadać pozostałych.

— Właśnie powiadomiliśmy innych — powiedział ten rozjarzony na żółto. — Za kilka minut będzie tutaj wszystko, czego nam potrzeba. Możliwe, że przerzucenie was zajmie nam dzień, może trochę więcej.

To była dobra wiadomość dla wszystkich.

— A co z drugą grupą? — zapytała Burodir. — Czy o nich słyszeliście?

Światło przygasło na moment, a potem ponownie rozbłysło.

— Przekroczyli granicę daleko na północ stąd — odpowiedział Masjenadin. — Oni także wykorzystują przyjaciół, z którymi polecą. Wydaje nam się, że lepiej zachować tę samą odległość, około pół dnia marszu.

— Czy coś więcej wiadomo o Pugeeshach? — zapytał z obawą Renard.

— Otrzymacie pewniejsze informacje w Oyakot — odpowiedział łabędź. — My wiemy niewiele.

Zamilkli na jakiś czas. Nagle powietrze zaroilo się od lśniących Masjenadan. Przedziwne istoty zaczęły wlatywać na siebie, krążąc tam i z powrotem, przenikając się i tworząc zawiły wzór. Nagle coś zaczęło się dziać. Najpierw każdy przełot tworzył jakby długie szkliste włókno liny. Osnowa stawała się coraz bardziej skomplikowana. Stopniowo utkały ze sztywnej substancji płat tkaniny, przypominający wielką sieć.

— Skąd się to wzięło? — głośno dziwiła się Vistaru.

— Z nich, jak myślę — odpowiedział Ghiskind. — To jest część ich ciał. Pamiętajcie, na Północy rzeczy mogą przedstawiać się diametralnie odmiennie w różnych sześciokątach. Występują tu nie tylko odmienne formy życia, ale też zupełnie różne rodzaje, całkowicie sobie obce. Yugash graniczy z nimi tutaj od Północy przy Studni Dusz, a jednak ciągle wiemy mało o tym, co oni robią, dlaczego i jak.

Niesamowity powietrzny balet zakończył się. Elastyczna struktura została utkana. Ghiskind miał rację, wydawała się rzeczywiście nieodłączną częścią ich ciał.

Teraz łabędzie, które nie były związane z siecią, wykonały w powietrzu pętlę i zderzyły się ze sobą, tyle że tym razem nie wyłoniły się z przeciwnych stron, lecz stopiły w pojedynczych Masjenadan, dwa razy masywniejszych od tych na początku. Proces powtarzał się, dopóki nie powstało osiem olbrzymich łabędzi, każdej długości niemal dwunastu metrów. Utworzyły one wachlarz, parami ustawiły się z każdej strony sieci, omijając istoty, które wciąż były jej częścią, i opuściły całość na ziemię.

Podróżnicy byli tym wszystkim zachwyceni i zarazem nieco zaniepokojeni. Ghiskind musiał ich wyrwać z tego stanu.

— Ejże, wrzućmy ekwipunek na sieć! — rozkazał i po chwili zaczęli to robić. Najpierw wtoczyli wóz, a potem wnieśli luźne pakunki. Na koniec rozłożyli ogromne skórzane płachty przed ładunkiem i za nim. Okazało się, że jeszcze muszą trochę poeksperymentować z balastem, ale po kilku nieudanych próbach start się udał.

Vistaru denerwowały spartańskie warunki.

— Czy nie powinniśmy mieć pasów bezpieczeństwa, czy czegoś takiego? — zapytała niepewnie.

— Spokojnie — powiedział Ghiskind. — Zobaczysz, że nie takie to straszne, jak wygląda. Trzymaj się z dala od krawędzi i staraj się zachować równowagę.

Wystartowali, zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć. Towarzyszyło temu dziwne uczucie, przyspieszali płynnie, tak jakby odpływali, nie czując własnego ciężaru. Jedyne ośmiu ogromnych Masjenadan, których skrzydła rzucały cień na nich wszystkich, i tuzin mniejszych zdawało się pracować z wysiłkiem. Ich skrzydła wachlowały powoli w górę i w dół, w jednakowym, pełnym gracji rytmie. Zanim się spostrzegli, byli tysiąc metrów nad ziemią, a pod nimi rozciągał się szeroki widok.

Z powietrza Masjenada wyglądała jak szorstkie, skaliste płótno, na którym rozlano miliony galonów luminescencyjnej farby. Widok był oszałamiający, zwłaszcza w porównaniu z ponurym mrokiem Yugash za ich plecami, albo niezdrową żółcią atmosfery i ciemnoniebieską powierzchnią nietechnicznego Zidur po ich prawej stronie.

Chociaż zdawało się, że zastygli w bezruchu, za każdym razem gdy spojrzeli w dół, ziemia wyglądała inaczej. Mijały godziny. Krajobraz zmieniał się. Bez trudu przekroczyli pasmo niewysokich gór. Musieli zważać jedynie na to, by lekko przesunąć ładunek, gdy któryś z pasażerów się poruszył.

Słońce zapadło poniżej horyzontu i powoli zbladło, lecz ich tajemniczy, enigmatyczni woźnice parli do przodu. O zmroku kraina nawet jakby pojaśniała od niesamowitego piękna i od blasku upiornej poświaty bijącej od łabędzi.

Renard spojrział zdumiony.

— Czy oni nigdy się nie męczą? — dziwił się.

— Ani nie są głodni? — dorzuciła Faal, żując gęstą substancję, wyciśniętą z grubej tuby.

Nikt nie odpowiedział.

— Co sprowadzają z Południa? — Vistaru zapytała Ghiskinda, szukając rozwiązania zagadki, jak żyją tajemnicze łabędzie.

— Głównie miedź i koral — odpowiedział Yugash. — Co oni z tym potem robią, można się tylko domyślać. Nie ma tutaj tlenu potrzebnego do spalania. Może je jedzą.

Masjenadanie nie udzielili żadnej informacji, a więc ten domysł był równie dobry, jak każdy inny.

Zasnęli, bardziej z nudów niż ze zmęczenia. Wstał brzask, na nowo zalewając światłem krajobraz.

* * *

Przed sobą mieli granicę sześciokąta, to było pewne. Od jakiegoś czasu lecieli wzdłuż niej, równolegle, teraz ich oczom ukazało się trzypunktowe połączenie.

— Po naszej lewej stronie powinna być Avigloa — wskazał Ghiskind. — Oyakot jest przed nami, po prawej stronie. Wkrótce powinniśmy wylądować.

Cały horyzont wypełniały góry. Góry pojawiły się nawet pod nimi, w Masjenada. Indykatory w skafandrach wskazywały ekstremalny spadek temperatury do osiemdziesięciu stopni poniżej zera w skali Celsjusza. Jedynie dzięki wbudowanym w skafandry grzejnikom podróżnicy nie zamarli.

Zniżyli lot, by wylądować na niewielkim płaskowyżu. Po drugiej stronie rozciągał się przerażający widok: przedziwnie zabarwiony śnieg, całkowity brak wody pod jakąkolwiek postacią, osobliwie powykęcane erozją skały.

Po łagodnym lądowaniu rozładunek był łatwy i szybki. Ponownie stali się widzami baletowego przedstawienia; odwrotnie niż w poprzednim tańcu, Masjenadanie podzielili się na mniejsze osobniki, wciągając sieć w swoje ciała. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch istot, natychmiast odlecieli w kierunku, z którego przybyli. Łabędzie, które pozostały, podfrunęły bliżej, jeden z nich włączył wewnętrzne żółte światło.

— Życzymy wam szczęścia. Oyakot graniczy z najdalszą krawędzią tego płaskowyżu. Ktoś powinien się tam z wami spotkać za kilka godzin.

Grupa podziękowała dziwnemu stworzeniu. Obserwowali, jak się wzbija, zwraca i odlatuje w barwną światłość na wschodzie.

Nagle poczuli się bardzo samotni.

Droga przez Oyakot do granicy Pugeesh

W Oyakot podróżowali tak samo szybko i wygodnie, jak do tej pory. Istoty stąd przypominały z wyglądu oliwkowozielone, brezentowe torby ze zjeżonymi na całym ciele krótkimi, ostrymi igłami. Od spodu miały setki niewielkich nóg, a na wierzchu, w samym środku, płataninę długich macek. Gdzie oczy, uszy, nos i usta — nie wiadomo. Zdawało się, że ze spokojem znoszą górzysty krajobraz i porywiste, przejmujące zimnem wiatry.

Jednak wybudowali drogi i skonstruowali pojazdy, które przemieszczały się szybko wzdłuż pojedynczej linii latarni. Sześciokąt był pokryty niezwykle rozbudowaną siecią połączeń transportowych. W czasie podróży przekraczali potężne mosty i wielokilometrowe tunele. Szybkość nie zmieniała się, sterowanie było automatyczne i kierowcy tylko nadzorowali jazdę, przejmując kontrolę jedynie w nagłych wypadkach.

Oyakotowie byli rozmownymi, przyjacielskimi i zaradnymi istotami, którym udało się bardzo dobrze wyzyskać walory surowego terenu. To, że tlen był dla Oyakotów ciałem stałym, nie mogło zerwać więzi umysłowego pokrewieństwa, jaką poczuli się związani podróżnicy z tym mądrym i pracowitym ludem.

Wooley nie opuszczały jednak obawy. Poprzez sieć telegraficzną nadeszły wieści, że grupa Treliga także dotarła daleko w głąb Oyakot i jest tylko kilka godzin za nimi. Na dodatek jej oddział był coraz bliżej granicy Pugeesh, a mimo to informacje docierały rzadko.

— Nie mogę wam o nich zbyt dużo powiedzieć — oświadczył kierowca z Oyakot. — Tam jest o wiele za gorąco. Przejście poza linię, choćby na krok, to pewna śmierć. Co za obrzydliwe miejsce,; wszędzie tylko wrzenie i syki. Powiedziano mi, że nie mają swojego przedstawiciela w Strefie, a więc wasze domysły są równie dobre, jak innych. O tam, sami możecie zobaczyć. Dostaję dreszczy na sam widok.

To, co tam ujrzeli, było z pewnością dżunglą. Wyrastała przed nimi zwarta ściana purpurowych drzew, tu i tam buchały kłęby pary, przeciskającej się pomiędzy liśćmi gęstej roślinności.

Podczas rozładunku Wooley ostrzegła ich:

— Morze Borgun jest tuż na północy Pugeesh. Jest to przede wszystkim ciekły chlor. Teraz już chyba możecie wyobrazić sobie to miejsce. Oyakotowie uważają, że tam panuje skrajny upał, jednak dla nas są to wciąż ekstremalnie niskie temperatury.

Mavra Chang i Joshi badali otoczenie niespokojnym spojrzeniem.

— Ani śladu dróg — zauważyła Mavra. — Jak przebrniemy przez to łąno?

— Nieco na północ rozciąga się płaska kraina — odpowiedziała Yaxa, patrząc na mapę topograficzną. — Możemy tamtędy obejść góry. A co do przejścia przez dżunglę, hmm, chyba będziemy musieli wyciąć dla siebie ścieżkę.

Ben Julin zaniepokoił się.

— Przypuśćmy, że Pugeeshowie są tymi drzewami — powiedział z przestraszeniem. — Zaczniemy wyrąbywać sobie drogę i... trach! A i długo będziemy musieli się przebijać.

— Jestem niemal pewny, że oni nie są drzewami — wtrącił się Torshind. — Dokładnie, jacy są, tego nie wiem, ale dowiemy się. A tymczasem dysponujemy całkiem skutecznymi środkami, by tamtędy się przebić.

Macki krystalicznego stworzenia, które zamieszkiwał, obmacywały ciężkie pakunki na grzbiecie Joshiego, by w końcu zadowolić się kilkoma dziwnymi w kształcie metalowymi elementami. Po ich złożeniu powstała strzelba o długim łożysku i wielkim bębenu.

Mavra popatrzyła na osobliwą broń ze zdumieniem.

— Czym to strzela?

— Napalmem — odpowiedział Torshind.

Doczepili Mavrze i Joshiemu długie tyczki, przytwierdzone do pojedynczej, szerokiej, ostro zakończonej rolki. Nadawało się to do transportu zapasów. Nosze miały ze dwa metry szerokości, ale właściwie wyważone spełniały swoje zadanie bardzo dobrze.

Mavra była szczególnie oburzona włączeniem do zaprzęgu, a zwłaszcza nałożeniem wędzidła, ale pozostali skarcili ją ostro.

— To dlatego w ogóle bierzesz w tym udział — warknął zirytowany Julin. — Jeśli nie pociągniesz ciężaru, nie jesteś nam potrzebna.

W końcu ustąpiła, chociaż wędzidło ciągle ją uwierało. Może i była zwierzęciem, ale zwierzęciem pociągowym — tego było za wiele.

Gdy dotarli na równiny, okazało się, że są tam szerokie przejścia, a więc marsz przez jakiś czas był stosunkowo łatwy. Ziemia była twarda, porośnięta długimi żdźbłami, ostrymi jak brzytwa, które, nadepnięte, zachowywały się podobnie jak trawa i nie stawiały oporu rolce. Czasami trudno było utrzymać azymut marszu. Kiedy trzeba było zboczyć z obranej drogi, Wooley musiała korzystać z kompasu. Igła zawsze wskazywała Równik, to wystarczało w zupełności.

Z niczego nie dało się wywnioskować, jakimi istotami są Pugeeshowie. Nie było widać śladów, ani żadnych oznak ruchu. To wprawiało ich w stan podenerwowania. Woleliby okrutnych drapieżców od tego, czego nie mogli ani zobaczyć, ani w jakikolwiek inny sposób zidentyfikować, aż, być może, będzie za późno.

Do zachodu słońca pokonali pokaźną odległość i musieli zatrzymać! się na odpoczynek. Julin i Wooley uznali, że mieszkańcy prowadzą nocny tryb życia, a to zmuszało do zachowania czujności przez cały czas. Postanowiono trzymać straż parami: Wooley i Mavra na pierwszej zmianie, Julin i Joshi na drugiej, a Torshind, jako że mógł selektywnie wyłączać części mózgu dla odpoczynku, nie zapadając w sen, pozostawałby w odwodzie.

Wooley i Mavra przełączyły radionadajniki w, skafandrach na inną częstotliwość; za bezrękiego konia musiała to zrobić Yaxa.

Przez dłuższą chwilę zachowywały milczenie. Niewiele dźwięków docierało przez skafandry, w końcu odezwała się Wooley:

— Spokojnie tu, to pewne.

Mavra skinęła potakująco.

— Jest zupełnie ciemno. U góry można nawet dostrzec jakieś gwiazdy, a tutaj, na dole są tylko rośliny. Wprawdzie teraz nie mam zbyt dobrego wzroku, ale nic nie zauważyłam. A ty?

— Nic a nic — przyznała Yaxa. — Może będziemy mieli szczęście i tak już zostanie. Wydaje się, że żywa jest tutaj jedynie roślinność. Poruszają się tylko te smugi gazu. Sądząc z koloru, to chlor, ale nie jestem pewna.

Mavra wyteżyła wzrok i udało jej się dostrzec plamy obłoków.

— Czy przypuszczasz, że...

— Obłoki? Pomyślałam o tym samym. Można by sądzić, że nie przesuwają się w żadnym określonym kierunku, lecą tylko z wiatrem. Są to zaledwie zwiewne smużki. Nawet jeśli to są Pugeeshowie, nie mogą nam bardzo zaszkodzić. W najgorszym razie nasze skafandry muszą przetrzymać kąpiel w czystym kwasie siarkowym.

Mavra zastanowiła się nad tym.

— Ale i napalm nie byłby przeciw nim zbyt skuteczny, prawda?

Niewiele można było na to powiedzieć.

— Jesteś Przybyszem, prawda? — zapytała Yaxę Mavra. — Domyślam się tego z niektórych twoich wyrażeń.

Yaxa powoli skinęła na potwierdzenie.

— O, tak. Jednak przybywam z miejsca, o którym nigdy nawet nie słyszałaś. Byłam wszystkim po trochu: farmerem, politykiem, gliną. W końcu zestarzałam się. Proces odmładzania zawsze odbywa się z pewną szkodą dla mózgu, a więc my... ja... powiedziałam sobie: „Do licha z tym wszystkim. Zrobiłam tyle, ile mogłam, to więcej niż większości ludzi uda się kiedykolwiek”. Wyruszyłam mając nabita tym głowę i skończyłam wessana przez bramę Markowian. Wiesz, w

ten sposób przychodzi wyzwolenie; przez chęć skończenia ze wszystkim, utratę otuchy, przez wszystkie te rzeczy, które robili Markowianie, kiedy chcieli przenieść się tutaj. Ale od tamtej pory dobrze mi się żyło. Nie żałuję prawie niczego z przeszłości ani teraźniejszości. A ty?

Mavra była zaskoczona szczerością Yaxy, odrobiną prawdziwych uczuć, przynajmniej w zamierzeniu, pomimo lodowato monotonnego głosu. To dlatego, że ona jest Przybyszem, doszła do wniosku Mavra.

Koń, który niegdyś był człowiekiem, zachichotał oschle.

— Ja? Niewiele można dodać do tego, co przeżyłaś sama. A jeśli chodzi o żal... nie wiem doprawdy. Pewne rzeczy chciałabym zrobić inaczej: powstrzymać mojego męża od pójścia na spotkanie, na którym go zabili, nie dotykać w Olbornie tego przekłętego kamienia, który przemienił mnie w półosła. Może nie byłabym tak piekielnie grzeczna przez ostatnie lata. Wciąż nie rozumiem, dlaczego pozostałam w Glathriel i pogodziłam się z tym tak łatwo.

— Jeśli poprawi to twoje samopoczucie: nie miałaś wielkiego wyboru — powiedziała Yaxa. — Co sześć miesięcy Ambrezjanie badali stan twojego zdrowia. Jedno z urządzeń, które wykorzystywali do badań było hipnotyzatorem. Krok za krokiem, ostrożnie zmienili twoją naturę, bardzo powoli, abyś nigdy sobie tego nie uświadomiła.

Mavra poczuła, jak narasta w niej gniew.

— A więc to tak — powiedziała tonem wypranym z emocji. — To wiele wyjaśnia.

— Ale w kryzysowej chwili twoja stara natura powróciła w całej pełni — zwróciła jej uwagę Wooley. — Nie odważyli się na zbyt mocną dawkę, bo nie byłabyś im później przydatna. Tutaj wychodzi, jaką masz z tego korzyść. Jedyne komputer może przywrócić cię ludzkości, wiesz o tym. Albo Studnia, która może uczynić z ciebie kogoś, kim wcale nie chciałabyś być. Gwarantuję, że jeśli uda ci się jakoś uciec, wykoncypowaliby sposób na trzymanie cię z dala od Studni, by twoja wiedza nie wpadła w obce ręce. Dokonaliby pełnego skanningu mózgu, być może przy pomocy Yugasha, aby uniemożliwić Studni przemianę. Byłabyś tępym koniem.

Mavra rozważyła to, co usłyszała. Nie była pewna, czy możliwy jest powrót na Południe bez przetworzenia przez Studnię, ale wydarzyło się tyle rzeczy z pozoru niemożliwych.

— Nie jestem pewna, czy zależy mi na tym — powiedziała cicho.

Wooley wystraszyła się.

— Ejże! Co to ma znaczyć?

— Przypominam sobie bez przerwy moje życie — odpowiedziała Mavra — i myślę o tym, do czego chciałabym powrócić. Czasami czuję się jak Markowianie; pieniądze, władza, którą przynoszą, umiejętności, własny statek, chociaż do tej

pory prawdopodobnie został sprzedany na złom. Ale po co? Gdzieś po drodze coś przeoczyłam i nie wiem, co to było.

Zapadło długie milczenie, obie pograżyły się w zadumie.

Mavra chwiała się lekko na nogach, wyczerpana. W pierwszej chwili pomyślała, że to zmęczenie, ale ten stan utrzymywał się, otępienie obciążało jej mózg jak ołowiany balast. Potrząsnęła głową, by się tego pozbyć, ale na próżno. Poczuli, że traci przytomność.

Była małą dziewczynką, biegnącą przez zielone pola w stronę dużej, farmerkiej zagrody. Na progu stali kobieta i mężczyzna w starszym wieku, życzliwi, uśmiechali się do niej, biegnącej w ich kierunku.

— Babciu! Dziadku! — zapiszczała uszczęśliwiona. Dziadek podniósł ją na ręce i ucałował, śmiejąc się głośno. Babcia wciąż jeszcze była niezwykle piękną kobietą, zdawała się mieć w sobie zaraźliwą iskrę życia. Łagodnie pogłaskała długie włosy dziewczynki i pocałowała ją.

Usiedli na progu, bawili się i rozmawiali. Dziadek opowiadał jej bajki o magicznym świecie, gdzie każde stworzenie było inne niż wszystkie, gdzie można było przeżyć cudowne przygody. Był wspaniałym gawędziarzem, uwielbiała go. Jednak choć miała zaledwie cztery czy pięć lat, czuła, że coś jest nie w porządku, że w tych odwiedzinach jest coś odmiennego. Nie w słowach, nie w zachowaniu, to było coś innego. Smutny sposób zwracania się do jej rodziców i starszych braci i siostr, powaga, którą starali się mężnie skrywać przed nią, co im się zresztą nie udawało.

Uderzyła w płacz, kiedy odeszli. Coś powiedziało jej, że tym razem odchodzą na zawsze, że nigdy już nie wrócą. I tak się stało. W domu nastąpiła gorączkowa krzątanina. Ludzie przychodzili i wychodzili, przeróżni poważni ludzie, mówiący szeptem i udający, że wszystko jest w porządku, kiedy ona była w pobliżu.

Zaczęła się bawić w podsłuchiwanie rozmów. Pewnego razu ukryła się za leżanką, kiedy matka sprzeczała się z jednym z dwóch ogromnych mężczyzn.

— Nie! Nie opuścimy tej farmy i tego świata! — krzyczała gniewnie matka. — Będziemy walczyć! Tak długo, póki starczy tchu!

— Jak sobie życzysz, Yahura — odpowiedział jeden z olbrzymów — ale możesz tego żałować, kiedy będzie za późno. Ten drań Courile teraz jest u władzy, wiesz o tym. Odetnie ten świat w mgnieniu oka, gdy tylko będzie gotowy. Pomyśl o dzieciach!

Matka westchnęła.

— Tak, masz rację. Spróbuję się przygotować.

— Czas ucieka — ostrzegł drugi. — Być może już jest za późno.

Okazało się, że było za późno. Wypuszczono niektórych przeciwników politycznych, ale nie jej rodziców. Byli przywódcami opozycji, sprzeciwiającej się przejściu wszystkiego przez partię. Dzieci miały być przykładem nowego, konfor-

mistycznego społeczeństwa, oni musieli się temu przyglądać. Miał to być przykład dla narodu, dla świata.

Pewnej nocy, wkrótce potem, pojawił się zabawny człowieczek. Mały, chudy mężczyzna wśliznął się przez tylne okno, jej okno. Zaczęła krzyczeć, choć był zabawnym, małym człowieczkiem o tak przyjemnym uśmiechu. Podniósł palec do ust, mrugnął okiem i wyszedł drzwiami.

Wkrótce dosłyszała stłumione głosy rozmowy, a potem z zabawnym, małym człowieczkiem wrócił ojciec.

— Mavro, musisz natychmiast odejść z naszym przyjacielem — wyszeptał.

Stropiła się, zawahała, ale było coś w tym człowieczku, co wzbudziło jej zaufanie, polubiła go. Sam ojciec powiedział, że wszystko jest w porządku.

Człowieczek uśmiechnął się do niej i odwrócił się, już bez uśmiechu, do ojca, który był od niego znacznie wyższy.

— Byliście głupcami, zostając — wyszeptał. — Kom ma absolutną przewagę. Ojciec głośno przełknął ślinę. Wydawało się, że walczy ze łzami.

— Zaopiekujesz się nią, prawda?

Uśmiech powrócił.

— Nie jestem ojcem, ale jeśli będzie mnie potrzebować, będę przy niej — zapewnił.

Wyśliznęli się od tyłu. Biegli od zarośli do zarośli, zbyt jej się chciało spać, by mogła ją cieszyć ta zabawa.

— Bacność! Do broni! Nadchodzą! — Poraził ją przeszywający, elektroniczny krzyk. Mglisto zdała sobie sprawę, że to głos Torshinda.

Podniosła wzrok jakby we śnie. Ben Julin błyskawicznie wyrwał strzelbę ze zdrtwiałej dłoni Wooley, odwrócił się i wypalił.

Oślepiający, cienki jak linia płomień wystrzelił w przód, trafiając w niedaleki cel. Nastąpił błysk. I nagle atmosfera wybuchnęła płomieniem, białym żarem, paląc i oświetlając Pugeeshów, wielkie! pająkowate istoty na dziesięciu niesłychanie cienkich nogach, o monstualnych szponach z przodu i z tyłu oraz długich czułkach z oczami, które lśniły jak rubiny w samym środku ich niewielkich, zaokrąglonych ciał.

Napalm okazał się skuteczny. Trafił w trzech napastników z pierwszej linii i przywarł do nich jak klej. Bez żadnego odgłosu dwie przednie kończyny stopiły się jak rozgrzany plastik, szpony uległy deformacji. Wycofali się w pośpiechu, zalani ogniem.

— Z lewej! — wykrzyknął Joshi. — Coś jakby działa!

Julin zobaczył to w migotliwym świetle i zaczął nastawiać tarczę na strzelbie. Torshind tymczasem złożył drugą broń i na chybił trafił wystrzelił do tyłu. Półksiężyc pływającej żelatyny oświetlił otoczenie.

Julin wypalił drugi raz całą długą serią, w kierunku ogromnego przyrządu, który rzeczywiście wyglądał jak armata. Kiedy stwór eksplodował, zdać by się mogło, że cały teren zaczął się topić.

— Mój Boże! Jest ich tutaj całe mrowie! — krzyknął Julin. — Dajcie mi nowy cylinder!

Z prawej strony rozległ się jakiś huk i duży kamień upadł z trzaskiem niedaleko nich. Toczył się, podskakiwał i niemal trafił Torshinda.

Wooley otrząsnęła się z odrętwienia, które ją opanowało, chwyciła cylinder z napalmem i rzuciła go Julinowi.

Mavra rozejrzała się po niesamowitej scenerii, próbowała jak najwięcej zobaczyć pomimo słabego wzroku. Napalm przynajmniej tutaj okazał się właściwą bronią; wyglądało na to, że pali się wszystko, czego tknął. Gdziekolwiek opadł, materiał płonął, wrzał, topił się i rozlewał.

Torshind chronił ich tyły, a Julin skoncentrował się na wielkim i skomplikowanym urządzeniu strzelającym ogromnymi skałami. Umiał posługiwać się strzelbą; za trzecim razem trafił, obezwładniając maszynę, zanim obsługujący ją Pugeesh zdążył wystrzelić.

Wtedy napastnicy nagle odeszli. Poruszali się tak szybko, że oko z trudnością mogło nadażyć za ruchem. Po prostu zniknęli w zaroślach, zostawiając za sobą dopalające się szczątki ośmiu kompanów i wrzące wraki dwóch armat.

Minotaur rozwścieczony zwrócił się do Wooley.

— Co za wartownicy! O mało nie wpadliśmy im w łapy! — warknął.

Yaxa była wytrącona z równowagi.

— Ja... ja nie wiem, co się stało — zająknęła się. Po raz pierwszy zimny, twardy głos Yaxy załamał się. — Dałam się ponieść marzeniom, nie zdając sobie z tego sprawy. Ja po prostu nie mogę tego pojąć. Nigdy o niczym nie marzę.

— Ja także — wtrąciła się Mavra, wściekła na siebie za błąd i za to, że w bitwie takiej jak ta, była całkowicie bezradna. — Spadło to na mnie jak ciężki, niemożliwy do odepchnięcia głaz.

Torshind zastanowił się nad tym.

— Myślę, że nie ma tu niczyjej winy. Być może Pugeeshowie wywołali ten efekt, aby nas zaskoczyć. Słyszałem, że zdarzyło się już coś takiego gdzie indziej.

— A niech to diabli! — zaklęła Mavra. — Byle nie jeszcze jeden magiczny sześciokąt!

— Nazywaj to, jak chcesz — odpowiedział Torshind. — Lepiej miejmy się od teraz podwójnie na baczności. Ile jeszcze mamy cylindrów z tą substancją? Wydaje mi się, że tylko ten chemiczny ogień zdoła ich powstrzymać. Wygląda na to, że budowa Pugeeshów jest oparta na krzemie.

Przerażony i zrzędzący Julin zajrzał do sakwy z amunicją.

— Dziewięć. To niezbyt dobrze. Myślę, że nie stać nas na więcej niż dwie takie bitwy.

Yugash milcząco zgodził się z nim.

— Spróbujmy układów w takim razie. Co mamy do stracenia? Sięgnij proszę i przełącz moje radio na wzmacniacz akustyczny.

Julin wciąż jeszcze był zbyt wyprowadzony z równowagi i to Wooley musiała się tym zająć. Torshind wyszedł na skraj obozowiska.

— Pugeeshowie! — zawołał. Głos huczał po nocy. — Pugeeshowie! Musimy porozmawiać! Jesteśmy znużonymi podróżnikami, nikim innym. Nie zagrażamy wam, ani niczemu, co jest wasze! Chcemy jedynie przejść przez wasz kraj na drugą stronę! Prosimy o wasze pozwolenie na to, byśmy mogli kontynuować podróż!

Czekali. Nie otrzymali odpowiedzi, ale i nie: ponowiły się już ataki. Spędzili resztę nocy w świetle powoli dopalającego się ognia, w otoczeniu bijącego, w nocne niebo, czarnego dymu.

Mniej więcej czterdzieści kilometrów za nimi druga grupa toczyła podobną bitwę, posługując się inną bronią.

Trelig i Burodir, przykucnąwszy pod osłoną skał, strzelali smugowymi pociskami do napastników. Skutek tego był niewielki. Ściana ognia wydawała się dużo skuteczniejsza niż przypadkowe pociski.

Jedna z pająkowatych istot runęła do szarży i ogromny szpon sięgnął po Renarda. Agitariański skafander był dostosowany do Przybysza jego rasy; został zaprojektowany w kilku punktach kontaktowych tak, by umożliwić wyładowanie energii elektrycznej, do czego zdolni byli wszyscy Agitarianie płci męskiej. Pochwycony w szpony, poraził przeciwnika ładunkiem elektrycznym. Rozległ się syk i trzask. Pugeesh skurczył się do rozmiaru nieprawdopodobnie małej, płonącej kuleczki. To zastopowało innych, którzy wycofali się ostrożnie.

— Ha, nie spieszo im umierać — zawołał optymistycznie Trelig.

Ghiskind zastanowił się.

— To nam może pomóc. Przypilnujcie, żeby mój ptir nigdzie sobie nie poszedł — powiedział i opuścił ciało kraba. Jak odziana w czerwień zjawa, odpłynął w ciemność ku wciąż widocznym, lecz wahającym się Pugeeshom.

Istoty przyglądały się zbliżającemu się Yugashowi i obrzuciły go kamieniami, które przeleciały przez niego, nie wyrządziwszy żadnej szkody. Jeden z Pugeeshów ujął ostrą iglicę i cisnął nią w Yugasha. Bez żadnego skutku.

Upiór dotarł do włącznika i stopił się z nim. Pugeesh odwrócił się, wstrząsnęły nim konwulsje i ruszył do szarży na swoich towarzyszy. Po chwili pełne trwogi wrzaski rozległy się w ciemności.

Okupacja nie trwała długo; zbyt przerażony, aby zrobić cokolwiek, biedny, opętany Pugeesh po prostu padł martwy. Wyłonił się z niego zadowolony z demonstracji Ghiskind i ruszył do następnej ofiary. Przerażeni Pugeeshowie wzięli nogi za pas.

Rozczarowany tym, że nie mógł z nimi porozmawiać, Yugash zawrócił i odpłynął w powietrzu z powrotem do swojego ptira.

— Dałem dzikusom pokaz mojej potęgi — zwrócił się do pozostałych. — Może teraz będę mógł z nimi porozmawiać.

Ptir zbliżył się do napastników. Tym razem nie okazali wrogości. Czerwone, graniaste oczy obserwowały powrót budzącego grozę ducha do, obozu i jego stopnie się z krystaliczną istotą. Zrozumieli, z kim mają do czynienia.

Ghiskind zatrzymał się. Gdy upewnił się, że ma audytorium, przełączył radio na zewnętrzne częstotliwości komunikacyjne.

— Pugeeshowie! Wysłuchajcie mnie! Przejdziemy przez wasz kraj. Nie skrzywdzimy was ani nawet nie dotkniemy, jeśli nie zaatakujecie nas ponownie. Jeśli odważycie się na to, obiecuję, że cierpieć będą jeszcze wasze dzieci. Jeśli zaś ani umysłem, ani żadną częścią waszego ciała nie dotkniecie nas, my postąpimy tak samo. Zgoda?

Przez pewien czas nie było żadnej reakcji, potem rozległ się bełkotliwy pomruk. Yugash nie otrzymał formalnej odpowiedzi, ale wkrótce usłyszał szelest kroków oddalających się stworzeń. Inspekcja ujawniła jednego czy dwóch, najwyraźniej obserwatorów. Na swój sposób wyrazili zgodę.

Pewny swego, Yugash przyłączył się do pozostałych.

— Wydaje mi się, że już nie będą nas niepokoić. Jeśli odważą się na to, będziemy musieli wykoncytować demonstrację naprawdę wielkiej potęgi.

— Może poszczęściło się im z grupą Yaxy, która nas wyprzedza — odezwał się z pewną nadzieją w głosie Trelig.

Vistaru, zupełnie bezbronna w bitwie, ponieważ była zbyt mała, by posługiwać się jakąś bronią, a skafander uniemożliwiał jej latanie i korzystanie z żądła, westchnęła:

— Mavra, biedaczysko!

To było wszystko, na co mogła się zdobyć.

Nikt z nich już nie zmrużył oka tej nocy. Przy pierwszych promieniach słońca spakowali się i wyruszyli w drogę. Żadne z przedziwnych stworzeń nie niepokoiło ich więcej, ani fizycznie, ani psychicznie. Mieli nadzieję że to się już nie zmieni.

Kilka godzin później natknęli się na obóz drugiej grupy. Ujrzeni zwięglone w bitwie szczątki. Vistaru westchnęła z ulgą, gdy się zorientowała, że jedynymi ofiarami byli Pugeeshowie.

— To źle — zasmucił się Antor Trelig. — Jak widać, wciąż nas wyprzedzają.

Wohafa

Może spowodowała to obietnica, walka, groźba, może coś innego, ale Puge-showie więcej ich nie napastowali. Obydwie grupy wiedziały, że są obserwowane, jednak w miarę upływu czasu, kiedy coraz wyraźniej było widać, że naprawdę szukają tylko przejścia, uczucie zagrożenia malało.

Wohafa wyglądała niesamowicie. Ponury pejzaż barwy miedzi odcinał się na tle ciemnoróżowego nieba. Przesuwały się po nim białe obłoki, których nie tworzyła para wodna. Błyskawice uderzały tak często, że ziemia wyglądała jak oświetlona stroboskopem, a ruch z pozoru stawał się urywany i powolny.

Mieszkańcy byli dziwnymi istotami. Wyglądali jak piłki pełne jasnożółtego światła, z których strzelały setki czułek przypominających błyskawice. Byli istotami z pogranicza materii i energii. Potrafili dokonywać manipulacji przy pomocy energetycznych ramion, jednak sprawiali wrażenie, jakoby posiadali masę, a więc i ciężar.

Jako sześciokąt wysokotechnologiczny, Wohafa dysponowała mnóstwem maszyn i sztuczek technicznych, lecz i one także, po większej części, były odbiciem ambiwalentnej natury swoich twórców, będąc z pozoru bezwładnym zbiorem podzespołów niewiadomego pochodzenia, złożonych razem w niewiadomym celu.

Obserwując jak grupa Wohafian trzodzi się nad jakąś skałą, topiąc ją i nadając jej najwyraźniej zaplanowaną formę, podróżnicy zorientowali się, że budowanie w Wohafa polega na konwersji materii w energię i energii w materię.

Wohafianie byli wobec nich neutralni, co ogromnie ułatwiło wszystko. Utrzymując bliskie stosunki z Bozogami i z grupą innych wysokotechnologicznych północnych cywilizacji, niemal codziennie kontaktowali się z Południem, wytwarzając z miejscowych skał, po zmianie ich atomowej struktury, wszystko co się tylko klientowi zamarzyło. Przyjmowali od innych cywilizacji odpadki i przetwarzali je zgodnie z zamówieniem, a więc stanowili kluczowy element luźno powiązanej gospodarki Świata Studni. Byli przy tym bardzo pragmatyczni. Pojmowali, co oznacza obecność niesamowitego srebrnego księżyca, który lśnił nad południowym horyzontem; pojmowali niebezpieczeństwo, jakim ów księżyc zagrażał, a więc chętnie pozwoliliby każdemu dotrzeć do niego i usunąć tę groźbę, nie wnikając w motywy. Wohafianie skłonni byli udzielić pomocy obu stronom, aby, bez

względu na to, kto dotrze na Nowe Pompeje, nikt nie żywił wobec nich złych zamiarów.

Wohafianie zbudowali wielkie platformy, podtrzymywane przez dziwne, jarzące się niebieskobiałym blaskiem pola siłowe i przetransportowali najpierw grupę Yaxy, a potem Ortegi, skrupulatnie zachowując dzielący ich interwał czasowy. Dzięki ich przychylniej współpracy i szybkiemu systemowi transportu, sześćset kilometrów, które trzeba było pokonać, zostało połknięte w czasie krótszym niż dzień.

Uborsk, sześciokąt półtechnologiczny, był nieco większą przeszkodą, ale graniczył zarówno z Wohafa, jak i z Bozog i był od nich zależny przy pewnego rodzaju produkcji. Nie mógł zrażać do siebie sąsiadów, ponieważ wywołałoby to długotrwałe napięcie, które, co do tego nie było wątpliwości, głównie jego naraziłoby na straty.

Mieszkańcy Uborsk byli jakby olbrzymimi kawałkami galarety, mieli może ze cztery metry w obwodzie, żyli w morzu miękkiej, granulowanej materii, która skrzyła się w promieniach słońca. Naturalnie, cywilizacja Uborczan była niemal całkowicie ukryta przed oczami południowców.

Z przezroczystej galarety jednakże mogły wysuwać się na zewnątrz macki, ramiona, cokolwiek, co w danej chwili odpowiadało ich zamierzeniom. Aby ułatwić handel pomiędzy Wohafa a Bozog, Uborczanie pozwolili obydwu wysokotechnologicznym sześciokątom wybudować linię kolejową na grobli wzdłuż granicy ze Słublika. Pociągi składały się z nie kończącego się ciągu platform, toczących się po szynie, napędzanej z zewnątrz silnikami wysokoprężnymi, rozmieszczonymi w równych odstępach wzdłuż trasy, ciągnącej się przez niemal czterysta kilometrów. Sprawiało to wrażenie ogromnej windy. Za pozwolenie na budowę i nadzorowanie systemu Uborczanie otrzymywali od praktycznych Wohafian surowce, a od Bozogów wytwory przemysłowe, których sami, z powodu ograniczeń w technologii, nie mogliby wyprodukować. Kompromis sprawdził się ku zaskoczeniu mieszkańców Południa. Był on tym bardziej godny uwagi na Północy, że na skutek ogromnych różnic między trzema zaangażowanymi sześciokątami długie przebywanie na ich terenie, nawet w ochronnych kombinezonach, było bardzo niewygodne.

Jednak konsekwencje dyplomatyczne, związane z funkcjonowaniem systemu transportu, okazały się nieco frustrujące dla obydwu ekspedycji. Różnica czasu pomiędzy nimi — pięć godzin z kwadransem — została precyzyjnie określona przy wkroczeniu drugiej grupy do Wohafa i dotrzymana z bezwzględną dokładnością. Ścigającym nie pozwolono zbliżyć się do liderów, a ci nie mogli przygotować nic, co mogłoby wyeliminować rywali. I tak, szybciej niż w marzeniach, grupa prowadząca z Wooley i Benem Julinem, wjechała na prawdziwie surrealistyczną stację w Bozog.

Kraina ta była zaskakująco jaskrawa. Bładoniebieskie niebo przypominało Południe, przynajmniej na dużych wysokościach. Niedalekie góry pokryte by-

ły czymś, co wyglądało jak śnieg. Cętki wrzecionowatych, kostropatych drzew znaczyły krajobraz, ich koloryt — purpura kory i oranż liści — w żadnym razie nie budził niepokoju. Jedynie temperatura w połowie dnia, wykazana przez termometry w skafandrach, sygnalizowała różnicę — było minus trzydzieści stopni Celsjusza.

Bozogowie jednak nie byli dalekimi krewniakami południowców, byli bardziej obcy i zagadkowi niż wszystkie inne stworzenia, jakie dotąd napotkali. Urzędnik przyturlał się, by ich powitać, na łożyskach tocznych, które zastępowały Bozogom stopy. Był bardzo cienki, w miarę okrągły i, z wyjątkiem dwóch pomarańczowych kręgów na plecach, wystawał ponad ziemię nie więcej niż trzydzieści, czterdzieści centymetrów.

— Witajcie w Bozog — odezwał się najbardziej uroczystym tonem, niby przewodniczący Izby Handlowej małego miasteczka, witający wizytujących dygnitarzy. — Zdumiewa nas i raduje wasze szybkie i bezpieczne przybycie. Proszę za mną, zajmiemy się organizacją ostatniego etapu waszej podróży.

Ruszyli za nim, podziwiając płynność, z jaką się poruszał; urzędnik zdawał się unosić! w powietrzu, a nie toczyć szerokimi ulicami, niemal rozptywał się na zakrętach.

Niską zabudowę miasta przecinała sieć niewiarygodnie powikłanych, szerokich ramp. Jeździły tamtędy pojazdy, przypominające mechaniczne kopie Bozogów: niskie, płaskie, z garbami ładunkowymi w części środkowej. Kierowcy leżeli na przedniej platformie. Wydawało się, że nie dysponują żadnymi urządzeniami kierowniczymi, a jednak prowadzili swoje wehikuły znakomicie.

Obserwując te osobliwe istoty, można było zrozumieć, w jaki sposób radzą sobie one z wytworami cywilizacji. Od spodniej strony wyposażone były w miliony lepkich rzęsek, tak więc Bozog, leżąc na czymkolwiek, mógł tym manipulować zupełnie swobodnie. W razie ciężkiej i trudnej pracy użyteczne okazywały się dwa pomarańczowe punkty. Z każdego z nich mogła wyrosnąć jedna duża, pomarańczowa macka lub wiele mniejszych. Substancja w kolorze pomarańczowym była jakby lepką cieczą. Bozogowie mogli nadawać jej dowolny kształt i zachowywać ją pod ciśnieniem — ograniczeniem była jedynie masa magazynowana w ciele.

Następny, tym razem już ostatni, pociąg zawiózł ich na kosmodrom. Był on pod wieloma względami podobny do kolei w Uborsk. Składał się również z nieprzerwanego ciągu platform, jednak ten toczył się po czymś, co przypominało raczej miękkie opony w wygiętym w kształcie litery U tunelu wyglądającym jak ruchomy chodnik i napędzany był przez coś znacznie bardziej wymyślnego od systemu użytego w półtechnologicznym sześciokacie.

Podczas jazdy Wooley dała znak, że muszą przełączyć się na radioodbiorniki niskiej mocy. Zbliżał się koniec ich podróży, nadszedł czas, by porozmawiać o tym, co dalej.

— Nie uporaliśmy się, a raczej nie pozwolono nam uporać się z naszym głównym problemem — zwróciła im uwagę.

Julin przytaknął.

— Tamci są ledwie kilka godzin za nami. Nie sposób, byśmy wystartowali n tychmiast. Bozogowie poinformowali, że wciąż jeszcze wydostają statek z Uchjin. Tak więc, nadal tam będziemy, kiedy na miejscu pojawią się oni.

Nie mógł opędzić się od myśli: w jaki sposób Bozogowie wydostaną statek z nietechnologicznego sześciokąta, w którym lądował awaryjnie przed z górą dwudziestu dwu laty, i czy jest to do zrobienia wbrew woli samych Uchjinów.

— Zawsze możemy iść na kompromis — zasugerował Joshi usłużnie. — Chodzi mi o to, dlaczego wszyscy nie polecimy?

— Kompromis z Ghiskindem jest niemożliwy — oświadczył Torshind. — Reprezentujemy całkowicie odmienne poglądy, dążenia i filozofie. Co do reszty, liczy się tam oczywiście jedynie Trelig. Czy którekolwiek z was chciałoby przywrócić jego władzę w świecie, który zaprojektował?! Julin? Czy ty wiesz wszystko o Nowych Pompejach? Zaufałbyś pozostałym, gdyby był tam Trelig?

Julin z wolna pokręcił głową.

— Znasz odpowiedź. To miejsce jest zbudowane jak forteca. Komland nie może tam wtargnąć, ponieważ nie dysponuje ani całą flotą, ani porażającą bronią. Nawet mnie przez większą część projektu Obie zobowiązano do przebywania wyłącznie po Stronie Spodniej, pozwolono mi wychodzić na górę sporadycznie, a i to tylko do Komnat Zbytku. Tak więc, Strona Spodnia jest mi znana znakomicie, lecz Wierzchołka i jego sekretników, pułapek, zakamarków nie znam.

Mavrę raptownie rozboleła głowa. Ogromnie ją to zirytowało. Zniecierpliwiona potrząsnęła końskim łbem. Ból był ostry, miejscowy, jakby ktoś wbił jej do mózgu rozżarzony pręt. Nagle nastąpiła eksplozja. Powróciły wspomnienia. Przypomniała sobie wszystko. Kiedy znalazła się po raz pierwszy na Nowych Pompejach, Antor Trelig przeprowadził politycznych gości przez wielki komputer, Obie, przyprawiając im końskie ogony. W ten sposób zmanifestował swoją potęgę. Komputer, zaprojektowany i zbudowany przez doktora Gilgama Zindera nie był usposobiony przyjaźnie do Treliga. Posłusznie wykonywał polecenia tego, kto siedział za konsolą, ale przypominało to ubijanie interesów z diabłem. Tak uskarżał się Julin. Jeśli pojawiała się nieścisłość, Obie ją odnajdywał. Tak było z Mavrą. Kiedy została poddana operacji, Obie doszedł do wniosku, że najlepiej nadaje się na organizatora ucieczki z Nowych Pompejów. Miała uwolnić córkę Zindera, Nikki i zabrać ją z planety, zanim Zinder i jego niemal uczyłowieczony współpracownik przeprowadzą swój plan. Chcieli wystawić do wiatru Treliga i Julina przez odwrócenie pola prawdopodobieństw, które przeniosło ich do Świata Studni.

Prawie jej się to udało — dzięki Obie, który dostarczył kompletne plany i charakterystykę Nowych Pompejów do najdrobniejszej śrubki i nakrętki. Pozwolił

jej okpić najlepsze systemy obronne Treliga, porwać Nikki Zinder, ukraść statek i ominąć zmechanizowanych strażników. Ale było już za późno. Tak czy owak rozbili się przeniesieni — tak jak i Nowe Pompeje — na orbitę Świata Studni. Od tamtej pory cała ta wiedza tkwiła zamknięta w jej mózgu. Odzyskała ją teraz — było tego tyle, że nie mogła się z tym uporać. Nagle zrozumiała, na czym polega dylemat Obie w związkach ze Światem Studnią: zbyt dużo danych wejściowych. Komputer Obie był połączony z olbrzymim komputerem Studni, lecz nie mógł pochłonąć jego całej wiedzy. Skupiła myśli. Przekonała się, że jeśli czegoś potrzebuje, to wydobędzie to, ale tylko wtedy, gdy zdoła postawić prawidłowe pytanie.

Pozostali nie zwrócili na nią uwagi.

— Zatem ważne jest to, żebyśmy zagrali nasze przedstawienie na kosmodromie -: powiedziała Wooley. — Nie będziemy mieli dużo czasu, a więc musimy zachować wyjątkową ostrożność. Pamiętajcie jednak, że to jest sześciokąt wysokotechnologiczny. Działają tutaj wszelkie urządzenia.

Julin zamyślił się.

— A co z Bozogami? Czy nas nie powstrzymają?

Odpowiedzi na to udzielił Torshind.

— Nie. Oni są oportunistami, nie potrafią uruchomić statku, ale, chcą mieć na nim swojego reprezentanta, kiedy wystartuje. To dla nich nieważne, kto lub co będzie pilotem. Nie są bynajmniej głupi, wyczuwają panujące napięcie, rozumieją, że trzeba się go pozbyć. Podejrzewam, że dopóki będzie szansa na przeżycie choćby jednego pilota, nie będą się mieszać.

— Chciałabym być tego pewna — odpowiedziała Wooley. — Jednak będziemy działać tak, jakby to była prawda, bo nie mamy innego wyboru. Przypominam, że po przybyciu na miejsce będziemy mieli tylko kilka godzin do ich pojawienia się. To niewiele na ocenę warunków i przygotowania. — Jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej chłodno i ostro niż zwykle. — Antor Trelig nie może ujść z życiem w żadnym wypadku — dokończyła.

* * *

Sam kosmodrom robił imponujące wrażenie. Bozogowie mieli wiele lat na przygotowania i dobrze ten czas wykorzystali. Ogromne budynki wyrastały z płaskiego, bezludnego terenu. Potężna odmiana systemu kolejowego, którym wieziono południowców, miała około kilometra długości i biegła od jednego z ogromnych budynków aż do właściwego miejsca startu. Dookoła rozstawiono ciężkie dźwigi, które miały ustawić statek na platformie, olbrzymiej, sięgającej nieba konstrukcji z czarnego metalu, pochylonej w kierunku północno-zachodnim.

— Nie jestem pewny, czy podoba mi się to nachylenie — skomentował Julin, badając wzrokiem platformę z pociągu. — Przy takim pochyleniu będziemy

musieli osiągnąć szczyt mocy jeszcze przed startem, to olbrzymie zagrożenie, nie licząc innych kłopotów.

— Będziecie musieli pokonać sześćdziesiąt trzy kilometry w ciągu pierwszej minuty lotu — odezwał się ich gospodarz z Bozog. — Opierając się na informacjach przekazanych przez was i przez innych, obliczyliśmy, że będziecie mieli dziewięć sekund zapasu. Lekkie nachylenie umożliwi wam rozwinięcie maksymalnej szybkości nad wysokotechnologicznymi sześciokątami. Dokładnie pionowy start jest niemożliwy z powodu konstrukcji statku. To mogłoby narazić was na niebezpieczeństwo niestabilnego lotu na dużych wysokościach i doprowadzić do tego, że na moment znaleźlibyście się po złej stronie granicy. Jakakolwiek awaria napędu podczas startu pociągnęłaby za sobą brak dostatecznej prędkości, by wyrwać się spod wpływu Studni, zanim normalna rotacja przeprowadzi was nad półtechnologicznym Esewod albo nietechnologicznym Slublika. Wy ze wszystkich stworzeń najlepiej powinniście wiedzieć, co może to oznaczać.

Julin kiwnął głową ze zrozumieniem. On i Trelig uciekli z Nowych Pompejów w przebraniu, by uniknąć śmierci z rąk gwardzistów Treliga i niewolników nałogu, którzy na widok obcego sektora wszechświata, uzmysłowili sobie, że umrą, gdy zostaną pozbawieni swojej codziennej racji gąbki. Trelig i Julin popełnili taki sam błąd, jaki dzień wcześniej popełniła Mavra Chang: obniżyli nadmiernie lot nad Światem Studni, wskutek czego technologiczne ograniczenia sześciokątów wzięły górę, a oni spadli na powierzchnię.

Statek Mavry Chang rozbił się na Południu. Próby odzyskania! sekcji rakiety — zwłaszcza modułu napędowego — stały się powodem wybuchu Wojen Studni, którym położyło kres zniszczenie silników w kraterze wulkanicznym w górach Gedemondas. Pojazd Julina był mniejszy. Wykorzystywano go przeważnie do obsługi wewnątrz systemu, mógł latać w atmosferze, posiadał składane skrzydła i był tak skonstruowany, że niełatwo ulegał rozbiciu. Julinowi wspólnie z Treligiem udało się sprowadzić go bez pomocy silników na ziemię w Uchjin.

— Jesteście pewni tych wyliczeń? — z obawą w głosie zapytał Julin. — To znaczy, absolutnie pewni? Ktokolwiek znajdzie się na tym statku, będzie dysponował jednym i tylko jednym podejściem.

— Tak, jesteśmy — zapewnił go Bozog. — Mamy niezależne kanały komunikacyjne i wiemy o tym pojeździe tyle samo, co konstruktor. Jedyne braki dwóch kluczowych minerałów w całym Świecie Studni przeszkodził nam w skonstruowaniu naszego własnego napędu i uniemożliwił wybudowanie własnego statku.

— Zadziwiająco — wtrąciła Mavra. — Czy ten niedobór nie jest przypadkiem umyślny?

— Prawdopodobnie. To nie ma znaczenia — odpowiedział Bozog. — Faktem jest, że nic, co do tej pory odkryto w Świecie Studni, nie napędzi silnika, nadając mu dostateczną początkową i trwałą moc do pokonania wpływu Studni. Można

by powiedzieć, że wiemy, jak coś takiego zbudować, ale po prostu nie jesteśmy w stanie tego zrobić.

Zaprowadzono ich do dużego graniastego budynku, który okazał się konwencjonalną służą powietrzną. Wewnątrz znajdowały się bardzo wygodnie urządzone apartamenty, wyposażone w garderoby, regulowane światła oraz interkom, łączący z kompleksem kontrolnym startów Bozogów i z biurem dyrektora projektu.

Budynek-służę wypełniono powietrzem atmosferycznym z Południa, o temperaturze dwudziestu stopni Celsjusza, ku wygodzie wszystkich zainteresowanych.

Na Bozogach różnice atmosferyczne zdawały się nie robić żadnego wrażenia.

— Z łatwością przystosowujemy się do życia — wyjaśnił Bozog. — Ogólnie mówiąc, nie możemy znieść obecności niektórych śmiertelnych gazów, lecz żadnego z nich nie ma w waszej atmosferze. Wybaczcie, proszę, że nie będę rozwodził się nad tym, jakie gazy oraz inne substancje nie przypadają nam do gustu.

To było oczywiście zrozumiałe. Nie można dawać potencjalnemu nieprzyjacielowi śmiertelnej broni do ręki.

— Jak zatem oddychacie? — zapytał zafascynowany Joshi.

— My nie oddychamy, nie w waszym rozumieniu tego słowa — odpowiedział stworzenie. — Potrzebne nam gazy pobieramy z pożywieniem. W zjadanej przez nas skale jest tyle samo gazów, co w czymkolwiek innym. Po prostu nie potrzebujemy bez przerwy oddychać.

Kiedy zostali sami, z wdzięcznością uwolnili się od swoich skafandrów. Torshind, który nie miał takich problemów, opuścił swojego krystalicznego kraba i szybko zbadał otoczenie.

— Nie ma zamków — powiedział. — Mnóstwo urządzeń podsłuchowych, oczywiście, ale nie znajduję niczego, co mogłoby nam zagrozić. Według mnie, jeśli Bozogowie zachowają neutralność i nie ostrzegą naszych rywali, będziemy mogli zaskoczyć ich wkrótce po wejściu do służby.

Yugash wykorzystał swoje krystaliczne macki, by z grubsza wyrysować rozkład pietra. Wooley zbadała szkic krytycznym spojrzeniem.

— Nie zgadzam się. Widzę zbyt duże niebezpieczeństwo trafienia któregoś z Bozogów, a na to nie możemy sobie pozwolić. Nie, ta druga komnata naprzeciw jest oczywiście przeznaczona dla nich. Proponuję, abyśmy pozwolili im wejść, zaczekali aż Bozogowie wyjdą i wtedy uderzyli tak szybko, jak to tylko możliwe, nie dając im nawet czasu na zdjęcie skafandrów.

Torshind rozważył to.

— Nieco bardziej ryzykowne — powiedział — ale polityka jest polityką.

Bozog, kosmodrom pięć godzin później

Grupa Ortegi obrzuciła budynek spojrzeniem, w którym przeważała ulga nad obawą. Od wielu dni nie zdejmowali skafandrów, cuchnęli i czuli swędzenie. Nawet Trelig i Burodir nie czuli się dobrze, choć od czasu do czasu zażywali kąpieli, musieli robić to w tej samej wodzie.

Ich grupa była liczniejsza: dwoje dużych Dillian, dwóch Makiemów i na dodatek Renard, Vistaru i Ghi-skand. Tworzyli dziwny zespół istot o odmiennych potrzebach i różnej zdolności znoszenia niewygód. Żadne z nich nie było w swoim żywiole.

Bozog zatrzymał się niedaleko śluzy.

— Tamci są w środku, we własnym apartamencie — ostrzegł. — Zrzućmy skafandry i mieliśmy mnóstwo czasu na przygotowania. Nie zrobimy nic tak długo, jak długo z wami będę, tego jesteśmy pewni. To by nas zmusiło do działania. Jednakże, kiedy was opuszczę, będziecie zdani tylko na siebie. Będę zwlekać tak długo, jak to możliwe, by dać wam jak największe szanse, ale potem wszystko zależy od was.

Rozumieli to doskonale i byli mu wdzięczni za okazaną troskę. Dwoje Dillian wyciągnęło pistolety i stanęło na straży. Mieli ochraniać pozostałych do czasu, aż sami nie będą chronieni.

Weszli do środka i przeszli dobrze oświetlonym korytarzem do umocowanych na górnych zawiasach drzwi i do swoich pomieszczeń. Nie zauważyli ani śladu grupy Yaxy. Kiedy mijali podobne drzwi po prawej stronie, z pleców Bozoga wyrosła drżąca macka, wskazała na nie bez szmeru, po czym znów zamieniła się w pomarańczową masę.

Zrozumieli. Gotowy na wszystko wróg znajdował się tam, nie dalej niż dwa-ście metry od nich, po drugiej stronie korytarza.

* * *

Czas mijał. Nie było to wygodne i nic z tego nie wynikało. Wszyscy byli zmęczeni. Długotrwałe napięcie dawało znać o sobie, zmieniało się w pełny odrętwienia letarg.

Renard siedział z pistoletem na pół uniesionym i kręcił głową.

— Dlaczego oni po prostu nie przyjdą i tego nie załatwią? — gderał. — Myślałem, że uderzą, gdy tylko Bozog nas opuści.

— Jest tam wiele podstępnych umysłów — zauważył Trelig. — Jestem pewien, że taki był ich pierwotny plan, ale do tej pory zdążyli go zamienić w coś znacznie bardziej diabelskiego. To oczekiwanie jest niemal na pewno jego częścią, ma osłabić naszą czujność.

— I to się im udaje — mruknęła jego żona z drugiego kąta. — Ledwo mogę utrzymać otwarte oczy.

— Spójrzcie, kto mówi o podstępnych umysłach — odezwał się z grymasem Renard, patrząc przez ramię na Treliga. — Słyszałem, że w tym nikt ci nie dorówna.

— Przestańcie! — rozkazał Ghiskind. — Po prostu doprowadzi to nas do śmierci, jeśli zaczniemy się z sobą kłócić. Dlaczegoż ich w tym wyręczać?

— Spokojnie — ostrzegła Faal Dillian. — Nie zapominajcie, że mamy nad nimi liczebną przewagę. Nie zagrażają nam Chang i jej towarzyszy, nawet w tym nie wezmą udziału. Oznacza to, że jest ich trzech przeciwko nam siedmiorgu.

Renard raptownie drgnął i rozejrzał się dookoła.

— Co się stało? — kilkoro z nich zapytało jednocześnie.

Rozglądnął się z wyrazem lekkiego zaintrygowania na diabelskim, niebieskim obliczu.

— Nie jestem pewny — odpowiedział ostrożnie. — Przysięgłbym, że światło zamigotało przelotnie, a potem pojaśniało.

Nagle rozbudzili się, pomimo że nie odczuli tego samego co on.

W tak jaskrawym świetle nikt nie zwrócił uwagi na dziwny, niemal niewidoczny kształt, który przeniknąwszy do pokoju pod przepierzeniem, zawieszonym dwa lub trzy centymetry nad podłogą, bez szmeru przesunął się wzdłuż listwy przy podłodze do drzwi, kierując się w stronę wielkiego centaury, Makorixa, stojącego z pistoletem w pogotowiu.

Wpłynął w ciało Dillianina, natychmiast opanowując ośrodki nerwowe, paraliżując ruchy. Mózg Dillian jest podobny do mózgu ludzkiego, a centralny system nerwowy jest czymś pośrednim między systemami ludzkim i końskim. Torshind poznał sposób poruszania się koni podczas przerwania Mavry i Joshiego do Yugash. Jeśli nie brać pod uwagę rozmiarów, mózg Dasheena Julina był bardzo podobny do mózgu Dillian. Torshind bez trudu odnalazł właściwe punkty.

Ręka trzymająca pistolet poruszyła się wolno, kciuk trącił małą kontrolną dźwignię do góry o dwa stopnie. Gęstość energii zostanie bardzo zredukowana, lecz mimo wszystko będzie paraliżująca, a strumień zrobi się szerszy. Lufa przesunęła się ostrożnie od drzwi w lewą stronę pokoju, gdzie znajdowali się Renard, Vistaru i Burodir.

Nagle Vistaru dostrzegła, co się święci.

— Uwaga! — wrzasnęła, natychmiast wzlatując.

Renard miał niewiarygodny refleks. Odbiwszy się na swoich potężnych koźlich nogach, wzbił się w powietrze w momencie, gdy wypalił pistolet Makorixa.

Promień omiół pokój i uderzył wprost w Ghiskinda i Burodir. Yugash nie odniósł żadnej szkody, ale wielka żaba wydała z siebie zduszony rechot i upadła do przodu.

Nagle eksplodowały drzwi wejściowe i wpadł przez nie do środka duży pomarańczowy kształt w towarzystwie przysadzistej, ludzkiej, potężnie zbudowanej postaci, która strzelała na oślep.

Vistaru błyskawicznie dopadła Makorixa i kopnięciem wytrąciła z jego ręki pistolet. Dillianin zamierzył się na nią warcząc, ona odpłaciła mu pięknym za nadobne, przebijając go swoim żądłem. Centaur krzyknął zaskoczony i niezdarnie runął jak długi.

Nie rozumiejąc, co się dzieje ani dlaczego tak się dzieje, Faal skierowała swój pistolet na pomarańczowy kształt i niemal natychmiast została zastrzelona przez Julina.

Renard utracił swój pręt i niemal zderzył się ze ścianą, unikając pierwszej salwy. Naładowany elektrycznością, zawirował i skoczył w kierunku pomarańczowego kształtu. Dostrzegła to Yaxa i splunęła gęstą, brunatną mazią, trafiając go w pół skoku. Było to jak przypalenie żywym ogniem. Renard bezradnie zwałił się na podłogę.

Torshind opuścił nieprzytomne ciało centaury i ruszył na Ghiskinda. Wówczas do akcji wkroczył Trelig. Był jak oszalały. Mógł susem pokonać dziesięć metrów i więcej. Mógł oddać strzał, zatrzymując się na byle powierzchni, nawet na suficie czy ścianie. Raptem spadł wprost na Yaxę. Krystaliczna postać Ghiskinda skoczyła do przodu, aby oderwać ich od siebie.

Vistaru latała wokoło, obawiając się zbliżyć, by nie ugodzić kogoś z przyjaciół. Rozglądając się rozpaczliwie, krzyknęła:

— Gdzie jest ten przeklęty Torshind?

Wooley wykrzyknęła coś i Julin czmychnął drzwiami. Plując i broniąc się przednimi czułkami jak biczem, Yaxa także wycofała się za drzwi, które zamknęły się za nimi z głośnym hukiem.

Vistaru rozglądała się dookoła ze strachem. Dillianie byli albo nieprzytomni, albo nieżywi, Burodir leżała sztywna, jakby zamrożona, Renard znieruchomiał porażony lepką substancją Yaxy.

Spojrzała na dwóch ocalałych towarzyszy.

— Nie pozostaje nic innego, jak dobrać się do nich, zanim spróbują ponownie! — wrzasnęła.

— Zgadzam się! — zawołał Trelig, z trzaskiem wsuwając nowy energetyzator do pistoletu. — Chodźmy!

— Pozwólcie, że ja wyjdę najpierw! — powiedział Ghiskind. — Mnie trudniej zabić.

Nie sprzeciwili się. Wypadł pierwszy, a pozostali ruszyli za nim sekundę później, kiedy nie usłyszeli żadnych odgłosów walki.

Na podłodze opustoszałego korytarza zobaczyli cienki, jasnozielony ślad posoki, prowadzący do drugiego pomieszczenia. Jeden z przeciwników, sądząc po substancji była to Yaxa, został raniony.

— Spokojnie — ostrzegł Ghiskind. — Gra na ich warunkach nie ma sensu. Zraniliśmy jednego, to prawda, ale ich drużyna wciąż jest cała, a nas zostało troje. Teraz zapanowała równowaga. Jeśli zaatakujemy na oślep, po prostu nas zetrą. Zbierzmy myśli przez chwilę.

* * *

Chociaż Mavra i Joshi znali plan, nic nie mogli począć, byli bezradni. To nie była ich wojna, chcieli tylko przetrwać.

Kiedy Wooley i Julin wrócili przy wtórze trzaskających drzwi, konie domyśliły się, że plan udał się tylko częściowo. Na mackach Wooley było kilka ran, które bardzo spowalniały jej ruchy, a Julin miał na karku brzydko wyglądające pręgi. Torshind powrócił inną drogą i wśliznął się na powrót w swoją krystaliczną skorupę.

— Bądźcie czujni — ostrzegł ich Yugash. — Garstka ocalałych zaatakuje nas, gdy tylko trafi się okazja. Upiąną godziny, zanim będą mogli liczyć na pomoc któregokolwiek z ocalałych. Nie będą czekali tak długo.

Wooley skinęła trupią główką.

— Gdybym była na ich miejscu, weszłabym przez te drzwi w tej chwili. Sprawdźcie broń i przygotujcie się. Julin! Przygaś światło, abyśmy byli pewni, że Ghiskind nie wykona naszej własnej sztuczki! Mavra i Joshi, usuńcie się i trzymajcie się z dala!

Czekali w napięciu na kontratak. Nie trwało to długo.

Drzwi otworzyły się powoli. Wszyscy wycelowali broń w tym kierunku, gotowi wystrzelić, gdy tylko jakieś stworzenie się pojawi.

To był ptir Ghiskinda. Mogli mu przeciwstawić jedynie pistolety energetyczne. Gdy wystrzelili, ułatwili mu tylko zadanie. Strzały spowodowały wybuch granatów dymnych i ogłuszających, przyczepionych do stworzenia. Ekspłodowały z

ogłuszającym hukiem, który niemal rozerwał drzwi na kawałki. Całe pomieszczenie wypełniło się gęstym, duszącym, żółtym dymem.

Wszyscy zostali oślepieni, Julin zakrztusił się i zaczął kaszleć. Wtedy coś uderzyło go mocno w tył głowy, powalając na ziemię i na poły pozbawiając przytomności. Jego pistolet zniknął w żółtej mgle.

Utraciwszy w wyniku wybuchów swoją skorupę, Ghiskind poszybował przez pokój do dwóch podobnych do koni stworzeń, które stały przytulone bezradnie do ściany. Wtopił się w stworzenie najbliższe stojące i przejął nad nim kontrolę. Czując raptowny napływ animuszu Mavra ruszyła na kryształową skorupę Torshinda. Uderzyła całym ciałem, powodując, że rozłożył się jak długi na podłodze. Koń cofnął się i przednimi kopytami stratował subtelną formę, krusząc ją jak szkło.

Dym zaczął rzednąć, co pozwoliło wkroczyć do akcji Treligowi i Vistarui, oddychającym przez odłączone od skafandrów maski.

Torshind porzucił swojego ptira, by opanować najbliższe mu ciało, Wooley. Yaxa została zaskoczona, ale Torshind znał dobrze jej budowę i niemal natychmiast objął nad nią kontrolę. Obrócił się szybko do Treliga, spluwając brunatną substancją. Płaz nie został tym zraniony tak bardzo jak Agitarianin, ale maź oślepiła go na minutę. Wtedy Wooley zaatakowała konia, który kończył wdeptywać w ziemię skorupę Torshinda, i podniosła pistolet.

Joshi, wciąż zdumiony przystąpieniem Mavry do walki, spostrzegł niebezpieczeństwo zagrażające ze strony Wooley, co uszło uwagi wszystkich pozostałych. Bez namysłu wyskoczył na środek pokoju, odgradzając Yaxę od odwracającej się właśnie Mavry. Pistolet wypalił z pełną siłą, zamykając Joshiego w strumieniu elektrycznego światła. Zajaśniał naraz jak fotograficzny negatyw, by po chwili rozpląnąć się w nicość.

Na ten widok umysł Mavry nagle eksplodował. Odrzuciła Ghiskinda z nieoczekiwaną siłą.

— Joshi! — krzyknęła i skoczyła w stronę Yaxy. Zdezorientowany Ghiskind podążył tuż za nią, niemal jak uwiązany. Vistaru, której udało się wynurzyć z dymu, zobaczyła, co zaszło, i zaatakowała Yaxę. W tym momencie Ben Julin, podnosząc się z podłogi i stając na roztrzęsionych nogach, kątem oka spostrzegł ruch. Skoczył po sakwę podrózną i z całej siły cisnął nią w stronę niewyraźnego kształtu. Sakwa trafiła Vistarui i przygniotła ją swym ciężarem do podłogi. Lata spojrzała do góry i zobaczyła jak końska postać Mavry spada całym ciężarem na opętą przez Yugasha Yaxę, która wycelowała pistolet prosto w Mavrę.

— Kally! Na miłość boską walcz z tym! Opanuj się! Mój Boże, Kally! Ona jest naszą wnuczką! — ryknęła Lata.

Macka dotykała spustu, ale go nie nacisnęła, nie mogła. Ciałem Yaxy wstrząsnęły konwulsje. Mavra Chang zadała cios, zbijając z nóg Yaxę i wylądowała na wielkim motyłu.

W tym czasie Trelig wypatrzył Julina, który podnosił swój pistolet, i skoczył na minotaura. Julin odwrócił się, zobaczył żabę, wykonał unik i Makiem przeleciał tuż nad jego głową. Jak u pływackiego sprintera, żaden ruch Treliga nie poszedł na marne. Obrócił się w locie i potężnymi, błoniastymi stopami odbił się od ściany, ponownie wyrzucając swe ciało do przodu. Wylądował, wywinął salto i wyprostował się trzymając pistolet wycelowany w Julina.

Ale i Julin celował w niego.

Siedzący na grzbiecie Mavry Ghiskind odzyskiwał zmysły po psychicznym ciosie, jaki spadł na niego. Nigdy jeszcze ani on, ani żaden Yugash nie spotkał się z umysłem tak potężnym.

Tymczasem Mavra uwolniła się spod wstrząsanego konwulsjami ciała Yaxy, unikając zgniecenia. Najwyraźniej wewnątrz lśniącej, żółtoczarnej głowy toczyła się jakaś walka.

Trelig i Julin popatrzyli na siebie.

— Pat — zachichotał Trelig. — Co powiesz na propozycję zawieszenia broni, Ben? Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Zobaczymy, jak to wszystko się skończy. Ty i ja na Nowych Pompejach, znowu razem!

Wielkie, brązowe oczy Julina lśniły, rozluźnił się. Pistolet pochylił się odrobinię.

— W porządku, Antor. I tym razem partnerzy. Tak?

Trelig nie spuszczał oka z Julina, ale jednocześnie obserwował rozgrywający się w pokoju dramat. Teraz wiadomo było, kto zaczyna brać górę.

Powoli i niepewnie Torshind wyłonił się z ciała Yaxy; Wooley bezwładnie opadła i znieruchomiała na podłodze. Ghiskind w mgnieniu oka zaatakował wyłaniającą się upiorną postać. Kiedy spotkali się, ich kształty straciły ostrość, zamienili się w rozmazane, bladoczerwone plamy energii, stali się kulą bladego ognia, zawieszoną mniej więcej dwa metry nad podłogą.

W tej samej chwili spod ciężkiej sakwy wyplątała się Vistaru i stanęła na chwiejnych nogach. Rozejrzała się dookoła. Nie dalej jak trzy metry od siebie poprzez cienką, żółtą mgiełkę zobaczyła Julina i Treliga. Mierzyli do siebie z na wpół uniesionych pistoletów, ale ich uwagę pochłaniała głównie scena rozgrywająca się na środku pomieszczenia.

Mavra leżała w nienaturalnej pozycji, na boku, nieruchoma, oddychając ciężko. Wielkie, ciężkie łzy wypływały z końskich oczu.

Walka pomiędzy dwoma Yugashami przybrała na sile. Sfera skupionej energii gęstniała, stała się bardziej zwarta, intensywniejsza. Wtem w powietrzu nad nimi rozbłysła pojedyncza, rozjarzona jaskrawą czerwienią kula, wielkości mniej więcej grejpfruta, zbyt jasna, by na nią patrzeć. Rozległa się nagła, ogłuszająca eksplozja, odgłos gromu przetoczył się po korytarzach budynku. Zatrząśł przepierzeniem, drzwiami, każdym luźno osadzonym elementem. Rozszedł się ostry zapach ozonu.

Postać tak ciemna, że ledwie można ją było odróżnić, opadła na podłogę. Zdało się, że pęcznieje jak balon od wdmuchiwanego powietrza. Lekko poruszała się, lecz widać było, że jest osłabiona i ogłuszona. Jeden z Yugashów ocalał.

— Który? — ciężko oddychała Vistaru. — Ciekawi mnie, który to?

Trelig odwrócił się nieco w jej stronę.

— Dowiemy się dopiero wtedy, gdy będzie mógł wejść w jakieś ciało — powiedział. — Zanim to nastąpi. . .

Słowa urwały się. Julin, wykorzystując moment nieuwagi Treliga, raptownie opadł na jedno kolano i wystrzelił prosto w żabę. Tak jak Joshi, ciało Treliga stanęło w ogniu, zamieniło się we własny negatyw i zgasło w jednym błysku.

Antor Trelig popełnił w swoim długim życiu pierwszy błąd i dlatego był teraz martwy.

Vistaru zapało dech, lecz w tej samej chwili wyrwała swój własny pistolet z małej kabury przy boku. Julin odwrócił się do niej twarzą, z bronią gotową do strzału i zobaczył, że jest wystawiony jak kaczką do odstrzału. Zamarł, wzruszył ramionami i odrzucił swój energetyczny pistolet w drugi koniec pokoju. Broń opadła z głośnym stuknięciem. Zdumiało to Łatę.

— Dlaczego? — zapytała zdziwiona.

Zaśmiał się.

— Teraz jestem waszą jedyną przepustką do Obie — przypomniał jej. — I jedynym pilotem z rękami. Wydaje mi się, że nadszedł czas na spółkę.

Vistaru nie ufała mu, ale nie wiedziała, co powinna zrobić. Mavra najwyraźniej była w szoku; Yugash, bez względu na to który, był ciężko ranny i nie można było się z nim porozumieć; Wooley leżała nieprzytomna; Trelig martwy; pozostali jej sojusznicy leżeli bez przytomności, albo nie żyli.

Ona i Ben Julin byli jedynymi zdrowymi i przytomnymi istotami w tym pomieszczeniu, możliwe, że w całym budynku.

Julin stanął i rozejrzał się wokoło. Jego masywny, byczy łeb zbliżył się do pokiereszowanych ciał, zbadał zwęglony i zmiażdżony ekwipunek.

— O Boże! Co za bałagan! — westchnął.

Kompleks startowy, cztery godziny później

Sanitariusze Bozogów wytoczyli na noszach poszkodowanych, brygady sprzątaczy zmyły podłogę, wentylatory oczyściły powietrze. Ci, którzy ocaleli, podjęli kilka najpotrzebniejszych decyzji.

Renard był ze wszystkich najlżej ranny: działanie jadu Yaxy ustało po upływie godziny od zakończenia bitwy. Wooley przychodziła do siebie wolniej; utraciła nieco krwi po pierwszym starciu, a wynikiem drugiego był straszliwy ból głowy. Burodir i centaury odesłano do domu przez najbliższe Wrota Strefy. Niewyraźny kształt nieruchomego Yugasha rysował się na podłodze, ale on sam był jeszcze między żywymi. Ci, co przeżyli, w dalszym ciągu nie mieli pojęcia, który z Yugashy ocalał; woleliby raczej, aby obydwaj wrogowie zniszczyli siebie nawzajem.

Renard, Wooley, Julin, Vistaru i Mavra Chang siedzieli, tylko niesamowity czerwony kształt wciąż leżał na podłodze.

Z pomocą Bozogów udało im się postawić Mavrę na nogi. Nie zaprotestowała ani słówkiem, jej ciało było bezwładne, a oczy szkliste.

Ben Julin obejrzał ją dokładnie, starając się wymusić jakąś reakcję, ale na próżno.

— Czy sądzicie, że jest to skutek walki Yugashy? — zapytał.

Wooley, wciąż trzymając się za głowę, westchnęła, co zabrzmiało jak skrzywienie metalu po szkle.

— Nie, nie sędzę. Na pewno to, co przeszła nie było gorsze od tego, co mnie spotkało, a nie da się ukryć, że było to coś szalonego. To była zupełnie obłąkana istota. Jej myśli przelały się w jakiś sposób do mojego mózgu. Nienawidziła nas, nienawidziła wszystkiego i wszystkich. To niewiarygodne. A ja niemal przegrałam. Gdyby nie krzyk Vistaru. . .

— A więc, co jej się stało? — zapytała zmieszana Vistaru. — Dlaczego nic nie mówi?

Renard, odświeżony kąpielą w substancji chemicznej, zalecanej przez Wooley, a dostarczonej przez Bozogów, podniósł się i podszedł do Mavry.

Dwadzieścia dwa lata, pomyślał. Zmieniła się bardziej niż ja. Miała naprawdę obrzydliwe życie, a mnie w tym czasie spotykały przyjemności. Z poczuciem winy mieszał się podziw. Dotarła aż tutaj, przebyła taką długą drogę. Był przekonany, że ocalała dzięki swojemu absolutnemu egoizmowi, całkowitej wierze w siebie, w swojej umiejętności pokonywania trudności na przekór wszystkiemu.

Patrzył na nią.

— Otrząśnij się! — powiedział szorstko. — Jesteś Mavrą Chang, do licha! Może go kochałaś, opiekowałaś się nim jak żona czy matka, ale już kiedyś przeżyłaś coś takiego! Nigdy nie pozwoliłaś, aby cię to dotknęło! Zawsze wychodziłaś cało! Triumfowałaś! Na tym według ciebie polega życie! Tym razem pogoń dobiega kresu! Nuże! Nie możesz się poddać teraz!

Dostrzegł błysk w jej oku, przelotny, krótkotrwały, nie mniej jednak bardzo wyraźny. Słyszała go i dobrze rozumiała.

— Nie wydaje ci się, że jesteś dla niej zbyt szorstki? — zapytała zatroskana Vistaru.

— Pozwól mu na to, Star — wyszeptała Wooley. — Przyznaj, że on zna ją dużo lepiej niż my.

Lata kiwnęła głową w milczeniu.

— Czujesz się tak samo okropnie, tak samo winna jak ja? — zapytała po chwili.

Wooley nie odpowiedziała na to.

Zrezygnowany Renard rozłożył ręce i wrócił do nich.

— Tyle psychologii — westchnął i usiadł.

Dłuższy czas milczeli. Julin zapadł w drzemkę. W końcu Renard zwrócił się do Wooley i Vistaru:

— Czy wy naprawdę jesteście jej dziadkami? — zapytał.

Vistaru kiwnęła głową.

— Tak... chociaż nie wiedziałam o tym, dopóki Ortega mi nie powiedział. Ten łobuz znał prawdę od przeszło dwudziestu lat, ale nie wyznał mi tego, kiedy spotkaliśmy się na wyspie i połączyliśmy nasze siły, aby ją odnaleźć.

Wooley zaświergotała, chichocząc sucho. Yaxa nie mogła zmienić lodowatego głosu, ale wydawało się, że zabrzmiał w nim dodatkowy, ludzki ton, nieokreślone ciepło.

— Ty chcesz opowiedzieć mu całą historię, czy może ja powinnam? — zapytała.

Lata wzruszyła ramionami.

— Ja zacznę, możesz przyłączyć się, kiedy chcesz. — Odwróciła się do Renarda. — Od czego by tu zacząć... Wydaje mi się, że musimy sięgnąć daleko w przeszłość, do czasu pierwszego z naszych trzech wcieleń.

W Julinie obudziło się zainteresowanie.

— Trzech wcieleń? — powtórzył. Vistaru kiwnęła głową.

— Urodziłam się w Komlandzie, jednym z tych, gdzie robią z ciebie małego, plastikowego, dziesięcioletniego bezpłciowca, wychowują i przygotowują jedynie do wypełniania specyficznych funkcji, zgodnie z teorią nakazującą upodobnienie społeczeństwa do kolonii owadów. Jest to możliwe. Nazywałam się Yardia Diplo. Byłam kurierem, czymś w rodzaju ludzkiego magnetofonu. Rozumiecie, to było przed dwoma stuleciami.

— Mój życiorys był bardzo podobny — wtrąciła się Wooley. — Byłam robotnikiem rolnym. Pracowałam źle, ponieważ cały ten świat funkcjonował źle. To był Kom, kontrolowany przez syndykat. Przypuszczam, że coś o tym wiesz, Julin.

Podobne do byczego oblicze Julina nie mogło wyrażać ludzkich uczuć, ale z jego postawy można było wnosić, że się czegoś wstydził i za coś przepraszał. Julin potrafił okazać szczerłość w sposób przekonywający, bez względu na to, jakie rzeczywiście kierowało nim uczucie.

— Nigdy nie byłem w to zaangażowany — odezwał się usprawiedliwiająco. — Zrozumcie, urodziłem się w syndykacie jako syn głównego kontrolera. Wyrósłem w luksusie, w prywatnym świecie o wiele bardziej ludzkim, humanitarnym od świata Treliga. Kto mógłby przypuszczać? Wykształcony w najlepszych uczelniach na naukowca i inżyniera. Musicie zrozumieć, że kiedy grube ryby, astronomiczne łotry są twoim ojcem, matką, przyjaciółmi, rodziną, wszystkimi twoimi znajomymi, wtedy nie są wcale łotrami. Nie dla ciebie, nie dla mnie. To prawda, że nic mnie nie obchodziło oprócz prawa rodziny, ale czy zachowania kapitanów frachtowców, takich jak Chang, nie są po prostu odmianą takiej postawy?

W każdym razie postawa Mavry Chang to potwierdza. Ona była buntownikiem i złodziejem przez pierwszą połowę swojego życia.

— Dajmy sobie spokój z usprawiedliwieniami, wracajmy do naszej opowieści — wtrącił się zniecierpliwiony Renard.

Julin wzruszył ramionami i ponownie znieruchomiał.

Yaxa milczała przez moment, a potem podjęła wątek:

— Zrobiono ze mnie kobietę, zamknięto w burdelu dla partyjnych bonzów Kom. I w ten sposób mnie załatwili. Mężczyźni tak znęcali się nade mną, że zupełnie straciłam zdolność nawiązywania stosunków towarzyskich czy seksualnych. Stałam się nieprzydatna w zawodzie, a więc przekazali mnie pewnemu kontrolerowi w syndykacie gąbki, bym była dla niego szczurem doświadczalnym. Uzależnił mnie od gąbki, a potem obniżył nieznacznie dawkę, eksperymentował na żywym organizmie.

Renard pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Pamiętajcie, że też byłem na gąbce. Widziałem najlepsze czasy Nowych Pompejów.

— A więc oboje znaleźliśmy się we frachtowcu na kursie do Koriolana — kontynuowała Vistaru. — Kapitanem był dziwny, nieduży gość, nazwiskiem Nathan Brazil.

Ciemne brwi Renarda uniosły się ze zdumienia.

— Minęło dwadzieścia lat od czasu, gdy słyszałem to nazwisko. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i od kogo. Od Mavry, jak sądzę. To nie jest postać realna, o ile pamiętam. Taki Żyd Wieczny Tułacz.

— On żyje naprawdę — zapewniła go Vistaru, — Odkrył, że Wooley jest na gąbce i postanowił uderzyć w świat gąbki bez naszej wiedzy. Zmieniliśmy kurs, usłyszawszy sygnał, którym wzywali pomocy Markowianie i natknęliśmy się na ślady masowego morderstwa. Skończyło się na tym, że wpadliśmy we Wrota i wylądowaliśmy tutaj. Wooley zamieniła się w Dillianina, ja stałam się przedstawicielem Czillian, być może widziałeś kogoś z nich, to inteligentne rośliny.

Renard przytaknął.

— Wydaje mi się, że spotkałem jedną, nazwiskiem Yardia.

Vistaru kiwnęła głową.

— To byłam także ja. Czillianie rozmnażają się przez pączkowanie. Wciąż jeszcze krąży kilka moich wiernych kopii, które pamiętają wszystko do tamtego momentu.

— Chwileczkę! — zaprotestował Julin. — Mówisz, że ona była Dillianinem, a ty zostałeś Czillianem, ale to niemożliwe! Studnia to droga w jedną stronę, wiesz o tym!

— Dla większości ludzi — poprawiła go Lata. — Nie dla nas. Nieśmiertelność Brazila można łatwo wyjaśnić. Towarzyszyliśmy mu w podróży bardzo podobnej do tej, do Studni Dusz, która otworzyła się przed nim. On jest Markowianinem, Julinie! Może jedynym, który jeszcze żyje!

Julin był zafascynowany, tak samo Renard.

— Żyjący Markowianin! — westchnął Dasheen. — To niewiarygodne! Jak on wyglądał? Czy udało się wam zobaczyć go w jego naturalnej postaci?

Wooley i Vistaru przytaknęły równocześnie.

— O tak, wewnątrz Studni. Wyglądał jak olbrzymie ludzkie serce o sześciu mackach. Brazil twierdził, że jest kimś więcej.

— Powiedział, że jest Bogiem — wtrąciła Wooley. — Powiedział, że stworzył Markowian. Był świadkiem, jak zbaczą z drogi. Obserwował, czy nam się lepiej powiedzie.

Była to onieśmielająca wizja.

— Wierzycie mu? — zapytał Renard.

Vistaru wzruszyła ramionami.

— Kto to wie? Jedno jest pewne: przynajmniej był Markowianinem i miał władzę nad Studnią. Podczas podróży oboje zbliżyliśmy się do siebie. Uczyłam się, jak być prawdziwym człowiekiem. Co do Wooley, no cóż, chyba zakochała się w Nathanie Brazilu, lecz on był za mało człowieczy, ona zaś nie chciała już dłużej być kobietą. Nathan znalazł na to radę. Zostaliśmy przetrzuceni ze Świata Studni do Świata Handcha, który w owych czasach był światem granicznym. Nadał mi

ciało pięknej prostytutki, która popełniła samobójstwo, a Wu — Wooley została farmerem nazwiskiem Kally Tonge, wielkim, przystojnym mężczyzną, który zginął w wypadku. Staliśmy się tymi ludźmi i natknęliśmy się na siebie. Myślę, że tak to Nathan zaplanował.

— Gospodarzyliśmy na farmie przez wiele lat — dodała Wooley. — To były piękne czasy. Mieliśmy dziewięcioro dzieci i wychowaliśmy je jak należy. Niejedno osiągnęło wielki sukces. Zostali politykami, kapitanami, policjantami Kom. Większość opuściła Świat Haryicha dla lepszych pastwisk, ale jedno z nich pozostało.

Lata przytaknęła.

— Nasza córka Yashura. Była bystra, że niech to lichy, i przy tym piękna. Została senatorem okręgowym. Zostałaby posłem, gdyby starczyło czasu. Razem z Kallym przeszliśmy jedną odnowę biologiczną, która udała się całkiem dobrze, jak sądzę. Po sprzedaży farmy opuściliśmy system i pracowaliśmy w policji Kom, zwalczając handel gąbką. To było interesujące zajęcie, ale w miarę upływu lat coraz bardziej nas rozczarowywało. Koniec końców stanęliśmy w obliczu kolejnej odnowy i być może częściowej utraty pamięci, pogorszenia sprawności. Zdecydowaliśmy się tego nie robić. Jedyne co nas jeszcze tam trzymało, to udzielanie pomocy Yashurze w walce z zagrożeniem Kom dla Świata Harvicha. Lokalny aparat partyjny rozrósł się; wydawało się, że są słabi, dopóki mnóstwo ważnych osobistości nie zmieniło orientacji. Wiedzieliśmy, że to sprawka gąbki, ale nie byliśmy w stanie tego dowieść. W końcu nie mogliśmy znieść stresu. Postanowiliśmy dać za wygraną. Nikt z nas nie chciał pozostać tam i być świadkiem tego, jak miejsce, w które włożyliśmy tyle własnego potu i krwi, zamienia się w jeszcze jedną wylęgarnię ludzkich mrówek.

Renard rozumiał to.

— Co jednak z waszą córką?

— Bardzo długo próbowaliśmy ją przekonać, by zabrała rodzinę i wyniosła się — odpowiedziała Yaxa. — Była uparta, miała to po nas, jak sądzę. Myślała, że może z nimi walczyć. Kiedy okazało się, że jest to niemożliwe, było już za późno. Nam samym ledwie się udało. Nie wiedzieliśmy, co robić. Yashura była gotowa walczyć aż do śmierci, ale trzeba było pomyśleć o wnukach. A więc przed podjęciem wędrówki do Wrót poruszyliśmy niebo i ziemię, wykorzystaliśmy każdą znajomość, każdy podstęp, aby odnaleźć Nathana Brazila.

— I udało się wam? — spytał zaskoczony Agitarianin. — Czy rzeczywiście powrócił w nasze strony?

Vistaru przytaknęła.

— O tak. Obiecał wydostać dzieci, jeśli będzie to fizycznie możliwe i jeśli ich rodzice na to zezwolą. Udało mu się tylko z Mavrą. — Ostatnie słowo zostało wypowiedziane z niesłychanym smutkiem.

— Ten Brazil... Kiedy odszukaliście go po upływie niemal dwustu lat... jak on wyglądał? — zapytał Julin, szczerze zainteresowany.

— Dokładnie tak samo — odpowiedziała Yaxa. — Nie zmienił się na jotę. Ani śladu starzenia się. Myślę, że wygląda tak samo od czasu narodzin rodzaju ludzkiego.

— Ciekawe, dlaczego postanowił żyć między nami? — głośno zastanawiał się Renard. — Czyżby dlatego, że jesteśmy tak przystojni?

— Jako Markowianin, pomógł w założeniu oryginalnego Glathriel — wyjaśniła Wooley. — Sam powiedział, nie był to jego projekt, był tylko... no cóż, menedżerem. Zorganizował transport na Starą Ziemię, jednak w przeciwieństwie do pozostałych, nigdy nie poddał się całkowitej i nieodwracalnej transformacji. Pozostał Markowianinem.

Julin skinął głową.

— Tymczasowa linia. Po zbudowaniu Obie dowiedzieliśmy się wszystkiego. Cały wszechświat jest ustabilizowanym polem energii. To, w jaki sposób energia jest transformowana i manipulowana, pozwala kreować różne, znane nam żywo-
ły. Studnia, czy też na mniejszą skalę Obie, spełnia funkcję stabilizatora. Można dokonać stałej zmiany, jeśli ułoży się równanie, składające różne elementy w taki sposób, że akt stworzenia staje się normalną rzeczywistością, całe otoczenie tak to właśnie postrzega. Wykorzystując Obie, zmieniliśmy kobietę w centaury na długo przed dotarciem do nas pogłosek o Dillianach. Oczywiście wszyscy uważali, że ona zawsze była centaurką, logicznie wytłumaczono nawet akt jej narodzin. W ten właśnie sposób Markowianie na nowo stworzyli wszechświat.

— Jasne jak słońce w pochmurny dzień — kiwnął głową Renard.

Julin wzruszył ramionami.

— Potem na prośbę Treliga przyprawiliśmy ludziom końskie ogony. W zamyśle miała to być przestroga. A więc wszyscy musieli wiedzieć, że oni nie powinni mieć ogonów. Ułożyliśmy tymczasowe równanie, lokalne. Ich ogony, które nie były uważane za rzecz normalną, są jak ludzka natura Brazila. On jest Markowianinem i powraca do swojej postaci, kiedy jest w Studni. Zastanawia mnie, czy jest jedynym spośród nich, który to zrobił?

To była zagadka, ale nie z tych, które można rozwiązać. Dlatego nie zaprzękali sobie nią głowy.

Renard popatrzył na Mavrę Chang.

— Dlaczego, u licha, opuściliście ją? — gniewnie zapytał. — Dlaczego nie trzymaliście się w pobliżu, by ją wychować i wykształcić?

Wooley i Vistaru poczuwali się do winy, ale wyrazili to w sposób charakterystyczny dla ludzi:

— Dlaczego ty opuściłeś ją w Glathriel i wróciłeś do domu w Agitar? — zripostowała Vistaru. — Ile razy odwiedziłeś ją w ciągu dwudziestu dwóch lat? Ja

nie wiedziałam o niej nic, zanim mi Ortega nie powiedział tuż przed wyruszeniem tutaj, ale ty zawdzięczasz jej życie. Co za wdzięczność!

Zaczął protestować, by się usprawiedliwić, ale zrozumiał, co miała na myśli.

— Wina spada na nas wszystkich, prawda? — powiedział potulnie.

— Yaxy postanowiły ją usunąć — kontynuowała Wooley. — Ortega opowiedział mi jej historię po to, aby uzyskać moją pomoc. Udało mi się zdusić próby w zarodku. To dlatego starałam się jak mogłam i w końcu mnie wysłano, by ją schwytać. Nie ufałam nikomu. — Jej lśniąca, żółtoczarna głowa podobna do czaszki zwróciła się do Vistaru. — A o tobie wtedy nic nie wiedziałam. Ortedze wymknęło się to i owo przed kilku laty i wyciągnęłam odpowiednie wnioski.

— Jeśli prawdą jest to, co sobie przypominam, to Nathan Brazil ustawił Studnię tak, by wezwała go, jeśli coś złego się wydarzy — zauważyła Vistaru. — Dlaczego więc nie zrobiła tego, kiedy nagle nad nią pojawiły się Nowe Pompeje?

— Mogę na to odpowiedzieć — rzekł Julin. — Widzicie, dla Studni wszystko jest w porządku. Markowianie wiedzieli, że pewnego dnia w przyszłości jedna z ras ogarnie zdolność manipulowania wszechświatem, tak samo jak oni. Wtedy kiedy to nastąpi, Studnia miała przenieść młodą rasę do siebie i otrzymać nowe instrukcje. Miała to być, powiedzmy, zmiana warty. Jeżeli chodzi o Studnię, to oczekuje ona po prostu, by Obie albo jego operatorzy przemówili do niej. Oczywiście to jest tak, jakby spodziewać się, że małpa zacznie recytować Koran. Markowianie sknócili to. Odkryliśmy sekret wcześniej, zbyt wcześniej, a wytwory naszej cywilizacji nie mogą nawet przyjąć wszystkich danych, nie mówiąc już o rozmowie czy wydawaniu poleceń Studni. Obie jest zatem usprawiedliwiony, wzbrania się przed próbą. Wyobraźmy sobie, że poda niewłaściwą instrukcję i wymaże całą ludzkość. Co wtedy?

Myśl ta działała otrzeźwiająco.

— Często mówisz o tym swoim komputerze tak, jakby był człowiekiem, dlaczego? — spytała Wooley.

Julin roześmiał się.

— Och, on jest człowiekiem. Tak jest! Uważa siebie za mężczyznę. Komputery obdarzone świadomością znane są od tysięcy lat. Jestem pewny, że natknęłyście się w swoim życiu na jeden czy dwa. Ale nigdy na taki jak ten. To naprawdę jest człowiek, tak samo ludzki jak każdy z nas. Kiedy go zobaczycie, porozmawiacie z nim, zrozumiecie, co mam na myśli.

Na tym poprzestali. Nagle Renard podniósł głowę do góry, wstał i z błyszczącymi oczami zbliżył się do Mavry.

— Doskonale, Mavro Chang — odezwał się tym samym szorstkim głosem, co poprzednio. — Teraz usłyszałaś już wszystko. Zdecyduj się. Statek przekroczy granicę tego wieczoru, będzie gotowy do startu za dzień, albo dwa. Czy chcesz na nim być? Bo, niech mnie licho, przejdiesz przez Studnię, tak jak to powin-

naś zrobić dwadzieścia dwa lata temu, chyba że otrząsniesz się z tego! Zrób to natychmiast! Co się z tobą właściwie dzieje?

Wydawało się, że coś do niej dociera. Powoli przyspieszył się jej oddech, powoli zaczęła wracać do życia.

— Dlaczego on to zrobił, Renardzie? Powiedz mi, dlaczego? — zapytała przybita.

Renard odezwał się podobnym tonem.

— Hę? Dlaczego ktoś zrobił, co?

— Dlaczego Joshi skoczył i przyjął na siebie wiązkę z tego pistoletu? To szaleństwo. Nie mogę tego zrozumieć. Ja... ja nigdy nie poświęciłabym świadomie życia dla nikogo, Renardzie. Dlaczego on miałby to zrobić?

A więc o to chodziło. Spojrzał jej w oczy.

— Ponieważ on ciebie kochał, Mavro. Potrząsnęła swoim końskim łbem.

— Jakże można kogoś aż tak kochać? Ja tego po prostu nie rozumiem.

— Nie jestem pewny, czy i ja to rozumiem — powiedział. — Nie jestem pewny, czy ktokolwiek z nas może to zrozumieć. Witamy na powrót w świecie samolubnych hipokrytów — westchnął i uśmiechnął się.

Odwróciła się twarzą do pozostałych.

— Wy dwie... jesteście naprawdę moimi dziadkami? Opowieści... wasze bajki o Świecie Studni, Nathan Brazil... To wszystko jest prawdą? Stare wspomnienia są prawdziwe?

Vistaru przytaknęła.

— I Nathan troszczył się o ciebie, nawet jeśli niewiele mu z tego wychodziło — powiedziała. — Czasami komunikował się z Ortegą za pomocą cylindrów wysyłanych z Wrót Studni. Były przeznaczone dla nas, ale, być może rozsądnie, człowiek-wąż zatrzymywał je u siebie. Czuł, że będzie lepiej, jeśli nie dowiemy się, kim albo czym jest drugie, ani co spotkało ciebie, Vashy i innych. Był kiepskim rodzicem, zawiódł w wyszukaniu właściwego opiekuna, wiedział to, ale ciebie nigdy nie stracił z oczu, Mavro.

Mavra Chang spojrzała na nią pytająco.

— To Brazil, gdy nie udało się zawiadomić Maki Chang o przemytniczej pułapce, dopilnował, by ciebie nie odnaleźli. To Brazil skłonił starego Gimmy, króla żebraków, by opiekował się tobą. To Brazil pokierował Gymballem Nysongi, który pozornie miał ciebie sprawdzić, chociaż potoczyło się to inaczej. To on zmylił tropy po śmierci Nysongi. I tak dalej, i tak dalej. Wszystko można znaleźć w meldunkach w biurze Ortegi.

To ją ponownie oszołomiło. Renard pierwszy zorientował się, że coś jest nie w porządku i znów do niej podszedł.

— Co się stało? Myślę, że to wspaniale, jeżeli ktoś robi dla ciebie coś takiego, i to rok w rok.

— To potworne! To groteskowe! — fuknęła, oburzona do głębi. — Nie rozumiesz? To zmienia całe moje życie w kłamstwo. Nie dokonałam wszystkiego sama. Niczego nie dokonałam sama! Pomagał mi jakiś nieśmiertelny Markowianin. Przez cały czas!

On to rozumiał, chociaż pozostali nie mogli tego pojąć. Jedyne co miała i co trzymało ją przy życiu, to niesamowita wiara w siebie, w swoje ego, wiara w zdolność wygrywania z losem i w umiejętność pokonywania wszelkich przeszkód. Kiedy jej ego, jej wyobrażenie o sobie nagle odesłano kopniakiem w kąt, niewiele pozostało z Mavry; biedna, mała i osamotniona, inteligentny koń, zabawka zależna od innych.

— Ja cię rozumiem — tyle tylko zdołał powiedzieć Renard; miękko, łagodnie, z domieszką smutku. — Ale teraz zdana jesteś jedynie na siebie, Mavro Chang! Od momentu ucieczki z Glathriel wszystko zależy jedynie od ciebie.

Potrząsnęła łbem i odwróciła się. To nie była prawda. Ostatecznie udowodnił to Joshi. Nagle poczuła do niego nienawiść, gwałtowną nienawiść, która wymykała się władzy rozumu. Za to, że poświęcił dla niej życie, za wtrącenie się w jej sprawy o wymiarze ostatecznym.

Pozostała tylko Mavra Chang, pusta skorupa wewnątrz pustej skorupy, całkowicie sama, bezradna i zależna. Pograżona w ciemności. Na zawsze.

Bozog, kosmodrom następnego dnia

— Hej! Wydaje mi się, że coś widzę! — wykrzyknął Ben Julin do mikrofonu w skafandrze. Zachowywał się jak mały chłopiec, szalenie podniecony i ożywiony.

Nie dalej niż dwa kilometry od nich biegła przez równinę granica Uchjin, gdzie rozbił się przed wielu laty. Od tamtej pory głowił się, w jaki sposób — nawet jeśli przedostaną się na Północ — zdołają wydostać stamtąd niestabilny statek o olbrzymim ciężarze, którego nie można było ruszyć środkami mechanicznymi, ponieważ w tym sześciościanku nie działały żadne urządzenia techniczne.

— Największym problemem było jego przesunięcie — powiedział Bozog. — Uchjinowie prowadzą nocny tryb życia, są zupełnie bezradni przy świetle dziennym, dlatego wtedy wykonaliśmy większość robót. Niewielu ich jest i nie mają środków, by to zrekompensować, a więc trzeba było zapewnić ochronę zespołu transportującego przed atakami w ciemności. Zrobiliśmy to, zmieniając noc w dzień za pomocą żeluzu fosforowego. Po prostu dla nich było zbyt jasno.

Julin pokiwał głową.

— To tak jak palenie ogniska w gęszy dla odstraszenia dzikich zwierząt. Ale w jaki sposób udało wam się poruszyć ten statek?

— Powoli, oczywiście — przyznał Bozog. — Zajęło to nam kilka tygodni. Zaczęliśmy po otrzymaniu wiadomości o przełomie w podróżach pomiędzy Północą a Południem. Można było to zrobić siłą ludzkich mięśni. Podnieśliśmy go na łańcuchach i krążkach na olbrzymią platformę. Sam ten wyczyn zajął dziewięć dni. Od tego momentu dwanaście tysięcy Bozogów ciągnie go na zmianę. Dzisiaj wielkie przedsięwzięcie dobiega końca.

Julin zamyślił się.

— Ponieśliście olbrzymie koszty — stwierdził. — Co was do tego pchnęło?

— To było wyzwanie, wielkie dzieło — odpowiedział Bozog. — Wyczyn, który opiewany będzie przez pokolenia Bozogów. Olbrzymi problem techniczny. Rozwiązanie tego problemu dowodzi, że ze wszystkim można sobie poradzić, jeśli poświęci się temu dostatecznie dużo namysłu i wysiłku. Można by powiedzieć, że był to akt wiary.

Z oddali dobiegało dudnienie, jakby tętent miliona spłoszonych koni czy też odgłos gwałtownej burzy. Ogromny statek, oparty na lewym skrzydle, opasany łańcuchami i linami toczył się na wielu tysiącach wielkich łożysk kulkowych, połączonych siecią zawieszania. Był to bardzo powolny proces, ale statek przesuwał się, ciągniony przez ogromne rzesze Bozogów.

— Niedługo znajdzie się w zasięgu lin gigantycznej wciągarki — oznajmił Bozog. — Wtedy będzie go można przetransportować na nasz teren.

— Jak pan myśli, kiedy będzie mógł stanąć na wyrzutni? — zapytał Julin, szczerze przejęty całym przedsięwzięciem i oburzony lekceważącym stosunkiem do niego tych stworzeń.

— Dziś w nocy — odpowiedział Bozog. — Późną nocą.

Mavra Chang unikała wszystkich, nie odczuwała podniecenia z powodu transportu statku. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, ekspedycja przestała cokolwiek dla niej znaczyć.

Im więcej myślała o swoim życiu, tym mniejsze miało dla niej znaczenie. Brazil przemycił ją ze Świata Harvicha do Makiem. Brazil chronił ją przed aresztowaniem, ułożył jej „niezależną” karierę, przysłał Gimballa, opiekował się nią. Przypomniała sobie błędy popełniane podczas kradzieży. Jednak jakimś cudem systemy alarmowe, które przeoczyła, nie włączyły się, albo pościg przez przypadek mylił trop. Nawet na Nowych Pompejach, uzmysłowiła sobie, Brazil został zastąpiony, jego miejsce zajął Obie.

Obie przekazał jej plany i schematy planetoidy. Obie zdradził jej kody. W rzeczywistości Obie użył jej do swoich własnych celów. W Świecie Studni zawsze była tylko pionkiem w grze. Lata, na rozkaz Ortegi, wyratowali ją z rąk cyklopów Teliaginu. Stała się trybikiem w planie Ortegi. Poddana kontroli, popychana z miejsca na miejsce, manipulowana przez okoliczności i hipnozę miała robić dokładnie to, czego chciał człowiek-wąż; na koniec ochraniała przez Ortegę i swoich własnych dziadków. Nawet tutaj, w Bozog, była nadzorowana przez swoich strażników, dziadków i... Joshiego. Podczas walki kontrolę przejął Ghiskind, kiedy jednak został popełniony błąd, kiedy powinna była umrzeć, przed salwą z pistoletu zasłonił ją Joshi i to on umarł.

Jestem Mavrą Chang i mogę zrobić wszystko, pomyślała z goryczą. Mogę umrzeć. Stać mnie na to. Mogę to zrobić na własną rękę.

A jednak nie od razu. Kłamstwo czy nie, musiała coś jeszcze dokończyć. Podjąc jeszcze jedną próbę ocalenia resztek honoru, szacunku dla samej siebie... na Nowych Pompejach.

— Yugash podnosi się! — usłyszała za plecami krzyk Vistaru.

Leniwie odwróciła się i zobaczyła jak bladoczerwony upiór, który wciąż jeszcze nie doszedł całkiem do siebie, unosi się i układa swoją szatę kilka centymetrów nad podłogą.

Wszyscy przyglądali się zaniepokojeni. Było jasne, że nadzieje na jego zagładę nie spełniły się, jedna z upiornych istot wciąż była z nimi. Ciągłe mieli w pamięci kontakt Wooley z Torshindem i jej potworne przeżycia z tym związane.

Yugash niepewnie rozejrzył się dookoła. W tej postaci nie mógł mówić ani uchwycić żadnego materialnego przedmiotu; potrzebna mu była czyjaś forma. Jedna z dwóch upiornych kończyn wycelowwała w ich kierunku, a potem obydwie uniosły się w bardzo ludzkim geście, jakby wzruszał ramionami. Zrozumieli, co miał na myśli. Chciał się z nimi porozumieć i potrzebny mu był ochotnik. Osłabiony, prawdopodobnie z nikim nie mógłby walczyć o przejęcie kontroli.

— Sprowadźcie Bozoga — krzyknęła Wooley i Renard wybiegł z pokoju. Wydawało się, że Yugash uspokoił się na chwilę.

Renard powrócił kilka minut później nie z jednym, ale z dwoma Bozogami średniego rozmiaru. Chociaż stworzenia te nie posiadały zmysłu wzroku w rozumieniu mieszkańców Południa, wszyscy wyczuli, że Yugash został starannie obejrzany. Jeden z nich w końcu odezwał się:

— Yugash! Zezwalam, abyś użył mnie za chwilowego pośrednika w komunikacji, ale niech nic ci nie wpadnie do głowy, w przeciwnym razie jesteśmy gotowi dopilnować twojej dezintegracji.

Kaptur upiornej istoty skłonił się powoli. Yugash popłynął w powietrzu i stopił się z Bozogiem, który lekko drgnął.

Minęła minuta, zanim Yugash odnalazł właściwe nerwy i uaktywnił translator. Nawet nie próbował objąć niczego innego kontrolą.

— Przyjemnie jest znowu z wami rozmawiać — rozległ się głos, który zdecydowanie nie należał do Bozoga. — Przyjemnie być wśród żywych.

— Kto... którym z was... ty jesteś? — zapytała z wahaniem Vistaru.

— Jestem Ghiskindem — odpowiedział Yugash. Kilkoro z nich odetchnęło z ulgą, ale Wooley była ostrożniejsza.

— Chwileczkę — powiedziała ostro. — Jak mamy się o tym przekonać?

Ghiskind zastanowił się nad tym. Tak jak większość istot, uważał siebie za kogoś wyjątkowego. Yugashowi nawet nie przyszło do głowy, że inni mogą go z kimś mylić.

Zaczęli przypominać sobie tematy rozmów podczas podróży, dyskusje z Ortegą, przy których Renard i Vistaru byli obecni, chociaż w ukryciu, szczegóły wyposażenia i bitwy w Pugeesh. W końcu południowcy przekonali się do niego.

— To była niewiarygodna walka — powiedział do nich Ghiskind. — Nigdy dotąd nie zostałem zmuszony do zabicia Yugasha. Jak wszyscy fanatycy, Torshind był wyjątkowo silny. Ostateczny mój manewr podyktowała czysta desperacja, Torshind brał górę. Spodziewałem się, że zabije nas obu i prawie mu się to udało.

— Tak więc ostatecznie uformowaliśmy grupę — powiedział Renard. — Wooley, Vistaru, Ghiskind, Bozog, Mavra, Ben Julin i ja.

Vistaru przytaknęła kiwnięciem głowy.

— To grupa, jakiej świat do tej pory nie widział, ma niezwykle ważne, symboliczne znaczenie.

Odwrócili się do niej.

— A to niby czemu? — zapytał Renard. Obrzuciła ich spojrzeniem.

— Siedmiu członków siedmiu ras. To ostateczny kres Wojen Studni.

Na pokładzie wahadłowca Nowa Harmonia

Podniesienie, ustawienie i zablokowanie statku na pozycji startowej zajęło cztery dni. Kolejnych dwóch zażądał Julin, by sprawdzić systemy. Niektóre systemy zasilania rozładowały się z biegiem lat, ale zostały sprawnie wymienione przez techników z Bozog. Pojazd był nieco uszkodzony, jednak o wiele mniej, niż by spodziewał się tego inżynier. Konieczna była pewna naprawa, lecz przede wszystkim trzeba było naładować energią wtórne systemy zasilania, by zadziałały silniki i główny komputer. Wszystko doskonale się zachowało w atmosferze Uchjin.

Statek zaprojektowano dla ludzi. Bez żadnych kłopotów wsiedli do niego Julin i Renard, niewielkie wymagania mieli Yugash i Bozog, ale rozmiary i dziwne kształty bardzo przeszkadzały Mavrze oraz Wooley, Vistaru zaś musiałaby skrzydła przyciskać przez dłuższy czas do oparcia fotela. Zamiana kilku foteli w przedziale pasażerskim na ciężkie poduchy, umocowane szerokimi pasami, rozwiązała najtrudniejszy problem. Vistaru zdecydowała się wytrzymać dłuższą chwilę w pozycji leżącej, przypięta do fotela na brzuchu.

Przez jeden dzień Julin w asyście Mavry, która zaczęła znów okazywać pewne zainteresowanie otoczeniem, sprawdzał działanie komputera przy programowaniu i kontrolowaniu funkcji. Przekonali się oboje, że wiele zapomnieli, ale umiejętnościami, które pamiętali, uzupełniali się wzajemnie. Razem mogli prawdopodobnie przypomnieć sobie wszystko, co potrzebne.

— Ciągle żałuję, że nie ma z nami kogoś, kto robiłby to niedawno — powiedział do niej z obawą Julin. — A niech to! Po dwudziestu dwóch latach bezczynności mamy zamiar zaprogramować i wykonać tym statkiem serię manewrów zbyt trudnych dla połowy pilotów, jakich kiedykolwiek poznaliśmy! Niech mnie licha, ja nie zaufałbym pilotowi, który nie latał tak długo!

— Rozmyśliłeś się? — zapytała kpiąco. — Zawsze mogę poprosić Renarda, by wykonywał moje instrukcje.

Roześmiał się.

— Nie, za daleko zaszedłem i zbyt długo na to czekałem. Polecę albo zginę.

— Albo jedno i drugie — odparła sucho.

Za dwa dni Nowe Pompeje znajdują się we właściwym położeniu, ważny stanie się kod dla wartowniczych robotów, który Mavra Chang знаła. Wtedy polecą.

* * *

— Test wstępny. Siła ciągu dwa procent! — nadał Ben Julin do kontroli naziemnej i ogłosił na pokładzie statku. Nacisnął przełącznik. W odpowiedzi coś jęknęło, poczuł wibrację. Utrzymał siłę ciągu na tym poziomie przez cztery sekundy. Wskazówki instrumentów wskazały mniej niż jedną tysięczną procenta, a potem opadły.

— Test wstępny prawidłowy — zgłosił. — Podajcie dane startowe.

Rozległ się skrzekliwy głos Bozoga.

— Na nasze odliczanie przełącz na wewnętrzne zasilanie przy stu; zwiększaj ciąg o dziesięć procent na dekadę na nasz sygnał. Zwolnij hamulce przy dziesięciu. Pełny ciąg na sekundę według naszego odliczania. Połączenie i synchronizacja.

— Zaczynani odliczanie... sto — powiedział dziarsko Julin.

— Zaczekaj, aż damy znak. Połączenie nawiązane. Przełącz na wewnętrzne zasilanie. Zaczynamy: sto.

Julin uderzył w tablicę kontrolną.

— Wewnętrzne połączenie, gotowe. Ciąg: dziesięć przy dziewięćdziesięciu.

Powoli, nie spuszczając oczu z tablicy przyrządów, nacisnął po kolei rząd przełączników.

— Pięćdziesiąt jeden przy pięćdziesięciu — powiedział do wieży kontrolnej.

— Rejon wolny, hamulce zwolnione, trzydzieści — odpowiedział Bozog.

— Siedemdziesiąt dwa przy trzydziestu — zawołał Julin. — Uwaga!

— Dziewięćdziesiąt przy dziesięciu.

— Dziewięćdziesiąt coraz bliżej. Odliczanie!

— Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem... sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... pełny ciąg! — zawołał Bozog z wieży kontrolnej.

Julin pociągnął za długą dźwignię. Nie miał czasu do namysłu, i to dobrze, bo był śmiertelnie przerażony.

Poczuł nagłe uderzenie, jakby ze statkiem zderzyło się coś ogromnego, przycisnął go straszliwy, miazdzący ciężar.

Mavra padła na twarz, gotowa na przyjęcie szoku. Budowa jej ciała nie pozwalała na leżenie, po sekundzie straciła przytomność; Wooley wytrzymała niewiele dłużej. Inni nie stracili świadomości, chociaż wszystkim, nawet Ghiscindowi, było bardzo niewygodnie.

Julina wcisnęło w oparcie fotela z taką siłą, że poczuł metalową podstawę, od której dzieliło go pięćdziesiąt centymetrów. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał

się w przyrządy kontrolne. Były teraz poza jego zasięgiem, wszystko zależało od komputera.

Minęła wieczność. Przygniatający go ciężar stał się nie do zniesienia. Nawet podczas obserwacji tablicy, przerażony, walczył, by nie stracić przytomności. Wydawało się, że wskazówka stopera przesuwana się w żółwym tempie, sekundy mijały powoli. Czterdzieści sześć... czterdzieści siedem...

Wiedział, że zaraz umrze. Upłynie czas długi jak wieczność, zanim ten zegar odmierzy sześćdziesiąt sekund. Nie przeżyje tego. Tak myślał. W końcu jednak stoper wskazał sześćdziesiąt, potem bardzo długo nie ruszył z miejsca. Przeskoczyła sekunda i ciąg zmałał. Chociaż był na to przygotowany, jednak nagle oswo-bodzenie, jak podczas upadku w przepaść, zaskoczyło go, wyrzucając do przodu. Szelki wpiły się w ciało.

Westchnął i podniósł wzrok na ekrany. Wciąż lecieli do góry, w głąb przestrzeni. Wysokościomierz wskazywał ponad sto kilometrów i wciąż nabierali wysokości.

Odnieśli sukces.

Ekrany włączyły się. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, wiedział o tym. Teraz musiał wprowadzić statek na wysoką orbitę, wykonać pętlę i podejść do Nowych Pompejów, cały czas zważając, by w żadnym punkcie swojego podejścia nie zejść poniżej osiemdziesięciu kilometrów od powierzchni. Statek wykonał obrót. Na ekranach konsoli pojawiły się: Świat Studnia, założone trajektorie i aktualna pozycja pojazdu. Po jednej stronie, z góry na dół, biegł rząd liczb, zmieniających się nieustannie, wskazujących wyliczenia komputera, wprowadzającego ich na zaplanowany tor.

Włączył interkom.

— Wszyscy w porządku?

— Trochę siniaków. Mavra i Wooley leżą nieprzytomne, ale myślę, że wyszliśmy bez szwanku — odpowiedział Renard.

Julin skupił uwagę na przyrządach. W tym czasie, gdy mówił, weszli na orbitę. Ich prędkość różniła się od optymalnej o kilka kilometrów na godzinę, a pozycja o jedną piątą stopnia — to można było łatwo poprawić. Powiadomił komputer o konieczności dokonania korekcji.

Włączył się duży ekran z wyjątkowo szczegółowym obrazem tego, co było z przodu. Świat Studni wypełniał większą część przestrzeni pod nimi. Jego oczom ukazały się Nowe Pompeje. Przed ostatecznym podejściem miał zamiar raz nad nimi przelecieć.

Kolumny liczb wyskakiwały na ekran tak szybko, że ledwie można było je odczytać, wykresy pokazywały kąt, szybkość i cel. Komputer przechodził do fazy drugiej.

Wpływ zawodnego czynnika ludzkiego nie miał teraz znaczenia. Zadaniem komputera było śledzić starannie zaprogramowane instrukcje i wykonywać pracę.

Pasażerom pozostawała jedynie nadzieja, że system będzie nadal funkcjonował tak dobrze, jak do tej pory.

— Co się dzieje tam, z tyłu? — przez interkom zapytał Julin.

— Wszystko w porządku — zabrzmiał łagodny głos Vistaru. — Ponownie jest z nami Wooley, odpięliśmy pasy Mavrze i postaviliśmy ją na nogi. Dobrze, prawda?

— Świetnie — odpowiedział. — Będzie trochę problemów z poruszaniem się, teraz kiedy statek w powietrzu szaleje. Zmniejszymy prędkość nad Strefą północną, z ekranów wynika, że jesteśmy na idealnej trajektorii. Jedyne, co nam pozostaje, to siedzieć i obserwować.

* * *

— Na kursie — ogłosił Julin. — Blokada. Wszystko w porządku, przyjaciele. Trzymajcie się. Schodzimy.

Na ekranie widać było wyraźnie Świat Studni, pojazd i Nowe Pompeje. Kropkowane linie wskazywały obie trajektorie: idealną i rzeczywistą. Wielokolorowe wykresy były dla Julina nieprzydatne, ponieważ nie rozróżniał kolorów, potrafił jednak rozpoznać trajektorie w odtwarzających je krzywych. Poczł lekkie szarpanie, kiedy komputer regulował szybkość i kierunek. Powoli, lecz nieprzerwanie dwa ślady łączyły się w jeden doskonały tor lotu.

Nagle ożyło radio.

— Kod poproszę — uprzejmie zażądał mechaniczny głos. — Prawidłowy kod w ciągu sześćdziesięciu sekund albo zniszczymy wasz statek.

Julin omal nie wyskoczył ze skóry, nagle opanowała go panika. Był tak pochłonięty startem i podejściem do lądowania, że zapomniał o robotach wartownikach. Mógł zobaczyć je na ekranie: małe, ruchliwe punkciki zagradzające drogę. Głośno przełknął ślinę. W głowie czuł kompletną pustkę.

— Pięćdziesiąt sekund — powiedział przyjemny głos.

Grzmotnął pięścią w interkom.

— Czy Chang obudziła się już?

— Wciąż jeszcze jest odurzona — odpowiedział Re-nard. — A co?

— Muszę mieć ten przeklęty kod — krzyknął.

— Czterdzieści sekund — powiedział głos.

— Myślałem, że go znasz — odezwała się oskarżycielskim tonem Wooley.

— Nie mogę sobie przypomnieć. Niech to diabli! Zapytaj ją o ten przeklęty kod, natychmiast!

— Trzydzieści sekund — powiedział robot wartownik.

Nagle na tej samej częstotliwości rozległ się przez radio inny głos męski, miękki, o przyjemnym brzmieniu.

— To Edward Gibbon, Tom Pierwszy, Ben — powiedział.

Był przerażony, ale złapał tę szansę.

— Dwadzieścia sekund — odliczył wartownik.

— Edward Gibbon, Tom Pierwszy!

Zapadła cisza, diody zegara odmierzały czas. Minęło dziesięć sekund, ostrzeżenie nie powtórzyło się. Odliczył ostatnie dziesięć. Spojrzał na ekran i zobaczył, jak małe punkciki zmieniają szyk i wracają na swoje pozycje.

Ben Julin niemal zemdlął.

— To Edward Gibbon, Tom Pierwszy, Ben — powiedziała uprzejmie Vistaru.

— Wiem, wiem — wyszeptał bez tchu. — Gdybym poległ na was, od trzydziestu sekund bylibyście martwi.

Ale kto przekazał mu kod? Nikt z Bozogów. Chociaż prawie na pewno trzymali radio na podsłuchu. Głos miał zbyt ludzkie brzmienie; znajomy głos z odległej przeszłości. A to jest podróż zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość, pomyślał.

Pstryknął przełącznikiem interkosmicznego radia i spytał:

— Obie? Czy to ty?

— Tak, Ben — nadeszła odpowiedź. — Jak się masz?

— Obie... co u diabła? Jesteś tam sam?

— O, tak! Zupełnie sam — odpowiedział komputer. — To trwało bardzo długo, Ben. Znacznie dłużej dla mnie niż dla ciebie. Jednak interesowałem się twoim losem w Studni. Kto wylądował na pokładzie statku? Stąd nie mogę rozróżnić.

— Jakie są warunki na Wierzchołku?

— Wiesz, że nie mam obwodów na Wierzchołku — przypomniał mu komputer. — Atmosfera, ciśnienie i temperatura są utrzymywane; system elektryczny funkcjonuje normalnie. Poza tym nic więcej nie mogę powiedzieć, nie mam niczego, czym mógłbym to sprawdzić.

Julin zamyślił się. W czasie ich rozmowy statek zbliżył się do śluzy portu kosmicznego.

— Obie, czy komunikowałeś się z kimś przez cały ten czas? To znaczy: skoro możesz rozmawiać ze mną, czy robisz to i z innymi?

Po drugiej stronie zaległa cisza.

— Obie? Słyszysz mnie?

— Słyszę, Ben. Porozmawiamy, kiedy znajdziecie się tutaj — odpowiedział komputer.

Jeszcze kilka razy próbował przywołać Obie, ale po drugiej stronie panowała głucha cisza. Rozparł się w fotelu i myślał przez chwilę. Komputer mógł zachowywać się podstępnie; pod wieloma względami był podobny do człowieka. Odmowa odpowiedzi na zadane pytanie sama w sobie była odpowiedzią. Komputer porozumiewał się z kimś przez wszystkie te lata, a tylko jedna osoba wiedziała jak zbudować urządzenie odbiorcze. Tą osobą był doktor Gilgam Zinder, odkrywca

matematyki Markowian i twórca Obie, który wciąż cieszył się dobrym zdrowiem i przebywał na dole, w Świecie Studni.

Ale on był tam, na dole, pomyślał Julin, pewny swego. Znał wszystkich południowców na pokładzie, a Zinder nie zostałby zamieniony w mieszkańca Północy. Zinder mógł rozmawiać z Obie, mógł nawet radzić się wielkiej maszyny, ale nie mógł jej obsługiwać ani zmieniać oprogramowania. Jedyne osoba przy jednym z pulpitych kontrolnych wewnątrz samego Obie mogła to zrobić. Nawet gdyby Zinder tam się znalazł, nie wiedziałby, że Julin wykombinował taki układ, który po włączeniu pozbawiłby Zindera przytomności. Bez względu na to, jakie niespodzianki szykowali dla niego Zinder i Obie, czekał ich nieprzyjemny wstrząs, pomyślał pewny siebie Julin.

Patrzył na konsolę. Statek spokojnie zbliżał się do celu podróży. Pierwsza z dwóch śluz była uszkodzona; zrobił to prawdopodobnie on sam, gdy w panice startował z Nowych Pompejów. Druga była w porządku i komputer skierował statek w tę stronę.

Nagle od dziobu dobiegł zgrzyt metalu, statkiem wstrząsnęło szarpnięcie i pojazd wsunął się w swoje leże, równa pozycja statku była oznaką pomyślnego lądowania.

To był powrót na Nowe Pompeje.

Przełączył statek na zewnętrzne zasilanie, pobierane z elektrowni Nowych Pompejów; zamigotały przyrządy — ostatnie ogniwo w łańcuchu.

Odpiął pasy i podniósł się z fotela. Po raz pierwszy uzmysłowił sobie, jak brutalny był start.

Czując ból w całym ciele, kulejąc, minotaur skierował się na rufę, ażeby zobaczyć, co z pasażerami.

Nowe Pompeje

W śluzie zasyczało powietrze, wielkie bursztynowe światło ostrzegawcze błysnęło i zgasło, a zapaliło się zielone. Ben Julin przerzucił dźwignię, otworzył właz i przeszedł na drugą stronę. I tutaj paliło się właściwe światło, a więc otworzył następny właz. Wionęło na nich lekką bryzą, gdy nastąpiło wyrównanie niewielkiej różnicy ciśnień. Grupa podążyła śladami Dasheena do kosmodromu na Nowych Pompejach.

Wszystko Mavrze wydało się bardzo znajome, pomimo że jej wzrok odbierał obraz zniekształcony i tylko w czarnobiałym kolorze. Renard także rozglądał się dookoła zdumiony tym, że wszystko jest takie znajome. Inni widzieli to po raz pierwszy: luksusowa poczekalnia, pluszowe obicia.

Julin zachowywał się ostrożnie.

— A to śmieszne — powiedział. — Wygląda tak, jakby ktoś tutaj posprzątał, prawda? Spodziewałem się, że będzie pełno kurzu. Chodnik nie jest nawet poplamiony, a wiem, że jeszcze przed moim odlotem wylądowało na nim sporo paskudztwa. Wcale mi się to nie podoba.

Zrozumieli wskazówkę. Wooley i Vistaru sięgnęły po pistolety.

— Osobliwa konstrukcja — komentował Bozog średniej wielkości. — Z przepełnieniem mnie przez drzwi może być kłopot.

— Wydaje mi się, że są dostatecznie szerokie, abyś się precisnął — powiedział Renard.

Julin, który był nieuzbrojony, nie chciał stanąć na czele pochodu. Na ochotnika zgłosiła się Wooley. Drzwi rozsunęły się szeroko. Reszta ruszyła ostrożnie za nią. Vistaru, wykorzystując obecność atmosfery, uniosła się w powietrze w pustym korytarzu. Jej rasa była jakby stworzona do latania. Vistaru była taka mała, że idąc nie mogła nadążyć za nimi. Zmniejszona grawitacja, która innym przyniosła cudowną ulgę, z początku sprawiła jej kłopot, jednak stwierdziła, że warunki będą znośne, dopóki nie zacznie wydziwiać lub zachowywać się zbyt ambitnie.

Co za sens odbijać się od ścian, zbeształa sama siebie.

Z zewnątrz terminal przypominał rzymskie ruiny. Trawa porosła wysoko, na trawnikach byle gdzie kwitły kwiaty. Chodniki były niemal zarośnięte, a drzewa rozrosły się i były gorzej pielęgnowane, niż to pamiętali ci, którzy wcześniej od-

wiedzieli Nowe Pompeje. Niektóre budynki zarosły bluszczem, mchem, paprocią i wyglądały tak, jakby w nich straszyło. Antor Trelig marzył o nowym imperium rzymskim z sobą jako bogiem-imperatorem, cezarem. Nowe Pompeje były tego odbiciem: architektura w stylu grecko-rzymskim, z licznymi kolumnami, arkadami i kopułami. Jej ruiny wywierały jeszcze większe wrażenie, wzbudzały większą grozę.

— To niewiarygodne — westchnęła Wooley.

Julin kiwnął głową.

— Jest to swoisty przykład wielkiej architektury. Ten świat jest całkowicie samowystarczalny. Roślinność wydzieliła prawdopodobnie zbyt dużo dwutlenku węgla do atmosfery, ale w dawnych czasach równowaga roślinno-zwierzęca była doskonała; powietrze czyste, nie zatrute i nieustająco filtrowane; automatycznie monitorowana równowaga pomiędzy tlenem, azotem i pierwiastkami śladowymi, by zbyt nie odbiegła od optimum; para wodna, wtryskiwana z podziemnych zbiorników i odzyskiwana. Na życzenie Trelig miał nawet deszcze.

— Tam widać całkiem gęstą dżunglę — zauważyła Vistaru, wskazując na lewo, za budynkami.

Skinął potakująco.

— Ładny las, o, tak. Gdzieś w nim są polany z uprawą egzotycznych owoców. Jelenie i mniejsze dzikie zwierzęta prawdopodobnie ocalały, i owady także. Jeśli się wsłuchacie, usłyszycie je.

Rzeczywiście. To było niesamowite wrażenie.

— Bozogu, czy coś cię gnębi? — zapytał Renard.

— Nie, nic — odpowiedziało stworzenie. — W razie potrzeby będę mógł najeść się jednym z tych budynków.

Ruszyli przed siebie, w stronę największej konstrukcji w zasięgu wzroku, wielkiego ratusza, w którym Trelig urządzał sądy i, zabawiał gości, dobrowolnych i mimowolnych.

— Julinie — zawołała Mavra.

Przystanął.

— Tak?

— Czy tobie też przyszło na myśl, że przynajmniej kilkoro ludzi mogło tutaj przeżyć, odżywiając się zwierzętami i roślinami.

Julin przytaknął.

— Gąbka załatwiłaby ich dawno temu — odparł Renard.

— Zapominasz, Renardzie, że dla wielkiego przedstawienia Treliga ściągnięto innych, radnych i przedstawicieli radnych. Niektórzy z nich byli całkiem twardymi ludźmi.

Julin zastanowił się nad tym.

— To możliwe — przyznał. — Jeśli ćpuny ich nie zabiły.

— Kilkoro z nich było zawodowymi agentami, takimi jak ja — zwróciła mu uwagę Mavra. — Bardzo trudno takiego zabić, a czas działał na ich korzyść. Wydaje mi się, że lepiej przyjąć, iż nadal ktoś jest tutaj.

— Ta posprzątana poczekalnia. . . — powiedział Julin, rozglądając się dookoła z ponownie rozbudzoną czujnością. — Jednak o nic więcej się nie zatroszczyli.

Renard im dłużej o tym myślał, tym bardziej się z nią zgadzał.

— To prawda, choć musisz zrozumieć, że przez dłuższy czas byli całkiem normalni. Ale upłynęło dwadzieścia dwa lata, bez nadziei, bez możliwości komunikowania się. Kto wie, jaki tryb życia rozwinęli, co zaszło w ich umysłach?

— Myślę, że masz rację — zgodził się Renard. — Nie było ludzkich szczątków, szkieletów. Materiał organiczny ulega tutaj powolnemu rozkładowi, a to z powodu systemu filtrów usuwających wszelkie mikroorganizmy.

— Żadnych grobów, które zwróciłyby moją uwagę — dodała Vistaru.

— Zarosły — odpowiedziała Mavra. — Nie, lepiej przyjmijmy, że nie jesteśmy tutaj sami, i potraktujmy to miejsce jak nieprzyjazny sześciokąt.

Julinowi nagle przyszło coś do głowy.

— Statek! Nie zabezpieczyliśmy go! Może lepiej. . .

— Tak jest, tak będzie lepiej — zgodziła się Wooley.

Po zabezpieczeniu statku powrócili do badania ruin. Urządzenia zasilające w energię wciąż jeszcze były czynne; nawet inwigilujący wszystko system wideo. Jednak pomimo to, że kuchnię połową zastali posprzataną, czego tak czy siak należało się spodziewać, żadnych śladów czyjejkolwiek niedawnej bytności nie było. W kwaterach strażników ktoś przebywał, ale nie ostatnimi czasy.

— Ocalało niewielu, to pewne — zauważył Renard. — Może troje, czworo ludzi w najlepszym razie. Tylu może to miejsce wyżywić. Ciekawe, gdzie oni są?

Arsenał został zamknięty na głucho bronią energetyczną. Mavra zrobiła to dwadzieścia dwa lata temu. Na pierwszy rzut oka widać było, że od tamtej pory go nie otwierano. Znaleźli kilka, rozrzuconych tu i ówdzie, sztuk broni. Wszystkie były rozładowane i bezużyteczne.

Po jakimś czasie Renard, który znał ten świat lepiej niż ktokolwiek, odkrył ślady, świadczące, że ktoś próbował zostawić wiadomość w małym pokoju poniżej pomieszczeń, będących kombinacją pokoi gościnnych z biblioteką. Drzwi zostały wyłamane z zewnątrz, a ten, kto to uczynił, musiał mieć niezwykłą siłę, bo ozdobne drzwi były bardzo grube. Wewnątrz, przed wbudowanym w ścianę urządzeniem telekomunikacyjnym Renard natrafił na ślady walki. Moduł rejestrujący był na swoim miejscu, a panel wciąż działał. Niecierpliwie stłoczyli się przed nim, gdy Renard przewijał taśmę.

— To był pokój monitorów studia nagrań Treliga — powiedział. — Czasami sprowadzał muzyków na prywatne sesje i słuchał stąd nagrań. W ściennej obudowie możecie zobaczyć setki modułów. Cokolwiek się wydarzyło, ten jest ostatnim, jaki nagrano, może czegoś się z niego dowiemy.

Przewijanie skończyło się i Renard zręcznie poprzestawiał kontrolki, po czym nacisnął przycisk ODTWARZANIE. Zamrugał ekran, a oni pograżyli się w otaczającym ich real-dźwięku.

Ukazała się twarz młodej kobiety, bardzo atrakcyjnej i wiotkiej, o łagodnym głosie i delikatnych, rysach.

— Gossyn! — wykrzyknął Renard. Po tylu latach wszystko wracało.

— Jestem Gossyn z Estuado — powiedziała. Jej głos był tak łudzaco prawdziwy, holograficzny obraz tak czysty, iż wydawało się, że ona we własnej osobie stanęła w drzwiach. — Jedna z byłych niewolnic Antora Treliga. Zostawiam to nagranie na wszelki wypadek, gdyby jeden ze statków, które odleciały, powrócił, tak jak się tego spodziewam. To nic, że jest za późno. Dzisiaj po południu zebrałiśmy całą broń na głównym dziedzińcu, nie dopuściliśmy do niej gości. Jesteśmy wszyscy uzależnieni od gąbki, po kolei będziemy umierać w mękach z powodu jej braku. Czuję, jak mnie zżera nawet teraz, kiedy mówię. My, ostatni niewolnicy Treliga, nie godzimy się na taką śmierć. Kiedy cała broń została zebrana i inni stanęli tam, wtedy ja... — głos jej się załamał, a w oczach pojawiły się łzy — wystrzeliłam ze strzelby, która leży tu obok mnie. Nie został po nich żaden ślad, oprócz brązowej plamy. Za chwilę ustawię ładunek strzelby na przeciążenie zwrotne i też odejdę, ostatnia niewolnica, ostatnia sztuka broni. — Zamilkła pod wpływem wzruszenia. Po chwili kontynuowała: — Nie dbam o to, co z gośćmi. Wiedzą, że ten mały świat może wyżywić tylko niewielką ich liczbę. Ten problem zostawiam im. Mam nadzieję, że w razie powrotu Antora Treliga, tym, którzy ocaleją, uda się obedrzeć go ze skóry.. Powoli, cal po calu, bo sobie na to zasłużył ten demon i potwór. Nie wiem nawet, dlaczego to robią... jednakże, niech to piekło pochłonie, ja nie chcę umierać — stłumiła szloch. — Mam zaledwie siedemnaście lat — wydusiła z siebie i rzuciła się do przodu. Obraz całkowicie się zaciemnił.

Mavra westchnęła.

— Może go wyłączyła — powiedziała, ale dokładnie w tej samej chwili ekran zamrugał ponownie.

Tym razem pojawił się ktoś inny: kobieta, z wyglądu osoba mocna, około trzydziestki, ubrana w kombinezon roboczy. Nie była zbyt atrakcyjna, lecz w jej twarzy i gestach było coś niezwykłego. Ta kobieta była przerażona.

— O Boże! Jeśli ktokolwiek powrócił i dotarł aż tutaj... — zamilkła, zza jej pleców rozległ się głuchy łomot. Był tak realistyczny, że głowy słuchaczy odwróciły się w stronę wyłamanych drzwi. Duch czasu naprawdę przebywał w tym pokoju.

Zaczęła mówić szybciej.

— On jest szalony! Słuchajcie! Wczoraj strażnicy zniszczyli broń, a potem zabili siebie. Wtedy wszyscy zaczęli zabijać się nawzajem.

W tle słyhać było wyraźne odgłosy uderzeń w drzwi. Odwróciła się, coraz bardziej rozgorączkowana.

— Jeden z nas, Belden, tak brzmi jego nazwisko, jest wtyczką, człowiekiem Treliga, podstawionym szpiegiem. Po tym, jak go opuścił szef, oszalał, chyba że od dawna był szalony. — Łomot przybrał na sile, wtórował mu trzask pękających desek. — On jest obłąkany. Zabija ludzi z Komlandu, wykańcza mężczyzn, niektóre kobiety. Trelig urządził tutaj Gabinet Strachu, korzystając z urządzeń kontrolujących mózgi. On uruchomił te urządzenia, pozbawia kobiety mózgów, zmieniał je w zwierzęta. Wpadł w dziką wściekłość. Być może jestem jedyną, która ocalała. Nie mam czasu. Uważajcie. Rozprawcie się z nim w moim imieniu. Błagam! Ja...

Ekran ściemniał. Renard westchnął i wyłączył go.

— Wybiegła z modułu, zanim wpadła w jego łapy — rzekł.

— Tak, teraz wiemy — dodała Wooley. — Czy ktoś zwrócił na nią uwagę, kiedy się odwróciła?

— Ogon — powiedział Julin przeprasającym tonem. — Tak. Trelig przyprawił każdemu koński ogon.

— Ale działo się to dwadzieścia dwa lata temu — zauważyła Vistaru. — Kto wie, co się z nimi stało.

Julin był zamyślony i zatroskany.

— Lepiej przekonajmy się o tym.

* * *

Ghiskind był urodzonym szpiegiem. Dokładne i ostrożne przeszukiwanie kompleksu budynków nie ujawniło niczych śladów, ale ten świat zajmował duży obszar. Julin zwrócił uwagę na tereny bujnej, dzikiej przyrody i gaje drzew owocowych, zaznaczone na mapie znalezionej w kartotekach sterowni. Yugash udał się w tym kierunku, a inni rozbili obóz pod portykiem głównego gmachu. Mogli stąd zobaczyć każdego, kto miałby zamiar wejść, i mogli odpowiednio się przygotować.

Nowe Pompeje dość szybko obracały się wokół własnej osi, co miało swoje nieprzyjemne skutki. Połowę nieba wypełniał widok na Świat Studni, dziwny, zniekształcony po przejściu przez filtr atmosfery i plazmowego płaszcza. Gwiazdy podczas krótkich nocy było widać jak przez mgłę.

Ghiskind powrócił, nim upłynęła godzina. Tak jak to uzgodniono, by się porozumieć, wszedł w ciało Bozoga.

— Oni tam są — powiedział.; — Mała kolonia, w której przeważają młodzi. Wyglądem i zachowaniem upodobnili się do zwierząt. Dwóch samców, pięć samic i czworo dzieci. To bardzo dziwne.

— Ani śladu Beldena — odezwała się Mavra. — Interesujące. Zastanawiam się, czy nie zginął w wypadku, a może! ta kobieta zabrała go ze sobą. Mam na-

dzieję. Zostawimy ich w spokoju. Czy znać było po nich, że mogą zachować się wrogo?

— Boją się własnego cienia — odparł Yugash. — Mają szczątkową zdolność rozumowania, czego dowodzi nieliczne potomstwo. Ocaleć mogła jedynie garstka.

Skinęli potakująco. Julin westchnął.

— A więc proponuję: zostawić ich w spokoju, mieć się na baczności, w razie gdyby Belden gdzieś tutaj się kręcił, i udać się na dół do Strony Spodniej. Tak będzie bezpieczniej.

Wszystko ich bolało i byli zmęczeni, ale zgodzili się. Strona Spodnia była znacznie łatwiejsza do obrony, a i tak musieli tam prędzej czy później pójść. Mavra podeszła razem z nimi do dużej, kamiennej budowli, po drodze minęli coś, co kiedyś było parkiem przed frontowym wejściem do głównego holu.

— W środku będzie ciasno — ostrzegł ich Julin. — Proponuję, żeby razem pojechały Mavra i Wooley, a my weźmiemy wózek zapasowy. Bozogu, ty ledwie się zmieścisz.

Solidna, na pierwszy rzut oka, płaszczyzna marmurowego bloku zniknęła po serii starannie odmierzonych puknięć. Jednak trawa, mech i bluszcz pozostały na swoim miejscu i trzeba je było odsunąć.

Wózek, który pojawił się przed nimi, miał osiem foteli zaprojektowanych dla ludzi. Wooley musiała skurczyć się w sobie, niewygodnie wygiąć skrzydła, żeby jakoś wsiąść do tyłu. Mavra ułożyła się w poprzek trzech pierwszych foteli.

— Do zobaczenia na dole i bądźcie ostrożne. Belden mógł z tego także korzystać — ostrzegł Julin i wprowadził nową kombinację cyfr.

— Teraz wiem, dlaczego Julin nie spieszył się do jazdy w pierwszym wagonie — powiedziała z przekąsem Wooley. — Ten nasz wielki, zuchwały byk jest tchórzem, jakiego świat nie widział.

Mavra milczała. Jeździe w dół towarzyszyło bardzo nieprzyjemne doznanie. Na Stronę Spodnią wiodła daleka droga i chociaż; prędkość opuszczania była kontrolowana, to cały czas czuli się tak, jak gdyby spadali swobodnie — bardzo nieprzyjemne uczucie podczas długiej podróży. Pozostali; uczestnicy wyprawy wsiedli do wagonu technicznego, który nie był tak obszerny, jak pierwszy. Bozog wcisnął się z wielkim trudem. Gdyby Ghiskind miał stopy albo gdyby Vistaru i Renard byli więksi, to deptaliby po nim przez całą podróż. Julin siedział skurczony, by nie gniesć dziwnego stworzenia.

Wreszcie podróż dobiegła końca i przód wagonu się otworzył. Mavra wysiadła z trudem, a Wooley przy wysiadaniu trochę naderwała sobie skrzydło. Znalazły się w sterylnym, jasno oświetlonym holu, podobnym do milionów pomieszczeń tego rodzaju, powszechnie znanych od narodzin cywilizacji technicznej. Niemal natychmiast przybyli pozostali; prędkość mniejszego wagonu była uzależniona od prędkości większego pojazdu, zatrzymywał się on piętro wyżej.

Julin z satysfakcją kiwał byczym łbem i rozglądając się dookoła, zadowolony machał ogonem. Tutaj był w swoim żywiole, pomiędzy metalicznymi ścianami, w sztucznym świetle, w samych trzewiach wielkiej maszyny. Brał udział w projektowaniu jej, nadzorował jej budowę. Wydawała się jego częścią.

Ruszyli korytarzem, przygotowani na najgorsze. Po chwili korytarz wprowadził ich na szeroką platformę, do punktu, z którego wybiegał wielki most, spinający brzegi bezdennej przepaści.

— Żadnych ciał, jak dotąd — zauważył zaskoczony Julin. — W takim razie Belden był tutaj.

— Spójrzcie! — zawołał Renard. — Tam, na moście! Czy to nie jest ciało?

Wszyscy wyteżyli wzrok. Yaxa miała najlepsze oczy, przytaknęła swoją trupa główką.

— Tak, to człowiek. Ubrany z cudzoziemska. Martwy jak kamień, chyba od dłuższego czasu. Siady rozkładu są wyraźne.

Julin zastanowił się.

— Wygląda na to, że dobierał się do komputera. Przy włączonym trybie obronnym przeszedł właśnie na drugą stronę, gdzie poraził go śmiertelny ładunek. Nawet z tej strony napięcie wynosi pięćdziesiąt wolt, dla odstraszenia. To był wariat, kierował nim niepohamowany popęd i determinacja, pewnie wszystko na raz.

— Myślicie, że to Belden? — Vistaru powiedziała to, o czym pomyśleli wszyscy.

— Prawdopodobnie — odpowiedziała Wooley. — Ten człowiek ma koński i ogon, jest ogromnej postury, ubrany w opadające szaty i turban na głowie. Imperatorowi Nowych Pompejów znudził się zapewne pobyt na Wierzchołku, doszedł do wniosku, że może oszukać komputer. Zdaje się, że to wszystko wyjaśnia.

Renard zamyślił się.

— Jeśli to jest tylko elektryczny system obrony, mogę po prostu przez niego przejść — stwierdził pewny siebie.

— Tam, gdzie jest Belden, napięcie wynosi dziesięć tysięcy woltów — poinformował Julin. — Oczywiście nie przez cały czas: sensory wyczuwają żywą istotę, następuje porażenie i system wyłącza się.

— Dziesięć tysięcy woltów nic mi nie zrobi — odpowiedział Agitarianin. — Nadmiar ulegnie wyładowaniu.

— Jednak tylko Obie może otworzyć drzwi — wyjaśnił Dasheen. — Będzie ich bronił, tak został zaprogramowany. Na wszelki wypadek rozmieszczono tutaj miotacze. Sam kod nie wystarczy. Wszystko musi być wykonane we właściwej kolejności albo nic z tego nie będzie — powiedział szczerze.

— Chcesz mieć to za sobą? — zapytała Mavra. — Co trzeba zrobić?

Zamyślił się.

— No dobrze. Najpierw przejdę po moście w określony sposób, to spowoduje spadek napięcia do pewnego poziomu. Potem podam hasło i pójdę dalej w ten

sam sposób. Drzwi otworzą się, kiedy się do nich zbliżę. Następnie będę musiał podejść do konsoli i wyłączyć tryb obronny, w przeciwnym razie zaczną działać.

— Pójdzie z tobą jeden z nas — wtrąciła podejrzliwa Wooley.

Potrząsnął głową.

— Nie, to musi być tylko jedna osoba. Spokojnie, nawet jeśli nie anuluję kodu, dostaniecie się do środka, prawda? Do licha, czy nie grałem z wami uczciwie do tej pory?

To była prawda, ale i wobec Treliga był lojalny przez wiele lat.

— Może Ghiskind — zaproponowała Mavra.

— Nie! — Julin był nieustępliwy. — Nikt!, Oczywiście, może zostanie zignorowany, a może nie, ale nie poda hasła, to jasne jak słońce. Bozog nie może gestykulować. Nie możecie i wy. Pozostają jedynie ja — gwałtownie machnął rękami. — Co z wami! O co my się kłócimy? Za pięć minut możemy być w środku.

Opanował ich niepokój. Szeptem naradzali się, ale wniosek mógł być tylko jeden, o czym Julin wiedział. Głos zabrała Wooley.

— Nie przyszedłszy tutaj po to, aby teraz zawrócić — oświadczyła. — W porządku, Julinie, możesz iść.

Skinął łbem w jej stronę, z jego postawy widać było, że jest zadowolony i pewny siebie. Odwrócił się i podszedł do mostu, uniósł w górę ramiona. Zawahał się przez chwilę, jakby lękając się porażenia, a potem wkroczył na most i ruszył na drugą stronę.

Gdy przeszedł więcej niż połowę drogi, zamienił się w małą figurkę, którą tamci obserwowali z pewną obawą i niepokojem. Wooley i Renard wyciągnęli broń i bez słowa wycelowali w niego.

Julin szedł nerwowym krokiem, widać było jak podskakuje mu głowa, próbował obserwować obie strony mostu. Dawno temu strzałem zaznaczył właściwe miejsce. Bał się przez chwilę, że znak został zatarty albo że go nie zauważy z powodu gorszego wzroku, gdy nagle... zobaczył go! Był dalej, niż to sobie przypominał, ale jeszcze nie został porażony, a więc to musiało być to. Nie opuszczając ramion, z odwróconymi do góry dłońmi stanął i odchrząknął.

— Obie! — ryknął z całych sił. Echo poszło po całej komorze, w górę i w dół olbrzymiego szybu. — Nie ma Boga prócz Allacha, a Muhammad jest jego prorokiem! Słyszysz,! Obie? Nie ma Boga prócz Allacha, a Muhammad jest jego prorokiem!

Zawahał się jeszcze przez moment, głęboko odetchnął i ruszył naprzód.

Nic się nie stało.

Dotarł do przeciwnego krańca mostu; miniaturowa figurka, bardzo oddalona, prawie niewidoczna dla oczu wszystkich z wyjątkiem Wooley, mierzącej do niego z pistoletu.

Julin spojrział w dół na leżące ciało, zwęglone, rozkładające się. Widok był obrzydliwy. Ten drań Belden zasłużył sobie na to, na każdego wolta, który go po-

raził pomyślał bez współczucia. Drzwi otworzyły się. Poczł zaskoczenie, czując ciepły, witający go powiew powietrza. Wszedł do środka i natychmiast skrecił w bok. Podszedł do tablicy rozdzielczej i nacisnął włącznik.

— Tryb obronny przywrócono, do odwołania tylko na dźwięk mojego głosu! — wyrecytował szybko, naciskając sekwencję klawiszy numerycznych klawiatury na tablicy kontrolnej.

— Tryb obronny włączony — rozległ się głos Obie, jakby znikąd. — Ani odrobinę się nie zmieniłeś, prawda Ben?

Zachichotał.

— Cześć, Obie. No cóż, trochę tak. Ja... — nagle przerwał.

Stwierdził, że spodek, platforma używana przez Obie, ta sama, na której przypawiono ogony wizytującym gościom i na której przekazano przebrania uciekinierom z Nowych Pompejów, była w trybie AKTYWNYM, przygotowana do włączenia zasilania.

— Anulować zasilanie! — rozkazał do mikrofonu operatora. Podszedł do poręczy i spojrział w dół.

Zobaczył duży, owalny kształt, długości mniej więcej stu metrów i szerokości około siedemdziesięciu metrów. Ponad nim znajdowała się ograniczona poręczą, szeroka na trzy metry galeria, na której były trzy konsole. Z galerii wiodły schody na niższy poziom gdzie znajdował się metalowy dysk, podniesiony prawie na pół metra. Nad nim wisiał, przymocowany do bomu spodek Obie.

Ben Julin wstrzymał oddech. Ktoś stał na dysku, rzeczywiście były tam dwie osoby. Ludzie!

— Hej! Wy na dysku — zawołał, rzucając okiem na mniejszy spodek nad nimi.

— Obie wam nie pomoże — zawołał aż zahuczało. — Teraz ja mam go pod kontrolą. Kim jesteście?

Jedna z postaci westchnęła.

— Cześć, Ben — był to przyjemny, miękki, kobiecy głos. — Wróciliśmy do początku, jak sądzę. Jestem Nikki Zinder, a to Mavra, moja córka.

— A niech mnie licho!

Po drugiej stronie mostu

Renard próbował złamać kod po zatrzaśnięciu się drzwi. Wooley oddała strzał, ale za późno i nie miało to znaczenia.

Agitarianin przeszedł tylko kilka kroków i przekonał się, że most znów jest pod napięciem.

— Renard! Wracaj! — zawołała Wooley. — Może kłamał, mówiąc o tych miotaczach, a może nie. Jednak sam nigdy tych drzwi nie otworzysz! Po co ryzykować? Ten drań oszukał nas i musimy się wycofać!

Agitarianin niechętnie przyznał jej rację i zawrócił. Powtarzające się impulsy napięcia uderzały w niego, dopóki nie doszedł do połowy mostu. Nie wywarły żadnego skutku, prócz tego, że został maksymalnie naładowany, po raz pierwszy od wielu lat. Osiem tysięcy woltów uderzyło mu do głowy, miał wrażenie, że może zrobić wszystko. Jednak wrócił na drugą stronę mostu.

— Nie dotykajcie mnie! — ostrzegł. — Muszę częściowo rozładować ładunek, bo mogę kogoś śmiertelnie porazić!

Udało mu się znaleźć odcinek metalowej poręczy, który nie był połączony z niczym znajdującym się w pobliżu. Najpierw spróbował wywołać krótkie spięcie, by potem pozbyć się około dwóch tysięcy woltów.

— A więc, co teraz? — zapytał.

Ghiskind wszedł w ciało Bozoga.

— Zobaczmy, czy mnie się uda przedostać — powiedział. — Elektryczność i miotacze nie wyrządzą mi szkody, nawet jeśli zostanę wykryty, a gdy się dostanę do środka, mogę opanować jego ciało, jestem tego pewny.

Zgodzili się, by Yugash podjął próbę. Popłynął w powietrzu ponad mostem i wkrótce zniknął im z oczu. Po kilku minutach oczekiwania obserwowali jego powrót.

— To na nic — powiedział do nich, znów za pośrednictwem Bozoga. — To miejsce jest szczelne, nie ma żadnych pęknięć. Drzwi opatrzone izolowanymi uszczelkami. Wewnętrzna atmosfera jest całkowicie niezależna, więc jeśli w tym, co on mówi o komputerze, jest choć słowo prawdy, to może tam żyć prawie w nieskończoność, przeżyje nas wszystkich.

— To ci dopiero bałagan, co? — powiedziała Vistaru. — No więc, co robimy?

— Powiedziałbym: wracajmy na górę, zanim coś nowego nie wpadnie nam do głowy - zaproponował Agitarianin. — Po pierwsze, Belden jest martwy, a więc nam nie zagraża, po drugie, tam jest woda i żywność, po trzecie, koniecznie muszę znaleźć łazienkę.

Niewiele mogli zrobić. Na Stronie Spodniej w swoim żywiole był Julin. Pokonani, powoli zawrócili korytarzem.

* * *

Z ostrożności, w razie gdyby jakaś sztuczka przyszła Julinowi do głowy, i z obawy przed nieznanymi niebezpieczeństwami Wierzchołka, czuwali na zmianę.

Mavra spała twardo. Po przebudzeniu czuła się znacznie lepiej. Miała wrażenie, jakby przejaśniło się jej w głowie, a i ciało było mniej obolałe. To ostatnie zadanie, pomyślała z determinacją, ostatnie, z którym muszę poradzić sobie samodzielnie. Nikt inny tym razem, tylko ja. Jeśli i tę okazję zaprzepaszczę...

Lecz nie, porażka była nie do pomyślenia. Prawdę powiedziawszy, nie obchodziło jej, co Julin robił z Obie, co planował, obchodziła ją ta jedyna, ostatnia okazja, by udowodnić przed sobą i przed innymi, że Mavra Chang jest tak dobra, jak o tym zawsze była przekonana. Sukces ostatecznie przypieczętowałby jej życie. Świadczyłby o tym, że jedyna w swoim rodzaju osobowość, Mavra Chang, lepsza od innych, istniała naprawdę. By to osiągnąć, z radością poświęci życie. Odkąd stanęła na Nowych Pompejach, wiedziała, że nigdy ich nie opuści. Nie wróci do Świata Studni, gdyż zostałaby przetransformowana w coś absurdalnego, w taki powiedzmy, tańczący kwiat Krommian lub w żabę z Makiem, lub w coś jeszcze gorszego. A jeśli jej się powiedzie i pozostaną przy życiu... powrócić? Pod jaką postacią? Konia? W Kom to nabrałoby rozgłosu.

Nie. Triumf czy katastrofa, wszystko skończy się tutaj.

Wciąż rozpatrywała w myślach plan Nowych Pompejów. Coś tutaj musi być, jakiś klucz, który pozwoli zmienić bieg wypadków;, tego była pewna. Na pozór nieistotne fakty nieustannie przychodziły jej na myśl. Próbowwała je uporządkować jak olbrzymią łamigłówkę-układankę. Zasypywało ją jednak zbyt wiele oderwanych od siebie fragmentów. Czuła gonitwę myśli; mózg jej pękał, ten mózg, który Ghiskind obwołał najsilniejszym, na jaki kiedykolwiek natknął się w swoim życiu.

Obie. Obie był tym poszukiwanym kluczem. Było coś w Obie. Myśl, Mavro, myśl! Byle nie na siłę. Powoli. Odpręż się. Pozwól, by samo przyszło ci do głowy.

I udało się, znalazła rozwiązanie, przynajmniej częściowe.

— Renardzie! — powiedziała energicznie.

Drzemał, ospale uniósł głowę.

— He!

— Pamiętasz, dawno temu, kiedy uciekliśmy z tej dziury, pamiętasz, jak porwaliś statek i obraliś kierunek na Świat Studnię?

Wciąż był na wpół zaspany.

— Taaak, tak mi się wydaje — mamrotał.

— Obie rozmawiał z nami przez pokładowe radio. Pamiętasz?

Nagle otrzeźwiał.

— Rzeczywiście tak było — odpowiedział, pojmując, o co jej chodzi.

— Wracajmy na pokład — zaproponowała.

* * *

Zniechęcała ją niemożność obsługiwania kontrolki. Przynajmniej był tam centralny odbiornik, a nie słuchawki, których używali na statku. Mavra szybko nauczyła Renarda strojenia radia, kontroli zasilania i tym podobnych rzeczy. W końcu była z niego zadowolona.

— Mavra Chang do Obie — powiedziała. — Obie, słyszysz mnie?

— Byłem ciekaw, kiedy na to wpadniesz — natychmiast odezwał się ciepły, ludzki głos komputera.

— Darujmy sobie te wstępy. Nie jesteśmy komputerami — odpowiedziała. — Obie, jaka tam teraz jest sytuacja?

— Zła — oznajmił komputer. — Ben ma całkowitą kontrolę nad wszystkim. Och, oczywiście, mogę pozwolić sobie na coś takiego, ale poza działaniem na jego komendę, nie zrobię nic, co miałoby jakieś znaczenie, no i nie mogę go powstrzymać. Co gorsza, Nikki Zinder i jej córka ani drgnęły, mimo mojego polecenia i były tutaj, kiedy Ben wszedł do komory. Pojmał je.

— Co takiego? — wykrzyknęli chórem Renard i Mavra. Oboje zaczęli mówić naraz, przerywając sobie w pół zadania i Obie musiał poczekać, aż się uspokoją.

W końcu, kiedy się uciszeli, Obie wyjaśnił:

— Spędziłem większość czasu na badaniu Studni — powiedział. — Wnet odkryłem, że jeśli zadam szczegółowe pytania o ograniczonym zakresie, komputer Studni udzieli na nie odpowiedzi. Zanim to się stało, Trelig, Julin i doktor Zinder, na których mi zależało, już przekroczyli próg. Wykryłem ich, próbując uzyskać dane o doktorze Zinderze, ale było już za późno. Jedyne, co mi pozostało, to zasugerować, by znalazł się w wysokotechnologicznym sześciokącie. Pomysł był dostatecznie prosty; mogłem sobie z tym poradzić. Tak więc, kiedy w kilka dni później w progi Studni wkroczyli Renard i Nikki, byłem na to przygotowany. Renardzie, uczyniłem z ciebie Agitarianina, wiedząc, że Trelig jest w Makiem, a te dwa sześciokąty sąsiadują ze sobą. Głównie dlatego. Myślałem, że będziesz miał na niego oko.

Agitarianin kiwnął głową. To wiele wyjaśniało, eliminowało niekontrolowany przypadek, z którym musiałby się pogodzić.

— Jednak Nikki nie była gotowa — ciągnął Obie. — Zdana na samą siebie zaginęłaby w Świecie Studni, a ja nie mogłem uczynić z niej Oolakasha, tak jak z jej ojca. Studnia przestrzega; praw, które są raczej skomplikowane, ona po prostu nie pasowała do wymagań Oolakash. Tak więc uznałem, że można zrobić tylko jedno: przechwycić ją, właściwie w locie, ujmijmy to w ten sposób. Przeszła z Wrót Studni do matematycznego czyścica, skąd sprowadziłem ją do siebie poprzez wielki spodek na Dole, by odtworzyć ją w centrum kontrolnym za pomocą mniejszego spodka. Wyleczyłem ją z uzależnienia od gąbki, pomogłem usunąć nadwagę. Teraz wygląda naprawdę ślicznie. Może tylko jedno było dla mnie niespodzianką, to że była w ciąży.

I znowu rozległo się chóralne „Co? Jak?”.

— To twoje dziecko, Renardzie -: odpowiedział Obie. — W Teliaginie, kiedy oboje cierpieliście z powodu gąbki i wydawało się wam, że umrzecie. Przypominasz sobie?

Renard zupełnie! o tym zapomniał. Nawet gdy mu Obie o tym mówił, ledwie mógł sobie przypomnieć.

— Potrzebne mi były ręce i potrzebni mi byli ludzie — mówił dalej Obie. — Pozwoliłem więc, by urodziła dziecko: dziewczynkę, której nadała imię Mavra, po tobie, Mavro Chang. Wywarłaś na niej spore wrażenie.

Mavrę mile to połaskotało.

— Spędziła z tobą dwadzieścia dwa lata? — zapytała z niedowierzaniem. — I córka ma też tyle lat?

— Och, skądże — odparł Obie. — Niezupełnie. Ona ma kilkanaście lat. Dziewczynka ma mniej więcej piętnaście lat i jest bardzo atrakcyjna. Osobiście asystowałem przy jej przemianie — oszajmił z dumą komputer. — Nikki ma około dwudziestu pięciu lat. Co za sens pozwalać, by czas ich życia płynął ściśle liniowo. Mogłem regulować tempo wzrostu i wpływać na wychowanie w ten sam sposób, w jaki umieściłem plany w twojej głowie, Mavro. Ich życie płynęło raz wewnątrz, to znów na zewnątrz mnie.

— Wydawało mi się, że jesteś boską maszyną — wtrącił się Renard, nieco tym wszystkim przygnębiony. — Do czego są ci potrzebni ludzie?

— Mogę przyprawić sobie protezy, to prawda — przyznał Obie — ale nie jestem dawcą życia. Do tego matematyka się nie nadaje. Nawet Markowianie musieli zamienić siebie samych w wymyślone, nowe istoty. No i, oczywiście pozostawała do rozwiązania kwestia samotności, potrzebowałem towarzystwa. One mi je zapewniały. Okazały się jeszcze bardziej pomocne wtedy, gdy doktor Zinder przed wielu laty zbudował komputer i porozumiał się ze mną.

Pełne zdumienia „Co takiego?” zaczynało być nudne.

— To było niemal jak za dawnych lat — kontynuował swą opowieści komputer. — Doktor Zinder przebywał w bezpiecznym miejscu, zadowolony i szczęśliwy, no i mogliśmy razem pracować. Działaliśmy w porozumieniu z Ortega, by

w miarę możliwości dowiedzieć się jak najwięcej o tym, jak wam się tam na dole wiedzie. Wszystko składało się świetnie, mogliśmy pomagać Ortedze i innym, gdy wpadli w kłopoty. Głównym zadaniem było badanie Studni, co wymaga nieustannej pracy ponad moje siły, i oczywiście znalezienie sposobu na wyzwolenie się spod jej wpływu. To okazało się relatywnie łatwym zadaniem.

— Czy to oznacza, że jesteś od niej niezależny? — zapytała Mavra.

— Och, broń Boże. Znaczy to, że wiem, jak to zrobić. Kłopot w tym, że tylko jedna połowa mnie podlega kontroli niezależnych obwodów, ta zbliżona do ludzkiego umysłu. By uwolnić drugą, trzeba dostać się do szybu i zewrzeć! kilka obwodów. To nieszkodliwe, ale bez tego właściwa komunikacja pomiędzy Studnią i mną jest niemożliwa.

— To dlaczego tego nie zrobiłeś? — zapytał Re-nard. — Czy to z powodu obwodów zależnych?

— Do pewnego stopnia, tak — odpowiedział Obie. — Widzicie, oni wprowadzili mnie w tryb „defensywny” i to jest narzucone. W tym trybie, którym, nawiasem mówiąc, wciąż jestem skrępowany, nie mogę otworzyć drzwi. Mógłbym nakłonić Nikki i Mavrę by uczyniły co trzeba, albo stworzyć swoją analogię, robota, i wykonać to osobiście, ale nie mogę wyjść na zewnątrz.

Mavrze mąciło się w głowie od nadmiaru pytań.

— Obie? — zapytała. — Dlaczego wybrałeś mnie i przekazałeś mi plany?

— Nie zrobiłem tego. Przekazałem je wszystkim, którzy, według mnie, mogli wykonać zadanie -; wyjaśnił komputer. — Tobie po prostu to się udało.

Chciała usłyszeć coś innego i taka odpowiedź zakłóciła na moment tok jej myślenia. Z trudnością zebrała myśli.

— Obie... Ben Julin prędzej czy później dowie się o tym — wtrącił Re-nard. — I uwolni cię od Studni, ale wciąż będzie sprawował kontrolę. Co wtedy?

— Gdy tylko kontakt zostanie zerwany, może odwrócić pole — odpowiedział komputer. — Nowe Pompeje znajdują się w normalnej, dobrze znanej przestrzeni, sprawny stanie się znów wielki spodek., Z moją znajomością Studni, wykorzystując spodek moglibyśmy dokonać transformacji całej planety zgodnie z jego zachciankami.

— A jak długo, według ciebie, potrwa, zanim to odkryje? — zapytała Mavra.

— Niezbyt długo — odrzekł ze strachem Obie. — Nikki i Mavra Zinder wpadły w jego ręce i od nich dowie się, że z Gilem Zinderem można się porozumieć przez radio. Doktor Zinder wbudował mnie w Nowe Pompeje, bo Trelig zagroził skrzywdzeniem Nikki Zinder. Czy myślicie, że odważy się na więcej, by ocalić córkę i wnuczkę? Na pewno nie. To kwestia godzin, a Julin będzie wiedział wszystko. Wkrótce zerwie kontakt ze Studnią, a jest bardzo ostrożny i niezwykle przebiegły. Przypuszczam, że za chwilę odkryje, iż rozmawiam z wami przez pokładowe radio, i położy temu kres.

Schematy i plany bez przerwy wypełniały głowę Mavry. Wiedziała, że w nich ukryte jest coś, co ma podstawowe znaczenie. Ale co to było? Ginę w powodzi danych, pomyślała przygnębiona. Nie mogę sobie z nimi poradzić.

— Tracimy czas na próżno — ciężko westchnął bezradny Renard.

— My, ale nie Ben Julin — zgodził się Obie.

Strona Spodnia

Jedynie Julin mógł zostać zdobywcą całego świata. Rozkazał Obie obrócić spodek w jego stronę i stworzyć w procesie transformacji energii w materię kawałek wytrzymałej liny, żeby miał czym związać obydwie kobiety. Z ich strony groziło minimalne niebezpieczeństwo; jako byk Dasheen dysponował niezwykłą siłą, a one nie mogły użyć przeciw niemu żadnej broni. Trzeba się było sporo nabiegać, przy wtórze strasznych wrzasków, ale rezultat był znany z góry.

Zadowolony z pomyślnego biegu rzeczy, raz jeszcze wspiął się po schodach i sprawdził tablicę rozdzielczą. Po raz pierwszy pozwolił sobie na relaks, na refleksję nad przeszłością i przyszłością.

To prawda, zaplanował wszystko krok po kroku. Wiedział, że tylko on może być tym jedynym, który obejmie we władanie ten ośrodek potęgi. A jednak był jak więzień, co śnił o ucieczce: tyle rozważań poświęcił temu, jak uciec, że nie miał czasu pomyśleć co potem.

Nie ulegało wątpliwości, w komorze krążyły duchy, wśród nich wcale nie na ostatnim miejscu duch Nikki Zinder, którą od dawna uznał za martwą. A teraz znalazła się tutaj, jeśli nie piękna, to przynajmniej śliczniutka i całkiem szczupła.

Na Obie nie można było polegać. Można go było zmusić do wykonania rozkazów, lecz wystarczyła drobna nieścisłość, a natychmiast ją wykorzystywał. To nasunęło mu pewną myśl.

— Obie?

— Tak, Ben?

— Nie życzę sobie, abys kogokolwiek, w jakikolwiek sposób informował o tym, co tutaj robię i co mógłbym zrobić w przyszłości. Zrozumiano?

— Tak, Ben.

Zlikwidował przynajmniej jedno źródło obaw. Następne było...

Naraz Julinowi zakręciło się w głowie, poczuł mdłości, musiał oprzeć się o tablicę rozdzielczą i stał tak, póki uczucie nie osłabło.

Przez chwilę czuł strach, poświęcił kilka minut, by uspokoić się i pomyśleć. Co się z nim stało? Odpowiedź narzucała się sama. Jako byk Dasheen uzależniony był od wydzielanego przez samice mleka. Ile upłynęło czasu, odkąd przyjął po raz ostatni tę chemiczną substancję? Dzień? Dwa? Więcej? Zamierzał polecieć Obie,

wykonanie odpowiedniej syntezy, gdy wpadło mu coś do głowy. Czy dalej chce być Dasheenem? — zapytał sam siebie.

Podobała mu się ich kultura, dobrze się czuł, będąc jednym z nich; w Świecie Studni taka postać była praktyczna. Nadzorował Obie dostatecznie długo, by wiedzieć, że kontrola Studni Dusz nie jest możliwa bez wybudowania maszyny znacznie większej od Obie, a to przerastało jego możliwości, przynajmniej teraz. Nie miał też odwagi kombinować zbyt wiele przy podawaniu Studni nowych instrukcji; Studnia była urządzeniem stabilizującym nie tylko własny świat, lecz także życie każdej żywej istoty we wszechświecie. Podając niewłaściwe instrukcje, ktoś mógłby zetrzeć z powierzchni całe cywilizacje, nawet samego siebie. W najlepszym razie sprowadzić sobie na głowę tego Markowianina, Brazila, który umiał obsługiwać Studnię, więc mógł unicestwić Bena Julina, Nowe Pompeje i zrobić to, na co tylko przyszłoby mu ochota. Nie pragnął zetknąć się z tym osobnikiem; a jednak, ten Brazil był także podmiotem Studni. Jeśliby postępować ostrożnie, nic nie powinien spoznać.

Ale co należało robić ostrożnie? To był nowy problem. Wyruszyć w drogę po wszechświecie w poszukiwaniu nowych cywilizacji? Może pewnego dnia, ale nie dzisiaj. Obie posiadała nieograniczone możliwości, a nawet dar nieśmiertelności.

Julin potrzebował ludzi, którzy harowaliby dla niego, ludzi, którym mógłby zaufać, tak jak ufał swoim krowom w rodzinnym Dasheen. Istniało jedyne, znane mu miejsce, gdzie mógł ich znaleźć: zamieszkały sektor Mlecznej Drogi, niezbyt odległy. Jeden świat na razie — jeśli będzie trzeba. Dopasowywany ostrożnie, łagodnie i z taką precyzją, żeby zachodzących zmian nikt nawet nie zauważył. Nawet Brazil, nawet Rada.

Wynikała z tego konieczność ponownego wcielenia się w osobnika typu homo sapiens. Ale w jakiego osobnika? Zamyślił się nad tym głęboko, westchnął i nacisnął przycisk włączający kanał połączenia z Obie.

— Tak, Ben.

Wcisnął kilka przycisków na klawiaturze.

— Nienumerowana transakcja, plik zbiorów suplementarnych, klucz dostępny tylko dla mnie.

Za każdym razem kiedy to robił, zaskoczony komputer otwierał sekcję, która w innym wypadku była dla niego niedostępna. Julin i Obie zawsze przechodzili przy takiej okazji przez skomplikowaną procedurę, z którą Julin musiał uporać się ponownie.

— A teraz Obie, chcę byś wysłuchał mnie uważnie — wycodził przez zęby Julin. — Wykonasz moje polecenia co do joty, z własnej woli nie dodając ani nie ujmując niczego. Czy to jasne?

— Tak, Ben.

— Wywołaj hasło: Ben Julin, zarejestrowane cechy fizjologiczne.

— Mam je, Ben — odpowiedział komputer.

— Doskonale. Ten model ulegnie modyfikacji zgodnie z następującymi kryteriami. Po pierwsze, obiekt będzie miał dwa metry wzrostu, proporcjonalną budowę i doskonale rozwiniętą muskulaturę. Zarejestrowałeś?

— Tak, Ben. Chcesz wyglądać jak kulturysta — w głosie Obie pojawił się cień sarkazmu. Julin puścił to mimo uszu.

— Obie, czy masz oryginalne kody Mavry Chang? — zapytał.

— Gotowe.

Kiedy Julin uciekał po raz pierwszy z Nowych Pompejów, polecił Obie, by ten przemienił go w Mavrę Chang. Odkrył wtedy, że Chang pod paznokciami miała wszczepione małe pojemniczki i igły, którymi mogła wstrzykiwać mocne środki hipnotyczne. Nadarzyła mu się nawet okazja do wykorzystania ich do samoobrony, nigdy o tym nie zapomniał.

— Nadaj obiektowi „Ben Julin” system hipnotycznych injektorów pod paznokciami. Niech będą naturalną częścią stroju, samonapełniające się i nieszkodliwe dla obiektu, który powinien być na ich działanie uodporniony. Zrozumiałeś?

— Tak, Ben — powiedział Obie. — Będzie wymagać to nieco pracy, ale nie za wiele.

Kiwnął głową. Jak dotąd szło nieźle.

— Dalsza modyfikacja obiektu. Najlepszy zmysł wzroku z możliwych, przystosowany do odbioru fal podczerwonych i ultrafioletu, bardzo dobry zarówno w dzień, jak i w nocy, wrażliwy na kolory, o doskonałej rozdzielczości nawet na duże odległości. W porządku?

— Dysponuję projektem takiego systemu — oznajmił komputer.

— Dalsze modyfikacje obiektu „Ben Julin”: najlepszy słuch na wszystkich zakresach, które możesz zaprojektować, selektywność fal na życzenie obiektu.

— Dalej — ot, tak sobie rzucił komputer. — Jestem zafascynowany tworzonym przez ciebie supermanem.

Miał jeszcze w zanadrzu kilka dodatkowych pomysłów.

— Obie, badałeś mieszkańców Świata Studni. Wiem o tym, że Lata i kilka innych stworzeń mogą żywić się wszelką organiczną substancją. Czy możesz przystosować taki system dla obiektu?

— Coraz lepiej — dodał komputer. — Och, a czy nie chciałbyś, by urosły ci skrzydła?

Choć pomysł był bardzo kuszący, nie skorzystał z niego.

— Nie, ale czy możesz spowodować, by obiekt był odporny na jad Yax i Lata?

— Zrobione.

— A co z agresją Yugashy i groźnymi porażeniami elektrycznymi? — zapytał z naciskiem, jednocześnie upajając się możliwością wydawania rozkazów jak bóg.

— Usunięcie groźby opanowania przez Yugasha jest stosunkowo nietrudne — komputer odpowiedział po chwili. — Uodpornienie na porażenie elektryczne to znacznie trudniejsze zagadnienie. Ponieważ przypuszczam, że szukasz jedynie

obrony przeciw Renardowi, więc czy mogę przyjąć tolerancję na napięcie o nieco większej amplitudzie i dłuższym czasie trwania od tych, do jakich zdolny jest Agitarianin?

— To wystarczy — Julin nie mógł się uwolnić od natłoku myśli. Nagle przyszły mu do głowy atrybuty przynajmniej czterech ras Studni, które teraz mogły okazać się przydatne.

— Obie! Zupika między innymi potrafią wtapiać się w tło. Czy to można zaprogramować w obiekcie, do dowolnego wykorzystania? Myślę, że osiągnięcie całkowitej niewidzialności nie jest możliwe.

— Nie możesz osiągnąć niewidzialności, jeżeli chcesz pozostać stworzeniem z materii — wyjaśnił komputer. — A jeśli chodzi o możliwość kamuflażu, hm, może nie będzie to tak doskonałe, jak u form naturalnych, ale sądzę, że to da się osiągnąć. Tak, mogę to zrobić.

— W takim razie nadaj obiektowi i ten atrybut.

— Czy to już wszystko? — zapytał drwiąco komputer.

Julin lekko przekrzywił na bok głowę.

— Nie, jeszcze jedna rzecz. Obiekt jest płci męskiej. Będzie przekazywał geny z tymi atrybutami oraz będzie zdolny do nieograniczonej liczby orgazmów.

Komputer głęboko westchnął.

— Powiniennem to przewidzieć. Tak naprawdę to trzy rzeczy, ale zostały wprowadzone.

— Instrukcje kończące — dodał Julin. — Obiektowi zostaną przekazane wszystkie wspomnienia rzeczywistego Bena Julina oraz osobowość, niczego nie wolno zmienić! Jednakże obiekt będzie się czuł normalnie, nowe ciało będzie dla niego czymś naturalnym. Będzie znał działanie swojego organizmu, swoje możliwości i ograniczenia.

— Zakodowano — stwierdził Obie.

— To jest zamknięta transakcja — zażądał Julin. — Nie będziesz mógł przeprowadzić innej, dopóki się z nią nie uporasz. Następna transakcja musi zostać zakodowana przeze mnie osobiście. Jasne?

— Jasne — odpowiedział komputer. — Blokuję i wykonuję program. Natychmiast.

Julin zszedł ostrożnie po schodach, zawroty głowy i nudności wywołane brakiem mleka Dasheen nie ustąpiły. Dotarł do obrotowej platformy i wstąpił na nią. Wiszący nad głową spodek obrócił się i zatrzymał. Zalało go metaliczne, niebieskie światło. Obraz byka z Dasheen znieruchomiał, zamigotał i zgasł.

W czasie gdy Julin tkwił wewnątrz maszyny, leżące w kącie kobiety na próżno usiłowały uwolnić się z krępujących je więzów.

Osiem sekund później w poświacie zamajaczył inny obraz, po chwili stał się bardziej wyraźny. Niebieskie światło zgasło. Spodek powrócił na swoje miejsce.

Kobiety wytrzeszczyły oczy. Ben Julin zawsze był przystojnym, w pewnym sensie egzotycznym mężczyzną. Teraz, kiedy pod jego skórą pęczniały rozwinięte mięśnie, wyglądał jak skrzyżowanie Adonisa i Dawida, Drgnął, obdarzył je uśmiechem, sprawdził własne paznokcie, zszedł z platformy i podszedłszy do nich dotknął paznokciem skóry Nikki Zinder. Cienka igła, pusta wewnątrz chrząstka, wstrzyknęła w ciało przezroczysty płyn. Opór kobiety trwał sekundę, znieruchomiała jakby zapadając w sen.

Rozsupłał ich więzy i rozkazał, by wstały. Nikki Zinder pierwsza weszła na platformę, przed którą, niby ożywiony trup, stanęła jej córka. Julin skierował się do konsoli i wprowadził kolejną sekwencję liczb.

— Nowa transakcja, Obie — powiedział, czując się tak, jak nigdy w życiu; był tak pewny, że został bogiem, iż zbladły wszelkie obawy.

— Śmiało, Ben — przynaglał go komputer. — A niech to, odwaliłem kawał roboty!

Julin roześmiał się.

— Tak, to prawda — powiedział. — Teraz stoi przed tobą podobne zadanie. Obiektem jest Nikki Zinder. Podaję nowe modyfikacje kodujące dla obiektu.

— Wiesz, że doktor Zinder wbudował we mnie ograniczenie, by uniemożliwić pewien rodzaj postępowania wobec niej.

Julin kiwnął głową.

— Nie jest dostatecznie silne. Na pewno. Mogę je częściowo anulować. Doskonale, nowy obiekt będzie miał sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, będzie osobnikiem płci żeńskiej w wieku siedemnastu lat o następujących wymiarach.

Powoli, starannie opisał swoją Wenus. Dokonał wszelkich modyfikacji zmysłów i odporności tak jak u siebie samego, nie wyłączając zdolności do kamuflażu i elastyczności systemu pokarmowego; prócz tego obdarzył ją siłą, wielką siłą, programując zmiany w strukturze wewnętrznej, tak żeby nic nie skaziło jej urody.

Nadał jej kilka cech dodatkowych:

— Obiekt zachowa w swoim umyśle wspomnienia i poczucie tożsamości. Będzie jedna/k uważała siebie za moją niewolnicę i moją własność, uznając to za dobre, sprawiedliwe, właściwe oraz pod każdym względem naturalne. Będzie całkowicie posłuszna mojej woli, żądzom i potrzebom, kosztem wszystkich innych rzeczy. Zrozumiano?

— Oczywiście, Ben. Marzy ci się ludzkie wcielenie krowy Dasheen — zakrzeczał Obie. — Niestety, leży to w moim zasięgu. Czy to wszystko?

— Na razie — poinformował komputer. — Wprowadzić i wykonać. Natychmiast.

I tym razem minęło około ośmiu sekund. Patrzył, oczekując z niecierpliwością, ale nie spotkało go rozczarowanie. Absolutnie, to była najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu.

Z jej córki uczynił bliźniaczkę nowej Nikki, jedynie czarne włosy zamienił na kasztanowe, by móc je rozpoznać na odległość. Gdy przywołał je do siebie, podbiegły radośnie, niemal rzucając się na niego z uwielbieniem.

— W porządku, dziewczęta! — zaśmiał się. — Po pierwsze, myślę, że zbadamy, do czego zdolne są nasze nowe ciała. Potem wykonacie dla mnie kilka zleceń, a ja w tym czasie popracuję z Obie nad problemem, jak wrócić tam, gdzie nasze miejsce. — Och tak, Ben! — obie westchnęły obiecująco.

* * *

Kilka godzin później był gotów.

— Obie?

— Tak, Ben?

— Czy twoje zewnętrzne sensory wciąż działają wzdłuż głównego szybu?

Chociaż komputer był ślepy na Wierzchołku, to na Stronie Spodniej mógł obserwować rejon dookoła szybu prowadzącego do wielkiego spodka, który wciąż był zablokowany w pozycji wycelowanej na Studnię Dusz.

— Działają, Ben.

— Dobrze. Czy na Stronie Spodniej wykryłeś jakieś oznaki życia?

— Żadnych, które poddałyby się mojej detekcji, Ben. Jednak nie sądzę, abym zbyt dobrze poradził sobie z detekcją Yugasha, dopóki ten nie znalazłby się w zakresie fal widzialnych. Budowa moich sensorów nie pozwala na obserwację stworzeń złożonych z energii.

To było dla Julina jasne.

— Ale jesteśmy odporni na próby zawładnięcia z jego strony, prawda? — Komputer zapewnił go, że tak. — Zatem doskonale — kontynuował Julin. Odwrócił się do kobiet, zachwycony ich pięknnością.

— Dziewczęta, wiecie, co macie zrobić. — Kiwnęły głową jak na komendę. Ponownie zwrócił się do Obie. — Obie, odwołaj tryb defensywny. Automatyczne anulowanie trybu przy ich powrocie, chyba że znajdą się pod przymusem. Przywrócenie trybu defensywnego natychmiast po przekroczeniu przez nie wejścia do centrum kontrolnego. Jasne?

— Jasne, Ben.

— I nie zapomnij Obie: nikomu ani słowa o tym.

— Wiesz, że nie mogę tego zrobić — odburknął komputer. — Tryb defensywny anulowany.

Obydwie kobiety wyszły przez drzwi, które Obie otworzył, i wkrótce znikły Julinowi z oczu. Drzwi zasunęły się za nimi.

Julin powrócił do Obie.

— Cały czas rozmawiasz z Gilem Zinderem, prawda? — spytał z wyrzutem.

— Tak, Ben. Nie mogę kłamać — odparł Obie. — Myślałem, że prędzej czy później będziesz chciał z nim porozmawiać.

— Może nie będzie to potrzebne — szepnął w zamyśleniu. — Obie, czy wy dwaj pracujecie nad problemem zerwania więzów ze Studnią?

— Tak, Ben.

— Czy rozwiązaliście go?

— Tak, Ben.

Aha! I koniec z problemami, znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pomyślał z pychą.

— Procedura? — rzucił w gorączkowym zaniepokojeniu.

Gdy Obie opisał mu ją, uzmysłowił sobie, jak bardzo jest logiczna, i zbeształ siebie za to, że jemu samemu nie przyszło to do głowy. Rozwiązanie było tak proste, że przez dziesięciolecia można go było nie dostrzec. Oczywiście, wciąż jeszcze nie wrócił do wprawy. Jednak przepełniło go poczucie własnej mocy, przewyższającej wszystko, z czym do tej pory się spotkał, wierzył w siebie, jedynie on może zrobić to, co tylko zechce, i na pewno zrobi.

Nie popełnił żadnego błędu. Uspokoił się. Wszystko przemyśli, rozważy każdy najdrobniejszy szczegół.

A jednak popełnił już jeden błąd i nie wiedział o tym.

Wierzchołek

Członkowie grupy byli rozczarowani, posepni. Dzieci różnorodnych kultur, o bogatej przeszłości, weterani wielu kampanii, niektórzy z nich pod różnymi postaciami, ale przecież walczyli, darli pazurami i spiskowali, by znaleźć się pośród tych, którzy staną na Nowych Pompejach; sześć stworzeń o wielkim potencjale i niepośledniej inteligencji, absolutnie bezradnych w obliczu stojącego przed nimi problemu.

— Zawsze możemy wrócić do domu — zasugerował Renard.

Spojrzeli na niego lekceważąco, nieco zniecierpliwieni. Wzruszył ramionami.

— Podałem tylko jedno z możliwych rozwiązań, to wszystko — bronił się.

— Nie, to nie jest żadne rozwiązanie — odpowiedziała Wooley. — Wiemy, co znajduje się tam w środku, to wielka machina, z którą możemy nawet rozmawiać. Julin może porozumiewać się ze Studnią, wydawać jej polecenia, może zrobić z nią, co zechce.

— Może zostawi ją w spokoju — odezwał się z nadzieją Bozog.

Vistaru westchnęła.

— To byłoby jeszcze gorzej, wiesz o tym. Może nie dla ciebie ani dla Ghiskinda. Jednak Julin nie ucieknie do jakiegoś obcego systemu, do obcej rasy. Wróci do domu, do swojego rodzinnego domu. I przy pomocy wielkiego spodka uczyni, co zechce z całą planetarną populacją. Pozostali, czyli: Renard, Mavra, Wooley i ja, wywodzimy się z tych ludzi. Nie możemy pozwolić mu na zmianę cywilizacji, musimy mu w tym przeszkodzić. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy.

— Trzeba pamiętać, że Julin jest Dasheenem — zwróciła im uwagę Mavra. — Do trzech razy sztuka. Zgadnijcie, co będzie z kobietami w jego nowym porządku. Nie, musimy podjąć się tego zadania. Czuję, że przynajmniej Wooley i Vistaru zgadzają się ze mną. Bozogu, jeśli chcesz zabrać statek i powrócić, podam ci wszystkie instrukcje programowe, jakie będą ci potrzebne. Renard mógłby z tobą lecieć, jeśli będzie chciał, chociaż twoje macki wystarczają do tych niewielu niezbędnych manipulacji.

Bozog zmienił ułożenie swojego potężnego cielska.

— Wiesz, że to niemożliwe — rzekł. — Wiedzieliśmy o tym dobrze, jeszcze przed startem. Tym statkiem nie można wrócić. Nikomu z nas nie uda się drugi

raz wylądować awaryjnie, nawet tu obecnej naszej przyjaciółce Mavrze, choćby miała ramiona albo macki. To był przypadek jeden na dziesięć tysięcy, że udało im się to za pierwszym razem. Teraz szanse są znacznie mniejsze. Nie, w Świecie Studni możemy się tylko rozbić, lecz wylądować — nigdy.

To ich zaskoczyło. Nic takiego nie przyszło im do głowy, chociaż powinno.

— W takim razie, dlaczego z nami poszedłeś? — zapytała Wooley.

— Dla samego siebie — wolno odpowiedział Bozog, starannie dobierając słowa — ponieważ nadarzyła się taka możliwość. Ponieważ jest to dokonanie, doświadczenie niepowtarzalne. Znaleźć się tutaj, na innym świecie! Spojrzeć z daleka na Świat Studni! To samo w sobie warte jest tuzina istnień.

Renard wzruszył ramionami.

— A co ty na to, Ghiskind? Założę się, że wyszedłbyś z katastrofy bez szwanku.

Yugash wpłynął w ciało Bozoga.

— Może tak, może nie. A jeśli tak, to kto z was, pilotów, byłby gotowy oddać swoje życie za mnie? O nie! I ja wiedziałem, że to jest podróż w jedną stronę, chyba że komputer Obie zechce odesłać nas z powrotem.

— Myślę, że to mało prawdopodobne — wtrąciła się Mavra. — Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek z nas mógł jeszcze zobaczyć, jak wygląda komora kontrolna od środka. Zbyt dobrze została obwarowana.

— Gdybyż znaleźć choć jeden sposób na jej zniszczenie! — powiedziała przynębiona Wooley. — Bomba, na przykład!

— Może moglibyśmy staranować wielki spodek statkiem — rzucił propozycję Bozog.

Mavra potrząsnęła głową.

— Nie, nad tym panuje niepodzielnie Obie. To był słaby punkt, którym Trelig musiał się zająć. Wleć tam, a zostaniesz historią.

A jednak idea zniszczenia Obie, przeciw której się buntowała, bo mimo wszystko polubiła go i szanowała, poruszyła właściwą strunę. Schematy i plany wróciły do niej, tylko że tym razem szukała czegoś określonego.

Destrukcja. Mechanizm destrukcji.

Idea nie mogła się skryształizować. W zakamarkach mózgu kołatały się słowa Obie, że nie może przyjąć danych, wprowadzanych przez Studnię, że może dokonać jedynie kilku ograniczonych działań, koncentrując się na pojedynczym, specyficznym celu. Doskonale, Obie był wobec niej tym, czym Studnia była wobec Obie. Spróbowała, skupiwszy się wyłącznie na mechanizmie destrukcji. I znalazła to, czego szukała. Nie pojedynczą rzecz, ale wiele, w wielu miejscach. Antor Trelig chciał mieć pewność, że nikt nie odbierze mu jego pozycji: władcy Obie i Nowych Pompejów. Podniecona opowiedziała im o tym.

:- Niektóre z nich są starymi, prawdopodobnie jeszcze oryginalnymi mechanizmami, niszczącymi planetoide. Inne, nowe, w niewielkich gniazdach, są pomyślane jako ośrodki likwidacji witalnych części Obie w razie detronizacji Treliga.

— Czy możemy którykolwiek z nich zdetonować? — zapytała Wooley.

Mavra westchnęła.

— Zapytajmy Obie, jeżeli odpowie. Propozycja asysty przy morderstwie samego siebie może nie spotkać się z łagodnym przyjęciem z jego strony.

* * *

Ściana windy rozstała się i dwie kobiety uruchomiły swój mechanizm kamuflujący, co pozwoliło im wtopić się w tło. Chociaż poruszały się, trudno było je odróżnić, były nie do wykrycia dla kogoś niezbyt uważnego. Obóz mieszkańców ze Świata Studni wciąż znajdował się niedaleko wyjścia, a więc obydwie przeczołgały się po trawie. Jedynie ktoś, kto specjalnie by ich szukał, zauważyłby, że coś jest nie w porządku. Wydostawszy się na otwartą przestrzeń, skierowały się w stronę prymitywnej, małej kolonii, zamieszkaną przez tych, co ocaleli po destrukcji Nowych Pompejów.

Wprawdzie Ben Julin poinstruował Obie, by nikomu nic nie mówił o jego aktywności po spodniej stronie planetoidy ani o jego planach, lecz nie przeszkodził mu rozmawiać z innymi, tym samym jedynie ograniczając możliwość przekazywania informacji.

— Halo Obie, tu Mavra Chang — nadała przez pokładowe radio.

— Jestem, Mavro — odpowiedział komputer.

Rozważyła starannie to, co zamierzała powiedzieć. Rzeczywiście, Obie nie mógł z nimi w tym współpracować, z łatwością zaś mógłby wszystkiemu przeszkodzić, chociażby powiadamiając Julina.

— Obie, kiedy pojawiliśmy się tutaj, trzeba było przystąpić do spółki z tobą lub zginąć. Wiesz o tym.

— Doszedłem do konkluzji, że wiedzieliście, iż jedyna droga, wiodąca do domu, biegnie przeze mnie.

Kiwnęła głową.

— Więc dobrze. Nie wyszło to najlepiej. Wręcz źle. Ben Julin jest tam, a my możemy się domyślić, jakim on jest człowiekiem. Wszyscy jesteśmy zgodni, nawet Bozog i Ghiskind, że wolimy raczej umrzeć, niż zezwolić mu na kontrolę wielkiego spodka. Rozumiesz nas?

Wydawało się, że wyczuwa jej intencje.

— Przyjmuję to, Mavro. Do sedna zatem. Czuję to samo, co wy, jeśli to może w czymś pomóc.

Nie mylił się.

— Obie, w planach, którymi mnie nakarmiłeś, znajdują się samoniszczące mechanizmy Nowych Pompejów. Właśnie wpadł mi do głowy ten pomysł.

— Jestem zaskoczony tym, że zabrało ci to tyle czasu — zareplikował komputer. — Zaprogramowano mnie, bym nie współpracował przy własnej destrukcji, a więc nie mogłem zwrócić ci na nie uwagi, ale wiedziałem, że prędzej czy później przyjdzie ci to do głowy.

Jego swobodne zachowanie i przyzwolenie ułatwiały zadanie.

— Doskonale. Obie, jak jest aktywowany główny system destrukcyjny zasilania energią Nowych Pompejów? — zapytała. — Czy możesz mi powiedzieć?

— Ujmując to w ten sposób: tak — oświadczył Obie. — Jednak nic z tego nie wyniknie. To zostało zakodowane w Treligu, niemal dosłownie w niego wbudowane. W razie jego śmierci, zginie też planetoida. Jednak podczas transformacji w Studni, mechanizm ten został usunięty. W rezultacie nie można teraz zdetonować głównego zasilania bez brygady techników i bez kolosalnej pracy.

To ją rozczarowało.

— Wobec tego czy można aktywować jakikolwiek wtórny system?

— Wszystkie są nadzorowane z komory kontrolnej. Są uaktywniane głosem. Obawiam się, że Ben nie zezwoliłby na nic takiego, a ja nie mogę przekazać kodów nikomu spoza komory.

— Czy jakikolwiek może zostać wyzwolony przez działanie z zewnątrz?

— Niektóre.

— Czy jest wśród nich taki, który można by wyzwolić przez, powiedzmy, silny impuls elektryczny, przyłożony do specyficznego obwodu, przekazującego dane.

— Istnieje przynajmniej jedno takie miejsce — poinformował Obie. — To rejon między obwodami zależnymi i niezależnymi, można tam dotrzeć z głównego mostu. Jednak znajduje się on 62,35 metra poniżej, schowany między obwodami na głębokości 7,61 metra. W tym punkcie szerokość szczeliny panelu wynosi mniej niż metr, a droga dostępu przez tunel ostro zakręca w górę i w dół.

Mavra skoncentrowała się. Diagramy migąły jej w myśli. Znalazła. Im częściej korzystała z zaimplementowanej pamięci, tym łatwiej przychodziło jej odszukać potrzebne informacje. Niestety, nie miała ogólnego obrazu. Znała specyficzne obwody, orientowała się w głównym rejonie, lecz nie wiedziała, która szczelina prowadzi do obwodu ani do którego zacisku przyłożyć iskrę.

— Dziękuję, Obie — powiedziała szczerze. — Sami się tym dalej zajmujemy. Odpowiedzi nie było.

Wróciła do innych w towarzystwie Renarda.

— W żaden sposób nie wejść w szczelinę o tych rozmiarach, ani nawet tam na dół — zauważył. — Vistaru mogłaby tam sfrunąć, może by się zmieściła, ale ona nie umie obchodzić się z napięciem, przeszkadzałyby jej skrzydła i żądło,

nawet gdybyś wiedziała dokładnie, do którego obwodu należy dotrzeć. Mamy prawdopodobnie do czynienia z pojedynczym, mikroskopijnym przewodnikiem.

Kiwnęła głową.

— Nie, ty nie, ale Ghiskind na pewno tam dotrze. Z pewnością potrafiłby posuwać się wzdłuż układu, aż do miejsca, gdzie jest bomba.

— Więc? — zapytał. — Jaki z tego pożytek? Ani nic nie może unieść, ani nie wytworzy napięcia.

— Ale Bozog mógłby. Na kosmodromie widziałam, jak kilku przesunęło się po ścianach do góry. Używali tysięcy miniaturowych, lepkich przysawek. Jest dostatecznie płaski i może ślizgać się wzdłuż zakrętów, tak jak to zrobił w windzie, może też pociągnąć za sobą przewód, jeśli uda nam się znaleźć jakieś sto metrów cienkiego, miedzianego drutu.

— Oczywiście! I kiedy Bozog, pod kierunkiem, zanieś przewód na miejsce, wtedy ja w pełni naładowany, dotknę przewodu!

Znów kiwnęła głową.

— Najpierw jednak musimy sprawdzić, czy znajdziemy tutaj dostatecznie długi drut. Mamy do rozgryzienia jeszcze jeden problem, i to bez pomocy Obie.

Renard wyglądał na zdezorientowanego.

— Jeszcze jeden problem?

— Bozog jest żywym stworzeniem, nieodpornym na potężne wstrząsy elektryczne, ani, tym bardziej, na działanie miotaczy. Że to nie blef, potwierdzają plany, które mam w głowie. Kluczowy rejon jest po drugiej stronie mostu, Renardzie. Dopóki Obie jest w trybie defensywnym, Bozog nie może tego zrobić.

— Och — cicho jęknął.

Nagle zamarł z wyrazem zaintrygowania na swoim niebieskim, szatańskim obliczu. Przechylił głowę lekko na bok i zaczął się w coś bardzo intensywnie wsłuchiwać.

— Co się stało? — zapytała.

Chociaż Wooley miała najlepsze oczy z całej grupy, to jednak Renard zdecydowanie dystansował wszystkich słuchem.

— Coś się porusza niedaleko windy — wyszeptał. — I jest to całkiem spore.

Mavra ostrożnie obróciła w tym kierunku głowę. Nic nie można było zobaczyć. Przez chwilę nie było słychać żadnego dźwięku, aż nagle stał się na tyle wyraźny, że nawet ona go usłyszała, cichy szelest, jakby coś ciężkiego wleczono po trawie.

— Chodźmy do windy — zaproponowała. Przytaknął niedostrzegalnie i ruszyli w tym kierunku swobodnym krokiem, ale mieli się na baczności.

— W takim razie postanowione — Mavra jakby podjęła przerwana konwersację — utknęliśmy tutaj na dobre. Naszą jedyną szansą jest dogadać się z Julinem.

Dodał:

— Jeśli będzie się chciał dogadać. Musi stamtąd wyjść prędzej czy później, bo inaczej sam zamknie się w pułapce.

Szelest umilkł. Renard skinął nieznacznie w stronę fundamentów, gdzie można było dostrzec leżącego bez przytomności człowieka. Był nagi, brudny, pokryty bliznami, o włosach długich i zmierzwionych. Leżał na plecach. Widać było, że to młody chłopiec.

Renard zajrzał do windy i nie mógł stłumić westchnienia.

— Mój Boże!

Wewnątrz leżało nieruchomo, jedno na drugim sześć albo siedem ciał. Wszystkie były tak brudne, jak chłopiec na zewnątrz i wszystkie miały końskie ogony.

Kiedy odwrócił się, by krzyknąć do pozostałych, coś uderzyło go tak mocno, że upadł na wznak. Natychmiast zerwał się na równe nogi. Coś innego uderzyło Mavrę w bok z taką siłą, że aż zbiło ją z nóg. Renard zobaczył obok niej coś niewyraźnego, sporawego i sięgnął, aby tego dotknąć. Nastąpiło wyładowanie napięcia. Wyraźnie nie odniosło to żadnego skutku, bo coś twardego wylądowało mu na głowie, powodując oszołomienie.

Chociaż niemal bezradna, Mavra dźwignęła się z wysiłkiem. Zobaczyła dwie przedziwne postaci, jakby kobiet, ale zielone i pokryte trawą. Wchodziły do windy, wciągając za sobą chłopca. Kiedy zaczęły się zmieniać, by upodobnić się do tła, czyli do wnętrza windy, ściana zasunęła się za nimi.

Renard naraz oprzytomniał i stanął niepewnie na nogach. Mavrze udało się w końcu także podnieść.

— Co to, u diabła, było?! — wysapał z trudem.

— Dzicy ludzie, ludzie Beldena — wyjaśniła mu. — Powiedziałabym, że wszyscy. Porwani wprost sprzed naszych oczu.

— Ale dlaczego? — zapytał, wciąż masując głowę. — I kto to był? Julin? Było ich przynajmniej dwóch.

Kiwnęła głową.

— Dwie kobiety. Widziałam je przelotnie. Mogą wtapiać się w tło, tak jak dwa stworzenia, które poznałam kiedyś, ale w zupełnie innych okolicznościach. Nie wiem, kim one są, ale Julin rzeczywiście twórczo wykorzystuje Obie. Wprowadził nas w pole.

— Wciąż nie mogę tego pojąć — nie ustępował Renard. — Dlaczego dzicy?

— Dalejże! — zakrzyknęła. — Siadaj na mnie, pojedziesz wierzchem, wciąż jeszcze kiepsko trzymasz się na nogach.

Był zbyt słaby, by odrzucić tę propozycję. Dosiadł jej z wysiłkiem. Po raz pierwszy istota ludzka, nieważne jakiej rasy, znalazła się na jej grzbiecie. Nie było jej wygodnie, ale Agitarianin był doświadczonym jeźdźcem i dosiadł jej z wielką wprawą. Powoli ruszyła z powrotem, uważając, by go nie zrzucić.

— Zatem Julin potrzebuje albo chce mieć tych ludzi, to pewne — powiedziała. — Wiemy od Obie, że z niczego nie może stworzyć myślących istot. Dzikich

najłatwiej było porwać, wystarczyła hipnoza i można ich było przenosić. Jeśli podda ich przemianie, będzie miał przynajmniej tych dziewięcioro niewolników, o których wiemy. Obdarzy ich taką siłą, jaką uzna za stosowną.

— Kimkolwiek one były, jedną z nich poraziłem pełnym napięciem bez żadnego rezultatu — zauważył posepnie Renard. — Ale na co mu tyłu?

— To przez nas — wyjaśniła. — Pamiętaj, że dopóki nie zajmie się nami, musi siedzieć na dole jak w pułapce. Jest bardzo sprytnym i przewrotnym człowiekiem. Wie, że niczego nie może nam zaproponować, bo ani my jemu nie ufamy, ani on nam nie może zaufać. Czy stanąbyś pod spodkiem Obie, jeśli przy pulpicie kontrolnym stał Julin.

— U licha, nigdy!

— A więc, co on robi? Jestem pewna, że nie chce ryzykować sprzężenia z Wierzchołkiem. Ostatni raz, kiedy tego spróbował, Obie przeniósł Nowe Pompeje w ich aktualne miejsce. A więc musi nas pochwyć lub zabić. Dlatego potrzebni mu są inni, nie może tego zrobić osobiście, ryzykując opuszczenie komory kontrolnej. Rozumiesz?

Renard gwizdnął.

— A więc mamy jeszcze mniej czasu, niż myśleliśmy — mruknął nerwowo. — Teraz jest za dziewięć szóstą.

— Idę o zakład, że jeśli uczynił je niewrażliwymi na elektryczne cechy twojej osobowości, to odnosi się to także do reszty nas — zwróciła im uwagę. — Jedno jest pewne: albo szybko zdetonujemy ten ładunek, albo na tym koniec.

— Myślę... — rozpoczął Renard, i zamarł.

Cały świat zamarł. Zapadł się w ciemność. Spadał. Nic nie było widać ani słychać. Znikły wszelkie wrażenia. Nie było nic. Wydawało się, że wszystko, oprócz ich mózgów, przestało istnieć.

Trwało to bardzo długo i nagle wrócili do normalności.

Renard spadł z grzbietu Mavry, którą także zważyło z nóg. Już po raz drugi tego dnia musieli podnosić się z ziemi.

— A teraz, co to było? — jęknął Renard.

Mavra stanęła na trzęsących się nogach i spojrzała w górę.

— Wydarzenia coraz to nas zaskakują — szepnęła. — Spójrz tam. Świat Studni zniknął. Widać jedynie odległe słońce i trochę gwiazd.

— On to zrobił, Renardzie! Wróciliśmy do zamieszkałego przez ludzi sektora wszechświata, wróciliśmy na początkową orbitę Nowych Pompejów!

— O rany! — smętnie westchnął Renard. — A ja powiedziałem na farmie hodowlanej, że wyjeżdżam na krótkie wakacje...

Strona Spodnia

Ben Julin patrzył na swoich żołnierzy i był z siebie zadowolony. Wszystkich zamienił w kobiety marzeń, nawet dwóch chłopców. Każda odróżniała się karnacją skóry i kolorem włosów; jednak dziewięć imion byłoby zbyt trudno zapamiętać, więc poza pierwszą dwójką: Nikki i Mavrą, innym na jakiś czas nadał po prostu numery.

Były prawdziwymi dzikuskami, niezbyt bystrymi, o inteligencji na poziomie małp. Każda zachowała koński ogon, bo Julinowi wydawało się to seksowne i odróżniało je od pierwszej dwójki.

Oczywiście Obie nie obdarzył ich przeszłością, ale nadał im zdolność mówienia, nauczył zachowania i wszelkich innych potrzebnych rzeczy. W rzeczywistości było to tak, jakby padły ofiarą amnezji, zachowując wszelkie potrzebne umiejętności, co niczemu nie przeszkadzało. One także były „niewolnicami miłości” Bena Julina. Wszystkie leżały u jego stóp.

— Jesteście moim stadem, moich haremem — powiedział do nich. — Jesteście częścią mnie, a ja jestem częścią was. Jesteście godnymi najwyższego szacunku kobietami i będziecie u mych stóp, kiedy zetrę stary porządek i ustanowię nowy.

— O tak, Julinie, nasz panie — powiedziały chórem, a w ich głosach przebijała szczerłość.

Patrzył na nie z najwyższym samozadowoleniem. Doszedł do wniosku, że to był prawdziwy nowy porządek. Dawno temu w krainach zagubionych w czasie i przestrzeni, wciąż żywych w tradycji rodziny Julina, jego przodkowie żyli pośród pustynnych nieużytków, w miastach namiotów, podążając za wodą i uciekając przed ruchomymi piaskami. Władcy mieli wspaniałe haremy. Coś z tego zostanie przywrócone, obiecał sobie.

Stworzy ludzkie istoty bliskie doskonałości, tak że noszenie odzienia stanie się grzechem. Potężni władcy będą rządzić nie na pustynnych nieużytkach, lecz na planetach opływających w dostatki, będą sprawować władzę nad własnymi stadami urodziwych, silnych i kochających kobiet. Jednak wszystko będzie podległe jemu, Najwyższemu Kalifowi, od którego spływać będzie najwyższe błogosławieństwo i klątwa. I trwać będzie po wieki wieków kraina artystów, naukowców

i inżynierów, poszerzających najdalsze horyzonty, rasa, która spełni sen Markowian o utopijnej perfekcji, rasa bogów.

Wszystko to było w zasięgu jego ręki, już teraz, dziś, tutaj!

— Wstańcie i przystąpcie do swoich obowiązków — rozkazał i uczyniły tak, jak chciał.

Dzięki Obie ich mieszkalne kwatery były już zupełnie wygodne, z wielkimi miękkimi łóżkami, nakrytymi jedwabiem i aksamitem. Obie dostarczył także egzotyczne owoce, warzywa i mięso, których nie można było odróżnić od oryginalnych. Co prawda, Julin i jego harem mogli żywić się czymkolwiek, byleby to było coś organicznego, choćby trawa, jednak teraz nie było po temu powodu.

Julin wrócił do Obie i usiadł przy konsoli, przekręciwszy wyłącznik radioodbiornika.

— Obie? Czy wyliczyłeś dokładnie naszą pozycję? — zapytał.

— Tak, Ben. Wróciliśmy na wyjściową orbitę Nowych Pompejów, razem z robotami strażniczymi. W promieniu jednego roku świetlnego nią ma śladu niczyjej obecności. Przypuszczam, że wszyscy ciekawscy inspektorzy do tej pory dali za wygraną. Minęło z górą dwadzieścia dwa lata.

— Co z naszą zdolnością do przemieszczania się, Obie? Czy możesz nas przenieść do innego punktu, nawet do innego sektora przestrzeni?

— Do każdego punktu, którego współrzędne są w mojej pamięci. To obejmuje, rzecz jasna, wszystkie Komlandy i granice z czasów, kiedy tu ostatnio przebywaliśmy.

Ben Julin pokiwał głową zadowolony, a potem zaczął myśleć o czymś innym. Niewiele miał do usunięcia z drogi. Załedwie sześć osób.

— Obie, czy jest sposób na to, aby zmienić zawartość atmosfery na Wierchołku? — zapytał. — Zmienić równowagę składników, wypompować ją albo wprowadzić toksyny?

— Te rejony są pod kontrolą całkowicie niezależnych obwodów — przypominał mu komputer. — Absolutnie nie mogę nic zrobić. Powinieneś o tym wiedzieć. Antor Trelig nie życzył sobie, aby ktokolwiek, ty, Zinder czy ktoś inny, miał tego rodzaju możliwość, a już szczególnie ja. Z jakiegoś powodu nigdy mi nie ufał. — To ostatnie powiedziane zostało z boleścią w głosie.

Julin zachichotał. On sam nie miał ani za grosz zaufania do Obie.

— No dobrze — westchnął. — Będę musiał sam dać sobie radę z tymi z Północy. Teraz potrzebuję dobrej substancji obezwładniającej Agitarianina, Yaxę i Lata.

Obie dysponował niezbędnymi informacjami.

Wierzchołek

W pobliżu windy postawiono uzbrojonych wartowników, a obóz został przeniesiony do centrum porośniętego trawą parku. Nie chcieli, aby ich ponownie zaskoczono.

— Może wsiądziemy na statek i wyrwiemy się po pomoc? — zaproponował Renard. — Jako świadkowie tego, co się stało, o wszystkim powiemy. Może wtedy wkroczy Rada, by zniszczyć to miejsce.

— Julin marzy, abyśmy to zrobili — odparła Mavra. — Gdybyśmy znaleźli się wszyscy na pokładzie statku, wtedy mógłby skierować odpowiednio spodek i załatwić nas za jednym zamachem. To dlatego nie zatroszczył się o jego unieruchomienie.

Renard spojrział w kierunku windy, odległej o jakieś sto metrów, której teraz strzegły Wooley i Vistaru.

— Kiedyś po nas przyjdą — powiedział głucho. — Wkrótce.

— Mamy drut znaleziony w centrum napraw technicznych. Trzysta metrów, to aż nadto. Gdybyśmy mogli znaleźć się tak blisko, aby go użyć.

— Muszą osłabić tryb defensywny przy wypuszczaniu i wpuszczaniu swoich ludzi — zwrócił im uwagę Bozog. — Logika podpowiada, że wtedy jest właściwa pora.

— Taak, może powinniśmy poczekać przy moście — wpadł mu w słowo Renard. — Gotowi do skoku, że tak powiem.

— Nie sądzę — odezwała się Mavra. — Plany wskazują, że Obie może widzieć cały obszar, od końca korytarza wejściowego aż po próg drzwi do siebie. Jeśli będziemy w korytarzu, mając za plecami windę, Julin może zmienić swoje manekiny, w co tylko zechce i wtedy nas zgarnie. Myślę, że...

— Hej! Coś jedzie na górę! — krzyknęła Wooley.

Vistaru i Wooley zeszywniały, kiedy pozostali ruszyli w ich kierunku.

Drzwi windy otworzyły się, wypuszczając obrzydliwie wyglądający obłok mieszaniny pomarańczowo-zielonych gazów. W pobliżu wejścia rozległ się pojedynczy strzał, a potem zaległa cisza.

Pozostali doszli do miejsca, nad którym unosił się obłok, ale z ostrożności nie zbliżali się bardziej, ponieważ pierwszy jego powiew okazał się bardzo gryzący.

Do przodu wysunęli się Yugash i Bozog, zniknęli w oparach, lecz po chwili wynurzyli się z nich. Wielka kula dymu zaczęła unosić się ku górze, kiedy pochwyciła go automatyczna aparatura wentylacyjna.

— Nie ma ich! — wykrzyknął Bozog. — Obydwu! Zniknęły!

Renard potrząsnął smutno głową.

— Teraz jest nas czworo, niech to wszyscy diabli!

— Co ważniejsze, tamtych jest jedenastu, licząc jego — dodała Mavra. — To zmienia wszystko.

— Moglibyśmy w drugim wagonie — zaproponował Bozog.

— Nie, to na nic. — Pokręciła głową. — Zawsze zatrzymuje się przy górnych drzwiach, pamiętasz? Na dodatek robi sporo hałasu, a więc dojechawszy na miejsce, zaraz wpadlibyśmy w sidła. — Odwróciła się do Renarda. — Masz swój miotacz energii?

— Tutaj — poklepał się po kaburze.

— To bardzo dobrze. Damy im trochę czasu i przywołamy wagon. Wystrzelisz ogłuszającą salwę, zanim do niego wsiądziemy. Ghiskind i Bozog także go sprawdzą. Kiedy dojedziemy na dół i drzwi się otworzą, ostrzelasz wszystko aż do poziomu dolnej kondygnacji. Będziemy walczyć!

— Ale właśnie to go zaalarmuje — zaprotestował Bozog. — Logicznie myśląc, dopóty będzie trzymał swoich ludzi w środku, dopóki nie będzie musiał ich wysłać na zewnątrz. Julin nie chce, żeby coś się stało któremuś z nich. Nie zna wszystkich naszych możliwości.

— Na to właśnie liczę — odparła. — I jeszcze na to, że dolny wagon pozostał na dole, a oni wykorzystali górny. Jeśli tak jest, jesteśmy bezpieczni przez jakąś godzinę. Ghiskind, razem z Bozogiem miejcie na wszystko oko na wszelki wypadek. Renardzie, ostatnia wizyta na pokładzie statku, a potem zwycięstwo albo śmierć.

— Albo miłość do Bena Julina — westchnął.

Rozbłysły światła, spod palców Renarda, instruowanego przez Mavrę, wyskoczyły liczby. Trwało to kilka minut, ale w końcu uporali się ze wszystkim.

— To jest automatyczna sekwencja — wyjaśniła. — Jeśli uda nam się spowodować eksplozję, systemy podtrzymania życia prawdopodobnie będą przez jakiś czas funkcjonowały. Jeśli tak, będziesz mógł wraz z innymi dotrzeć na górę i dostać się do statku. Po uaktywnieniu detonatora nie trać czasu! Jeśli zabraknie prądu, udusisz się w windzie. Zabierz kogo się da, wsiądź do windy, wyjedź na górę, wsiądź na statek, zamknij śluzy i naciśnij na tablicy START AWARYJNY. Statek odcumuje i polecą kursem, który po dwóch dniach doprowadzi was w zasięg nadajników Rady, wtedy będziecie mogli wezwać pomoc. Wejdą na pokład, zobaczą was i uwierzą. Powiedz im, że Nowe Pompeje muszą zostać całkowicie zniszczone, rozbite na atomy, w przeciwnym razie pojawią się tutaj naukowcy, politycy obejmą kontrolę i cały wysiłek pójdzie na marne. Nic nie może pozostać.

Renardowi nie podobał się jej ton.
— Mówisz tak, jakby ciebie miało nie być z nami — zaprotestował.
— Może będę, może nie — odpowiedziała. — Nie powinniśmy ryzykować, planując, że na pewno z wami będę. Jeśli zdołasz, wydostań ludzi z komory kontrolnej.
— Ależ to będą niewolnice Julina!
— Nie, to nieprawda. Fizycznie, tak. Ale narzucona kontrola nad ich myślami zawiedzie. Nikki Zinder była spętana więzami miłości do Julina, kiedy została tutaj zwabiona, jednak kiedy Obie został odłączony, by przenieść go na Nowe Pompeje, czar prysnął. I tym razem powinno być podobnie.
— W porządku, ale bez ciebie nie odejdę.
— Jeśli tak będzie trzeba, musisz! — warknęła Mavra. — Wierz mi, Renardzie. Ty jeden poznałeś cały mechanizm startu. Nie pozwól, żeby ktoś pobiegł ratować mnie lub kogoś innego, jeśli nie będzie można natychmiast do nas dotrzeć. Nie wolno ci zabić wszystkich tych ludzi dla mnie. Obiecuj, że tego nie zrobisz!
Westchnął.
— Dobrze, obiecują! — niemal wyszeptał.
Opuścili pokład statku, zostawiając otwarte śluzy i przyłączyli się do mieszkańców Północy.
— Mamy szczęście, że nie porwali Renarda — powiedziała im. — Przy odrobinie szczęścia wasza trójka wciąż może tego dokonać.
Nawet Bozog zrobił się nerwowy.
— Co to?
— Zależy nam na tym, żeby nie wychodzili z komory kontrolnej — wyjaśniała dalej. — Mam nadzieję, iż Julin jest dostatecznie zadufany w sobie, aby myśleć, że nie musi rozstawiać straży, a jednocześnie tak niepewny swego, że nie wyłącza trybu obronnego, z wyjątkiem przypadków koniecznych. Jeśli nie będzie o nas wiedział, dopóki się tam nie znajdziemy, to nam się uda.
— Jak przełamiemy jego obronę? — zapytał Bozog.
— Dywersją — odpowiedziała. — Ja zostanę przynętą, mały konik pony, obserwujący koniec mostu. Pokusa będzie zbyt wielka, by z niej nie skorzystać.
— Ale domyśli się, że jesteśmy w pobliżu — wtrącił się Renard. — A co, jeśli będzie miał i na nas chrapkę?
— To bez znaczenia. Zrozumcie, muszą wyłączyć tryb obronny po to, by mógł wysłać swoje niewolnice. To bardzo długi most. Dojdę, jak daleko się da, potem ruszę do ataku na nich.
— Co z nami, kiedy będziesz to robić — nalegał Bozog.
— Bozogu, ty weźmiesz drut i pójdziesz zewnętrzną stroną mostu. Ghiskindzie, ty go poprowadzisz. Renardzie, będziesz się trzymał z tyłu, poza zasięgiem

wzroku, z miotaczem w dłoni. Możliwe, że Julin zobaczy przewód, lecz nie domyśli się, do czego służy. A gdyby nawet, to nie będzie mu łatwo dostać się do niego. Gdy tylko przewód znajdzie się na swoim miejscu, pociągnij trzy razy. To będzie znak dla Renarda, by przekazał mu cały skumulowany w ciele ładunek. Po tym, jak pociągniesz za przewód: zmykaj. Na górę, jeśli zdołasz. Po wybuchu rozpęta się piekło.

— A ty? — spytał zaniepokojony Renard.

— Jeśli przedostanę się do środka, spróbuję wywołać tam piekielne zamieszanie — odparła. — Myślę, że uwaga Julina będzie skupiona na mnie. Powinniście mieć kilka minut, to starczy aż nadto. Jeśli złapią przynętę, Renardzie, użyj swojego miotacza energii przeciw każdemu. Ben Julin nie może zneutralizować tego uderzenia na żywym organizmie!

— Ależ to może być Wooley albo Vistaru! — zaprotestował.

— Nawet jeśli to będę ja! — warknęła. — Renardzie, ocal tyłu, ilu zdołasz. Zabij, kogo będziesz musiał. Albo to, albo żegnajcie wszyscy! Pewnie i tak wszystko na nic, bo plan jest okropnie dziurawy!

— Nie mogę wymyślić lepszego, nie w tej sytuacji — dodał Bozog. — Idziemy?

— Renardzie, wezwij windę i trzymaj miotacz w pogotowiu.

W windzie nie było nikogo.

— Dobry znak — powiedział Bozog z aprobatą. — Wydaje mi się, że pan Julin może jeszcze przeżyć wstrząs. Nie wie, jak szybko potrafią biegać Bozogowie!

Strona Spodnia

Czekali z niepokojem w korytarzu obok windy na powrót Ghiskinda. Renard trzymał w pogotowiu pistolet. Yugash właśnie opuścił windę i sprawdzał, czy w pobliżu nie widać żadnych istot. Wrócił po piętnastu minutach i wcielił się ponownie w Bozoga.

— Zbadałem detonator — zakomunikował. — Jest to dość prymitywne urządzenie termiczne. Jednak, włączone, spowoduje olbrzymią wyrwę w obwodzie, również w obwodach niezależnych, podtrzymujących funkcje życiowe. Miejcie to na uwadze.

— To wystarczy — zdecydowała Mavra. — Ośrodki te są najslabszym punktem w całej konstrukcji Obie. Przez ten tunel biegnie przewód zasilania komputera i większość obwodów funkcyjnych. To dlatego właśnie tam znajduje się ładunek, nie musi być duży, wystarczy go tylko zdetonować.

— Zrobi się — odezwał się ponuro Renard i przetoczył przed siebie zwój drutu. Mimo że nie miedziany, był wystarczająco przewodzący.

— Dla pewności powinniśmy przeciągnąć przewód nieco dalej — ostrzegł Ghiskind. — Wolałbym mieć go bezpośrednio przy głównym złączeniu, jak najbliżej ładunku wybuchowego. W ten sposób, jeżeli zawiedzie detonator, ładunek elektryczny sam spowoduje detonację, a naszemu przyjacielowi Bozogowi wygodniej będzie przyłączyć przewód i może zyska trochę więcej czasu na ucieczkę.

Mavra głęboko westchnęła.

— Więc dobrze. Chyba nie pozostaje nic innego, tylko iść i to zrobić.

— Nadal nie podoba mi się, że będziesz w szponach tego sukinsyna — wymamrotał Renard.

— Ostatni raz proszę cię, Renardzie, zapomnij o mnie! Nie jestem ważna. Pamiętaj, od ciebie zależy wszystko. Rozwal to w diabły! Przypominasz sobie — dodała — jak wprowadziłam do dziennika pokładowego szereg symboli i cyfr?

Renard przytaknął.

— To podarunek od Obie, Renardzie. Spóźniony o dwadzieścia dwa lata. To czynnik hamujący działanie gąbki. Uwolni miliony, a syndykatomu złamie kark. Ty najlepiej rozumiesz, co to oznacza. Musisz dostarczyć to Radzie! To twój obowiązek, Renardzie!

Agitarianin skinął głową. Nie podobał mu się ten rozkaz, ale Mavra miała rację. Jeżeli tylko będzie się mógł wydostać, spełni swój obowiązek.

Mavra przeszła powoli, zamyślona, w dół holu, a oni podążyli za nią. Na wprost znajdowało się wejście na pierwszą platformę, za nim był most, przerzucony ponad głębokim szybem, prowadzącym do wielkiego spodka. Gdyby znaleźli się w sklepionym przejściu, Obie mógłby ich odkryć i, być może, musiałby ostrzec Bena Julina i jego niewolnice.

Renard rozwinął parę metrów drutu i usiadł na podłodze, poza zasięgiem wzroku, rozkraczywszy szeroko swoje cienkie, kozie nogi. Z przedniego garbu Bozoga wytrysnęła pomarańczowa wydzielina, przybrała kształt węzowej macki, chwyciła zwój i okręciła się dookoła niego.

Mavra obserwowała teren. Renard był na swojej pozycji z miotaczem w dłoniach, nie nastawionym na ogłuszanie. Miał ponurą twarz, pocił się, ale skinął głową potakująco.

— Ruszamy — rzuciła Mavra głosem pełnym napięcia i przeszła przez sklepioną bramę.

* * *

Ben Julin był wyjątkowo zadowolony z łupów, zdobytych przez jego dziewczyny podczas pierwszego wypadu. Najtrudniej było poruszyć ciało nieprzytomnej Wooley, znieść je po schodach i umieścić na dysku, ale zdołały to zrobić i transformacja odbyła się szybko. Następnie to samo spotkało kruchą Vistaru. Ponieważ miały imiona, pozwolił im je zatrzymać, nie widział żadnych przeciwwskazań w tym względzie. Wymazał ich pamięć, zaprogramował dwie jeszcze bardziej kochające niewolnice, dodał ogony i całą resztę, aby lekko różniły się od innych. A później zabawiał je i wprowadził do swojego haremu, tak jak zrobił to z tamtymi.

Przyciągnąwszy obie naraz do siebie, głąskał jedną z nich po głowie, gdy nagle komputer zburzył nastrój:

— Mamy nieproszonych gości na moście — zakomunikował.

Julin bezzwłocznie porzucił nowicjuszkę i doskoczył do pulpitu kontrolnego.

— Kto to jest, Obie?

— Żywa istota, bardzo duża — odpowiedział komputer. — Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują, że jest to koń!

Julinowi zabłyśły oczy.

— Mavra Chang! — szepnął.

Istota, która zagrażała jego marzeniom, która utrzymywała jakieś kontakty z Obie. Jedynie ona była jeszcze pilotem.

— Co robi? — zwrócił się do komputera.

— Stoi dokładnie na końcu mostu.
 Zmarszczył brwi. Dlaczegoż, do diabła, tak się demaskuje?
 — Jesteś pewny, że na moście nie ma żadnych innych istot? — spytał zaintrygowany.
 — Nikogo — zapewnił komputer. — Chyba że jest z nią Yugash. Musiałby znajdować się o wiele bliżej, bym mógł go wykryć. Gdyby znajdował się wewnątrz niej, byłby dla mnie niewykrywalny.
 Julin skinął głową. To musi być to. Wystawia się jako przynęta. Jeżeli ją wpuści, podstępem do środka dostanie się również Yugash.
 — Obie — zapytał po chwili zastanowienia — czy Yugash może porozumiewać się z tobą?
 — Tak, Ben. Oczywiście.
 — Ale nad nikim w tym pomieszczeniu nie może objąć kontroli?
 — Tak, Ben.
 Rozważył tę informację.
 — Obie, zarządzam program podstawowy. — Wystukał długi szereg cyfr na klawiaturze.
 — W toku — potwierdził komputer.
 — Nie wolno ci odbierać żadnych rozkazów Yugasha, ani jego własnych, ani stworzenia, w którego ciele się znajduje — nakazał stanowczo. — Więcej, zignorujesz wszystkie informacje wygenerowane przez Yugasha.
 — Przyjęte i zapamiętane.
 Minotaur skinął z satysfakcją głową. W porządku, powiedział do siebie. Niech no tylko Yugash tu wejdzie! Bez ciała i możliwości porozumienia się z Obie, będzie musiał pójść na kompromis lub będzie latać wokół bez celu. Obiecując mu powrót do domu, w jakiś sposób przejmie nad nim kontrolę.
 Uśmiechnął się. Możliwe, że to było najlepsze, co go do tej pory spotkało. Wstał, podszedł do balkonu i zawołał:
 — Wooley! Vistaru! Nikki! Mavra! Chodźcie tutaj!
 Ten zaszczyt powinien należeć do nich, pomyślał z ponurym humorem.
 Cztery kobiety ochoczo wygramoliły się do niego.
 — Tam na zewnątrz, na końcu mostu stoi koń — powiedział. — To więcej niż koń. W jego ciele znajduje się istota, która potrafi mówić. To jeden z moich przeciwników. Bardzo niebezpieczny i najważniejszy. Musimy go tutaj ściągnąć. Pozostałe czekają w pogotowiu na nasz znak. — Zamilkł na chwilę, wściekły. — Kiedy schwytaacie konia, zahipnotyzujcie go. Całą swoją siłą. Wmówcie mu, że jest waszym koniem i musi za wami podążyć. Poprowadźcie go, wsiadźcie na niego lub w jakikolwiek inny sposób przyciągnijcie tutaj.
 — Które z pozostałych, panie? — zapytały chórem.
 — Numer Jeden i Trzy, chodźcie na górę ze swoją bronią — zawołał.
 Nadeszły jeszcze dwie kobiety. Obydwie trzymały w rękach miotacze.

Obie nie był w stanie stworzyć ograniczonej osłony przeciw miotaczom, lecz on mógł to zrobić z łatwością.

— Pójdziecie za tamtymi mniej więcej do połowy mostu — wyjaśnił im. — Trzymajcie swoje miotacze w pogotowiu i ustawcie się tak, byście celując osłaniały zarówno tamte, jak i wyście z holu. Jeżeli zobaczycie kogokolwiek wychodzącego, zabijcie go. Jeżeli koń wplącze w jakiś kłopot wasze siostry, ogłuszcicie całą paczkę i sprowadźcie ich tutaj. Rozumiecie?

— Słuchamy i spełnimy twój rozkaz, panie! — odpowiedziały obydwie kobiety.

Skinął głową i odwrócił się do konsoli kontrolnej.

— Obie, na moje odliczenie, wyjdiesz z trybu defensywnego i otworzysz drzwi. Włączysz tryb defensywny na mój rozkaz, z chwilą gdy go usłyszysz. Pojmujesz?

— Pojmuję, Ben.

— Zaczynamy, dziewczynki. W porządku, Obie — pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... Teraz!

Drzwi rozsunęły się i Wooley, Vistaru, Nikki i Mavra rzuciły się do przodu. Parę sekund później dwie pozostałe ruszyły za nimi z pistoletami gotowymi do strzału. Obie grupy przebiegły ostrożnie, nisko pochylone, przez most.

Mavra zobaczyła je natychmiast.

— Dobra. Bozog, Ghiskind! Teraz! — zasyczała.

Jak błyskawica Bozog przebiegł most i znalazł się po jego drugiej stronie. Kobiety, wciąż schylone, nie zobaczyły go.

Gwałtowne, mocne szarpnięcie rozwijającego się przewodu nieomalże wywlekło Renarda na przęsło. Walczył z ogromnym wysiłkiem, żeby ustać na swoim stanowisku. Bał się, że wypuści przewód albo że Bozog wyciągnie go z kryjówek.

Przykre dla Mavry było to, że przewód był bardzo widoczny i że tyle hałasu wywoływało jego rozwijanie. Ponieważ nie chciała, aby został zauważony, nie miała wyboru. Stała dęba jak dziki koń, wierzgnęła kopytami i ruszyła przez most do ataku, czym w pierwszej chwili zaskoczyła kobiety. One jednak szybko odzyskały równowagę, pozwalając zbliżyć się swojej ofierze. Mavra rozpędziła się tak, że postanowiła przebić się przez nie i wbiec do komory kontrolnej. Cztery stojące z przodu kobiety uskoczyły jej z drogi i Mavra skorzystała z otwierającego się przejścia. W chwili gdy je mijała, poczuła najpierw kilka ostrych ukłuć, a potem nagły ciężar osoby, wskakującej na jej grzbiet. Teraz poczuła ukłucia na szyi. Próbowała zrzucić jeźdźca, lecz świat nagle zwolnił biegu, myśli stały się senne i, otępiała, zatrzymała się.

— Dalejże, koniku — odezwał się miękki, kobiecy głos. — Prosto do drzwi. Truchcikiem!

Usłuchała bezmyślnie. Pozostałe trzy kobiety biegły obok. Pochód zamykały dwie rezerwowe, ubezpieczając grupę na wypadek pogoni.

— Tryb defensywny, Obie! — ryknął Julin.

Drzwi zasunęły się z trzaskiem, gdy ciało koniaomal go nie zgmiotło. Udało mu się odwrócić i zapytał:

— Obie, czy są jakieś formy życia na moście lub w rejonie szybu?

— Nie, Ben — odpowiedział komputer. — Nie ma żadnych form życia w tym rejonie.

Vistaru wciąż siedziała na grzbiecie Mavry, uśmiechając się jak dziecko na widok nowej zabawki.

— Jaki miły konik — powiedziała do Julina. — Czy dostaniemy ją, będzie naszym pieszczołkiem?

Zaśmiał się, ale spodobał mu się pomysł. Im więcej o nim myślał, tym lepszy się wydawał.

— Zaprowadź ją na dysk, moja droga. Będziecie miały pieszczołka, tylko innego.

Kobiety miały nieco kłopotu ze sprowadzeniem Mavry po schodach, ale w końcu im się to udało. Wprowadziły kobietę-konia na dysk i odsunęły się.

Julin zachichotał. Nigdy nie widział Mavry po mutacji dokonanej przez Olbornian, ale obraz podsuwany mu przez wyobraźnię wydawał się podniecający i egzotyczny. Pieszczołek! pomyślał radośnie.

— Obie, wciąż dysponujesz oryginalnymi kodami Mavry Chang, prawda? — zapytał, z trudem tłumiąc podniecenie.

— Tak, Ben.

— Doskonale. Zakoduj obiekt na dysku — rozkazał. Mały spodek obrócił się, niebieska poświata otoczyła dysk i znajdujący się pod nim koń zamigotał i zniknął.

— Nowe kody dla obiektu — powiedział do komputera. — Korpus Mavry Chang z ogonem, taki jak podczas poprzedniej obróbki. Ramiona i nogi niewielkiego konia, na nich oparte, obrócone w dół ciało, długość i umięśnienie proporcjonalne do korpusu ludzkiego. Tonus mięśniowy i struktura kostna przystosowane do udźwignięcia ciężaru około stu kilogramów, a w razie ciągnięcia nawet więcej. Uszy muła. Skóra i kolor ciała człowieka, system trawienny podobny do mojego, możliwość odżywiania się i trawienia każdej substancji organicznej. Zapamiętałeś?

— Zapamiętałem, Ben. Czy ktokolwiek wspominał ci, że zaczynasz upodabniać się do Antora Treliga?

— A kto powiedział, że się tym przejmuję? — odparł. — Kontynuuję instrukcję. Powiększyć piersi tak, by prawie sięgały ziemi. Postrzeganie zmysłowe, typowe dla istoty ludzkiej. Przedłuż ogon, by sięgnął do podłoża. Włosy na głowie i karku niech będą gęste, ale krótkie. Zapamiętane? I niech będzie hermafrodytą, samorozmnażającą się przez partenogenezę. Identyczne kopie. Zapamiętałeś?

— Tak, Ben.

— Dopasowanie osobowości: obiekt ma lubić ludzi, zwłaszcza tych, którzy są w tej komorze, oraz wymagać, by otoczenie darzyło go miłością i ciągłą uwagą. Obiekt musi być absolutnie łagodny i posłuszny, pozbawiony pamięci o tym, co przeżył aż do tej chwili. Zdolność rozumowania obiektu nie przekroczy poziomu bardzo inteligentnego psa. Zapamiętałeś?

— Zapamiętałem, Ben, prawdziwy z ciebie drań.

— Dziękuję, Obie — odpowiedział. — Wprowadź i wykonaj.

Trwało to niecałe sześć sekund.

* * *

Bozog ślizgał się po ścianie szybu, tuż za prowadzącym go Yugashem, mocno ściskając przewód. W końcu, gdy minęli chyba tysiąc rozmaitych paneli i szczelin, dotarli do jednej, na którą Yugash wskazał i zaraz w nią wniknął. Bozog poszedł za jego przykładem. W tej samej chwili przewód zaczepił się o coś i mieszkaniec Północy musiał stanąć, by delikatnie go uwolnić. Bał się, że każde szarpnięcie może zostać poczytane przez Renarda za sygnał do przyłożenia napięcia.

Na pewnym odcinku szyb biegł wzdłuż dużych brzęczących modułów, a potem wyginał się do góry i zakręcał dookoła. To był prawdziwy labirynt i Bozog nie odstępował Yugasha ani na krok, doskonale wiedząc, że gdyby został sam, nigdy by nie odnalazł drogi powrotnej.

W końcu Yugash dotarł do właściwego miejsca. Tylko metr dzielił ich od dziwacznej kostki, najeżonej wieloma połączeniami. Nie pasowała do niczego, co ją otaczało, a więc to musiała być bomba.

Pod kierunkiem Yugasha, Bozog przyłączył przewód do właściwego modułu. Urządzenie było niewiarygodnie skomplikowane. Na powierzchni sterczały miliony cieniutkich włosków, z których każdy otoczony był niezliczonymi, doskonale okrągłymi bąbelkami. We właściwym punkcie Bozog wydzielił kleistą, lśniąca substancję i wetknął w nią przewód. Następnie pośpiesznie wycofał się wzdłuż przewodu. Przebył już sporą odległość, kiedy Yugash zaczął nerwowo gestykować. Zaniepokoiło to Bozoga. Zastanowił się i lekko pociągnął za przewód. Stwierdził, że porusza się bez oporu, widocznie wycofując się, wyrwał kabel. Jęknąwszy, co translator zinterpretował jako westchnienie, podążył za Yugashem ponownie w stronę bomby.

* * *

— Och, ona jest taka śliczna! — zapiszczała jedna z dziewcząt, zachwycona widokiem materializującej się Mavry, która rozejrzawszy się dookoła, widząc i

słyszając ludzi, pędem podbiegła do nich uszczęśliwiona, wymachując puszystym, końskim ogonem.

Dziewczęta skupiły się dookoła niej, pieszcząc ją i głaszcząc. Jedna z nich podsunęła pod nos Mavry kawałek owocu. Ta zaś powąchała go, zamruczała i zjadła jak pies.

Julin przypatrywał się z balkonu swojemu dziełu.

— Tutaj, Chang! Tutaj! Chodź, dziewczyno! Przyjdź, tutaj! — zawołał.

Mavra była zaintrygowana i zachwycona. Na jej twarzy igrał kretyński uśmiešek. Szukała źródła głosu, dostrzegła go, kiedy Julin zaklaskał. Popędziła do niego po schodach. Pochylił się i ujawszy w dłonie jej głowę, zaczął ją głaskać. Polizała go po stopach.

* * *

Bozog nie mógł zbyt zanieczyścić modułu, bo wyładowanie elektryczne mogłoby nie dotrzeć do celu.

— Siedzi na tyle mocno, że nie powinien wypaść, Ghiskindzie — powiedział do swojego milczącego towarzysza. — Będziesz musiał wyprowadzić mnie nieco inną drogą, abym znowu nie wyrwał przewodu.

Upiór skinął i ruszyli z powrotem. Nowa droga była dużo dłuższa i Bozog wy-czuwał z niepokojem, że Yugash zgaduje kierunek, ale koniec końców odnaleźli szyb. Bozog był zdenerwowany, nie było widać ani jednego, ani drugiego końca, wielki pręt w samym centrum znikał w niebycie. Wydawało się, że od mostu dzieli ich straszliwa odległość.

Kabel jednakże wisiał kilka metrów nad nimi, jakieś dwa metry w bok. Bozog skierował się ku niemu. Z jego garbu wyłoniła się macka, delikatnie uchwyciła i naciągnęła przewód od strony mostu. Kiedy przekonał się, że nie można go już bardziej naciągnąć, szarpnął po raz pierwszy, po raz drugi, a potem trzeci. I znów: jeden, dwa, trzy razy, i czmychnął w górę, do mostu, po ścianie szybu.

Jeśli Renard odebrał sygnał, Bozog jedynie miał czas policzyć do trzydziestu.

* * *

Renard siedział oczekując, zdawało się, w nieskończoność. Napięcie było tak mocne, że prawie mdlał. Kiedy przewód przestał się rozwijać, co trwało chyba wieczność, rozluźnił się, uspokoił i przygotował. Kilka szarpnięć omal nie spowodowało rozpoczęcia akcji, ale odliczanie do trzydziestu było aż nadto dostatecznym marginesem bezpieczeństwa dla Bozoga. Kiedy powtórny sygnał się nie pojawił, zaklął szpetnie pod nosem i usiadł ponownie. Nie mając nic innego do

roboty, wyobrażał sobie popełniane okropności i panujące zepsucie. Siedział bezczynnie w korytarzu, ale nic nie mógł na to poradzić. Na dodatek, często wydawało mu się, że słyszy szmery i podrywał miotacz, ale ani razu nikt nie zbliżył się do niego.

Nagle poczuł, że coś się zmieniło. Upłynęła chwila i uzmysłowił sobie, że ktoś napina rozwinięty przewód. Wstrzymał oddech i delikatnie ujął kabel. Wciąż jeszcze zostało kilka metrów pętli.

I oto nadeszła chwila. Raz... dwa... trzy... Raz... dwa... trzy. Z wolna odliczył do trzydziestu, modląc się w duchu, by to nie on okazał się zawodnym ogniwiem w łańcuchu.

Przez całe życie czekałem na ten moment, pomyślał w czasie odliczania. Przyszedłem na świat po to, by dokonać tej jednej rzeczy. Za kilka sekund moje istnienie nabierze sensu...

Dwanaście... Jedenaście... Dziesięć...

* * *

— Jesteś pewny, że nie było w niej Yugasha?

— Całkowicie, Ben — komputer zapewnił go. — Nie ma Yugasha ani w tej komorze, ani na moście, ani na platformie.

Julin sklął siebie za to, że był tak mało przewidujący. Powinien przepytać ją, gdy była pod wpływem hipnozy, jeszcze przed transformacją. Co, u diabła, chciała zrobić?

— Analiza postępowania Mavry Chang w chwili przybycia tutaj.

— Zapoczątkowanie realizacji planu powstrzymania ciebie — niechętnie odpowiedział Obie.

— Co za plan? — zagrzemiał. — Co oni próbują zrobić?

— Oni próbują mnie zniszczyć — odpowiedział komputer.

Julin, raptownie przerażony, zerwał się na nogi.

— Pozostali! To pułapka! Niech to licho! Powinienem był to przewidzieć!

— Poważny błąd, Ben. Zapomniałeś przesłuchać Mavrę Chang. Zwykle w twoim zawodzie popełnia się tylko jeden błąd.

— Przestań być tak cholernie zadowolony z siebie! — szalał minotaur. — W jaki sposób mam im przeszkodzić?

— No cóż, twoją jedyną szansą jest, by... Intruz! Intruz na platformie mostu! — Obie nagłe ogłosił alarm.

— Pierwszy i Trzeci z pistoletami na górę. Na jednej nodze! — wrzeszczał. — Wyłączyć tryb defensywny, Obie. Otworzyć drzwi! — Odwrócił się do dziewcząt. — Zabić każdego, kogo zobaczycie!

Wybiegły na zewnątrz.

Na ich widok Renard, co sił w nogach, śmignął z ukrycia na most d dotknął naelektryzowanej poręczy. Poczul napływający ładunek. Już i tak był pod bardzo wysokim napięciem.

Nuże! Przekazał drutowi całe nagromadzone napięcie.

Daleko w dole potężna eksplozja wyrzuciła szczątki i dym w głąb szybu, w obu kierunkach, przy wtórze ogłuszającego ryku, niosącego się szerokim echem. Nie przygotowany na tak potężną reakcję, ogłuszony Renard upadł na plecy. Dreszcz wstrząsnął komorą kontrolną tak mocno, że przewróciły się urządzenia techniczne. Światła zamrugały; zgasły, zapaliły się, i znów zgasły. . . Drzwi otworzyły się szeroko, tak jak je zaprojektowano na wypadek awarii zasilania. Ciemne, zapasowe światło rzucało słabą poświatę to tu, to tam, po całej Stronie Spodniej.

Zdolność widzenia w nocy umożliwiła Julinowi dostrzeżenie ciemnej teraz tablicy kontrolnej. Nacisnął przełącznik nadajnika tak mocno, że ten się złamał.

— Obie! Obie! — krzyczał. — Zgłoś się! Niech to diabli, zgłoś się!

Ale nie było odpowiedzi. Usłyszał w oddali coś, co mogło być wtórną eksplozją. Gorączkowo rozejrzał się dookoła; w zalegających ciemnościach ginęły wyśnione marzenia.

Dwie dziewczyny na moście nagle przestały biec. Rozglądnęły się wkoło, za-intrygowane. Ich twarze pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu. W chwili zaniku zasilania jakby spadła zasłona z oczu kobiet zebranych na dole. Nie miały nawet czasu na krzyk pełen zgrozy, gdy z nagłą stanęły przemienione, zdeorientowane. Nie na długo jednak.

— Vistaru! — krzyknęła Wooley. — Łap za miotacz! Ten drań jest w naszych rękach!

— Za wami! — zawołał inny głos kobiecy i dwie postacie skierowały się na schody. Dołączyły do nich jeszcze dwie.

Vistaru nerwowo obejrzała się za siebie.

— Kim wy, u licha, jesteście?

— Nikki Zinder! — odkrzyknęła nieznajoma. — Usuńcie się! Ben Julin należy do mnie! — warknęła z taką wściekłością, że ustąpiły jej z drogi.

Julin słyszał ich nadejście i zorientował się natychmiast, co się stało.

Zmiany fizyczne wprowadzono przez biologiczną przebudowę, można więc było je cofnąć tylko za pośrednictwem Obie, Studni, albo czegoś o podobnym działaniu. Jednak kontrola umysłu, zachowania i wszelkie zmiany w tym zakresie były narzucone przez komputer i jedynie on mógł je utrzymać. Julin utracił swoje niewolnice, miał już tylko odwiecznych wrogów.

Z wielką siłą cisnął krzesłem na schody. Kobiety musiały uskoczyć na bok. Julin wykorzystał ich chwilowe zawahanie i uciekł przez drzwi.

Obydwie kobiety na mostku nie miały mocnych osobowości. Nie były niczym więcej jak dzikimi stworzeniami zbliżonymi do zwierząt, ale zachowały mowę i umiejętności zaprogramowane przez Obie, tak samo jak Mavra pamiętała plany

Nowych Pompejów. Przez kilka błyskawicznie mijających chwil wydawało im się, że dopiero co przyszły na świat. Zupełnie straciły orientację.

Julin zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie są w takim stanie, i podbiegł w ich kierunku. Jedna z nich zainteresowała się własnym miotaczem energii. Rzucił się ku niej. Niemal już dobiegał, gdy spostrzegł, że Agitarianin pędzi w jego stronę. Minotaur został wyprzedzony w tym wyścigu do dziewczyny z miotaczem.

Zatrzymał się rozgorączkowany i spojrzał za siebie. Cztery z jego byłych „niewolnic miłości” zbliżały się do niego; każda uzbrojona, każda z wyrazem ponurej determinacji w oczach. Z przeciwnej strony, szybciej niż kobiety, przybiegł Renard z wymierzonym pistoletem. Julin wybrał Renarda. Warcząc obrócił się, zderzył się z nim i obydwaj upadli. Julin przetoczył się, zerwał na nogi i złapał miotacz Renarda. Z uśmiechem przeszedł obok dwóch kobiet i podniósłszy drugi miotacz, zaczął wycofywać się skrajem mostu.

W głównym szybie migotały światła. Poniżej rozlegało się dudnienie i bębnienie.

— Pat! — ryknął Julin, przekrzykując huk. — Niech nikt się nie rusza!

— Poddaj się, Julin!

Krzyk Nikki Zinder niemal utonął w hałasie, wydobywającym się z szybu. Oświetlona ciemnym, mrugającym światłem sceneria była niesamowita i nierealna.

Minotaur roześmiał się.

— Tylko trzymajcie się z dala!

Wycofywał się nadal wzdłuż mostu, a one nie odstępowały go ani na krok, ostrożnie posuwając się w przód.

Renard wbiegł do komory kontrolnej.

— Musimy go dostać — krzyknęła z tyłu Wooley. — Jeśli uda mu się wejść na pokład statku, znajdziemy się w pułapce, a on zbuduje drugiego Obie.

Stały niestety tak blisko siebie, że mogłyby je wszystkie trafić pojedynczym strzałem, wcześniej jednak któraś z nich mogłaby także jego zniszczyć promieniami energii. Sytuacja była remisowa, jak to obwieścił ciągle cofający się Julin.

Zaryzykował jedno spojrzenie za siebie. Był nieomal na końcu mostu. Kiedy znajdzie się na korytarzu, wygra bieg do wagonu. Jeszcze tylko odrobinę...

Wtem pomarańczowa macka wystrzeliła ponad krawędzią mostu za jego plecami, oplatała mu szyję, szarpnięciem poderwała go w górę, przerzuciła ponad poręczą i zrzuciła w dół szybu. Przez jakiś czas był ze zgrozy, jednak siła Coriolisa sprawiła, że rozbił się o szyb i zginął jeszcze przed uderzeniem o dno.

Na most wspiął się Bozog, a tuż za nim wyłonił się Ghiskind.

Na widok tego, co się stało, Wooley zaklaskała z radości. Zaraz jednak, słysząc kolejne odgłosy dudnienia widząc migoczące lampki, stała się bardzo rzeczowa.

— Vistar, Zinder, idźcie z Bozogiem i Ghiskindem! Otwórzcie i przygotujcie obydwaj wagony windy! Dalejże, Star! Pomóżmy Renardowi wydostać resztę!

Biegiem wrócili do otwartego, pogrążonego w ciemności wejścia.

— Renardzie! — zawołała Wooley.

— Tutaj! — odpowiedział równie głośno. — A niech to! Chodź, pomóż rai! Nic a nic nie widzę!

Im ciemności nie przeszkadzały i Vistaru łagodnie zagoniła pozostałe, zdezorientowane kobiety po schodach na górę.

— Chodź już! — przynaglała go.

— Mavra! Musimy odnaleźć Mavrę! — odkrzyknął Renard.

Wooley rozejrzała się dookoła, widząc wszystko doskonale pomimo panujących ciemności.

— Nie widzę jej! Mavro! — krzyknęła. — Mavro!

Nagle cała komora kontrolna zatrzęsła się i wygięła przy wtórze grzmotu. Część odległego balkonu urwała się i odpadła.

Wooley schwyciła Renarda.

— Chodźże już! Zabierajmy się stąd! Jesteś nam potrzebny, musimy wydostać pozostałych!

Wyglądał na zdesperowanego.

— Ależ... Mavra! — odparł.

— Ona na pewno już nie żyje albo jest nieprzytomna! — ucięła Wooley.

Zachwiali się od ponownego wstrząsu, światła w szybie ciągle nie było.

— Idziemy! Musimy się stąd wydostać, inaczej zginemy!

Użyła całej swojej siły, by podnieść go i doprowadzić do schodów. Na górze obejrzała się i wydawało się, że w jej oczach pojawiły się łzy.

— Przebacz mi jeszcze ten jeden raz, droga Mavro — wyszeptwała bardziej do siebie niż do Renarda, chociaż on też usłyszał jej słowa. A potem wybiegła na most.

Obydwa wagony były ciasno wypełnione ciałami. Kilka razy zatrzymywali się i ruszali ponownie. Kilkakrotnie utknęli i wydawało się, że są już skazani na śmierć z braku tlenu, w końcu jednak wagony dotarły na powierzchnię.

Renard, chociaż wciąż nie mógł wyjść z szoku, zrozumiał, że teraz wszystko zależy od niego.

— Na pokład! — krzyknął. — Później przyjdzie czas na żałobę.

Na pokładzie wahadłowca

Wahadłowiec został zaprojektowany z myślą o ludziach. Inżynierowie Bozogów zaadaptowali go do lotu ze Świata Studni do Nowych Pompejów i choć na pokładzie znalazło się jedenaścioro ludzi i trzy inne stworzenia, wszyscy jakoś się zmieścili. Wahadłowiec mógł zabrać maksimum trzydzieści osób, w ogonie wciąż stały puste fotele i dwa zapasowe siedzenia.

Bozog i Ghiskind towarzyszyli Renardowi na mostku. Agitarianin z trudem wziął się w garść.

— Ghiskindzie, rzuć okiem i sprawdź, czy wszyscy usiedli i zapięli pasy — powiedział krótko.

Czerwona zjawa odpłynęła, zajrzała do tyłu, wróciła i skinęła pustym wewnątrz kapturem.

— Start awaryjny — mruknął Renard. — Teraz... o, tak. Trzymajcie się mocno! — Sprawdził własne pasy, sięgnął do klawiatury i wpisał kod.

Nic się nie wydarzyło.

Zaklął, pomyślał przez chwilę, próbując dociec, co zrobił źle. Nagle przypomniał sobie.

— Start A — wpisał.

Pojazd odłączył się od doku i wystrzelił niemal z maksymalną mocą.

— Proszę o kod — przestraszył go mechaniczny głos, dobiegający z pokładowego radia. — Właściwy kod w ciągu sześćdziesięciu sekund lub zniszczymy wasz pojazd.

— Roboty strażnicze! — wykrzyknął. — Zapomnieliśmy o nich!

Ale Mavra nie zapomniała. Zaprogramowała całą sekwencję.

— Schyłek i upadek Pompejów — rozległ się przez radio jej głos. Był to, pomyślał z pewną ulgą Renard, naprawdę odpowiedni tytuł.

Wahadłowiec zwolnił, prawie znieruchomiał. Na ekranie wyskakiwały nic nie znaczące rzędy cyfr, jakieś okręgi, punkty i inne figury geometryczne. Pojazd ponownie zaczął posuwać się do przodu.

Renard westchnął i odprężył się.

— Na razie tyle — odezwał się do pozostałych. — Powiedziała, że upłynie dzień albo dwa, zanim znajdziemy się w czymkolwiek zasięgu, chyba że trafimy na kogoś, kto by leciał w naszą stronę.

Przeszedł do kabiny pasażerskiej.

— Przeklęty koński ogon! — wściekała się jedna z kobiet. — Czujesz się, jakbyś siedziała na kamieniu, a jest tak długi, że zamiatasz nim po podłodze!

Druga roześmiała się.

— Coś mi się zdaje, że miałyśmy szczęście — powiedziała radośnie. — Mogły wpaść mu do głowy jeszcze dziksze pomysły.

Renard był zdezorientowany. Oprócz niewielkich różnic w karnacji i ogonie, wszystkie wyglądały tak samo.

— Kto jest kim? — jęknął.

Jedna z kobiet roześmiała się.

— Ja jestem Wooley, Renardzie, a więc odpręż się. To jest Star... aaa.. to znaczy Vistaru. Te dwie tutaj, to Nikki Zinder i jej córka, Mavra — zachichotała, ale opanowała się szybko.

Jemu się to nie udało.

— Nikki Zinder... — mamrotał — Jej córka...

Dziewczyna patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Czy ty naprawdę jesteś moim ojcem? — zapytała.

Z wolna pokręcił głową.

— Nie, to był ktoś inny, ktoś, kto był człowiekiem. Odziedziczyłem jego pamięć i jego osobowość, ale teraz jestem kimś innym.

Zdawało się, że to ją usatysfakcjonowało. Nikki, która zamarła usłyszawszy pytanie, najwyraźniej poczuła ulgę. Renard spojrział na pozostałe, gorliwie szukając innego tematu.

— A co z nimi? — zapytał, patrząc na siedem pozostałych dziewcząt.

Wooley odpięła pas i podeszła do Renarda. Była od niego wyższa, jej ogon wyglądał jak ptasi pióropus.

— Wyjaśniłyśmy im, że na zawsze utraciły pamięć — powiedziała do niego szeptem. — Spowodowała to maszyna. Wszystko będzie z nimi w porządku.

Odetchnął z ulgą. Ciało przypomniało mu, że istnieją inne potrzeby.

— Spędzimy razem przynajmniej kilka dni w tej starej balii — przypomniał — a żywności mamy niewiele.

Wzruszyła ramionami.

— Przetrzymamy, jeśli będzie trzeba. Substancji organicznych w starym ładunku i obciach wystarczy. Każda coś znajdzie dla siebie, jak myślę. Ty jesteś jedyny, który będzie miał prawdopodobnie więcej problemów.

Zaśmiał się i spojrział na swoje pasażerki.

— Życ z miłości, he? — zaskrzeczał.

* * *

Do czasu, kiedy dwa i pół dnia później nawiązano kontakt, wszyscy przećwiczyli sposób postępowania oraz uzgodnili, co miało być powiedziane, a co powinno zostać tajemnicą.

— Tu policja Kom — z radiodbiornika dobiegł surowy, męski głos. — Podajcie swoją tożsamość, numer i port przeznaczenia.

Renard westchnął.

— Tu statek uciekający z Nowych Pompejów, planetoidy, będącej własnością Nowej Harmonii — odpowiedział. — Nie jestem pilotem; na pokładzie nie ma żadnego pilota.

To zdawało się odrobinę niepokoić policjanta. Nastąpiło gorączkowe przeszukiwanie policyjnych elektronicznych kartotek.

— Uwaga, zrównamy się z wami i wejdziemy na pokład — zakomunikowano z policyjnego pojazdu.

— Należy do was — odpowiedział Renard. — Najpierw jednakże, tak mi się wydaje, lepiej będzie ostrzec was przed paru rzeczami.

Opowiedział im o przyjęciu Antora Treliga, o Obie, Świecie Studni, o wszystkim. Pominął jedynie te szczegóły, które umożliwiły dotarcie do Świata Studni.

Policjanci nie uwierzyli oczywiście. Tak czy siak jednak zarejestrowali informacje i zrównali statki, zacumowali, po czym uzbrojeni weszli na pokład.

Jeden rzut oka na pasażerów i od razu mniej było powodów, by wątpić.

Policjanci Kom byli osobliwą grupą nieokiełznanych, swobodnych, uwielbiających wolność, niespokojnych duchów. Rekrutowano ich, po starannej selekcji, w wieku dojrzałym, zwykle po tym, jak dopuściwszy się jakiegoś obrzydliwego występku, zostali przyłapani na gorącym uczynku. W zamian za dobrowolną obietnicę bezwarunkowej lojalności zawieszano im wyrok. Mieli pilnować pozostałych, chronić Kom i jego granice przed innymi, dokładnie takimi samymi jak oni. Zazwyczaj wiedzieli, na czym można sobie poparzyć palce. Nagranie rozmowy, zakodowane i zapieczętowane, przesyłano wprost do jedenastoosobowego Prezydium Rady, które podejmowało decyzje, gdy Rada w pełnym składzie nie mogła się spotkać albo gdy nie powinna się była spotykać.

Troje członków Rady weszło na pokład statku jeszcze przed upływem czterestu godzin. Byli ze świata Kom, to prawda, jednakże każdy z nich miał silną osobowość. Zwłaszcza jedna osoba z tej grupy, kobieta, najwyraźniej wkraczająca w wiek dojrzały, wyróżniała się szczególnie królewską postawą.

— Jakieś dwadzieścia dwa lata temu — powiedziała Alaina, członkini Rady — jeszcze przed moim ostatnim odmłodzeniem wynajęłam Mavrę Chang, by jako mój agent uczestniczyła w przyjęciu Antora Treliga. Oczywiście od tamtej pory słuch o niej zaginął, ale ponieważ Nowe Pompeje zniknęły razem z drogim

Antorem, więc byłam usatysfakcjonowana. — Rozejrzała się po osobliwej grupce obcych przybyszów. — A teraz widzę, że mimo wszystko jej się udało.

Wszyscy mieli łzy w oczach, nawet Bozog leciutko drżał. Jedyne Ghiskind, jak zwykle, zachowywał kamienny spokój.

— Kiedy usłyszałam raport policyjny, nie uwierzyłam, ale oto jesteście, nawet Nikki Zinder! — odwróciła się do Vistaru. — I ty, Star Tonge, to przyjemna niespodzianka. Jeden z twoich synów jest nieocenionym Głównym Doradcą.

— Dzieci — mruknęła Wooley pod nosem. — Interesujące byłoby znowu zobaczyć dzieci.

— A teraz musimy zdecydować, co robić — oświadczyła Alaina. — Wiele wam zawdzięczamy.

Renard klepnął się po głowie.

— Lekarstwo na gąbkę! — wypalił. Uciekinierzy wyglądali na wystraszonych, a on pokiwał głową.

— Obie, to znaczy komputer, przekazał go Mavrze. Zapisała go w dzienniku pokładowym.

Alaina skinęła na policjanta.

— Sprawdź to — rozkazała — i zabezpiecz. — Sprawiała wrażenie, jakby coś zaprzętało jej uwagę, jakby przed nią otwierał się nowy widok. — Jeśli okaże się, że to działa — ciągnęła — to syndykat zbankrutuje. Zmiany będą rewolucyjne.

— Będzie działać — zapewnił ją Agitarianin. — Mavra powiedziała, że będzie.

Ponury grymas zesześcił zwykle kamienną twarz członkini Rady.

— Mavra Chang. Tak. Jakie to smutne. Jesteście pewni, że nie możemy po nią wrócić?

— Badania wykazały, że poważna część systemu zasilania została zniszczona — wtrącił się policjant. — Ekran plazmowy słabnie. Jeśli ktokolwiek tam pozostał, na pewno zginął do tej pory.

Pochyliła głowę.

— Tak myślałam. Jednak jej imię pozostanie w naszej pamięci. Będzie sławiona pośród naszych największych. Nie zapomnimy jej.

— Nikt z nas jej nie zapomni — szczerze dorzucił Renard.

* * *

Znajdowali się w odległości pół godziny świetlnej od Nowych Pompejów. Wyraźnie widoczna na ekranach planetoida wyglądała jak mała piłka.

— Wszystkim wydaje się, że do zniszczenia planety wystarczy skrzynka amunicji — powiedziała Alaina. — Ale tak nie jest. To wymaga głosowania przy pełnym składzie Rady, a my nie możemy wnieść tego pod obrady bez odpowiedniego

przygotowania. Nie można informować wszechświata, że taka rzecz, jak Obie, jest możliwa. Na pewno ktoś inny by go odbudował.

Wszyscy się z tym zgodzili.

Na ekranie pojawiły się cztery statki, krążowniki policji Kom, ciągnące olbrzymie obiekty na wysięgnikach holowniczych.

— Co to jest? — zapytała zafascynowana Wooley.

— Antymateria, moja droga — odpowiedziała Alaina. — Mamy jej wszędzie pod dostatkiem, jak wiesz. Zawsze była. Wystarczy obliczyć masę obiektu, który chcesz zniszczyć, nałapać antymaterii o równej masie, połączyć jedno i drugie razem i nastąpi wzajemna dezintegracja. Trzeba stuleci na samo wybudowanie wysięgnika holowniczego, który nie wszedłby w reakcję z antymaterią. Policyjny pojazd poleci po trajektorii, na której nastąpi zderzenie asteroidów antymaterii z Nowymi Pompejami. Powinien być niezły fajerwerk i po wszystkim.

Obserwowali, jak statek mija ich, zawraca, steruje asteroidami i pozwala im się uwolnić. A potem zmyka ile ciągu w dyszach.

Gdy oczekiwali na uderzenie pocisków w cel, Alaina mówiła o innych sprawach.

— Zdumiewające — powiedziała, przyglądając się Renardowi, Bozogowi i Ghiskindowi. — Jeśli może istnieć wasza trójka, ilu jeszcze mogłoby istnieć innych? Może są tuż "za rogiem" następnego układu słonecznego. Może za naszego życia nasze kultury się spotkają. Jakże bym chciała być świadkiem tego!

— Gdybyś znalazła się w Świecie Studni, szybko byś miała dosyć tych obcych ras — odpowiedziała Vistaru.

Wzruszyła ramionami.

— Zawsze mnie to intrygowało. Może takie zderzenie będzie miało wymiar ostateczny. Może inne stworzenia będą z antymaterii? To dopiero byłoby frustrujące! — zaśmiała się i zmieniła ton.

— Myśleliście o swojej przyszłości? — zapytała.

— My: Bozog, Ghiskind i ja możemy powrócić do Świata Studni — oświadczył Renard. — Mówiliśmy ci o tym. Trzeba tylko przewieźć nas na planetę Markowian. Oczywiście, my musimy to zrobić. Dla nas w tej części wszechświata nie ma miejsca.

Skinęła głową i zwróciła się do pozostałych.

— A co z wami, Tonges?

Wooley uśmiechnęła się.

— Nikki Zinder nigdy nie miała okazji żyć naprawdę, być sobą, a cóż dopiero córka. Jeśli chodzi o pozostałych, hmm, mogą nauczyć się być ludźmi. Ciekawa jestem, jak wiedzie się rodzinie. No, i... Star i ja naprawdę kochaliśmy się. Przyjemnie będzie być znowu razem po dwudziestu dwóch długich latach.

— Jesteśmy coś winni Mavrze — wtrąciła Vistaru. — Oboje nie możemy przestać myśleć, co by było, gdybyśmy dłużej się zatrzymali, upewnili się, że

wszystkie dzieci Vashy wydostały się, gdybyśmy ich nie opuścili. Jej życie było takie okropne. Może będziemy mogli pomóc innym kobietom, które bez nas stoczyłyby się tak jak Mavra. Myślę, że tyle jesteśmy winni jej, kobietom i samym sobie.

Alaina pokiwała głową.

— Wydaje mi się, że rozumiem. Ciała takie jak te, mogą okazać się cudem albo najgorszym przekleństwem. Pomogę wam. Zapłata dla Mavry została uzgodniona, zarejestrowana i nigdy nie wypłacona. Myślę, że z milionem można zrobić wiele dobrego, prawda?

Oczy Wooley rozszerzyły się.

— Milion? — Nagle roześmiała się. — Hej! Kupimy sobie na własność cały graniczny świat! — popatrzyła na Vistaru. — To szaleństwo, prawda? Żyłyśmy raz, potem drugi w Studni, potem trzeci z powrotem tutaj, po raz czwarty znowu w Studni, a teraz po raz piąty. Ciekawe, czy to znaczy, że zamierzamy żyć wiecznie? Zawsze możemy powrócić do Studni w przyszłości.

Vistaru roześmiała się.

— Taak, ale spokojnie. Nie jesteś już moim mężem. Teraz jesteś superkobietą.

— Zaczęłam jako kobieta — przypomniała jej. — Nic specjalnego, przyznaję. Może czas na to, by Wu Julee przekonała się, jak to naprawdę jest.

Vistaru przytaknęła.

— Może być cudownie — powiedziała miękko.

— Spójrzcie! — zakrzyknął Renard. — Asteroidy są prawie na miejscu!

Kiedy to mówił, cztery mniejsze obiekty skupiły się przy większej kuli. Oślepił ich potężny błysk energii, po którym pozostała pustka. Poszukiwania nie ujawniły ani śladu Nowych Pompejów. Nie została nawet drobina pyłu.

Alaina westchnęła.

— A zatem, to koniec. Zbierajmy się stąd.

Statek zadrżał jakby budząc się do życia i zaczął się poruszać. Renard miał w oczach łzy, pozostali milczeli.

— Do widzenia, Mavro Chang. Przebacz nam.

I skłonił się nawet kaptur Yugasha.

Bezimienna gwiazda w M-51

Wstała i przeciągnęła się, wyprostowała wszystkie cztery kończyny. Była przyzwyczajona do pracy w ciemności. Nos szybko pomógł jej znaleźć nieco jadalnych owoców i stęchłego chleba; dało się go zjeść, a owoce dostarczyły tak potrzebnej wody. Dzień wcześniej skończyła resztki zakonserwowanej żywności. Intrygowało ją, dlaczego pozostaje jeszcze przy życiu, i czemu wciąż uparcie odsuwa od siebie nieunikniony koniec.

Zapaliły się światła. To, samo w sobie, nie było niespodzianką. Przewidywała, że tak się stanie, kiedy przed paroma godzinami ogarnęły ją znajome ciemności i opanowało uczucie długotrwałego spadania. Odwróciła skierowaną na dół twarz i rozglądnęła się dookoła. Wszędzie panował okropny nieporządek. Prawie cała konstrukcja się załamała razem z fragmentem dalekiej galerii.

Eksplozje, syk i dudnienie ustały przed paroma dniami. Zaraz potem rozległy się odgłosy spawania, stukot młotów i pobrzękiwanie. Poszła sprawdzić, co je wywołuje, jednak zauważyła tylko tyle, że w głównym szybie wciąż pali się światło awaryjne, poza tym nic nie rzucało się w oczy. Cokolwiek się działo, odbywało się to dużo niżej.

— Cześć, Mavro — jak grom z jasnego nieba tuż obok niej rozległ się miękki, przyjemny tenor Obie.

O mało nie wyskoczyła ze skóry.

— Obie! — zawołała, niemal z naganą w głosie. Słowa cisnęły się jej na usta. Uzmysłowała sobie jednak, że chociaż on mógł przemawiać bezpośrednio, jemu trzeba było przekazywać wszystko przez nadajnik.

Komputer jakby czytał w jej myślach.

— Nie, nie jest już potrzebne pośrednictwo transmisji — poinformował ją. — I tak nie ma już niczego, co mogłoby do tego służyć. W ciągu ostatnich kilku dni zaszły olbrzymie zmiany. Ja także się zmieniłem, Mavro.

Była otępiała, jakby w jakimś półśnie. Nic nie wydawało się do końca realne, ona sama prawie nie wierzyła w ciągłość swojej egzystencji.

— Doskonale, Obie, właściwie co zrobiłeś? I jak? — zawołała.

Komputer zachichotał.

— Postanowili mnie zniszczyć i skierowali na mnie asteroidy z antymaterii. Skorzystałem z wielkiego spodka i zmieniłem dwa z nich w normalną materię, to znaczy normalną dla nas. Potem na dwie i pół milisekundy przed ich zderzeniem przeniosłem się tutaj. Ich spotkanie odbyło się z hukiem i błyskiem; wyglądało to tak, jakbyśmy zostali wysadzeni, kiedy dwa asteroidy antymaterii napotkały inne dwa asteroidy, świeżo przetransformowanej materii.

— Dwie milisekundy? — krzyknęła przerażona. — Czy to nie było o włos za późno?

— Dwie i pół — poprawił ją. — Nie, to było w sam raz. Zrozum, ich instrumenty mogą wykryć zmiany w ciągu pięciu milisekund, a więc zapewniłem sobie margines bezpieczeństwa. To mnóstwo czasu, naprawdę.

Mavra postanowiła nie przedłużać rozmowy na ten temat. Nikt, dla kogo dwie i pół milisekundy było mnóstwem czasu, nie był dla niej partnerem do rozmowy o tym. Powiedziała:

— Myślałam, że zniszczyliśmy cię. Bomba wybuchła, prawda?

— O, tak — odparł wesoło Obie. — Bomba wybuchła jak należy, tylko pokład był zapchany. Wybuch nie usunął kontroli, usunął jedynie przeszkody, jakie napotykała, tak jak to zaplanowaliśmy.

— My? — zawołała zaintrygowana.

— Doktor; Zinder i ja, oczywiście — kontynuował komputer. — Od samego początku Trelig obawiał się, że mogę dostać się w niepowołane ręce. Na wszelki wypadek polecił w najważniejszych punktach umieścić bomby; które mogłyby mnie zniszczyć. Kłopot w tym, że jedynie ci ludzie, których się najbardziej obawiał, tacy jak Julin, potrafili mnie obsługiwać. Zmusił więc doktora Zindera, by to zrobił. Wszystkie zostały zainstalowane i sprawdzone, wszystkie jednak posiadały elektryczne zapalniki. Innymi słowy, sam musiałbym przyłożyć ładunek zapalający, a przecież, jak ci powiedziałem przez radio, zostałem zaprogramowany tak, by absolutnie nigdy nie współdziałać z tym, kto chciałby mnie zniszczyć. Doktor Zinder wiedział, że nie mogę przyjąć rozkazu odpalenia zapalników. Umieścił bomby tak, aby musiały wybuchnąć na zewnątrz, niszcząc dwa moduły oddzielające obwody zależne od niezależnych i od ośrodka systemów podtrzymywania życia. To naprawdę nie było skomplikowane, ale wymagało impulsu z zewnątrz. Więc kiedy sprawy przybrały zły obrót i uwięziono nas w Świecie Studni, sam musiałem zaaranżować sytuację, w której bomby mogłyby zostać zdetonowane. To ją fascynowało.

— Jak to zrobiłeś?

— Po pierwsze: w planach, które dzięki mnie utkwiły w pamięci wszystkim agentom, są to jedyne wymienione ładunki; tylko one przychodzą do głowy, jeśli ktoś pomyśli o zniszczeniu Nowych Pompejów.

Kiwnęła głową.

— A więc zdałeś się na los szczęścia. Czy oznacza to, że zrobiłeś tak, zanim jeszcze wiedziałeś o Świecie Studni i o tym, że my się tam udamy?

— Logika matematyczna — wyjaśnił. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa, oszukując z doktorem Zinderem Treliga i wracając do Świata Studni, mogliśmy zginąć. Jednak gdyby tak się nie stało, ciągle byłbym pod kontrolą Treliga i Julina albo obydwu naraz; to znaczy, że mając warunki do tego, mogli podjąć próbę zniszczenia mnie.; Przygotowałem się więc na taką ewentualność i udało się!

— Po dwudziestu latach — dorzuciła.

— To wystarczyło — odpowiedział. — Oprócz tego, w tym czasie wiele się nauczyłem. Teraz jestem indywidualnością, Mavro, całkowicie samowystarczalnym organizmem. Kontroluję, widzę i odczuwam wszystko, co dzieje się na tej planetoidzie. Jestem zarówno na Wierchołku, jak i po Stronie Spodniej. I nikt nigdy już nie może zmusić mnie do wykonywania rozkazów. Ten świat jest teraz mną, Mavro, nie tylko ta jedyna komora. Wszystko. Wielki spodek i mały także.

Nie była pewna, czy podziela jego entuzjazm. Nikt nie powinien mieć takiej potęgi, pomyślała.

— Chciałbym przeprosić cię za to, że nie porozumiałem się z tobą wcześniej, lecz całą energię musiałem poświęcić symulowaniu mojego zniszczenia. Oprócz tego od pewnego czasu wykorzystuję swoje moduły naprawcze, nad którymi dotąd nigdy nie miałem kontroli, do napraw i modyfikacji samego siebie. Teraz stałem się osobą, Mavro, niezależnym organizmem!

— Ależ ty jesteś małą planetą — przypomniała mu.

Wcale nie był tym zakłopotany.

— I co z tego? Jeśli weźmie się pod uwagę te wszystkie istoty, które zobaczyłaś, twoją, obecnie osobliwą postać, cóż znaczy jeszcze jeden rodzaj istoty? Nie liczy się wygląd, to, jaki ktoś jest na zewnątrz. Ważne jest, czym się jest wewnątrz. Tego uczy lekcja udzielona przez Studnię, to pewne. Czyż owe odmienne formy życia nie są po prostu przerysowanymi przykładami tego, z czym spotykamy się w społeczności ludzkiej? Zbyt otyli, nadmiernie chudzi, za niscy, zbyt wysocy, zbyt czarni, zanadto biali. Zwracaj uwagę na wnętrze, nie na to, jak ktoś wygląda. Łatwiej to zrobić w Studni, nieprawdaż? Spodziewamy się, że każdy będzie wyglądał inaczej, a wszyscy, bez względu na to, jak różnią się między sobą, wyrosli z tych samych, markowiańskich korzeni.

— Przypuszczam, że tak — westchnęła ze znużeniem. — Co teraz zrobisz? Przede wszystkim, gdzie jesteście?

— Odpowiem najpierw na to drugie: jesteście w M-51, na orbicie samotnej gwiazdy, trzydzieści pięć milionów lat świetlnych od najbliższej istoty myślącej. Położenie tego miejsca wygrzebałem w Studni wiele lat temu na wypadek, gdybym musiał gdzieś się udać. Co do innych... — zamilkł na chwilę, najwyraźniej wahając się przed wyrażeniem swojej kolejnej myśli. Cicho zapytał: — Dlaczego

nie odeszłaś z innymi, Mavro? Dlaczego postanowiłaś umrzeć? To było twoim zamiarem przez cały czas, prawda?

— Tak. Studnia to nie miejsce dla mnie. Ocalałam, by wykonać zadanie do końca, by nigdy już Nowe Pompeje nie znalazły się w rękach kogoś takiego jak Trelig czy Julin. A potem, co? Przez całe życie byłam dumna z mojej niezależności. Powrót do Świata Studni oznacza przemianę w coś przypadkowego, może nawet w wirujący kwiat albo w myślącą małżę, nawet w Wuckla albo Ecundiana. Wybór zależy od kogoś innego. Nawet jeśli okaże się dobry, twoim wszechświatem stanie się Świat Studni, twoja egzystencja zostanie ograniczona do obszaru nie większego niż Nowe Pompeje. A co do Komlandu... przez jakiś czas byłabym bohaterką, jednak wkrótce byłaby to bohaterka dni minionych. Potem byłabym dziwadłem, czworonożną kobietą z ogonem. Może i niezłym zadatkiem na bohatera, ale w takim Glathriel, albo w cyrku, albo w jakimś luksusowym ogrodzie zoologicznym. Pozbawiona wolności, statku, gwiazd, samodzielności. Cóż takiego miałam do wyboru? Nawet resztki, które mi zostały, moje życie i osiągnięcia okazały się łgarstwem. Nic nikomu nie jestem winna i nikt mnie nie jest nic winien, tak mi się zawsze wydawało. Lecz żebracy przyjęli mnie na czyjąś prośbę albo zapłacono im za to. Ta sama osoba przysłała do mnie męża, aby mnie wydestał z domu publicznego.

— Ale opiekował się tobą — przypomniał jej Obie.

— Myślę, że tak, ale to niczego nie zmienia. Gdyby nie Brazil, nigdy by tam nie trafił. Nawet gdybyśmy się spotkali przypadkowo, byłabym dla niego zwykłą dziewczyną z baru. Teraz, kiedy o tym pomyślę, zastanawiam się, czy cokolwiek było prawdą? Ile razy udało mi się uciec dzięki ingerencji z zewnątrz? Tyle spraw przyjęło pomyślny obrót. Aż tyle spraw zawsze przyjmowało pomyślny obrót. Drobiazgi i rzeczy wielkie, lecz to one właśnie składają się na moje życie. Nawet ty... nawet ty zaprogramowałaś mnie, bym była agentem, realizującym twoje zamierzenia, a ja zrobiłam dokładnie to, czego ode mnie chciałeś, tymczasem moi dziadkowie i przyjaciel Ortegi sprawowali nade mną pieczę w Świecie Studni.

— Nie doceniasz siebie — skarcił ją Obie. — Wszystkiego dokonałaś samodzielnie. Okazja nie jest równoznaczna z osiągnięciem celu. Dokonałaś tego, bo jesteś inteligentna, pomysłowa, nie upadałaś na duchu. Ty naprawdę jesteś tak dobra, jak myślałaś, a drzemią w tobie jeszcze większe możliwości.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Nawet gdybym to zaakceptowała, pozostaje Joshi. Lubiłam go, okazał się przydatny. Był kimś, kogo potrzebowałam. Jednak jestem pewna, że nigdy nie zrobiłabym... — załamał się jej głos — nigdy dla niego nie zrobiłabym tego, co on zrobił dla mnie. Oddał swoje życie, by ocalić moje! Dlaczego?

— Być może dlatego, że cię kochał — cicho powiedział komputer. — Miłość. Najbardziej wyświechtane słowo w historii. Polega po prostu na tym, że dbamy bardziej o innych, niż o samego siebie. Jest miarą wielkości, która rozbłyska z

rzadka w tym, pod wielu względami plugawym, wszechświecie. To jest właśnie wartość utracona przez Markowian, ponieważ boskość jest z dziedzictwa samolubna. Utracili zdolność do współczucia innym, do dzielenia się z innymi i do kochania, tak jak oni byli kochani. Pustka po utracie miłości była ich przekleństwem. Ich tragedia była tak wielka, że nawet nie mogli jej ogarnąć umysłem.

Parsknęła pogardliwie.

— A ja? Niej ma jej we mnie, Obie. Inni kochali mnie, jak przypuszczam, Brazil, moi rodzice i dziadkowie, zwłaszcza Joshi, ja jednak nigdy tym samym nie odpłaciłam, nie mogłam odpłacić. Nie wiem jak. Nawet ciebie teraz nie rozumiem.

— Kiedy umarł Joshi, płakałaś — Obie przypomniał jej łagodnie. — Teraz jesteś zagubiona, pogrążona w żalu nad samą sobą, a jednak to jest w tobie, gotowe rozkwitnąć. Możesz się jeszcze jej nauczyć, Mavro Chang.

— Jeszcze jeden przykład ilościowego pomiaru, zrobiony przez ciebie podczas obróbki mojej osoby? — odparowała.

— Tego nie można policzyć — odpowiedział Obie. — Dlatego Markowianie nie mogli tego odkryć. I dlatego Gedemondianie odniosą porażkę. Odseparowali się od reszty ludzkości, występującej pod jakąkolwiek postacią. Całą energię skierowali na izolowanie siebie, skoncentrowali się na kwantowaniu — zamilkł na chwilę. — A więc tak jak Markowianie stoisz w obliczu czegoś nie do skwantowania. Nie można tego dotknąć, zmierzyć ani zdefiniować w żaden inny sposób jak przez porównanie. Żywcem pożera cię twoja własna, samolubna natura, by rozbić w gruzy twoje ego. Chcesz umrzeć, tak jak tego w końcu zapragnęli Markowianie choć nie kierujesz się tak wzniosłymi motywami, jak oni. To zakrawa na ironię, ale właśnie ich poświęcenie było manifestacją tej wartości, którą oni także, jak o tym sami byli przekonani, utracili.

Jej śmiech pozbawiony był radości.

— Nie mogę dostrzec, co zyskali, czym się kierowali. Jako żebrak nauczyłam się, że miłosierdziem tak naprawdę kieruje wina. Zasłużyłam na śmierć.

— Ale nie umrzesz — odparł Obie. — Tysiąc razy miałaś okazję zabić się w ciągu minionych trzech dni. Czy to dlatego, że chcesz zachować tę w najwyższym stopniu niewygodną postać?! Kara za winę, do której się poczuwasz? Oto daję ci możliwość wyboru, i daję ci ją za darmo. Życzysz sobie pozostać zwierzęciem? Przeniosę cię, dokąd zażadasz. Królową? Wymień rasę. Co tylko zapragniesz, w miejscu, które wybierzesz. Żywa czy martwa, zwiastunka nowego życia czy ta, która niesie zagładę. Jakie jest twoje życzenie? Dopilnuję, by zostało spełnione! Albo też. . . przyłącz się do mnie. Chcę badać gwiazdy, pomagać, gdzie będę mógł pomóc, zamierzam zdobywać wiedzę i stawiać czoło wyzwaniom, które nadchodzą. Wkrótce nasi kuzyni, ludzie, napotkają nie jedną, lecz kilka obcych kultur. Czy mają zetrzeć się ze sobą, skazując się na zagładę, czy powinni się połączyć i rozrastać? Chcesz pracować ze mną nad tymi ogromnymi projektami, czy też

zezwolisz, by twoją! wina i żal nad sobą zepchnęły cię do piekła, ze wszech miar najgorszego, bo stworzonego własnoręcznie? Odpowiedz mi, poświęć trochę czasu, nie spiesz się, mamy go mnóstwo,, być może tyle, ile go jest.

Słowa Gedemondiana znów przemknęły jej przez głowę.

Najpierw musisz zstąpić do Piekieł. Wtedy, gdy przeminą wszelkie nadzieje, zostaniesz wyniesiona na szczyt osiągalnej potęgi, lecz to, czy będziesz czy nie będziesz mądra na tyle, by wiedzieć, co wtedy czynić lub czego nie czynić, jest przede mną zamknięte.

Kiedyś podała definicję, że piekłem jest brak nadziei; Obie dodał winę i żal nad sobą samym, a więc rzeczywiście osiągnęła piekło.

Z wolna potrząsnęła głową, oniemiała ze zdumienia, nie mogła ogarnąć ani objąć kontrolą tych uczuć, które zaczynały w niej narastać. Bardzo długo zachowywała milczenie. W końcu zbadała wzrokiem zdemolowaną komorę operacyjną i otaczającą ją przestrzeń.

— Wspólnicy? — powiedziała miękko, z wahaniem.

— Wspólnicy! — radośnie zakrzyknął Obie.

DODATEK I: RASY PÓŁKULI POŁUDNIOWEJ

Wykaz obejmuje nazwy jedynie tych sześciokątów i ich mieszkańców, które występowały w części drugiej powieści. Sześciokąty z Wyjścia zostały wymienione, jeśli jest mowa o nich lub o ich mieszkańcach w drugim tomie.

Sposób wymowy pozostawiamy do uznania czytelnikowi; jeśli by jednak czytelnik życzył sobie reguły, proszę wymawiać dokładnie każdą literę i sylabę.

* * *

Skróty:

W — sześciokąt wysokotechnologiczny. Działają tutaj wszelkie urządzenia techniczne, możliwe do wynalezienia i wybudowania.

P — sześciokąt półtechnologiczny. Urządzenia parowe i spalania wewnętrznego działają, jednak nie działają urządzenia elektryczne, atomowe ani bardziej wymyślne systemy.

N — sześciokąt nietechnologiczny. Żadna maszyna, pośrednio czy bezpośrednio napędzana siłą mięśni, nie działa. Nafta i gaz podlegają spalaniu i mogą być wykorzystane do oświetlenia i ogrzewania, lecz nie mogą wprawić w ruch tłoka.

Nawias dookoła desygatora zaawansowania technicznego — np. (S) — wskazuje, że jest to sześciokąt wodny.

Litera M za desygatorem zaawansowania technicznego — np. NM — oznacza, że sześciokąt może być uważany za posiadający zdolności magiczne przez istoty pozbawione tychże możliwości.

Skład atmosfery i ciśnienie są bardzo zróżnicowane, jednak nie umieszczono w spisie żadnego sześciokąta, w którym obcy nie mogliby żyć bez sztucznych środków wspomagających.

* * *

AGITARIANIE — W — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Mężczyźni podobni są do satyrów, kobiety zaś mają zwierzęcą budowę górnej części ciała,

są jednak zgrabniejsze. Mężczyźni potrafią bez szkody dla siebie gromadzić i rozładowywać wysokie napięcie elektryczne. Rodzimy zwierzęciem jest pegaz.

ALESTOLOWIE — N — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Poruszające się, cylindryczne, mięsożerne rośliny, miotające mieszaninę szkodliwych gazów.

AMBREZJANIE — W — Istoty prowadzące dzienny tryb życia. Podobni do olbrzymich bobrów. Raczej nietechnologiczni aż do momentu, gdy w czasie wojny pobili Glathriel i zmusili ich do zamiany sześciokątów.

CZLAPLONOWTE — W — Istoty żyjące za dnia. Wyglądają jak olbrzymie kłębki splątanego nylonowego sznurka, z małą głową i mózgiem. Kapitan Kupca Toorinu jest Czaplponem.

DAHIROWIE — N — Rasa wiodąca dzienny tryb życia. Ogromne, jaszczurkopodobne osobniki, potrafią zmieniać kolor i upodabniać się do tła. Dahirami byli kompani Parmitera.

DASHEEN — N — Żyjące za dnia minotaury. Kobiety o wiele większe i głupsze od mężczyzn. Stosunek ilościowy osobników męskich do; żeńskich kształtuje się jak 100 do 1, jednak mężczyźni uzależnieni są od wapnia i laktozy, zawartych w mleku kobiet.

DILLIANIE — P — Istoty prowadzące dzienny tryb życia. Prawdziwi, klasyczni centaurowie. Lud pokojowy. Polują, zastawiają sidła i uprawiają rolę. Mogą jeść wszelkie substancje organiczne, ale są w zupełności wegetarianami.

ECUNDIANIE — P — Rasa żyjąca za dnia. Istoty o naturze drapieżników, budową podobne do skorpionów, żyjące na lądzie. Żywią się surowym, świeżym mięsem, podobnych do olbrzymich świnek morskich, bunda. Odznaczają się obrzydliwym charakterem.

EVERODANIE — N — Olbrzymie, podobne do mięczaków istoty o tysiącu długich macek. Żyją w głębinach wodnych. Nikt nie wie zbyt wiele o nich, jednak istoty te handlują poprzez Strefę.

GEDEMONDAS — N — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Wielkie, cienkie, włochate, małpopodobne istoty o okrągłych stopach i kosmatych pyskach. Żyją w wulkanicznych kraterach, w lodowatych, wysokich górach.

GLATHRIEL — N — Rasa żyjąca za dnia. Przodkowie ludzkości. Z postawy raczej orientalni, o negroidalnych rysach twarzy. Rasa bardzo prymitywna, odkąd Ambrezjanie, posługując się atakiem gazowym, cofnęli ich do epoki kamiennej.

HOOKLOWIE — N — Nie występują w powieści. Olbrzymie węże morskie, potrafią łączyć się z sobą w istoty podobne do kałamarnic.

JOLOWIE — N — Nie występują w powieści. Są to istoty wodne, zbliżone do lwów morskich.

KIRBIZMICJANIE — N — Rasa żyjąca za dnia. Rozumne rośliny. Potrafią poruszać się w razie zagrożenia. Sypiają nocami. Lepiej ich nie dotykać, jeśli się nie chce z nimi zespolić. Pomimo to prowadzą ożywiony handel.

LATA — W — Rasa prowadząca nocny tryb życia. Bardzo małe, człeko-kształtne chochliki, hermafrodyty. Potrafią latać jak pszczoły i jak one wyposażone są w groźne żądła. Mogą żarzyć się dzięki wydzielinie, produkowanej przez skórę. Na pozór z umysłu podobne do ludzi, jednak duchowo bardziej zbliżone do karaluchów.

MAKIEMOWIE — N — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Wielkie gady podobne do olbrzymich ropuch. Potrzebują codziennie wodnej kąpieli, podczas postojów, w czasie wędrówki lądem. Zimnokrwiste. Potrafią wspinać się po ścianach i skakać jak szalone.

MUCROLOWIE — P — Rasa żyjąca za dnia. Mięsożerni, podobni do psów, żyjący w stadach na obrzeżach pustyni, broniący swoich zbiorników wodnych uzbrojonymi jednostkami pancernymi. Brak im politycznej spójności.

NOCHA — P — Nie występują w powieści. Przypominają rozgwiezdy, żyją w miastach zbudowanych z muszli.

OOLAGASHOWIE — W — Koniki morskie wyposażone w macki. Żyjące w głębinach. Osiągnęły poziom atomowy bez widocznych stadiów pośrednich.

ORARKOWIE — P — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Łasicopodobne istoty. Do rasy tej należeli sygnaliści i najlepsi kanonierzy z Kupca Toorinu.

PARMITEROWIE — W — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Małpy o sowych głowach i dziobach. Niedobór wzrostu rekompensowali podłością. Rasa dzikich i nieuczciwych korsarzy.

TWOSHE — P — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Wielkie, różowe kręgle o dużych, brązowych oczach. Mają tylko dwie kończyny, które są albo rękami, albo nogami. Wysoce pomysłowi z powodu swoich fizycznych ograniczeń.

ULIKOWIE — W — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Istoty o sześciu rękach, człekokształtne powyżej pasa, lecz o twarzach podobnych do morsa z dużymi wąsami. Od pasa w dół są kolorowymi węzami, długimi na pięć do dziesięciu metrów.

USURKOWIE — W — Nie występują w powieści. Być może żyją w gromadzie, lecz czy ktoś może sobie wyobrazić piranie z mackami, wspomagane odrzutową dyszą?

WUCKLE — W — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Niezwykle wysokie istoty o nogach podobnych do nóg emu, owłosionym ciele, długich ramionach, skracających się we wszystkich kierunkach i delikatnych dłoniach, z ptasią głową na niesłychanie ruchliwej szyi i czworokątnym dziobem. Pokojowi wegetarianie. Wspaniali psychochirurdzy.

WYGONIANIE — P — Rasa żyjąca za dnia. Istoty wyglądające jak połączenie sześciu wyciorów do fajki. Inteligentni i bardzo ruchliwi. Wygonianem jest Tbisi, pierwszy oficer na Kupcu Toorinu.

XYRICIS — N — Rasa prowadząca nocny tryb życia. Olbrzymie pancerniki handlujące z wieloma sześciokątami. Tindler był takim handlującym Xyricisem.

YIMSK — N — Nie występują w powieści. Istoty przypominające do pewnego stopnia głowonogi, żyją w głębinach, żywią się planktonem.

ZANTI — W — Nie występują w powieści. Te elektryczne węgorze zdołały rozwinąć na dnie morskim dość wydajną i nowoczesną uprawę. Utrzymują stosunki handlowe z Wucklami, udzielając im prawa połowu w zamian za dobra, których nie można wyprodukować pod wodą.

DODATEK II: RASY PÓŁKULI PÓŁNOCNEJ

Zasada jest tu taka sama, jak w dodatku I. Wszystkie nazwy na Północy zbliżone są do tych z Południa. Jednak na przykład morza czy łańcuchy górskie — odmiennie od zwyczajów Południa — nie mają swych nazw, stąd też w razie potrzeby zostały użyte odpowiednie określenia z Południa. Żaden z wymienionych sześciokątów nie ma takiej samej atmosfery, jak inne na Półkuli Północnej, ani też atmosfery zbliżonej do któregośkolwiek sześciokąta południowego. Mimo to niektórzy z mieszkańców Północy, zwłaszcza Bozogowie i Yugashe, mogą podróżować bez odpowiedniego zabezpieczenia, gdyż nie oddychają w ścisłym znaczeniu tego słowa.

* * *

ASTILGOLOWIE — N — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Legendarny Wróżbita i Rei byli Astilgolami. Symbiotyczne stworzenia wyglądające jak szereg krystalicznych obręczy zawieszonych wokół niewidocznej misy z rzędem lśniących, migotliwych punkcików u szczytu. Żywią się krzemem.

BOZOGOWIE — W — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Z wyglądu dwa duże, sadzone jaja. Mogą z substancji swoich torbieli wykształcić macki lub innego rodzaju kończyny, mogą także przyklejać się do podłoża.

CUZICOLOWIE — N — Rasa prowadząca nocny tryb życia. Istoty te mają postać metalicznych, żółtych kwiatów o setkach ostrych kolców, stoją na dwóch wrzecionowatych nogach. Do rasy tej należał jeden z operujących Mavrę i Joshiego w ambasadzie Yax.

MASJENADANIE — P — Rasa żyjąca za dnia. Przypominają dmuchane ze szkła łabędzie bez głów i stóp. Mogą stapiać się ze sobą. Mają irytujący zwyczaj przelatywania przez siebie nawzajem, bez wyrządzania sobie krzywdy.

OYAKOTOWIE — W — Rasa dzienna. Podobni do ogromnych, bezbarwnych balonów; z kolcami. W rzeczywistości są miłym i normalnym ludem. Bardzo lubią swój zamrożony tlen.

PUGEESHOWIE — P — Rasa prowadząca nocny tryb życia. Mają postać małych, brązowych dysków, obramowanych dziesięcioma cienkimi mackami. Prowadzą plemienny tryb życia. Jeżeli nie mogą Cię zabić, dają się łatwo wystraszyć. Potrafią wprowadzać w stan letargu pełnego marzeń. W wysokiej temperaturze topnieją.

UBORCZANIE — P — Rasa prowadząca dzienny tryb życia. Amorficzni mieszkańcy piasków. Pośredniczyli w handlu pomiędzy Bozogami a Wohafianami.

UCHJINOWIE — N — Rasa nocna. Trudno się z nimi porozumieć. Z wyglądu podobni są do malowanych w powietrzu kropek.

WOHAFI — W — Kule jaskrawożółtego światła, z których wystrzelują setki macek wyglądem zbliżonych do błyskawic. Zdolne do przemieniania energii w materię i odwrotnie. Prowadzą dzienny tryb życia.

YUGASE — W — Są to stworzenia o ustabilizowanej energii, przypominające blade, czerwone opończe z kapturem, puste w środku. W jasnym świetle stają się niemal niewidzialne. Mogą opanować ciało każdego, jeśli się im na to pozwoli albo spuści się je na chwilę z oka.